

F A B R Y C Z N A Z O N A . P L

# DZIECI MARTWEJ ZIEMI

  
fabryka słów  
WYDAWNICZO



JAN WALETOW



Fot. ze zbiorów autora

## JAN WALETOW

Urodził się w 1963 roku w Dniepropietrowsku na Ukrainie, w rodzinie inżynierów. Pisać zaczął jeszcze w szkole podstawowej i ta pasja, podobnie jak namiętność do czytania i kinematografii, sprowadziła go na pisarskie manowce.

Mimo humanistycznych zainteresowań ukończył wydział budowy rakiet na Uniwersytecie Dniepropietrowskim.

W czasie studiów grał we Wszechzwiązkowym Klubie Gier Intelktualnych „Szto? Gdzie? Kogda?“, był jednym z inicjatorów wersji sportowej – popularnej gry telewizyjnej „Brain-Ring“.

Cykl „Ziemia Niczyja“ (Ничья земля) zdobył kilka nagród i ukazał się w Rosji w łącznym nakładzie ponad 130 tys. egzemplarzy.

Żonaty, ma dwójkę dzieci: syna i młodszą córkę.

# Spis treści

Karta tytułowa

Spis cyklu

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Fabryczna Zona

Andriej Lewicki – Wstęga

Karta redakcyjna

Okładka

**JAN WALETOW**

**DZIECI  
MARTWEJ ZIEMI**



**TŁUMACZYŁA  
EWA BIAŁOŁĘCKA**

**fabryka słów<sup>®</sup>**  
**LUBLIN - WARSZAWA**

## **Spis cyklu**

Jan Waletow – **Ziemia Niczyja**

Jan Waletow – **Dzieci Martwej Ziemi**



**M**ówi się, że każdy człowiek posiada szósty zmysł. Siergiejew był o tym przekonany. Jak by nie patrzeć, osobiste doświadczenie znacznie szybciej stanie się wyznacznikiem prawdy niż nawet najbardziej malowniczo opisane cudze. A wszystko dlatego, że owo doświadczenie zostało wycierpiane, wymęczone i sińce od niego nie schodzą całymi latami, wciąż żywo przypominając o popełnionych błędach i zrobionych głupstwach.

Czasami doświadczenie przyjść nie zdąży. W pewnych specyficznych profesjach człowiek umrze wcześniej, niż zmądrzeje. Zresztą bywa, że zawód nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu tak się złożyło i tyle. Takich pechowców Siergiejew w swoim życiu widywał niemało.

Nie wiadomo, czy szczęście, przeczucie, nawyk zachowywania ostrożności, czy może ów osławiony „szósty zmysł”

zmusił Michała, by zawrócił do drzwi i podstawił pod klamkę oparcie krzesła, ale właśnie to uratowało życie jemu i Blinowowi.

Kiedy klamka lekko opadła, cicho szcęknęła o metalową rurkę i powróciła do pierwotnego położenia, Siergiejew zastygł, nie zdążywszy dojść do łóżka. Zupełnie jak w dziecięcej zabawie „raz, dwa, trzy – Baba Jaga patrzy!”. Placek, z rękami i nogami na wyciągach, spał niespokojnym snem pod wpływem środków usypiających, pochrapując jak syty prosiak. Michał, patrząc na sapiącego Blinowa, kolejny raz przypomniał sobie o Bogu i intuicji.

Jego pigułki jeszcze leżały w małym plastikowym kieliszku na stoliku, obok szklanki z wodą. Pomyślał, że czasami śmierć ma bardzo niewinny i nieszkodliwy wygląd. Dwie żelatynowe kapsułki: jedna – zabójca bólu, druga – zabójca bezsenności. W tej sytuacji parę miligramów proszku, które w nich się znajdowało, było groźniejsze od kuli z pistoletu przystawionego do głowy.

Bezgłośnie i szybko, niczym wielki kot, dziwnym trafem poruszający się na tylnych łapach, Siergiejew rzucił się do drzwi i przykładając ucho do ościeżnicy, zamienił się w słuch.

Za drzwiami panowała cisza – krępy i wysoki byli fachowcami, jednak przyszli tutaj, by działać, a nie wyczekiwać. Tym bardziej że w korytarzu i na schodach leżały trupy i nie było już czasu, by się przyciąć i zadać cios nieoczekiwane. Ani krępy, ani wysoki nie dopuścili się szczególnych błędów. Wszystko toczyło się po swojemu – po prostu za plecami każdego z nich stał Jego Wysokość Przypadek.

I tylko Siergiejewowi w porę szepnął on na ucho: „Uważaj!”.

Z sali nie było dokąd uciec.

Przestronny pokój, dwadzieścia pięć metrów kwadratowych. Okno wielkie na pół ściany i łazienka, pozbawiona z kolei okien. Kabina prysznicowa, muszla klozetowa, obok której przykręcono do ściany duży niklowany uchwyt, bidet, wielka wanna i szafka z lustrem nad umywalką – w łazience było wszystko, poza bardzo w tej chwili potrzebnym awaryjnym przejściem podziemnym. Można było z niej najwyżej spłynąć kanalizacją. A z sali – wyskoczyć przez okno. Obie możliwości Siergiejewowi się nie podobały.

Za grubymi (chwała Bogu!) drzwiami rozległy się szepty. Potem ktoś znów złapał za klamkę. Metaliczne szczęknięcie...

Znów szept.

Michaił, którego kiedyś intensywnie uczono, jak reagować w podobnych sytuacjach, obliczył, ile pozostało mu czasu na zastanowienie, i zrobiło mu się zimno. Wyglądało na to, że limit został wyczerpany. Gdyby drzwi otwierały się do wewnątrz, zostałyby wyważone już minutę temu.

Klamka znów się poruszyła.

Gdzie... gdzie się schować?

Siergiejew przebiegł wzrokiem po pokoju.

Pułapka! Jasne, że należy przyciągnąć czyjaś uwagę. Na przykład rozbić okno – hałas na całą Teofanię. Ale sami wtedy dokąd...? Jeszcze chwila i tamci po prostu odstrzelą zamek. Ilu ich tam jest? Dwóch? Rąbną naraz i wejdą łatwo, jak dzieci do szkoły. Nic prostszego. Broń mają z tłumikami. Drzwi rozniosą na szczapki, bo mimo że ciężkie, są drewniane.

Potrzebne jest schronienie, którego tu nie ma. Myśl, Siergiejew, myśl! Nie ma sytuacji bez wyjścia, są tylko beznadziejni myśliciele!

Krzesło, dwa łóżka, dwie szafki, dwa stoliki.

Dobrze byłoby zastawić drzwi szafą, ale szafa jest wbudowana w ścianę. Wyciągi, na których wiszą kończyny Placka – śliczne, ale bezużyteczne. No i...? Co robimy?

Władimir Anatoliewicz chrapanął basem i wyraziście zacmokał. Zdaje się, że śnił o czymś przyjemnym.

Chociaż serce Siergiejewa łomotało w rytmie dawno już niemodnego disco, on sam zachowywał zimną krew. Raczej z przyzwyczajenia niż potrzeby – naprawdę się bał. Nie z powodu nieuchronnej śmierci. Jeszcze powalczymy, jeśli tu wejdą! Nikt tu nie będzie umierał na kolanach! Strach wzbudzała bezsilność. Właśnie ona przeraża silnych ludzi.

Szpitalne łóżka były masywnymi, trwałymi sprzętami na...

Na kółkach!

Siergiejew mimowolnie rozpląnął się w uśmiechu, co natychmiast upodobniło go do rozwścieczonego Kota z Cheshire.

Spróbował się schylić, w rezultacie mało nie upadł na kolana. W bandażu elastycznym, ściskającym zębra nie gorzej od gorsetu, raczej trudno dokonać takiej sztuki.

Kółka były zablokowane metalowymi zatraskami. Znając ich rozmieszczenie, można by się i nie schylać – bez trudu ustępowały pod naciskiem stopy, jak hamulec w wózku dziecięcym. W ciągu kilku sekund Michaił odblokował kółka i potoczył łóżko Blinowa do łazienki. Pan poseł posapywał beztrzesko i Siergiejew pomyślał, że Placka można by takim sposobem doturlać nawet do Moskwy, byle tylko nim nie potrząsać.

Rozmiary pomieszczenia pozwalały nawet zakręcić, co Michaił zrobił, ustawiając łóżko równoległe do stalowej wanny, obłożonej kosztownymi płytkami. Zaraz też wrócił do sali i szczęknąwszy blokadami, powlókł do łazienki własne łóżko.

Mebel był lekki, lecz mięśnie i ścięgna zaprotestowały z nową siłą. Siergiejew już wtaszczył swój ciężar do umywalni, przeciskając się przez futrynę, kiedy na zewnątrz odezwały się automaty. Drzazgi bryznęły do środka niczym opiłki lecące spod piły tarczowej. Kule zadzwoniły o kaloryfer i rozniosły w drobiazgi szybę okienną. Okruchy lśniącym wodospadem runęły w dół, osypawszy szklanym deszczem kilka aut na parkingu pracowniczym. Jak na gust Siergiejewa, wyszło całkiem niezłe – na zewnątrz natychmiast przeraźliwie zaczęły wrzeszczeć alarmy samochodowe i niemal od razu zawtórowały im niespokojne okrzyki ludzi ze służby ochrony wewnętrznej.

Jednak to nie na wiele mogło się przydać Siergiejewowi. Ochrona nie miała czasu, żeby dotrzeć z dołu do ich sali. Jedna z kul trafiła w bębenek zamka i ten wyleciał jak korek z butelki szampana. W momencie, kiedy pękł rygiel, Siergiejew, z chrupaniem w stawach, uniósł jeden koniec łóżka nad głowę, jak mógł najwyżej, i bosą stopą – sam się sobie dziwiąc, jak to mu lekko, po małpiemu poszło – zatrzasnął drzwi łazienki. I natychmiast wyskoczył spod swego brzemienia, z łomotem rzucając je na posadzkę.

– Co ty, Umka?! – zasyczał wyrwany ze snu Blinów i natychmiast zamilkł, widząc białą jak kreda twarz

Siergiejewa i przyklejony do niej przerażający uśmiezek.

Dwa łóżka ustawione w literę T, rozpartą między wanną a drzwiami, stworzyły całkiem niezłą barykadę. Uchylić drzwi było można, ale wejście stanowiłoby problem nawet dla Terminatora.

Natomiast strzelanie przez drzwi do wnętrza łazienki już nie stanowiło problemu. Były cieńsze od wejściowych, dobrze chociaż, że nie z płyciny, która wyleciałaby od pierwszego wystrzału, a Blinów z Siergiejewem znaleźliby się w roli blaszanych zajęczków na strzelnicy.

Placek patrzył na Siergiejewa oszalałym wzrokiem, jakim patrzy na swojego właściciela kot, który wpadł do wody. Nie wiedział, co się stało, ale rozumiał, że było to coś bardzo złego. Gdyby nie uspokajający efekt przyjętych leków, być może zaczęłyby przeraźliwie wrzeszczeć.

Za drzwiami rozległo się tupanie.

Siergiejew złapał Blinowa za piżamę z wprawą judoki, wyrwał go z medycznej uprząży i razem z nim runął do wanny, nakrywając Władimira Anatoliewicza własnym ciałem. Gipsowe opatrunki zadzwoniły w emaliowany metal, Placek zaryczał jak ranny łoś. Musiało go naprawdę mocno zboleć, ale Michaił nie miał czasu ani głowy na ceregiele.

Dziesiątki kul przeszły drzwi, rykoszetując po łazience, krusząc kafelki i przebijając rury. Z trzaskiem cyrkowego bata rozleciał się klozet, pękł bidet. Zleciała ze ściany szafeczka, rozsiewając lustrzane odłamki. Z rur trysnęła gorąca woda, wypełniając pomieszczenie parą.

Wanna pod kulami huczała niczym dzwon. Blinów, przygnieciony przez Siergiejewa, przestał się ruszać, tylko potrzasał mimowolnie głową jak koń pociągowy.

Wyzywająco głośno zaszczękały zmieniane przez zabójców magazynki – chociaż nagrzane tłumiki już gorzej wygłuszały, przeładowanie było donośniejsze od samego strzału.

Ktoś mocno, całym ciężarem uderzył w drzwi. Barykada zatrzęszczała, lecz wytrzymała. Kolejny cios, znów bezskuteczny, i na łazienkę ponownie runął ołowiany szkwał.

Siergiejew wyobraził sobie, jak w tym samym czasie korytarzami biegnie ochrona, w większości bez broni (bo czy można nazwać załadowaną gumowymi kulami wiatrówkę bronią?), i zrobiło mu się żal tych ludzi. Chłopaki biegły w stronę hałasu, jak ćmy lecą do płomienia świecy, a czekał ich tu ostrzał dwóch zawodowców – dobrze wyposażonych, bezlitosnych i rozgniewanych niepowodzeniem.

Drzwi znów zadygotały, tym razem uderzone nogą. Postrzelane jak sito, popękały, ale się nie rozleciały.

Blinów zamyczał rozpaczliwie i zaczął się szarpać. Wanna napełniała się wodą z rozbitych rur i lider partii ryzykował utonięcie na głębokości kilku centymetrów. Siergiejew nie mógł się podnieść – zranienie w pośladek byłoby nie tylko poniżające, ale również bardzo bolesne. To tylko na filmach wygląda zabawnie. W rzeczywistości Michaił znał paru chłopaków, którzy o mało nie wykitowali po trafieniu w takie „pikantne” miejsce. A jeden z nich został inwalidą. Wanna była ciasna i mała na dwóch, a obracanie się w niej – skrajnie niebezpieczne, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że Blinów gabarytami bynajmniej nie przypominał primabaleriny, a i sam Siergiejew nie miał w sobie nic z kwietnej wróżki. Blinów bulgotał i pluł wodą niczym kipiący czajnik.

W myślach wzywając Fortunę na pomoc, Siergiejew się przekręcił, co zmusiło go do uniesienia pośladków nad skraj wanny, i chwyciwszy Blinowa nie tyle za resztki włosów, co za tłustą fałdę na potylicy, uniósł twarz nadziei nacjonal–demokracji nad wodę. Przemoczony Placek, zezujący na Siergiejewa, wyglądał jak przerażony koń.

Za drzwiami ktoś zaklął. Ponownie zatrzęszczał automat.

– Stać! I! – rozległ się czyjś okrzyk. Rzygając ołowiem, zakrztusił się ostatecznie zepsuty tłumik. Ciężko runęło ciało.

Suche strzały z pistoletu. Jęk. Znów strzał. Krótki krzyk, który przeszedł w rżenie. Sucho, już bez tłumika, zatrzęszczał pistolet automatyczny. Ktoś pobiegł korytarzem, łomocąc butami.

Na zewnątrz, pod budynkiem, zawyły syreny – któryś z wielu kijowskich oddziałów specjalnych pędził na pomoc. Za drzwiami nikt już nie hałasował. Tylko w korytarzu ktoś płakał. Po dziecięcemu, żałośnie, chlipiąc i wyjąc.

Michaił ostrożnie podniósł głowę. Niewiele było widać. W powietrzu unosiła się gęsta zawiesina pary i pyłu. W całym pomieszczeniu tryskały strugi zimnej i gorącej wody. Obaj z Plackiem byli przemoknięci



do suchej nitki.

– Zdaje się, że już po wszystkim, Wowa – odezwał się Siergiejew, nie poznając własnego głosu. Z trudem wydobywał dźwięki z wyschniętego gardła, strasznie chciało mu się pić. – Wstanę i się rozejrzę. Ty na razie leż.

– Umka – powiedział Blinów, przekręcając głowę pod jakimś niewiarygodnym kątem, żeby popatrzeć na Michaiła. – Umka, znów mnie uratowałeś! Jestem twoim dłużnikiem do grobowej deski! Jesteś dla mnie bratem, Umka!

– Leż, bracie. – Siergiejew uśmiechnął się, wypełzając z wanny i starając się przy tym niezbyt mocno cisnąć kolanami na wymiętego Blinowa. – Dobrze choć, że nie powiedziałaś „bratello”<sup>[1]</sup>, też mógłbyś.

– Mam u ciebie dług, Umka – trąkotał Władimir Anatoliewicz.

Zdaje się, że zaczynało się u niego typowe „rozładowanie” z histerią i słowotokiem, opisywane w podręcznikach psychologii. Gdyby Siergiejew miał czas na „rozpracowanie” Blinowa, ten pękłby jak włoski orzech i wygadałby wszystko, o cokolwiek by zapytać. Silny facet, stan takiej gadatliwości długo się nie utrzyma – zadziała podwzgórze i koniec, muszła małża się zamknąć.

– Nie wypłacę się do końca życia. Co za szczęście, że cię spotkałem, Siergiejew! Moje szczęście!

Placek próbował się przekręcić i usiąść, ale nic z tego nie wyszło – utknął w wannie na amen, jak korek w butelce.

W innej sytuacji widok byłby zabawny, ale Michaiłowi nie było do śmiechu. Ostrożnie stąpając bosymi stopami po śliskiej, zasłanej odłamkami szkła i fajansu podłodze, Siergiejew zbliżył się do drzwi, podziurawionych jak durszlak. Gdzieś daleko w budynku jeszcze klaskały strzały. Ranny w korytarzu nadal wył. W źle oświetlonym pokoju nie było widać żadnego ruchu, jednak Siergiejew nie mógł zaręczyć, że z ciemności nie wygarną do niego serii. Co znaczyło, że Placek, szczebiocący tymczasem jak kanarek, powinien dla bezpieczeństwa pozostać w swoim metalowym gnieździe. Tylko należałoby go inaczej ułożyć – niebawem się zachłyśnie, a wody nie ma jak zatrzymać.

– Trzymaj się, Wowa – poprosił Siergiejew i przygotował się, by szarpnięciem przewrócić Blinowa, lecz, o dziwo, nie wymagało to szczególnego wysiłku. Wody do wanny nalało się już tyle, że Placek zgodnie z prawem Archimedesza wypłynął na powierzchnię niczym kawałek korka i Michaił przekręcił go na plecy. Zagipsowane kończyny natychmiast zatoniły ponownie, a Blinów przyjął głupią i śmieszoną pozę, w której zastygł, patrząc z dołu na Siergiejewa z oddaniem.

Całkiem jak buldog oczekujący na kęs surowej wątróbki.

Taki stan był Michaiłowi znany. Po pełnym nerwowym wyładowaniu zaczynała się faza odprężenia, w czymś przypominająca ten moment, który następuje po wypiciu stu gramów wódki na ciężkim kacu, kiedy na czarno–białym, niewyraźnym obrazku nagle pojawia się kolor. Uczucie cudem ocalonego życia upijało mocniej niż jakikolwiek alkohol.

Słodkie zrozumienie, że tym razem przeszło bokiem, oddychasz, widzisz świat, napełniało taką radością, że nie można było utrzymać emocji pod kontrolą.

Woda, w której się taplali, na szczęście była zimna. Teofania miała własną kotłownię, nie żalowali gazu i rurami z gorącą wodą płynął prawie wrzątek.

– Nie otwieraj drzwi – wyszeptał Blinów, gorączkowo chwytając Siergiejewa za rękę. – Niech przyjdzie ktoś z naszych!

Nie otwieraj, Umka! A jak oni tam jeszcze są?!

– Nikogo nie ma – powiedział Siergiejew. – Poszli. Tylko ten ranny krzyczy. Słyszysz, Placek?

Blinów szybko pokiwał głową, jak chińska figurynka.

– Słyszę. Nie otwieraj. Ja nikomu nie wierzę. Niech przyjadą nasi. Niech przyjedzie Wasiliewicz.

– A jak ja mam ich wezwać? – odrzekł Michaił z irytacją. – Pukając w kaloryfer? Komórki zostały w pokoju. Mamy tu siedzieć do rana?

– Przyjadą – oznajmił Władimir Anatoliewicz z przekonaniem. – Zobaczysz. Na pewno przyjadą. Dowiedzą się, ktoś do nich zadzwoni.

Nagle zaczął drzeć na całym ciele i dzwonić zębami. „Rozładowanie” postępowało. Pan Blinów zaczynał przychodzić do siebie.

Dalsze siedzenie w rozgromionej łazience było chowaniem głowy w piasek. Za jakieś pięć minut Placek zacznie normalnie kojarzyć i będzie go można przenieść do sali. Poza tym Siergiejew był przekonany, że ci, którzy do nich strzelali, dawno już opuścili budynek. Jeśli zdołali, oczywiście. Strzelanina na dole była poważna.

– Nie bój się, Wowa – powiedział i zaczął odciągać od drzwi zaimprovizowaną barykadę.

Wody na podłodze było po kostki.

W pokoju ciemno, tylko z korytarza przez otwarte na oścież drzwi lało się mętne światło żarówek. Cuchnęło prochem, w powietrzu wisiał niebieskawy dymek. Siergiejew ostrożnie wyszedł z łazienki, mokra wykładzina cmokała pod stopami.

W poprzek otworu drzwiowego, oparty o futrynę, póżleżał jakiś człowiek. Michaił nie mógł go dokładnie obejrzeć pod światło, ale to właśnie on jęczał. Wokół rannego rozlewała się kałuża, która w cieniu wydawała się czarna, a na korytarzu ciemnoczerwona. Mężczyzna cały czas próbował się podnieść, przyciągał nogę do brzucha, a potem znów ją prostował, niczym przydeptany konik polny.

Ciało leżące nieruchomo pod ścianą Michaił zauważył nie od razu. Nikogo więcej w pokoju nie było. Powoli, z obawą przemieszczając się do wyjścia, Siergiejew nastąpił na gilzę i zasyczał z bólu. Napastnicy nie żalowali amunicji.

Siergiejew pochylił się nad rannym, który miał na sobie kamuflaż z naszywką „Ochrona” nad lewą pierś. Kilka kul trafiło go w brzuch, jedna ugodziła w udo, roztrzaskując kość i rwąc tętnicę. Ochroniarz podniósł oczy na Michaiła, zajęczał głucho, nie otwierając ust, a potem umarł.

Siergiejew wiele razy widział śmierć. Różną: i bezsensowną, i bohaterką, i przypadkową. Przyzwyczylił się do myśli, że śmierć w każdej swojej postaci jest tak naturalna, jak i życie.

„To dwie strony tej samej monety” – mawiał Kędzierzawy. „Jak orzeł i reszka. Moneta leci do góry, potem pada i zawsze wypada albo jedno, albo drugie. Szanse są równe. Z całą pewnością wiadomo, że nie stanie na krawędzi. Więc po co się martwić?”

Mówił to przed wyruszeniem z Noworosyjska, cztery dni później spłonął żywcem. A miał zaledwie dwadzieścia dziewięć lat.

Odchodząc w stan spoczynku, Michaił miał nadzieję, że jego życie zmieni się raz na zawsze. Że nie będzie już w nim niczego takiego, co w mroźne zimowe noce budziłoby niezbyt przyjemne wspomnienia. Minie kilka lat, a z głębin pamięci przestaną wypływać twarze tych, którzy dawno już odeszli z tego świata. Z winy Siergiejewa albo ku jego żalowi, ale odeszli. Poważnie na to liczył. Ale...

Człowiek ma nadzieję... I oto, jak wiele może zmienić jedno przypadkowe spotkanie. Czy nieprzypadkowe? Z początku prawdopodobnie był to najzwyczajniejszy przypadek. Ale potem...

Placek był zbyt bystrym, przewidującym i twardym politykiem. I jakże artystycznie pod maską zwykłej przyjaźni skrywał interesowność. Gdyby nie te słowa, które padły z ust Raszyda! Jednak nie da się ich cofnąć. Zresztą wszystko, co wydarzyło się później, aż do chwili obecnej, układało się aż za dobrze w wybite słowami Rasza łożysko. Ostatecznie czy nie zdarzało się w życiu tak, że upuszczona w decydującym momencie moneta, pęknięte sznurowadło, dzwoniący telefon puszczały w ruch cały szereg powiązanych ze sobą wydarzeń, czepiających się siebie z niezwykłym uporem? Czy nie bywało tak, że mimowolne spojrzenie, jakiś gest, słowo wypowiedziane niechcący włączały tajemniczy mechanizm powołujący do życia mnóstwo całkowicie niewytłumaczalnych z punktu widzenia banalnej logiki wypadków, postępów najróżniejszych ludzi?

Wszystko to pachniało mistyką, ale Michaił wiedział, że mistyki w tym nie było za grosz. Światem rządził przypadek.

Można go nazywać wiarygodnością nastąpienia zdarzeń, losem, przeznaczeniem, prawem wielkich liczb – wszystko to było jednakowo prawidłowe, a nic nie było prawdą. Prawdy nie znał nikt.

Siergiejew nigdy nie wierzył w cuda i wiedział, że za maską jasnowidza zbyt często skrywa się czyjaś zimna kalkulacja. To bardzo wygodne miejsce do tego, by ukrywać złe zamiary. Jedna sprawa: zgiąć kark pod ciosem losu, a całkiem inna – podporządkować się woli człowieka. To, co działo się z nim po spotkaniu z Raszydem, nie wydawało się przypadkowe.

Przypadkiem było to, że w kołowrocie zdarzeń ostatnich dni Michaił nie tylko pozostał wśród żywych,

ale i wytaszczył Placka – osobistość ze wszech miar tajemniczą, ale jednak śmiertelną, jak każdy człowiek.

Przez ostatnie parę dni dokoła nich umarło tylu ludzi, że Michaiłowi wydawało się, iż uczestniczy w niewielkim konflikcie wojennym.

Ale wojny nie było. Za oknami drzemało spokojne miasto stołeczne. Nie jakiś Nowy Jork ze swoim Harlemem, nie Chicago i nie zadymione Detroit. Za oknami był Kijów, łagodny i nawet z lekka prowincjonalny, i wiosna Anno Domini 1999. Wiosna, której, z jakichś przyczyn ważnych dla Blinowa i całkowicie niezrozumiałych dla niego samego, Siergiejew mógł nie przeżyć.

Opowiesz mi wszystko, tajemniczy panie Blinów, pomyślał Michaił, czując, jak narasta w nim złość. Niezła opoka nowej państwowości, jeśli za samo znajdowanie się obok ciebie można udać się do krainy przodków. Dojdiesz do siebie, złociutki, i od razu mi opowiesz. Nie zechcesz, to pójdę sobie w cholere, niech cię dostrzelą – będziesz tego żałował do końca życia, ile ci tam go jeszcze zostało. A sądząc z tego, jak tamci cisną, żałować będziesz niedługo. Od biedy najwyżej dobę.

Przeszedł nad martwym ciałem, starając się nie wejść w gęstą czerwoną kałużę, wyjrzał na korytarz – jasno oświetlony i pusty. Długie przejście z czerwonym przekrzywionym chodnikiem było przesłonięte dymem prochowym jak woalem.

Kolejne nieruchome ciało.

I następne.

Łuski rozsypane po całym korytarzu. Na ścianie zamaszysty czerwony rozmaz, z bryzgami i dwoma niewyraźnymi odciskami dłoni, przypominającymi rozgniecione owady.

Dalej Siergiejew nie poszedł. Nie bał się. Rozumiał, że bać się już nie było kogo. Lada chwila pojawią się tu specnazowcy, a za nimi Wasiliewicz. A jeśli szef służby bezpieczeństwa u Titarienki był rozumny, to najpierw Wasiliewicz, a potem specnaz. Zacznie się zwyczajne w takich wypadkach diabli– wiedzą– co: pomiary, zamiary, fotografie, przesłuchania... Cała ta gliniarska kotłowanina, skrajnie obrzydliwa i tak naprawdę niezbędna.

Problem w tym, pomyślał Siergiejew, wracając do łazienki, że nikt szczególnie nie będzie się w to wszystko wgłębiał.

Podejrzewam, że dosłownie wszyscy, poza mną, znają mordercę. Albo przynajmniej przypuszczają, gdzie w tej historii jest pies pogrzebany. Tylko ja jeden, jak Rycerz Smętnego Oblicza, rozmyślam nad dziwną istotą wiatraków, plus usiłuję wzbogacić organizm o parę gramów ołowiu. Pytanie: po kie lichy to robię? Pytanie numer dwa: dlaczego nikt mi do tej pory niczego nie wyjaśnił?

Placek już pół leżał, pół siedział w wannie, kręcąc niecierpliwie głową. Mocny facet, histeria już mu minęła.

Ciekawe, jaką rolę odegrała w tym zimna woda? – zastanowił się Siergiejew złośliwie.

– No? – zapytał Władimir Anatoliewicz z ciekawością. – Co jest?

Michaił zapalił światło, wpierw w pokoju, potem w łazience. Nadzieja, że będzie mógł zadzwonić z komórki, wyparowała, jak tylko zobaczył, w co przekształcił się stoliczek, na którym leżały telefony. Ładowarki ocalały, ale to mała pociecha. Przy drzwiach do łazienki samotnie leżała bateria od jego nokii, ale reszty nie było nigdzie widać.

– No? – powtórzył Blinów niecierpliwie.

Siergiejew pomilczał chwilę i poszukał w zrujnowanej sali swoich ulubionych domowych kapci, przyniesionych przez troskliwą Płotnikową. Wytrzepał z nich wodę i jakieś nierozpoznawalne plastikowe okruchy, włożył na mokre stopy.

– Co tam, Misza? – zapytał Placek, któremu od milczenia Siergiejewa zrobiło się nieswojo. – Jest tam ktoś? Co tak milczysz? Nikogo?

– Ależ czemu nikogo...? – odezwał się Siergiejew spokojnie.

Gdzieś na dole, na schodach, zatupały ciężkie buty. Pomoc gnała co sił. Szczęknęła ruszająca winda. Siergiejewowi na pytania pozostało zaledwie kilka minut. I to tylko wtedy, jeśli komandosi nie runą korytarzem jak spłoszone pożarem stado bawołów, ale wykażą rozsądną ostrożność.

– Jest tam ktoś – powiedział, nie podnosząc głosu. – Tylko już martwy. Twoja ochrona. Chłopcy Sidorczuka, czyli Wasiliewicza, na którego tak czekasz. Wszyscy tam leżą. Szpitalnych załatwili. Widzisz,

Wowa, podejrzewam, że podjąłeś grę, z której wyjście jest tylko jedno: w dobrym garniturze i drogiej trumnie. To, że w nią grasz, to twoja sprawa. Jak mówił pewien mój przyjaciel, którego nie znałeś i na twoje oraz jego szczęście już nie poznasz: „Taki jesteś mądry, że z przyjemnością będzie nam ciebie brakowało”. Ale powiedz: co ja tu robię? Ratuje? Kogo? I przed czym? Widzisz, ile pytań? Blinów, ja jestem gotów zrobić bardzo wiele dla starej przyjaźni, ale jednakowoż umrzeć za ciebie to już przesada.

Nie jestem gotów paść bohaterską śmiercią tylko dlatego, że my obaj kiedyś, wiele lat temu, spaliliśmy na sąsiednich łózkach w internacie i razem chodziliśmy do kibla.

– Co chcesz wiedzieć, Misza?

– Od ciebie? Zupełnie nic. Mimo wszystko ryzykowałem dla starego przyjaciela. Po co stawiać go w nieprzyjemnym położeniu? Ale teraz chcę odejść. Po prostu odejść. Póki ten hałas na schodach nie zrobił się głośniejszy. I nie stało się ze mną coś jeszcze. Mam na myśli coś fatalnego.

Blinów zmienił się na twarzy. Światło z jedynej ocalałej w pomieszczeniu lampy padało na niego z góry, odbijało się od wody i rzucało bliki na kłębiącą się parę, dodając całej scenie nieco demonicznego charakteru, czemu zresztą Siergiejew nie miał nic przeciwko. Hałasu i tupotu Władimir Anatoliewicz nie mógł słyszeć poprzez szum wody bijącej z rur. Jednak sytuacja była taka, że w słowa Siergiejewa uwierzył od razu i bezwarunkowo. Zresztą Siergiejew nie miał zamiaru kłamać – z dołu rzeczywiście ktoś biegł. Pytanie tylko kto.

Placek pojął wszystko tak, jak tego chciał Siergiejew – może zadziało świeże przerażenie, a może umiejętność Siergiejewa „podawania” informacji, jednak twarz lidera nacjonal–demokratów świadczyła, że zmartwiało.

– A kiedy odejdę – Siergiejew starannie wymawiał słowa, jakby ciskał nimi w Blinowa – i zostaniesz sam na sam z tymi, którzy tu wpadną, pomyśl, proszę, o tym, że prosiłem cię o wyjaśnienia, a ty postanowiłeś rozegrać to ze mną w ciemno.

– Nie rozgrywałem cię w ciemno, Umka – powiedział szybko Blinów drżącym głosem. – Nie rozgrywałem cię, nawet mi to przez myśl nie przeszło!

– Tak? – rzekł Siergiejew, unosząc ironicznie brew. – Poważnie?

– Nie żartuję.

– Czym w rzeczywistości zajmuje się Rasz?

– Umka, a co ma z tym wspólnego Rasz? – zapytał Blinów z lękiem. – Co ty wrzucasz wszystko do jednego worka?

– Idę – powiedział Siergiejew. – Mam dość. Ja z tobą jak z człowiekiem, a ty... Dupa z ciebie, Blinów! Dupą byłeś i dupą umrzesz!

Widząc, że Siergiejew odwraca się plecami, żeby wyjść, Blinów szarpnął się w wannie jak wilk w potrzasku, woda chlusnęła na wszystkie strony, jakby tłustego posła upuszczono do niej z wysokości paru metrów.

– Umka! – wrzasnął. – Nie idź! Mnie przecież tu zastrzelą jak psa! Proszę cię!

– Rasz...? – rzucił Siergiejew przez ramię.

– Kurwa! – zaklął Blinów od serca. – Broń. Podstawowy biznes Rasza to broń. No i co, lżej ci?

– Aha. Dokąd?

– Co dokąd?

– Broń dokąd?

– Chuj go wie, Umka! Co ja mam z tym wspólnego?

– Mam iść?

– Nie. Nie wiem dokładnie, Misza.

– To powiedz niedokładnie.

– O ile wiem, do Azerbejdżanu.

– To każdy głupi wie. Co jeszcze?

Siergiejew nasłuchiwał. Kroki rozbrzmiewały piętro niżej. Windy już stały na poziomie westybulu, ale tych, którzy powinni z nich wyjść, nie było słyhać. Oznaczało to, że zobaczyli zwłoki i odczekują.

– Mówi się, że sprzedaje talibom. I Czeczeńcom. Libia. Palestyna. Ale to tylko słuchy. Ja nie wiem.

– Na kogo są wystawione dokumenty końcowego nabywcy?  
– Ja ich nie wystawiałem.  
– Przeciągasz czas.  
– Misza, ja rozwiązuję problemy, to prawda. Ale nie ja zajmuję się papierami.  
Najwyżej minuta, pomyślał Siergiejew. Może dwie. No dalej, pękaj, liderze partyjni, jak bolszewik w carskiej katowni!  
Czasu nie ma!  
– Na co jestem Raszowi potrzebny? Tylko nie pleć, że po prostu chciał mnie zobaczyć.  
– On rzeczywiście chciał cię zobaczyć, ale...  
– Szybciej – powiedział Siergiejew obojętnym tonem. – Słyszę kroki w holu.  
I pokazał Blinowowi podniesiony w korytarzu pistolet.  
Placek ze strachu stracił głowę. Jego oczy w szerokiej, pyzatej twarzy miały się jak przerażone karaluchy.  
– Ma dla ciebie propozycję biznesową – wyskamlął niewyraźnie. Podbródek mu drżał. – Umka, to przecież nasz stary kolega!  
– A Hasan?  
– Pośrednik na Bliski Wschód. Za każdym razem tutaj przylatuje. Rasz go nazywa Nuker. Bez jego rozkazu nie płacą.  
– Dobrze, potem pogadamy. Dlaczego na was polują?  
– To nieporozumienie! – wypalił Władimir Anatoliewicz. Najwyraźniej oczekiwał tego pytania, ale nie zdążył wymyślić, na jaką nutę łąć.  
– Idę – powiedział Siergiejew smutno i zniknął za drzwiami, jednocześnie usuwając się z pola widzenia Blinowa.  
– Siergiejew! – wrzasnął Blinów tak, że Michaił wyobraził sobie, jak specnazowcy w westybulu zamarli od tego ryku, niczym zaskoczone myszy w stodole. – Nie odchodź! Rasz dał więcej i zerwaliśmy umowę! To był duży biznes! On dał dwa razy więcej! To nie była moja decyzja, zrozum! A teraz ja jestem kozłem ofiarnym! Ja się dogadywałem. Po co ty w tym grzebiesz? Tobie tylko z powodu tej informacji łeb urwą w cholere! Jestem między młotem a kowadłem, a tu jeszcze ty, wścibski baranie!  
– Kto był pośrednikiem przy tej zerwanej transakcji?  
– Umka!  
– Kto?  
– Nasi – powiedział Blinów słabym głosem. – Bazylewicz. Kuźmienko. Byli nasi. Zadowolony? Głupiś, Umka! Słowo daję, głupi.  
– Podnieś ręce – rzekł Siergiejew, odrzucając pistolet w drugi koniec sali, i sam podniósł ręce do góry.  
– Co ty robisz? – zdążył się zdziwić Placek, ale do pokoju już wchodzili specnazowcy, a pomiędzy nimi Wasiliewicz, tym razem z miną śmiertelnie przerażonego Kaczora Donalda, w krzywo zapiętej marynarce i absolutnie nieimponujący.  
W oczach Blinowa, którego odważni chłopcy w kilku taszczyli z wanny, mignęło zrozumienie i, Siergiejew mógł się oczywiście mylić, nawet uznanie. Michaił był gotów przysiąc, że Władimir Anatoliewicz zrozumiał ten trik i go docenił.  
Placek patrzył na Siergiejewa, kiedy mokrego i rozczochranego kładli go na noszach nie wiadomo skąd zmaterializowani sanitariusze, i nawet pomachał zdrową ręką na pożegnanie.  
– Odbył się wyniesienie ciała – powiedział półgłosem Wasiliewicz. – Po krótkiej cywilnej mszy żałobnej...  
– Masz ponure poczucie humoru – zauważył Michaił, odprowadzając wzrokiem nosze. – Czyżbyś nie kochał naszego Blinowa?  
– A dlaczego miałbym? Co on, dziewczyna? – Wasiliewicz wzruszył ramionami. – Zapalisz? Michaił skinął głową.  
– Jak rozumiem – szef służby bezpieczeństwa szczęknął zapalniczką – znów go uratowałeś?  
Siergiejew nie odpowiedział. Wypuścił smugę niebieskawego, gęstego dymu. Papieros był mocny.

– Drugi raz w ciągu pięciu dni – skonstatował Wasiliewicz, również zapalając. – Powinni mnie zwolnić, a przyjąć ciebie.

– Dlaczego?

– Ty rozumiesz. Oni nie. Dostałem polecenie. Spieprzyłem.

– No, powiedzmy, że tu by każdy spieprzył – zaproponował Siergiejew. – Wielu załatwili po drodze?

– Od zajebania. Moich wszystkich. Jeden jeszcze żyje, ale jeden Bóg wie jak długo. Ilu ich było?

– Nie widziałem. Ale myślę, że dwóch.

– Czyli tylko jednego przegapili. *Sehr gut*. Widziałem trupa na dole. Taki tykowaty, w balaklawie.

– A drugi? – zapytał Siergiejew.

– Zwiął. A tak sprytnie, sukinsyn, że ani mrugnęli. Normalnie ninja!

Obrzucił wzrokiem pomieszczenie i zmarszczył swój kaczkowaty nos.

– Ty też jesteś bystry. W wannie przeczekaliście?

Michaił potwierdził.

– Ale gdyby nie twoi chłopcy, którzy przylecieli na hałas, moglibyśmy was nie doczekać.

– Nie obwiniaj się za bardzo – powiedział Wasiliewicz sucho. – Taką mają robotę: umierać za innych. Ale dziękuję za współczucie.

Do Siergiejewa przyskoczyli lekarz i sanitariusze z noszami.

– Proszę tu nie palić! – Młody doktorek w śnieżnobiałym fartuchu i przemoczonych pantoflach był szczerze oburzony. – Tu jest przecież szpital!

– Trzeba będzie rzucić – rzekł Siergiejew i upuścił niedopałek w pluskającą pod nogami wodę. Papieros zasyczał i zgasł.

– Proszę się położyć! – rozkazał lekarz nieprzyjaznym tonem.

Siergiejew usłuchał.

– Jak się nazywasz? – zapytał już od drzwi. – Bo cały czas tylko Wasiliewicz i Wasiliewicz, jak do stróża na budowie.

Masz chyba jakieś imię?

– Walera – odrzekł Kaczor Donald, również rzucając niedopałek pod nogi. – Walery Wasiliewicz, jeśli oficjalnie. Ale ty możesz bez ceremoniałów. Jakoś to zniosę.

– *Sehr gut* - powiedział Siergiejew, uśmiechając się, i Wasiliewicz mimowolnie uśmiechnął się w odpowiedzi. – Ja też nie lubię ceremoniałów.

---

1 Bratello – kompan, kamrat, członek grupy kryminalnej (ros. slang więzienny).



**S**trażnicę po prostu obeszli. Jaskrawo płonące ogniska były widoczne już z odległości pięciuset metrów – ciemno, zimno i strasznie, więc ludzie się grzali. Wpaść na czujki przy takiej organizacji patrolowania mógł tylko ślepy i głuchy dywersant. Siergiejew pomyślał, że z przyjemnością wyszedłby naprzeciw wartownikom, pogadał i zanocował w jednym z zamieszkałych (co prawda umownie) domów w górnej części miasta. I zajrzyłby do Krasawickiego. Trzeba było pomyśleć i obliczyć, czy zdążą na spotkanie z Ali Babą.

Tutaj, w byłym Dniepropietrowsku, kolonia była niewielka. Ostatnim razem, kiedy Siergiejew tu zaglądał, stanowiło ją zaledwie trzysta osób. Liczba ludności nie była stała. Siergiejew pamiętał przypadki, kiedy w ciągu jednej zimy lub po jednym napadzie jakiejś bandy takie osady po prostu zniknęły z powierzchni ziemi.

Tutejszą kolonię znano w całej Strefie Wspólnych Wpływów pod nazwą „Szpital”.

Tak właściwie utworzyła się właśnie dokoła szpitala – jedyne miejsca w promieniu trzystu kilometrów, gdzie można było otrzymać pomoc medyczną. Został zorganizowany w czasie Potopu przez ocalałych trzech lekarzy i jedną profesjonalną pielęgniarkę, którzy wyciągnęli z rozbitego samolotu ratunkowego przenośne stanowisko operacyjne, lekarstwa i wiele innych rzeczy, bez których niemożliwe było ratowanie ludzi w warunkach katastrofy.

Siergiejew i ci, którzy starali się jakkolwiek pomóc ludziom na Ziemi Niczyjej, zwozili tu lekarstwa. Czasem nowe, z przemytu, kiedy indziej znalezione w opuszczonych magazynach, przeterminowane, ale nadal w miarę efektywne.

Zwłaszcza kiedy nie było z czego wybierać.

Dwa lata temu, po wybuchu infekcji żołądkowych, liczebność kolonii wzrosła prawie dwukrotnie. Krasawicki miał potrzebne lekarstwa i ci, co nie zmarli po drodze do Szpitala od krwawej biegunki, przezimowali tu, a potem już zostali na stałe.

W mieście, kiedyś jednym z większych na Ukrainie, nie było problemów z jedzeniem – supermarkety, składy wojskowe i bazy mogły wyżywić wielu ludzi przez piętnaście, dwadzieścia lat. Co odważniejsi prócz grzebania w ruinach chodzili jeszcze na polowania. Jednak w tym wypadku poza ryzykiem, że się nie wróci z lasu, istniało też niebezpieczeństwo zabłądzenia na zakażone terytoria albo zastrzelenie zwierzęcia, które stamtąd przyszło. Takiej zwierzyny było mnóstwo w okolicach Dniepru, tam, gdzie zatrucie chemikaliami i materiałami radioaktywnymi pozostawało największe.

A po roku od „eksplozji demograficznej”, czyli zeszłej jesieni, kolonia znów w połowie opustoszała – tym razem z winy wody studziennej, do której dostały się trucizny z gleby. Skąd się wzięły w głębokiej warstwie artezyjskiej, nikt nie wiedział, ale umarło wtedy w ciągu jednej nocy półtorej setki ludzi – wszyscy, którzy nabrali wieczorem wody z szybu.

Siergiejew przyszedł wtedy do Szpitala z ładunkiem antybiotyków, antyseptyków i materiałów opatrunkowych i trafił akurat na pogrzeb.

Krasawicki płakał jak dziecko, ale osobiście organizował prace przy grzebaniu zmarłych – jesień była ciepła i nie wolno było zwlekać.

Timur Krasawicki – patronimik miał tatarski, zupełnie niewymawialny – przed Potopem skończył ledwo czterdziestkę.

Był człowiekiem zamożnym, prywatna klinika w półtoramilionowym mieście to nie w kij dmuchał. Żona, troje dzieci, stabilny biznes, wyjazdy na operacje w całym kraju, konsultacje, uczestnictwo w międzynarodowych sympozjach...

Wszystko to runęło w jeden dzień. Historia Timura była w czymś podobna do historii Michaiła. Wyjazd na krótko, który okazał się wyjazdem na zawsze. Zburzony potwornym uderzeniem wody dom na przedmieściach. Zwłoki żony i dzieci, zakonserwowane w warstwie radioaktywnego łu – zielone, rozdęte kukły, wrosnięte w wyschniętą od upału, obrzydliwie śmierdzącą, podobną do zepsutego twarogu skorupę.

Pospieszne pożegnanie, cmokająca pod łopatą ziemia, pokryta cienką błoną śluzu, który wysychając na słońcu, pękał i pokrywał się szczelinami, przypominając z kolei pokruszoną bezę.

I ten zapach...

Jak dobrze Siergiejew pamiętał zapach tamtych dni! Na samą myśl odór wypełniał nozdrza i kładł się ciężkim, słodkawym nalotem na języku.

Michaił wiedział, że Timur Krasawicki również nigdy tego nie zapomni. Korpulentny, posiwiwały doktor niczego nie chciał zapominać. Właśnie dlatego w Strefie Wspólnych Wpływów pojawił się Szpital – kolonia i szpital jednocześnie, miejsce, gdzie się nie strzelało. Miejsce, gdzie każdy – bandyta, maruder, żołnierz albo po prostu mieszkaniec Ziemi Niczyjej – mógł zwrócić się po pomoc. Taka była zasada i jak się okazało, za naruszenie prawa neutralności Timur karał bez mrugnienia okiem, tak surowo rozprawiając się z winowajcami, że same opowieści o tym wzbudzały drżenie w obywatelach Zony, którzy wiele już widzieli.

Pokój na terytorium Szpitala musiał być zachowany za każdą cenę. Każdą. A to wiele mówiło o organizatorze i gospodarzu Szpitala.

Od samego początku u boku Krasawickiego trwał jego uczeń, cudem ocalały, sławny w całej Ziemi Niczyjej, klnący jak szewc ortopeda Edik Grinberg, oraz terapeuta z Krasnodaru, flegmatyczny i dobroduszny Borys Gołowko, który przyjechał swego czasu na kilka dni do krewnych, a został na zawsze. Dotrzymywała im kroku potężna jak wieża oblężnicza Ira Goworowa, była pielęgniarka pogotowia ratunkowego. W normalnych warunkach Irina bardziej przypominała manierami wytworną (tylko dużo palącą) damę. Za to w gniewie przemieniała się w nieprzebierającą w słowach portową dziwkę, noszącą we włosach sztylet zamiast spinki.

W takim stanie obawiali się jej nie tylko pracownicy i mieszkańcy Szpitala, ale nawet zakochany w niej od wielu lat Grinberg. Miała teraz około czterdziestki, lecz duże, wyraziste rysy twarzy w zależności od oświetlenia to ją odmładzały, to czyniły starszą. O zmroku jej powierzchowność stawała się na tyle zmienna, że nawet spostrzegawczy człowiek miałby trudności z określeniem jej wieku. Sama Irina w rozmowach starannie omijała ten temat.

Możliwość wizyty kusiła. Od posterunków powiało zapachem pieczystego. W świetle ognisk migwały cienie, a do przyjaznego ciepła było pięć minut marszu.

Michaił był w Szpitalu znany i lubiany, zawsze przyjmowano go z otwartymi ramionami. Rzecz nie tylko w tym, że w pewnym stopniu mógł się uważać za współpracownika szpitala, a szmuglowane przez niego z Rosji i Konfederacji lekarstwa uratowały niemało żywotów. Z lekarzami wiązała go mocna, długoletnia przyjaźń. Nie zmęczył się na tyle, by przerwać podróż, ale dostatecznie, by zrobić niezaplanowany postój. Pokusa, by stracić parę godzin, za to pospać jak człowiek, w ciepłym pomieszczeniu, na normalnym łóżku, pod kołdrą, była wielka. Dlatego prześlizgnąwszy się obok kolejnej warty, skręcili w krótki, zasypany gruzem zaułek i przysiedli pod ścianą, by się narodzić. Siergiejew zapalił, na wszelki wypadek osłaniając ognik papierosa dłonią.

– Jak tam u ciebie? – zapytał Milczka cichutko, lecz głos, odbity echem od resztek betonowych ścian, zabrzmiał nieoczekiwanie głośno, jak dziecięca piłka wrzucona do pustego, ciemnego pokoju.

– Jak... ak... ak... – powtórzyło echo i umilkło, jakby ciemność zakryła mu usta poduszką.



Milczek również wyjął papierosa, ale nie zapalił, tylko zaczął wachać, przesuując go pod nosem.

– Zmęczony?

Milczek kiwnął głową. Potem spojrzął na Siergiejewa i wzruszył ramionami, robiąc nieokreślony gest prawą ręką. To oznaczało: „Tak, zmęczony. Ale jeśli trzeba, to chodźmy, jestem gotowy”.

– Niekoniecznie trzeba – powiedział Michał, zaciągając się. – Na rendez– vous zdążymy. Tylko musimy wyjść wcześniej rano, o świcie. Jeszcze przez miasto drałować. Pamiętasz fabrykę?

Milczek dał znak, że pamięta. Wczesną jesienią spędzili prawie dwie doby w ogromnej hali, z częściowo zachowanym dachem. Milczek lekko skręcił nogę, kiedy wydobywali sejf z zatopionego skarbcza, a Siergiejew podarł skafander nurkowy o sterzące pręty zbrojenia i zadrapał ramię. A w sejfie, jak na złość, nie było niczego cennego – sama drobnica.

I skafandra szkoda...

Nierozsądnie było iść dalej z taką nogą, tym bardziej że kierowali się wtedy na północ, do Wampirów, do przepawy– niespokojne miejsca i sąsiedztwo Kapiszcza zwiastowały spore problemy, szczególnie jeśli wędrować z kulawym partnerem. Tak więc przyszło siedzieć pomiędzy pogiętym oprzyrządowaniem, niegdyś cennym, które obecnie było po prostu kupą złomu, zmiecioną w kąt gigantyczną miotłą powodzi.

– Możemy zająć do Timura. Posiedzimy parę godzin, ogrzejemy się, a jutro ruszymy dalej.

Milczek do Krasawickiego odnosił się bez wrogości, ale też bez szczególnej sympatii. Ogólnie sympatię czuł tylko dla jednego człowieka – Siergiejewa. Innych zwyczajnie tolerował, nie okazując ani pozytywnych, ani negatywnych emocji.

– No to dokąd? Wybieraj.

Milczek wskazał palcem w stronę Szpitala.

– Czyli postanowione – rzekł Michał. – Tylko dopalę, skoro już siedzimy.

Po dziesięciu minutach prowadzili ich do Timura.

Ten jeszcze nie spał, w przeciwieństwie do Gołowki. Siergiejew poprosił, by go nie budzić. Kierownictwo Szpitala mieściło się tam, gdzie sale operacyjne i pokoje dla chorych – w odremontowanym budynku dawnej lecznicy. Za każdym razem, kiedy tu przychodził, Siergiejew nie wierzył własnym oczom, jak Timurowi i jego współpracownikom udało się stworzyć w tym chaosie w pełni działający system. Trud i talent włożone w te ruiny przeistoczyły je w wysepkę cywilizacji.

Nawet jeśli nie działał wodociąg, a generatory prądu włączano tylko w razie najwyższej potrzeby, w czasie pilnych nocnych operacji, kiedy nie można było poradzić sobie z lampami naftowymi i pochodniami. Nie szkodzi, że pomieszczenia ogrzewano piecami, a toalety były zwykłymi szaletami koszarowego typu. To wszystko na tyle przypominało dawne życie, że Siergiejew miał ochotę się uszczypnąć – i nie przebudzić.

Timur przywitał ich w drzwiach, w puchówce z kapturem narzuconej na flanelową koszulę, w dzinsach i kapciach.

Pachnący antyseptykami i jakby nieco postarzały od czasu ostatniego spotkania.

Siergiejew widział, że Krasawicki powoli się poddaje – dawały się we znaki męcząca praca, wiek i stres, w którym Timur żył nieustannie, bez weekendów i urlopów.

– Mogę zaproponować tobie i twojemu Sancho Pansie kąpiel – mówił przez ramię, prowadząc gości długim szpitalnym korytarzem, oświetlonym pochodniami zatkniętymi w chałupniczych uchwytach. – Gorąca woda, wyobraź sobie, Siergiejew! Tym bardziej, mili panowie, że choć jeszcze nie cuchniecie, to jednak wyglądacie mało sterylnie.

Madame Goworowa, nie bacząc na niesterylność Siergiejewa i Milczka, objęła ich obu, przytulając do potężnego biustu, obleczonego w szlafrok frotte.

W korytarzu było wystarczająco ciepło – na jego końcach stały piecyki rozgrzane do czerwoności. Pilnował tego dyżurny, rosłe chłopisko z krótkim karabinem, w lekkiej koszuli. Na ramieniu miał białą opaskę z czerwonym krzyżem.

Mężczyzna wyraźnie się zmieszał, widząc taką watahę ludzi. Dyżurna pielęgniarka – delikatne stworzonko w spranym, ale czyściutkim białym fartuszkach i tak samo białym czepeczku – usadowiła się przy stole i czytała książkę przy świetle grubej świecy, a chłopak kręcił się w pobliżu.

– Kąpieli nie odmówimy – powiedział Siergiejew, czując się trochę nie na miejscu w swojej „uprzęży”, z plecakiem i przytroczoną do niego kaburą, w takim spokojnym otoczeniu. – Uświniliśmy się... Słuchajcie, Timur, Irina, nie słyszeliście, kto tutaj w okolicy buszuje? Było coś takiego?

Zauważył, że Goworowa i Krasawicki ukradkiem wymienili spojrzenia.

– Znaczący spotkaliście się? – raczej stwierdził, niż zapytał Timur, otwierając drzwi do tak zwanego pokoju gościnnego. – Niech im ziemia lekką będzie. Wchodźcie, wchodźcie, potem opowiem!

Woda już się nagrzała. Widać Krasawicki wydał polecenie, kiedy szedł im na spotkanie, nie czekając na zgodę. Co może być lepszego dla podróżnika po wędrowce na zimnie jak gorąca kąpiel, gorąca herbata i gorące jedzenie? Niczym prawdziwy chirurg, Timur uznał, że goście powinni zacząć od gorącej wody. Siergiejew, który wciąż jeszcze niósł na sobie wilgotny chłód ruin, wolałby zacząć od drugiego lub trzeciego punktu programu.

Pod wielkim, zespawanym z blachy nierdzewnej bakiem, stojącym na specjalnym postumencie, w grubym metalowym palenisku na nóżkach płonęły drwa. Z baku do dwóch szerokich drewnianych beczek ciągnęły się rury. Takie same rury szły do beczek od baku, pod którym się nie paliło.

– Rozbierajcie się – powiedział Timur, siadając na parapecie. – Woda ciepła jeszcze od dziewiątej wieczorem. Chcieliśmy umyć kilku chorych, ale potem postanowiliśmy poczekać.

Podrapał się po nieogolonym policzku, po masywnym, pokrytym siwą szczecinią podbródka i podniósł oczy ku zakopconemu sufitowi, w którym zniknęła rura wentylacyjna, zwisająca nad bakiem jak wielka blaszana piramida.

– Miałem wątpliwości. Rany nieładne i gojenie...

– Hm, hm... – chrząknęła Irina Konstantinowna, wydostając z kieszeni szlafroka paczkę papierosów.

– A tak – zorientował się Krasawicki. – Rzeczywiście... Dalej, chłopcy. Rano przecież musicie ruszać. A należałoby jeszcze co zjeść i się zdrzemnąć. I pogadać... Wskakujcie, póki woda ciepła.

Milczek niepewnie popatrzył na Goworową, a potem na Siergiejewa. Irina, która w życiu widziała już tylu nagich mężczyzn, że gdyby wzięli się za ręce, utworzyliby łańcuch stąd do Moskwy, uśmiechnęła się.

– Pостоję sobie przy oknie – odezwała się zdumiewająco głębokim kontraltem, który zawsze zachwycał tych, którzy słyszeli go po raz pierwszy, i nie przestawał zadziwiać przy kolejnych spotkaniach. – Zapalę. Odwróć się, naturalnie – wymruczała. – Tak więc, mój drogi, możesz się nie krępować.

Przeciągłe „rrrr” oznaczało, że obecnie Goworowa znajduje się w fazie damy.

Siergiejew podszedł do długiej ławki stojącej wzdłuż ściany i dając przykład, zaczął się rozbierać. Milczek dołączył do mego.

– Kogo niby spotkaliśmy, Timur? – zapytał Michaił, ściągając sweter przez głowę. – Co to byli za „nieuchwytni mściciele”?

Krasawicki odrobinę się zmieszał, zastanowił chwilę: mówić czy nie mówić? To wahanie na tyle wyraźnie odmalowało się na jego krągłej twarzy z głębokimi bruzdami koło ust, że Michaił zrozumiał, iż kłamstwo nigdy nie było mocną stroną gospodarza Szpitala. Kroić i szyć ludzkie ciało Timur potrafił. Jako organizator i przywódca był doskonały, ale do polityki, służb dyplomatycznych ani wywiadu by go nie wzięli.

– Widzisz, Misza... – zaczął niezdecydowanie, z troską i nadzieją popatrując na Irinę, która zastygła przy oknie zaklejonym przyciemniającą folią. – Jest taka sprawa...

Westchnął. Znów spojrzął na nieruchomą Goworową i ponownie westchnął.

– Tak, to byli nasi – powiedziała Irina, nie odwracając głowy. – A dokładniej, kiedyś nasi. Projekt Borysa, nazwał go „Spojrzenie w przyszłość”.

Zrobiła pauzę, zaciągając się mocnym dymem, po czym kontynuowała: – Długo tam jeszcze? Właźcie do beczek! Ileż mam się gapić w okno? Lata lecą, a tam się i tak nic nie zmienia!

Milczek, plaskając bosymi stopami po wytartym linoleum, podszedł do beczki, spróbował wodę nogą, a potem zgrabnie wskoczył do środka, błyskając przy tym gołymi, muskularnymi pośladkami.

– Jak zacznie stygnąć, to machnij ręką, dodamy gorącej – powiedział Krasawicki.

Milczek kiwnął głową, pogrążając się w ciepłej wodzie po brodę, i mimowolnie rozpląnął w uśmiechu, a Siergiejew odgadł, że to pewnie była pierwsza gorąca kąpiel w jego życiu. Na tę myśl ogarnęła go taka

fala czułości dla tego chudego, smagłego chłopaczka, pokrytego bliznami pasującymi bardziej do doświadczonego gladiatora, że Michaiłowi aż dech zaparło.

– Gołowko już parę lat próbował bawić się w Makarenkę[2] – rzekł Krasawicki przeprasającym tonem. – Chciał otworzyć drogę w jasną przyszłość młodszemu pokoleniom.

– Prawdę mówiąc, Timur to popierał – dodała Goworowa, strzając popiół do puszki po konserwach. – W każdym razie na początku.

– Nie wypieram się – przyznał Timur i znów potarł podbródek.

Michaił podszedł do swojej beczki. Woda była gorąca, odrobinę woniejąca chemią, ale i tak wspaniała.

Zanurzywszy się, po sekundzie poczuł, że zasypia. Odchylił głowę, dotykając potylicą wody, i ostrożnie poruszył palcami u nóg. Senność atakowała z uporem boa dusiciela okręcającego się dokoła swej ofiary. Pod powiekami piekło, jakby ktoś sypnął w oczy piachem. Michaił zanurzył się z głową i wypłynął, parszcząc. Trochę pomogło.

– Ogólnie – ciągnął Krasawicki – wiesz przecież, że przyjmujemy wszystkich, kto tylko przychodzi. Roboty dla każdego starczy, liczy się każdy człowiek. Dlaczego miałbym protestować? Tym bardziej że znasz Borke, on łysy na grzebień namówi.

– Krótko mówiąc, zebrał dzieci z całego okręgu. – Goworowa rozduśliła niedopałek o krawędź puszki. – Dzieci jak dzieci.

Grinberg leczył je z grzybicy i wrzodów. Odwzawiał. Dwie były nauczycielki zaczęły z nimi prowadzić lekcje. Na dziesięcioro tylko dwoje umiało czytać. Co prawda sylabizowało, ale zawsze coś. I wtedy, żeby ją cholera wzięła, diabli przynieśli tę dziewczuchę. Mnie się ona od początku nie podobała, kojarzyła mi się z łysym kotem. Moja sąsiadka przed Potopem takiego miała, zdaje się, że ta rasa nazywa się sfinks...

– Nie przesadzaj – odezwał się Krasawicki. – Włosy miała.

– Nie powiedziałam, że nie miała włosów. Wiesz, Siergiejew, to było w jej ruchach, w postawie. Ot, taka dystroficzna łysa kocica z ogonem jak u szczura. Poglaskać się brzydzisz i ciągle sobie myślisz: kto cię tak ogolił, słoneczko? Powinna spojrzeć na jej tatuaże, faceci się krępują, wiadomo. Niby miała czternaście czy piętnaście lat, tak mówiła, a figura jak u dwudziestopięciolatki. Więc jakie to mogły być oględziny medyczne... Chłopy nie wiedziały, gdzie oczy podziać.

Pokręciła głową, wyciągnęła kolejnego papierosa i przypaliła zapalniczką zrobioną z mosiężnej gilzy.

– Dziecko Kapiszcza? – zapytał Siergiejew, patrząc kątem oka na przysłuchującego się rozmowie Milczka.

Krasawicki westchnął głęboko i rozłożył ręce.

– Bingo, Siergiejew! – odparła Goworowa.

– Za dużo palisz, Ira – odezwał się nagle Timur surowo.

Irina Konstantinowna roześmiała się ochryple i rzuciła Krasawickiemu ironiczne spojrzenie poprzez woal dymu.

– Mam się obawiać raka? Czy rozedmy płuc? Wybierz mi śmierć, Timurku, a ja będę wiedzieć, czego się bać. A tak to po cholere? Tego się bój, tamtego... Pochowaliśmy trójkę w tym tygodniu i jeszcze paru jest w kolejce. Jutro złapię gorączkę i na tamten świat! A tam nie palą. Potrzebne nam antybiotyki, Misza. – Odwróciła się do Siergiejewa. – Nowe, świeże.

Stare już się do niczego nie nadają, żadne cholerstwo już na nie nie reaguje.

– Straszna mutagenność – potwierdził Krasawicki. – Ale czego byś chciał przy takim poziomie radiacji?

Siergiejew od mikrobów nie chciał niczego, tylko żeby nie ruszały jego z Milczkiem. Jednak rozumiał, że dla czwórki tutejszych lekarzy nie ma nic ważniejszego od pracy i myślą o problemach Szpitala dniem i nocą. Kiedy skończą się materiały opatrunkowe? Co z niemi chirurgicznymi? Ile zostało jodyny? A antybiotyków? Mogli o tym rozmawiać w nieskończoność. Siergiejew nie raz i nie dwa słuchał takich żywiołowo rodzących się operatywek. Na jakikolwiek temat toczyłaby się rozmowa, zawsze zbaczała w sfery zawodowe.

Goworowa odetchnęła głęboko, jakby przewietrzała płuca przed nurkowaniem.

– Generalnie, kim są dzieci Kapiszcza, sam wiesz bez mojego tłumaczenia. I po co ich wysyłają

w świat, też wiesz.

Nieprzyjemności zaczęły się po paru tygodniach, tylko niestety nie od razu zauważyliśmy. I nie mieliśmy do tego głowy, szczerze mówiąc. Pewnie straciliśmy czujność, Misza.

Kim były dzieci Kapiszcza i dlaczego kapłani rozsyłali je na różne strony, Siergiejew wiedział nie tylko ze słyszenia. Kiedy na północy zaczęły krążyć pogłoski o bałwochwalcach – mętne plotki, nic konkretnego, po prostu ktoś coś widział, coś słyszał albo rozmawiał z tym, kto widział i słyszał – Michaił zaznaczył to sobie w pamięci. Nie żeby od razu uwierzył w składanie ludzkich ofiar, w prymitywnie wyciosanych drewnianych lub kamiennych bożków z ustami wymazanymi krwią i naszyjnikami z wyrwanych zębów lub wnętrzości – miało to smrodek bulwarowych zabobonów, nawet jeśli brać pod uwagę te okropności, jakie działy się na Ziemi Niczyjej od czasu Potopu.

Michaił był dostatecznie sceptyczny, by przyjmować jako szczerą prawdę to wszystko, o czym mówiono w osadach.

Strefa nie należała do zjawisk nadnaturalnych, a wszystko, co brano za choć trochę fantastyczne, w rzeczywistości okazywało się w pełni objaśnialne z punktu widzenia banalnego materializmu.

Michaił zawsze był twardo przekonany, że za każdym draństwem, jakie może się zdarzyć albo już zdarzyło na świecie, stoją ludzie lub skutki ludzkiej działalności, a nie ciemne siły, i jak dotąd jeszcze ani razu się nie pomylił.

W niespokojnych czasach zawsze pojawia się mnóstwo nawiedziców, cudotwórców– oszustów, rozmaitych paranormali i założycieli nowych Kościołów. W zasadzie jego stary znajomy Rabbi–Bondarijew wykorzystał tenże trik: zaproponował potrzebującym dach nad głową, ochronę wspólnoty, zjednoczył pod znakiem starej jak świat, lecz mało popularnej na tych terenach religii.

Przy czym przerobił jej postulaty dla swoich potrzeb tak, że każdy prawowierny żyd dostałby zawału od teź i sentencji pułkownika. Jednak działania Bondarijewa dla jego ludzi i ogólnie dla SWW niewątpliwie wychodziły na plus. A to, co robili kapłani Kapiszcza... To była bardziej skomplikowana kwestia.

Siergiejew znał się na pogaństwie jak kura na pieprzu. Nie interesował się tym, ale nie był też kompletnym laikiem – nie pozwalały mu na to specyfika pracy i osobista ambicja. Słyszając o tajemniczych sprawach na północy, z przyzwyczajenia spróbował zgromadzić choćby trochę informacji o winowajcach. I tu natrafił na problem. O ile w judaizmie, który wybrał w celu organizacji wspólnoty Bondarijewa, orientowało się przynajmniej w ogólnych zarysach sporo ludzi, to w pogaństwie głoszone przez Kapiszcze prawie nikt.

Wielobóstwo, nieobecność dogmatu i świętych tekstów, wszechwładni wołchwowie[3] i kapłani. Ogólne frazesy o wielkim słowiańskim odkupieniu, o ofiarności, o poczuciu winy za wieloletnie oddawanie czci obcym bogom. I ofiary, zgodnie z pseudoprastarymi rytuałami. Według opowieści – ofiary z ludzi.

Nie chciało się w to wierzyć i Siergiejew z początku nie uwierzył. Problem w tym, że znaleźć informacje mógł tylko w Internecie – nośniki papierowe na terytorium Strefy albo zostały zniszczone, albo znajdowały się w stanie chaosu.

A żeby wejść do Internetu, należało opuścić SWW – nie można było przecież używać do surfowania w sieci drogocennego telefonu satelitarne go na kartę. Tym bardziej że każde połączenie z takich urządzeń na terytorium Ziemi Niczyjej było bardzo zauważalne – komputery satelity mogły określić położenie abonenta z dokładnością do jednego metra, a to już proszenie się o nieszczęście.

Siergiejew, jak każdy aktywny człowiek, nie lubił czekać. Nie, kiedy było trzeba wykazać się cierpliwością, był stuprocentowo cierpliwy, ale jeśli tylko pojawiała się najmniejsza szansa przyspieszenia rozwiązania problemu, wykorzystywał ją bez wahania.

Już podążając ku granicy, wtedy jeszcze w pojedynkę, natknął się na Łebskiego. Co więcej, na Łebskiego trzeźwego, niemalże abstynenta! To oznaczało, że byłemu uczonemu skończyła się trucizna, przy czym nie wczoraj, ale minimum przed trzema tygodniami. W takim stanie był bardzo niebezpieczny, zupełnie nieprzewidywalny, ale Siergiejew się go nie bał, chociaż wiedział o szczególnych cechach niegdyś krzepkiego profesorskiego organizmu.

Łebski pomimo straszliwego uzależnienia i poważnych problemów z psychiką był istną skarbnicą informacji.

Jeśli czegoś nie wiedział, to przynajmniej o tym słyszał przelotnie. Jeśli nie słyszał, to widział kątem oka. Jednak z Kapiszczem i ciemnymi jego sprawami Michaiłowi się nie powiodło, chociaż pytał prawidłowo, czepiając się najmniejszych zadziórów pozostałych w pamięci Łebskiego.

Łebski, będący w przeszłości człowiekiem szeroko wykształconym, opowiedział, że kiedyś pod Dniepropietrowskiem, około czterdziestu kilometrów na południe od miasta, na brzegu rzeki prowadzono wykopaliska starożytnej budowli – kapiszcza<sup>[4]</sup> Peruna. Ale co tam wykopali i czym się to skończyło, nie wiedział. Pamięć Łebskiego, pogryziona przez narkotyki, radiację i czas niczym drewno przez termyty, pracowała wybiórczo. Pamiętał o tym, że znaleźskiem interesowały się pewne określone kręgi. Na przykład ci, którzy całkiem poważnie uważali się za spadkobierców Aryjczyków. Pojawiły się artykuły w gazetach – dyskusje o tym, czy można wykorzystać w charakterze oficjalnego symbolu swastykę; kto należał, a kto nie należał do panteonu pogańskich bogów i inne zagadkowe, zupełnie niezrozumiałe dla niewtajemniczonych, a więc nieciekawe dla szerszej publiczności spory.

Łebski w ogólnych zarysach pamiętał o tym, co mówiono w tym czasie o bałwochwalcach, ale pożytku z tego nie było.

I wcale nie dlatego, że informacje się zestarzały – nie!

Kapiszcze było wytworem Ziemi Niczyjej i nie miało żadnych odnośników do miejsc, gdzie przodkowie odprawiali swoje obrzędy. Wspólne były tylko nazwa, symbole i idole z poplamionymi czymś czerwonym ustami, stojący na ukrytych poręczach lub zarośniętych dzikim kwieciami polanach. Kapiszcze wyrastało z legendy, z niczego, z jakichś mętnych wspomnień, jednak z całkiem konkretnymi celami. I tworzyli je ludzie niegłupi, prawdopodobnie mający doświadczenie z pracy w określonych strukturach – zbyt dobrze to wszystko było zorganizowane, łącznie z działaniami agenturalnymi i nawet kontrwywiadem.

Na tę szaloną, trącającą paranoją myśl naprowadziły Siergiejewą właśnie dzieci Kapiszcza, z którymi po raz pierwszy zetknął się około pięciu lat temu. Wówczas nie można było przedostać się na północ, najwyżej na prawy brzeg – i to jeśli nie podchodzić za blisko linii brzegowej. Cały muł z dna Zbiornika Kijowskiego, nagromadzony tam jeszcze od lata osiemdziesiątego szóstego, został wyrzygany na dół, poprzez zniszczone tamy, zmieniając ukochane miasto Michaiła w radioaktywne pustkowie. Tam, gdzie nie zaległ muł, przeszła ściana wody.

Poniżej Kijowa, na prawym, mniej zniszczonym brzegu powstały pierwsze kapiszcza, o których opowiadano różne bajki.

Siergiejew akurat wrócił z Zachodu, gdzie gościł u konfederatów, i cały czas w rozmowach odruchowo zaczynał mówić po polsku – we Lwowie ten język stał się równoprawny z ukraińskim. W Kaniowie, a raczej tym, co kiedyś było Kaniowem, istniała niewielka kolonia, w której żył i nawet zajmował jakieś stanowisko Maksimilian Pirogow, poeta i bard, kiedyś znany w całym Kraju Rad, a potem na całej Ukrainie. Siergiejew uwielbiał starszka Maksa i bywało, że gościł u niego nawet i po dziesięć dni, naturalnie jeśli sprawy nigdzie go nie wzywały.

Pirogow był już bardzo posunięty w latach. Pewnego razu w rozmowie z Siergiejewem wspomniął, że urodził się w roku śmierci Stalina, i prosta arytmetyka pozwoliła ustalić, że Maksowi lada chwila stuknie sześćdziesiąt pięć lat. Na Ziemi Niczyjej mógł się uważać za matuzalema. Obecnie mieszkańcy tyle nie dożywali.

To właśnie Maks jako pierwszy zetknął się z dziećmi. A Siergiejew zdążył na finał tragedii i nawet wziął w niej udział.

W rezultacie złe sny prześladowały go po dziś dzień.

Kiedy Siergiejew, wszedłszy do Kaniowa od północy, dotarł do zamieszkałych dzielnic, Pirogow był pijany i roztrzęsiony.

Powinien się cieszyć, że uszedł z życiem, ale on nieomal płakał i nieustannie przeklinał. Siergiejewą to w sumie nie zdziwiło, Maks pił przez ostatnie pół wieku, o czym krążyły istne legendy, a rosyjskich wulgaryzmów znał bodajże czy nie więcej niż w ojczystym ukraińskim, ale... Klął z taką goryczą, tak jednostajnie i bez wyobraźni, że Siergiejew od razu pojął, że wydarzyło się coś nadzwyczajnego.

Pirogowa akurat opatrywano – rana na ręce była tak głęboka, że o mały włos, a ostrze noża przecięłoby

ścięgnę.

Pulchna kobieta w podeszłym wieku, odziana w szlafrok, kamuflażową kurtkę i brudnawe spodnie od dresu, bandażowała mężczyźnie dopiero co zaszytą ranę. Krwi było tyle, jakby na stole właśnie zarżnięto barana.

– Siergiejew! – powiedział Maks swoim delikatnym, prawie dziecięcym głosem, który zupełnie nie pasował do jego powierzchowności. – No... twoju mać! Siergiejew! Czego ty wcześniej nie przyszedłeś? Choćby godzinę!

– Cześć, Maks. – Michaił z ulgą zrzucił ciężki plecak i z chrzęstem wyprostował grzbiet. – Co się stało? Nieszczęśliwy wypadek przy otwieraniu flaszki?

– Słyszysz, Tatiana? – rzekł Pirogow z gorzką urazą. – Flaszka! Siergiejew! Twoju mać...! Żartowniś... twoju mać! Mało mnie nie zabili!

Sama myśl o tym, że któryś z mieszkańców kolonii mógł zaatakować Maksa – powszechnego ulubieńca, duszę towarzystwa, była absurdalna. Nikt też nie napadł na osadę z zewnątrz, czego Michaił dowiedział się już od wartowników.

Jednak staruszek nie wyglądał na fantastę. Potrząsał zatłuszczonymi, siwymi włosami i syczał z bólu, kiedy bandaż przyciskał świeży szew.

– Czym pani szyła? – zapytał Siergiejew, siadając w kącie.

– Czym, czym... – mruknęła Tatiana. – Wygotowaną nitką. Katgut się skończył. Zapasy wyszły.

– Woda utleniona? Jodyna?

– Na razie są. I wódki od cholery i trochę! Ma nosa. Już drugi magazyn znalazł.

– Lepiej byś znalazł medykamenty – powiedział Siergiejew do Maksa z dezaprobatą. – Wykończysz się.

– Nie wykończy. – Tatiana zębami zaciągnęła węzełek na opatrunku. – To szczęściarz.

Pirogow odwrócił głowę i Michaił zobaczył, że pod jego lewym okiem, które do tej pory skrywało się w cieniu, nabrzmięwa purpurowosina opuchlizna. Ucho było całe w zakrzepłej krwi, chyba rozerwane w paru miejscach, a szyję, wyglądającą z wycięcia starego, sfatygowanego swetra, przekreślały cztery głębokie bruzdy po paznokciach.

– A ty co, z niedźwiedziem się biłeś? – zdumiał się Siergiejew.

– Lepiej by z niedźwiedziem – wydusił Maks. – Oj, Misza, coś dziwnego się dzieje, Boże jedyny! Twoju mać...!

– Ty choć nie bluźnij! – Tatiana ze złością machnęła ręką, rozchlapując wódkę, którą polewała starą, lecz czystą serwetkę. – Kary na ciebie nie ma! Boga wzywa i klnie razem! Odwróć łeb!

– To z kim się biłeś? – spytał ponownie Siergiejew. – Żaden z ciebie bokser, ale...

Pirogow westchnął. Potem westchnął jeszcze raz, nabierając powietrza, i w tym momencie Tatiana zaczęła ocierać serwetką pokaleczoną część jego twarzy. Maks zasyczał jak wąż rzucony na rozpalone węgle, podskoczył i wyrzucił z siebie ze trzydzieści „maci” pod rząd.

– Ze swoją panią się pobił – powiedziała Tatiana, nadal oczyszczając rany i nie zwracając uwagi na przekleństwa Maksa. – Z tą swoją przeklętą podfruwajką. A Romka z Timoszą uciekli. I daj Boże, żeby wrócili. Nie po jego duszę, a tak, żeby dalej tutaj żyć.

– Nie rozumiem. Maks, co ty? Druga młodość na ciebie naszła? Jakie panienki?

– Twoju mać, Siergiejew!

Smutek w głosie Pirogowa był nieudawany.

– Za kogo ty mnie masz? Jakie tam panny w moim wieku? Czy może chciałeś mi powiedzieć komplement?

– No, no, nie bądź taki skromny! – Tatiana zachichotała nieoczekiwanie.

Pirogow spojrział na nią opuchniętym okiem pełnym rozpacz i już miał znów zakląć, ale się rozmyślił.

– Tak – rzekł Siergiejew poważnie. – Nic nie rozumiem. Jaka podfruwajka? Co to za delikatna osóbką, skoro cię tak pochlastała?

Pirogow znów westchnął i zaczął opowiadać, co chwila wtrącając ulubione idiomy i sycząc, kiedy wódka trafiała w otwarte rany.

Dwunastoletnia dziewczynka, która powiedziała, że nazywa się Agafia, pojawiła się w kaniowskiej

kolonii dwa miesiące temu, prawie na początku wiosny. A konkretnie: w marcu. Zwyczajna dziewczynka – głodna, brudna, wystraszona, z żywymi brązowymi oczami, gęstą szopą zbitych w kołtun włosów nieokreślonego koloru i w śmiesznym kraciastym paletku, jakby wyciągniętym z poprzedniego życia.

Ten kraciasty płaszczyk był tym szczegółem, który „dobił” starego barda. Natychmiast wziął sierotkę pod opiekę.

Historia Agafii była wzruszająca do łez. Tatę zabili wojskowi, chyba konfederaci. Mamę z braciszkiem rozstrzelano z patrolowego rosyjskiego śmigłowca, kiedy weszli w strefę ochrony gazociągu. W ten sposób Agafia została sama. Przez dziesięć dni wędrowała, kryjąc się w jarach i zaroślach, trzęsąc z zimna w nocy, głodna i spragniona – rodzice jej powtarzali, że nie wolno pić wody z dużych rzek, a strumieni jakoś nie napotykała. Przeszła ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód i wyszła na kolonię, prosto jak po sznurku, dosłownie jak Maszeńka z bajki o niedźwiedziach.

– Mogłeś pomyśleć, stary durniu – wtrąciła się Tatiana, smarująca rany Pirogowa jakąś tłustą maścią o ostrym zapachu.

– Jak dziecko mogło w ciągu dziesięciu dni przejść tyle po bezdrożach?

Siergiejew pokiwał głową.

„Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi, niż się wydaje naszym filozofom, drogi Horacjo”[5].

Dzieci w kolonii było dziesięcioro, ale nie samotnych. Dzieci bez rodziców – owszem, ale nie sieroty, tego słowa w kolonii nie lubiano nawet wymawiać. Można było porzucić nadzieję na to, że liczba ludności zacznie wzrastać drogą naturalną. Młodzieży było jak na lekarstwo. Jedyne lekarz okazał się dentystą, a nie akuszerem, ale szybko pogodził się z tym, że przyjdzie mu zmienić profil. Dwa razy nawet przyjęli poród, ale oba noworodki urodziły się martwe. Żadna kobieta nie zaszła w ciążę. Nic dziwnego, że do dzieci odnoszono się ze szczególną troską. One były przyszłością. Stary bolszewicki slogan załśnił nowym blaskiem.

Dla dzieci przeznaczono w kolonii całkiem przyzwoity piętrowy dom, odremontowany i zadbane. Agafię też tam umieszczono. Umyto ją, ostrzyżono prawie na łyso, gdyż zbitych jak owcze runo włosów nie dało się w żaden sposób rozczesać. Wtedy Tatiana zauważyła pod włosami, nieco powyżej skroni, tatuaż zrobiony niebieskim atramentem – swastykę, podobną do tłustego pajęczka. Jeszcze jeden tatuaż krył się w pachwinie Agafii, w najwyższej partii uda, po wewnętrznej stronie, przy wargach sromowych, na których już rosły rzadkie ciemne włosy. Trzeci „pajęczek” siedział pod prawą pachą, również maskując się po dziecięcemu rzadkimi włoskami. Gdyby Tatiana nie brała udziału w kąpielu, nikt by niczego nie zauważył. W ogóle rzucało się w oczy, że jak na swoje dwanaście lat, Agafia była rozwinięta ponad normę.

Jeszcze nie dojrzała ostatecznie, ale kruchą granicę między dziewczynką a dziewczyną już przekroczyła.

Maks, niemający nigdy własnych dzieci, był w „domu dziecka” uważany za swojego. Wszystkie dzieci (najmłodszy chłopczyk miał lat dziewięć) uwielbiały go i nie nazywały inaczej jak dziadkiem Maksem. Opowiadał im bajki, śpiewał piosenki swoim słodkim głosem, uczył pisać wiersze i rysować. Generalnie starał się jak mógł, i dla siebie, i dla kolonii, i przede wszystkim dla dzieci. Agafię od razu uznał za wnuczkę.

– Ona była taka bezbronna, Siergiejew! Taka miła!

Była taka, jaką się chciała wydawać.

Już w drugim tygodniu od przybycia Agafii Łukiny do „domu dziecka” stało się widoczne, że między najstarszymi chłopcami, którzy pokończyli piętnaście lat, trwa bezpardonowa walka o pozycję lidera. Potem, nieoczekiwanie dla wszystkich, zginęła Lika – czarująca dziewczyna i naturalna przywódczyni. Bystra, silna, doskonale strzelała i była niezmordowana podczas wypraw, pomimo że kulała – dawała o sobie znać kontuzja z wczesnego dzieciństwa. Lika spadła w studnię pustej klatki schodowej, prosto na sterzące na dole zardzewiałe pręty zbrojeniowe.

Głupia to była śmierć, tym bardziej że Lika wyrosła w ruinach i poruszała się po nich równie pewnie jak Indianin w rodzimej puszczy. Ale nikt nie jest bezpieczny od wypadków.

– To powinno mi dać do myślenia – rzekł Pirogow z goryczą. – Ale kto mógłby przypuszczać?

– Ja mogłam – odparła Tatiana. – Imówiłam ci!

Rzeczywiście mu mówiła. Opowiedziała o trzech „pajęczkach”, na pierwszy rzut oka niewidocznych. O tym, że wraz z pojawieniem się Agafii między dziećmi zaczęły się spory. Mówiła, że dzień po śmierci Liki jej przyjaciel i kochanek (cóż począć, na Ziemi Niczyjej dzieci dorastały wcześniej) Wład, który powinien rozpaczać po utraconej przyjaciółce, gorliwie „brał” młodziutką, ale wcale nie niewinną Agafię w jednej z sypialni. Opowiedziała, jak wpadła do pokoju i przegnała ani trochę nie zmieszanego Włada, a potem nagle usłyszała w półmroku cichy chichot i bardziej poczuła, niż zobaczyła, jak ze skotłowanych śpiworów świdrowała ją para złowrogich oczu, podobnych do rozżarzonych węgielków.

Tatiana mówiła Pirogowowi i szefowi kolonii, doświadczonemu Kirowi – Kiryłowi Osyce – że nie przypadkiem spadła na nią betonowa balustrada z balkonu starego, na wpuł zrujnowanego domu i tylko cud ją wtedy uratował od pewnej śmierci. Uprzedzała, że między wychowawcami a dziećmi powstał jakiś dziwny, niewyjaśniony i niepokojący chłód. A za tym wszystkim, niczym szary cień, stoi krucha figurka Agafii Siemionowny Łukiny – dwunastoletniej (a może i nie) pół dziewczynki, pół kobiety, z udawaną niewinnością w oczach i zwyczajami niebezpiecznego drapieznika.

A dzisiaj, równo pół godziny temu, stało się to, co się stało. Maks, nie zastawszy dzieci w sypialniach, poszedł na dół, do piwnicy, i zastał ich w półokręgu, na kolanach przed swoją ulubienicą. Głos jej dudnił jak dzwon. Jak w ogóle z tego niewielkiego ciała mógł wydobywać się taki dźwięk, było dla Pirogowa zagadką.

A ja chyba wiem, pomyślał Siergiejew smutno.

Kłęczący nastolatki mieli oczy wywrócone tak, że błyskały białkami w niepewnym blasku rozstawionych dokoła świec. W takt rytmicznego buczenia chwiali się jak drzewa pod porywami wiatru. Potem głos Agafii stał się delikatny i przymilny, zaszeleścił jak bryza w listowiu nadmorskiego parku i Maks usłyszał: – My jesteśmy przyjaciółmi! Tylko my. Pozostali są nikim. Pyłem, prochem, śmieciem... Stańcie w kręgu, weźcie się za ręce, pokłońcie starym bogom! Na ich wargach krew ofiar: słodka karma!

Dziewczyna klasnęła w dłonie i nawet w piwnicy o niskim suficie i omszałych, zapleśniałych ścianach ten dźwięk zabrzmiał ostro, jakby pękł gumowy balon.

– Słodka karma Kapiszcza! – zahuczały dzieci na jednej nucie. – Krew to karma! Ciało to karma!

Pirogow poczuł, że włosy stanęły mu dęba na całym ciele, jakby dotknął przewodów wysokiego napięcia. Potylicca nagle zrobiła się chłodna, kolana jak z gumy, a pęcherz, który niby opróżnił dziesięć minut temu, wydawał się pełen po brzegi.

– Co mówią nam kapłani? – wyszeptała Agafia na granicy słyszalności. – Mówią głosami prawdziwych bogów. Słońca, wiatru, matki ziemi.

Jej głos nabierał siły, stawał się coraz głośniejszy i jednocześnie wypełniał się wibracjami, jakby ktoś rytmicznie szarpał fiszbin.

– Nie macie przyjaciół prócz dzieci Kapiszcza! Nie macie bogów prócz bogów Kapiszcza! Póki nie wejdziecie do świętego kręgu – tu znowu klasnęła – ja jestem dla was duszą Kapiszcza i głosem jego bogów! Kto jest obcy?!

– Wszyscy pozbawieni wiary! – zahuczały głosy, do niedawna należące do dzieci i podrostków.

– Co czeka niewiernych?

– Ofiarny kamień!

– Kim jestem ja?

– Dusza Kapiszcza!

Roześmiała się cichutko i nieoczekiwanie radośnie. W tym śmiechu nie było ani złośliwości, ani triumfu. Tak mogła roześmiać się jej rówieśnica, która żyła w Kaniowie w innym życiu, przed Potopem – zwyczajnie, naturalnie. Pirogow zadrżał od tego śmiechu jak od ciepłej wódki, wzdrygnął się całym ciałem i już zdecydował wyjść z gęstego cienia drzwi, kiedy Agafia zrobiła krok naprzód, rozrzucając ręce na boki razem z połami pelerynki leżącej jej na ramionach, od czego w świetle świec upodobniła się do Batmana.

I wtedy Maks mało nie wrzasnął, skręcając się, jakby ktoś dotknął jego brzucha rozpalonym żelazkiem. Tuż pod stopami „biednej sierotki”, na zasypianym opadłym tynkiem, pokrytym łuską oblaźłej farby betonie, leżała jedna z kolonistek – Gala Zosinienko – naga, okrwawiona, zakneblowana jakąś brudną szmatą. Jej ręce i nogi krępowały zgięte kawałki zbrojenia, przytwierdzając ją do ziemi niczym kajdany.



Była przytomna, tylko przerażona do tego stopnia, że skamieniała.

Maks widział na jej mlecznobiałym udzie nabrzmiały guz skurczu. Patrzyła prosto na Pirogowa, ale go nie widziała – pod grzywką miały się szaleńczo czarne oczy.

Agafia odetchnęła jękliwie. Raz, drugi, trzeci... i Pirogow zrozumiał, że wszyscy znajdujący się w tym pomieszczeniu, od najmniejszego do najstarszego, oddychają w jednym rytmie. On również.

Dziewczyna przechyliła się w lewo. Ciemne sylwetki dzieci z lśniącymi pomarańczowym odbłaskiem świec oczami zombi poruszyły się razem z nią. Maks poczuł, że również skłania się w lewo.

W prawo. Znow wszyscy powtórzyli ten ruch.

W lewo, w prawo, w lewo, w prawo...

Wahadło.

Metronom.

Coraz szybciej i szybciej. Znow nietoperzowymi skrzydłami powiał płaszcz. Pod nim dziewczyna była całkiem goła, brzuch i nabrzmałe piersi wymazane były czymś czerwonym. W identycznej szkarłatnej plamie jaśniały usta – białe, żeby na tym tle wyglądały złowieszczo.

Maks oddychał synchronicznie z nią. Jego serce uderzało w takt. Zaczynał gubić wątek myśli.

– DU– SZA KA– PISZ– CZA! O– FIAR– NY KA– MIEN! SŁOD– KA KAR– MA KA– PISZ– CZA!

I znowu.

– DU– SZA KA– PISZ– CZA! O– FIAR– NY KA– MIEN! SŁOD– KA KAR– MA KA– PISZ– CZA!

Maks poczuł, że zaczyna pisać w rytm tego bucącego śpiewu. Nie interesował go los Gali, skurzonej na posadzce, ani nawet jego własny. Najważniejszy był ten barbarzyński, miarowy refren, te niskie dźwięki, niczym dobiegające z organów, które wydawało to kruche, dziecięce... Dziecięce? Agafia była bardzo chuda i mała, ale nikt nie mógłby nazwać jej dzieckiem. Podłotek, młoda dziewczyna, ale nie dziecko.

I jeszcze zapach... Maks zdawał sobie sprawę, że z tego dystansu nie poczułby nawet smrodu skunksa, ale jego węch posyłał sygnał do mózgu – fakt nienaukowy, ale tak było.

Nawet z tej odległości Pirogow, kochający w swoim życiu niemało różnych kobiet, nieomylnie ułowił ostry, korzenny zapach goniącej się suki. Wiedziony tą wonią Maks zrobił kilka kroków naprzód i potknąwszy się o jakiś zardzewiały drut, runął, w ostatniej chwili unikając uderzenia głową w betonowy słup.

– Możesz się śmiać, Misza, ale właśnie to uratowało mi życie! Gdybym wtedy nie padł i nie walnął mordą o ziemię, tobym tańczył w tym kręgu jak ta lala!

– A co dalej? – zapytał Michaił, oglądając pokiereszowaną fizjonomię Pirogowa. – Ona ci przyłożyła?

– To? – Maks ostrożnie pomacał galaretowaty „woreczek” pod okiem.

– Tak.

– To ona.

– A reszta? Też ona?

– No, powiedzmy, że wszyscy. Chcieli mnie załuc na śmierć...

– Tak się domyśliłem.

– A że nie zabili jak cielaka w rzeźni, to Bogu dzięki!

– I mnie – dodała Tatiana.

– I tobie – zgodził się Pirogow. Zerknął na Siergiejewa i ostrożnie pogłaskał Tatianę po rękę. W jego oczach była czułość.

– Przypadkiem usłyszałam krzyki i strzały – powiedziała Tatiana.

– Ty strzelałeś? – zapytał Siergiejew.

– Ja też.

– Nie gryź się tak. – Kobieta pogłaskała Maksa po siwej głowie. – Nie miałeś wyboru. Zarznąliby cię.

– To nie byli ludzie – rzekł Pirogow, patrząc Siergiejewowi w oczy. – Nie– ludzie. Wiesz przecież, jak kocham dzieci?

Dbąłem o nie od samego początku, jak tylko się zebraliśmy. Niektóre sam wyciągnąłem z ruin. Odkarmiłem, kołysanki śpiewałem. Żarcie nosiłem na własnych plecach Bóg wie skąd. A oni... oni mnie zębami gryzli. Na jedno jej słowo, gest, na jej rozkaz gotowi byli mnie rozedrzeć na strzępy. Na sznurówki

przerobić.

– Ile uciekło? – Siergiejew przerwał Maksowi. Staruszek zaczynał dygotać jak na kacu.

– Dwóch – odpowiedziała Tatiana. – Reszta jest w stanie... Nie wiem. Odrętwienia? Jakby śpią, a może nie śpią...

– Zastrzelełeś ją?

Maks podniósł na niego poczerwieniałe oczy.

– Nie. Żyje!

– Żyje? – powtórzył Siergiejew.

Niewątpliwie mu się udało, nie liczył na coś takiego.

– I gdzie jest ten skarb?

– Zamknęliśmy ją w warsztacie. W piwnicy. To zaraz obok. – Tatiana sprawdziła opatrunek na rękę Maksu i chyba była zadowolona. – Mogę pokazać. Jeśli chcesz, oczywiście.

– Koniecznie – powiedział Michaił, wstając.

– Bądź ostrożny – uprzedził Pirogow. – We czterech ją obezwładnialiśmy, a i tak dała radę dwóm zębom połamać.

– I jednemu rękę – dodała Tatiana obojętnym tonem.

– Jakoś dam radę. – Siergiejew poprawił karabin na ramieniu. – Dzięki za ostrzeżenie. Dokąd iść?

– Tu niedaleko.

– Siergiejew... Nie słuchaj jej – powiedział za nim Maks.

Ponownie dotknął opuchniętego oka.

– Że może w mordę dać, to pół biedy. Za to rozmawiać z nią faktycznie jest niebezpiecznie.

– Nie martw się, Maks. – Michaił jeszcze raz popatrzył na bladego, wymęczonego, rannego Pirogowa i zrozumiał, że ten naprawdę się boi. – Dam sobie radę. Dzięki za ostrzeżenie – powtórzył.

---

2 Anton Makarenko – radziecki pedagog i pisarz.

3 Wołchw – inaczej: guślarz, wróżbita.

4 Kapiszcze – staroruska nazwa pogańskiego miejsca kultu. Zapewne było to sanktuarium ze stojącymi pod otwartym niebem posągami.

5 William Shakespeare, „Hamlet”, tłum. Stanisław Barańczak.



## Rozdział 3

**W** piwnicy zalatywało wilgocią bardziej niż na parterze. Prócz mokrego betonu i tynku czuć było jeszcze specyficzny zapaszek pleśni, słodkawą woń gnijących szczątków organicznych i odległy smród odchodów.

Zawilgocone betonowe schodki kruszyły się pod nogami.

Jeszcze kilka lat i wchodzenie do pomieszczeń stanie się niebezpieczne, pomyślał Siergiejew, schodząc w dół.

Budowano na stulecia. Lecz żeby dom żył nawet nie wiek, ale lat czterdzieści czy pięćdziesiąt, muszą w nim mieszkać ludzie. Bez nich, bez sensu istnienia, budynek zaczyna popadać w ruinę. Te domy zostały zranione przez Falę, i to śmiertelnie. Niewiele im życia zostało.

Pomacał szarą ścianę, po której ściekały duże, przezroczyste krople, jak łzy. Ściana się pocila, niczym człowiek w gorączce.

Na dole, przy masywnych drzwiach, niegdyś prowadzących do schronu przeciwlotniczego, siedział Łokieć – tęgawy, jakby opuchnięty facet o krągłych oczach. Siedział w kukki, położywszy remingtona „pompkę” na kikutcie lewej ręki, od którego pochodziło jego przezwisko. Żuł długi patyczek rzadkimi zębami, żółtymi jak stara kość słoniowa.

– Cześć – powiedział Siergiejew.

Nie bardzo lubił Łokcia. Z czysto wewnętrznej przyczyny, raczej instynktownie niż faktycznie. No, był Łokieć wcześniej gliniarską szychą. No, opowiadano o nim różne rzeczy – ale to działo się w tamtym życiu. Było, minęło. W nowym życiu Łokieć był facetem całkiem w porządku. Prawy, bitny, odważny. Przez tę odwagę rękę mu odstrzelili. Z obrzyna dokładnie takiej pompki, z przyłożenia. Tak że nie ma się czego czepiać. Za co tu go nie lubić? Jakoś nie wiadomo...

A nieprzyjaźń to rzecz subtelna, z trudem da się ją wyjaśnić. Zresztą co tu wyjaśniać? I po co? Siergiejew i Łokieć chodzili własnymi drogami, widywali się rzadko i widział Bóg, nie mieli ze sobą nic wspólnego.

A jednak widząc siedzącego u drzwi Łokcia, Michaił trochę się spiął.

– Cześć – odpowiedział Łokieć, nie wstając. – W gości?

– Zgadłeś – burknął Siergiejew.

– Nie masz cykora? – Na szerokiej fizjonomii Łokcia, pokrytej bladymi piegami, pojawił się złośliwy uśmiech. – Ona tu wyła jak wilczyca. Maks opowiadał?

Siergiejew, oglądając się, skinął głową.

– Mało jej nie zabili, kiedy wiązali. Póki nie oberwała kolbą po łbie, rzucała się na wszystkich. Mała, ale silna. Otworzyć ci?

– Tak.

– Jej tam gębę zakleili, żeby ochrony nie „zaśpiewała”. Nie zdejmuj jej plastra!

– A niby jak, mam z nią na migi rozmawiać? Po co według ciebie tam idę, na wycieczkę?

– Ty, Siergiejew, jesteś odważny facet – wyszczerzył się Łokieć – ale głupi. Kulkę by jej sprzedać, człowiek byłby spokojniejszy. Nie słyszałeś, jak ona wyła! Nie dałbyś tak rady, nawet jakby ci jaja odrzynie. To potwór!

– Nie mędrkuj, tylko otwieraj.

– Jak sobie chcesz – stęknął Łokieć, wstając. – Tylko nie mów, że nie uprzedzałem.

Postawił broń przy ścianie i jedną ręką zaczął odkręcać koło zamka. Wewnątrz grubych metalowych drzwi coś szcęknęło i zaszurało. Rygle przesunęły się w nasmarowanych prowadnicach i legły w szczelinach, obróciły się masywne zawiasy.

– Dalej, kamikadze... – rzekł Łokieć z uśmiechem, podnosząc broń. – Leć, wypytuj, mądralo. Już i mądrzejszych widziałem. Lampa po lewej. Masz zapalnik?

W dawnym schronie było ciemno i bardzo zimno. Gdzieś w oddali dźwięcznie spadały na podłogę krople – jedna na sekundę, jak zauważył Siergiejew.

Łokieć przytrzymał drzwi, póki Michaił nie znalazł lampy naftowej domowej roboty i nie zapalił grubego knota swoją zapalniczką. Lampa dawała niepewne, pełgające światło. Sądząc po zapachu, nie napełniono jej naftą – waniało jakoś ciężko i paskudnie.

Kiedy tylko knot się zajął, Łokieć zatrzasnął drzwi i rygle szcęknęły niczym zasuw armaty. W półmroku Siergiejew ledwo zdołał dojrzeć leżący pod ścianą worek, z którego sterczały nogi. Poszukał wzrokiem, na czym by usiąść. Wzdłuż ściany ciągnęła się wąska ławka, cała oślizgła, zarośnięta pleśnią i czymś kłaczkowatym, przypominającym mech. Obok wałało się rozchwierutane krzesło o trzech nogach, które mimo wszystko wydało się Michaiłowi lepsze – ławki wolał nawet nie dotykać, a co dopiero na niej usiąść.

Przestawił lampę bliżej tego, co wyglądało jak worek, podniósł z posadzki kulawy mebel i usiadł twarzą do oparcia, lekko się przechylając, by się nie przewrócić.

Skrępowali Agafię solidnie. Od kostek do połowy łydki jej nogi były omotane szeroką szaroburą taśmą klejącą, niczym przewody zaizolowane przez paranoidalnego elektryka. Związane z tyłu ramiona dodatkowo przymocowano do tułowia tą samą taśmą. Kolejny kawałek zaklejał usta. Nad szarym paskiem płonęły oczy. A raczej tylko jedno – drugie ledwo się otwierało, zaklejone krwią spływającą ze zranionej głowy.

– Witaj, Agafio – odezwał się Siergiejew półgłosem. – Pogadamy? Tylko będzie bolało, kiedy zerwę plaster, uprzedzam.

I nie próbuj kopać, to i tak nic nie da.

Oczy dziewczyny nie odrywały się od niego. Nawet nie mrugnęła, kiedy lepkie pasmo z sykiem odkleiło się od jej ust, zostawiając poczerwieniałą skórę i gdzieniegdzie drobne kropelki krwi.

– No tak – powiedział Siergiejew, zgniatając taśmę w kulkę. – No i czemu, Agafio, wszystkich tak nastraszyłaś? Mogli cię zastrzelić. Powód przecież był.

Michaił, nawet nie patrząc na nią, usłyszał, jak zmienia się rytm jej oddechu. Ten, kto uczył tę dziewczynkę, znał się na swojej robocie. Oczywiście, potrzebny jest też talent, ale opanować podstawowe umiejętności może praktycznie każdy.

Czarodziejem bez talentu nie zostaniesz, co najwyżej mocnym średniakiem, ale do zwykłych zadań to starczało aż nadto.

Ichneumon na przykład wyróżniał trzy podstawowe zadania: przesłuchanie, werbunek oraz przeciwdziałanie przesłuchaniu i werbunkowi. Wymagał, żeby na zaliczeniu z programowania neurolingwistycznego niemiłosiernie ich wałkowali. Straszyl, co się u niego nazywało „zakoszarzeniem kadeta”, opowiadając o metodach zmiany osobowości, programowaniu zadań bojowych, kluczach lingwistycznych włączających mechanizmy ukryte w głębinach świadomości.

A przecież nie kłamał. Ani odrobiny. Chociaż wtedy się wydawało, że Ichneumon opowiada bajki i wszystkie te akcenty, kotwice, „myśloobrazy” i cała reszta chrzanienia są wzięte z głupich filmów szpiegowskich.

Wtedy przecież nikt nie mówił, że bardzo poważni ludzie, na stanowiskach państwowych, wydają miliardy (rubli, dolarów lub funtów) na to, by opracować i wprowadzić metodykę wpływania na ludzki

umysł. To była rywalizacja psychologów i chemików z różnych obozów, zakończona remisem. Rezultaty pozostawały tajemnicą za siedmioma murami, może dlatego, że badania były niebezpieczne dla ludzi i niezgodne z protokołami praw człowieka. A może dlatego, że takie prace prowadzono po dziś dzień. Ostateczny sukces w tej dziedzinie był zbyt kuszący i mógł się okazać bardzo pożyteczny.

Dziewczynka niewątpliwie miała zdolności i szkolił ją profesjonalista, ale na ile była utalentowana, trudno stwierdzić z marszu. Pocieszające było jedno: prawdziwy talent Siergiejew już by odczuł na własnej skórze. Wystarczyłby kontakt wzrokowy i koniec, pozamiatane.

– Co tak milczysz? Przyglądasz się?

– Nie przyglądam. Po prostu patrzę – odezwała się niskim, ochrypłym głosem. – Daj pić. W gardle mi zaschło.

Siergiejew z zadowoleniem obserwował, jak dziewczyna „utrzymuje pozycję”.

Dobra jest, zaraza. Zaczęła go sondować od razu, jak tylko wszedł. O nie, to jednak silna profesjonalistka, która przeszła pełny kurs szkoleniowy, ale na szczęście to nie Wolf Messing[6].

Aby napić Agafię, nie trzeba było dotykać więzów. Dziewczyna chciwie przyłgnęła wargami do otworu butelki, ale wzięła zaledwie parę niewielkich łyków. Tylko tyle, by przegnać suchość z ust, nie mniej i nie więcej. Siergiejew ostrożnie przytrzymał jej głowę, żeby się nie zakrztusiła. Czuć ją było potem, krwią, stęchlą odzieżą i kałem. O dziwo, najbardziej przykry był zapach potu, tak ostry i mocny, że chciałoby się zatkać nos i przepłukać usta.

Napiwszy się, znów legła pod ścianą, bez słowa, drapieźnie oblizując się jednym ruchem spiczastego jak u jaszczurki języka.

– Proszę – powiedział Michaił, znów siadając na krześle. – Na zdrowie. Coś jeszcze?

– Zrobić nie pod siebie to, co już zrobiłam w majtki, kiedy mnie kopnęli w brzuch. Powiedz tej jednorękiej świni za drzwiami, że mam u niego dług. Jak się wydostanę, to go nakarmię jego własnymi flakami.

– Jeśli się wydostaniesz – poprawił ją Siergiejew.

– Wątpisz?

– Wątpię. Co mi przeszkodzi cię zastrzelić? Albo wydać taki rozkaz?

Agafia roześmiała się. Dostosowała oddech do jego rytmu i ostrożnie badała wątek rozmowy.

Rozmowa zaufania, pomyślał Siergiejew. Ciepła jak grzane mleko, jak usta matki. To nawet ciekawe. Czyżby ta sama metodyka?

– Ty przecież nie zabijasz kobiet i dzieci.

– Tak? Poważny argument. Masz rację. Rzeczywiście, nie zabijam kobiet i dzieci. Bez wyraźnej potrzeby. Możesz zgadywać do trzech razy: jest obecnie taka potrzeba czy nie? I czy jesteś dzieckiem? To, że jesteś kobietą, widzę i słyszę.

Ile masz lat, ślicznotko?

– Jeśli powiem, że dwanaście, to uwierzysz?

– Nie uwierzę.

– A prawdy i tak ci nie powiem.

– Twoja sprawa. To tak nawiasem, że nie zabijam kobiet i dzieci, żeby nie było nieporozumień.

– Jak się nazywasz? – spytała Agafia. – Masz jakieś imię?

– Michaił.

– Ładnie.

– Nie narzekam. Przywykłem.

– Po co przyszedłeś, wujku Misza? Pytać?

– Miałem taki pomysł. Ciekawie z tobą porozmawiać, siostrzeniczko.

– Będziesz groził, obiecywał, że pasy będziesz darł...

Nie pytała, raczej stwierdzała.

– Wiesz, Agafio – powiedział Siergiejew, wyjmując papierosy z kieszeni – jest tyle sposobów na pociągnięcie cię za język, że sama się zdziwisz, jeśli policzysz. Oczywiście, można i pasy drzeć, jeśli nic więcej się nie umie. A można i bez takich głupot. Przy okazji, jak się nazywałaś przedtem? Ała? Anna?

Alina?

W milczeniu patrzyła na niego z podłogi, błyskając oczami groźnie i z jakiegoś powodu wesoło. Rozpaczliwie wesoło.

Siergiejew pomyślał, że rozgadać ją będzie trudniej, niż sądził. O wiele trudniej. Ale dziewczyna się tego na razie nie domyśla. Czy jednak tak?

– Agafia – odpowiedziała powoli, wymawiając starannie, jakby przeżuując słowo, i uśmiechnęła się, pokazując zabrudzone krwią drobne białe zęby. – Tak mam na imię: Agafia. Zrozumiałeś, wujaszku?

– Niech będzie – rzekł Siergiejew obojętnie. – Dobre imię, nie gorsze od każdego innego. Chcesz zapalić, siostrzenico?

– A dasz?

– Dam. Nie szkoda mi. Dzieci oczywiście nie powinny palić, ale tobie dam. Tobie już nic nie zaszkodzi. Agafia roześmiała się, dźwięcznie i głośno, aż zjechała plecami po ścianie i przewróciła się na bok.

– Śmiesz cię to, że palenie jest szkodliwe, czy to, że cię nazwano dzieckiem? – zapytał Michaił, wstając.

Szarpnięciem posadził ją wygodniej, włożył między rozbite wargi papierosa i szczęką zapalniczką.

Fizyczny kontakt był bardzo ważny – mechaniczny ruch, akt zaufania – ręka przy bezbronnej, poranionej twarzy. Do tego człowiek palący papierosa mimowolnie wyrównuje oddech i łatwiej się do niego dostosować. Dziewczyna była związana, więc powtórzenie jej pozy i ruchów było utrudnione – delikatnie mówiąc. Ale w momencie, kiedy wypuszcza dym... Ileż tajemnic zostało odkrytych przy wspólnie wypalonym papierosie, ile zrobiono wyznań, ile zdrad...

„Możecie zapalić, podejrzany! – Dziękuję, obywatelu naczelniku!”

Wędką zarzucona, ostry haczyk zaczepił rybę. Pozostało tylko jedno: w porę poderwać. Chociaż z tą dziewczyną może się to okazać nie takie proste.

Sam też zapalił, w myśli włączając wyobrażony metronom.

Dwadzieścia dwa, dwadzieścia dwa, dwadzieścia dwa...

Smuga błękitnego dymu wyleciała z jego ust i zakłębiła się w świetle lampki niczym burzowa chmura. Agafia odpowiedziała niewielkim obłoczkiem – niewygodnie palić z rękami związanymi za plecami.

I raz... I dwa... I trzy...

– No to jak? Pogadamy?

Michaił słuchał kropki padających miarowo na blachę w głębi piwnicy.

– Nie mamy o czym rozmawiać, wujku. Wygraliście, ja leżę na deskach, to się cieszcie. A że chłopaki uciekli, to już plus dla mnie.

– Masz co ukrywać?

– Zawsze jest coś do ukrycia.

– A po co to wszystko? Czego chcą ci, którzy cię posłali?

Uśmiechnęła się jednym kącikiem ust, od razu upodabniając się do obrazka z książki, którą Siergiejew ogromnie lubił w dzieciństwie. Nosiła tytuł „Gwiazdy niemego kina” i była w niej fotografia Mary Pickford w roli małego lorda Fauntleroya z tak samo sterczącym z kącika ust papierosem. Tylko Mary była ruda, co dawało się poznać nawet na czarno–białym zdjęciu. Jednak podobieństwo rzucało się w oczy.

– Zapytaj Kapiszcza, może ci odpowie.

– Dobra rada. Zapytałbym. Ale gdzie ono jest, też mi nie powiesz.

– Zgadłeś. Jasne, że nie powiem. Ale możesz poszukać.

– A jeśli odgadnę?

– Twoja sprawa.

– Słuchaj, Agafia, ja jestem bardzo cierpliwy i nigdzie mi się nie spieszy. Wszyscy są czujni i jeśli masz nadzieję, że chłopcy cię odbiją, zrozum, że to nierealne. Oni naturalnie spróbują...

– Możesz w to nie wątpić – powiedziała zjadliwym tonem. – Spróbują.

– Albo ich zastrzelą, albo zrzną. Wszyscy już skojarzyli, że oni i ty jesteście zagrożeniem dla kolonii. Bezpośrednim zagrożeniem. Jeszcze nie powiedziałem Maksowi, że chłopcy są zaprogramowani, ale to nieważne.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie. Nawet jeśli używałaś chemii, tak jak twoi panowie robili to z tobą, to wytrenować ich do poziomu wilkołaków nie mogłaś w żaden sposób, po prostu nie było czasu. Nie masz też odpowiednich kwalifikacji, inaczej za diabła łysego by cię nie wzięli. W każdym razie nie żywcem. Zastrzelił ich jak kaczki. Byli groźną bronią, póki koloniści brali ich za swoich, a po przejściu do drugiej kategorii, obcych, oni są już w zasadzie trupami, tylko jeszcze o tym nie wiedzą.

Inaczej: nie zdają sobie sprawy.

– Czyli Kapiszcze dostanie jedzenie.

– Nie rozumiem.

– Daj spokój, wujku, wszystko świetnie rozumiesz! Ja jestem nieważna. Czy zgniję w tej piwnicy, czy mnie zastrzelą, powieszą czy puszczą, dla Kapiszcza to żadna różnica. A wiesz dlaczego? Bo ja jestem pierwszą jaskółką. Powiedz mi co innego. Skąd wiesz, że mnie przygotowywali za pomocą chemii?

– Po zapachu – odrzekł Siergiejew spokojnie. – Czuć cię feromonami, przyspieszaczami metabolizmu, hormonami i innymi świństwami. Na młodych chłopaków to działało lepiej niż hipnoza? Tak?

Słupek popiołu, krzywo wiszący na końcu papierosa, spadł jej na brzuch. To, co wypłynęło na jej twarz, trudno było nazwać uśmiechem.

– Oczywiście, że działało. Czemu miałoby nie działać? I na ciebie działa, chociaż nie jesteś już chłopcem.

Siergiejew ironicznie uniósł brew.

– Ale na pytanie i tak nie odpowiedziałeś. Skąd wiesz?

– Co? Ciekawi cię? – spytał Siergiejew i złapał się na myśli, że przestał postrzegać Agafię jako dziecko. Jak równego przeciwnika, jak niebezpiecznego wroga, ale tej... tej istoty nie mógł uważać za dziecko.

– Strasznie ciekawi, wujku. Nie spotykałam takich jak ty.

– Jakich takich?

– Zbyt mądrych!

Gwałtownie szarpnęła się do przodu, jej twarz wychynęła z półcienia w krąg światła i gdyby obraz dorastającej dziewczynki nie został unicestwiony już wcześniej, runąłby teraz. Dziecko nie może mieć takich oczu.

– Aha, nie lubimy mądrych? – powiedział Michał. – Ja przecież jeszcze nawet nie zacząłem mówić. Chcesz, to opowiem ci historijkę. O tym, jak żyła sobie mała dziewczynka. No, może nie taka mała, ale duża też nie. Normalne dziecko w nienormalnych okolicznościach. Pewnie dziewczynka straciła mamę i tatę. A jak dziecko ma przeżyć bez rodziny tam, gdzie nawet z rodzinami nie przeżywają? Znaleźli się dobrzy ludzie...

Siergiejew zaczął mówić śpiewnie, rozdzielając słowa i akcenty w rytmie padających kropli i oddechu. Jego głos zniżył się do basu, lekko drżał przy zakończeniach zdań niczym struna kontrbasu.

– ...przygarnęli, nakarmili, ogrzali. Były tam inne dzieci? Tak?

– Tak... – wyszeptęła.

– Było ich dużo. Jak w przedszkolu albo szkole. Dziewczynki i chłopcy. Sieroty. Dzieci, co straciły rodziców w tym zamęcie. Wszyscy, co szli na północ, do białoruskiej i rosyjskiej granicy. Szli i nie doszli? Tak?

– Tak – odpowiedziała jak echo.

Siergiejew zaczął lekko się kołysać, nie odrywając od niej wzroku, i zobaczył, jak Agafia zaczyna powtarzać jego ruchy.

– Zbierano was wieczorem i śpiewaliście pieśni. Smutne, tęskne, ciągnące się jak roztopiona na słońcu guma do żucia.

Niezrozumiałe pieśni z niezrozumiałymi słowami. I grała muzyka. Dziwna muzyka. Tak?

– Tak...

Zostało to powiedziane ledwo słyszalnym szeptem. Oczy Agafii, dopiero co gorejące mrocznym ogniem, stały się bezmyślne, jak dwa kawałki czarnego szkła.

Siergiejew wyszedł z piwnicy po półtorej godziny. Wyczerpany, pusty, wyciśnięty jak cytryna. Łokieć

patrzył na niego z przestraczem i nawet współczuciem, czego trudno było się po nim spodziewać. Na górze czekali na Michaiła Maks, przykładający do spuchniętego oka srebrną łyżkę, Kirył Osyka, szary ze zmęczenia i troski, i Tatiana z kubkiem ziołowej herbaty. Herbata – świetnie, doskonale, ale nie tego Siergiejew teraz potrzebował.

– Jest wódka? – zapytał, siadając.

Zdawało się, że zimno i wilgoć piwnicy przeniknęły go aż do kości. Bolały go plecy, stawy, a kolano – to, na którym zgniłozęby Chico wystukiwał pałką sambę, pulsowało pod grubą tkaniną spodni. Siergiejew rozumiał, że jego odczucia są rezultatem psychologicznego odbicia, rykoszetu, skutkiem walki z silnym przeciwnikiem. Jednak od tego mniej nie bolało.

Osyka i Tatiana na słowo „wódka” popatrzyli na Maksa. Ten stęknął, wstając, odłożył łyżkę na stół i kulejąc, wyszedł z pokoju.

Kiedy Pirogow poszedł po butelkę, Siergiejew i Osyka palili w milczeniu, a Tatiana szybko nakryła do stołu. Potem wypili, zakąszając słoniną i końską mieloną z pogniecionych wojskowych puszek. Najpierw we trzech, w męskiej kompanii, a kiedy Siergiejew zaczął opowiadać, to już w czwórkę. Maks poszedł po drugą flaszkę. A potem po trzecią.

– To pierwsza jaskółka – mówił Siergiejew, którego wódka zupełnie nie brała. – Za nią przyjdą następne. Tam, na północy, ktoś... sędzę, że wojskowi... pracuje nad metodami zmiany osobowości. To poważne prace. Materiału mają do oporu. Jeszcze w czterdziestym piątym z obozów koncentracyjnych w Polsce i Niemczech coś wywieźli. Biorą dzieci i obrabiają za pomocą chemii, preparatów farmaceutycznych, hipnozy, częściowo lub całkowicie ścierając ich osobowość lub podmieniając na inną. Mają świetnych specjalistów: lekarzy, chemików, farmaceutów i psychologów. I wielkie doświadczenie zawodowe. Ale nigdy nie działali z takim rozmachem jak teraz, kiedy są bezkarni. Mają poczucie humoru i świetnie się maskują, chowają za tymi, którzy postanowili wrócić do pogaństwa. Wszyscy będą widzieć maskę, a nie twarz za nią. Potrzebują siebie nawzajem: ci, którzy poszukują fanatyków, i ci, którzy mogą tych fanatyków produkować niemalże taśmowo.

Słuchali go uważnie i w milczeniu. Tylko jeden raz Osyka, którego blada twarz stawała się coraz bardziej ziemista, zapytał, nie panując nad drżącym głosem: – S– s– słuchaj, Misza, a skąd t– ty to w– w– wiesz? Ona ci p– p– p– powiedziała?

Siergiejew spojrział przez niego jak przez szkło i nic nie odpowiedział.

Taką obronę, zbudowaną przez doskonałych specjalistów, trudno przełamać. Nawet pojmując istotę problemu i mając opanowane podstawowe umiejętności sugestii, można w nieskończoność chodzić w kółko, stukając głową w wirtualne zwierciadła. W laboratorium, mając do dyspozycji dość czasu i chemię nie gorszą od tej, jaką faszrowano Agafię w czasie treningu, można byłoby dojść do pierwszego odbicia. Jeśliby się miało bajeczne szczęście. A to, co Siergiejew zrobił tam, w zapleśniałej piwnicy, bardziej przypominało aborcję wykonaną szprychą od roweru aniżeli operację chirurgiczną. Nie otworzył skrzynki z ukrytą przez nieznanego „doktora Mengele” osobowością małej dziewczynki, która dostała się w jego ręce. On ją rozbił. Rozwalił za jednym zamachem wszystkie lustra razem z odbiciami. Zgniół matryszkę, nie potrafiąc dobrać się do środka.

Kiedy Agafia weszła w trans hipnotyczny, Siergiejew jedynie sprawdzał na niej swoje przypuszczenia. Nic więcej. Żeby otrzymać odpowiedź, jak wiadomo, należy prawidłowo zadać pytanie. Szczególnie człowiekowi w hipnozie. Póki Agafia potwierdzała jego słowa, wszystko szło dobrze. Tak – nie – nie wiem. Zachowywał się ostrożnie, jak doświadczony saper na polu minowym. Odstępował, jeśli wyczuwał mentalny sprzeciw; zawracał, jeśli uznał, że poszedł fałszywą ścieżką.

Nic konkretnego. Żadnych nazwisk, żadnych nazw osiedli, żadnych cyfr. Rysował się jakiś obraz, a Michaił nie uczył się od nowicjuszy w tej dziedzinie, lecz wszystko to przypominało fotografię na prześwieconym papierze: niejasne kontury, plamy, gra światłocienia, którą tylko doświadczone oko i wyobraźnia mogły przekształcić w coś na podobieństwo wizerunku. Wszystko i niejednocześnie.

Trans był prawdziwy i głęboki, Michaił nawet nie oczekiwał, że dziewczyna tak łatwo się w nim pogąrzy. W zasadzie nie powinna. Co prawda człowiek, który już podlegał hipnotycznemu oddziaływaniu i wpadł w ten stan chociażby jeden raz, później był już łatwym łupem dla psychologa– hipnotyzera, lecz po



to istniała farmacja, by takie efekty „gasić”. Odniosłszy stosunkowo łatwe zwycięstwo, Siergiejew nie zastanowił się nad tym, czy nie zostało ono zaplanowane, czy nie kryła się za tym pułapka. A powinien.

Wystarczyło, że Siergiejew przeszedł od pytań– potwierdzeń do bezpośredniego wtargnięcia, a zdarzyło się to, o czym tylko kiedyś słyszał. Przy czym nie od Ichneumona. Sam Ichneumon słuchał wtedy podstarzałego psychologa w staromodnych rogowych okularach i workowatym garniturze bez swojej zwykłej znudzonej miny, co oznaczało wielkie zainteresowanie. Psycholog zaś mówił dużo i z przyjemnością, rozwaliwszy się w miękkim fotelu. Jego oczy za grubymi dwuogniskowymi szklami były nieprzeniknione. Na świecie istniało niewiele audytoriów, w których mógł swobodnie mówić o tym, o czym im teraz opowiadał.

Jednak słyszeć to jedno, a przekonać się na własnej skórze – to coś całkiem innego. W pewnym momencie Siergiejew zaczął odczuwać dyskomfort, jakby niewidzialna ręka legła na jego sercu i silne palce bezceremonialnie nacisnęły na wypełniony krwią mięsień. Wrażenie to było tak realne i nieprzyjemne, że Michaił na chwilę „popłynął”, tracąc kontakt z Agafią – być może na własne szczęście. Oczy dziewczyny, jeszcze przed sekundą patrzące na niego sennie i prawie bezmyślnie, ożyły. Spojrzenie zogniskowało się w miejscu między jego brwiami z niemal materialną siłą.

– Cześć, kochanie! – odezwała się wyraźnie męskim, nieprzyjemnie skrzypliwym głosem.

I rzuciła się naprzód, kłapiąc zębami jak pies na łańcuchu.

Siergiejew wiedział, że Agafia jest mocno związana i nie zdoła go dosięgnąć, lecz mimo to odruchowo odchylił się i spadł z krzesła.

– Mamo, mamusiu! – To już był cienki głos bezradnego, przerażonego dziecka. – Mamusiu, boję się!

Ciało Agafii, wygięte niepojętą siłą, pełzło ku Michaiłowi jak ogromny robak. Jej twarz, uwalana błotem i krwią, była zwrócona w jego stronę. W spojrzeniu nie było nawet cienia świadomości, tylko dzika panika, zmiatająca na swej drodze wszystkie ściany.

– Pomóż mi, skarbie, pomóż... – Piękny gardłowy głos dojrzałej kobiety, niski i niewiarygodnie seksowny. – Już nie mogę dłużej! Pomóż...

I przenikliwie, aż Siergiejewowi zaświdrowało w uszach: – Zabij mnie! Zabij!

Siergiejew, dorosły, silny mężczyzna, który niejedno już przeszedł, poczuł taki strach jak jeszcze nigdy w życiu.

Wydawało mu się, że między chwilą, kiedy runął na betonową podłogę, niezgrabnie uderzając w nią kolanem, a poderwaniem się z powrotem minęła wieczność. I całą tę wieczność pełzło ku niemu stworzenie z pustymi oczami i zakrwawioną twarzą dziecka.

Cofnął się, nie dlatego, że chciał, ale czysto odruchowo. Serce waliło mu w gardło, a ciało, nie bacząc na panujące w piwnicy zimno, pokryło się lepkiem potem.

Siergiejew zrozumiał, co się dzieje, lecz wpłynąć na proces czy zatrzymać go już nie mógł – cięciwę puszczono, strzała leciała do celu. Blokada, stworzona przez tych, którzy przygotowywali Agafię, zadziałała bez zarzutu, tak jak pułapka łamie kręgosłup nieostrożnej myszy, skuszonej apetycznym kawałkiem sera. Tylko że w tym przypadku myszołapka znajdowała się wewnątrz myszy, podobnie jak ser, a śmierć myszy została zawczasu zaplanowana przez koty, siedzące bezpiecznie tam, na północy.

Nie było już nic do stracenia, tak czy owak ją zabił. Zmieniając taktykę, Michaił pochwylił tę bezmyślną „gąsienicę”

w objęcia jak rybak walczący z ogromną rybą. Zęby dziewczyny zgrzytnęły tuż koło jego ucha, gorący oddech owiał szyję.

Z rozmachem cisnął ją na oślizgłą ławkę i przytrzymał z całych sił. Dygotała tak mocno, że Siergiejewowi zaczęły szczekać zęby.

Próbował uchwycić jej spojrzenie, lecz nie mógł– głowa Agafii miotała się z boku na bok. Dziewczyna wyła, krzyczała różnymi głosami, rozbryzgując pianę z ust. Wtedy przygniótł ją własnym ciężarem, przytrzymał głowę obiema rękami i zajrzał w bezdenne studnie oczu, na których dnie przelewało się coś ciemnego, bezmyślnego jak mazut.

– Agafia! – zawołał, lodowaciejąc z przerażenia i pojmując z absolutną jasnością, że przegrał ostatecznie. Wrażenie śmierci nadchodzącej w odległości oddechu było tak ostre, że wszystko dotąd

wydawało się rozdziałem z dziecięcej książki przygodowej. Zapewne z tego powodu, że świadomość samego Siergiejewa jeszcze minutę temu była otwarta na oścież – do tej pory nie sądził, że może odczuwać aż takie przerażenie.

– Miałam na imię Anastazja... – westchnęła dziewczyna na granicy słyszalności i znów zaczęła szczekać zębami.

Okręcone taśmą ciało było twarde jak kamień. Siergiejew miał wrażenie, że słyszy trzask rwących się mięśni. Smród chemii i fekaliiów stał się nie do wytrzymania.

– Żegnaj, kochanie – powiedziała znajomym już męskim głosem i w tym samym momencie jej korpus i głowa, nadal tkwiąca w dłoniach Siergiejewa, w niewiarygodny sposób szarpnęły się w przeciwne strony. Niegłośno, niczym wystrzał w leśnym gąszczu zabrzmiał trzask łamiących się kręgow – kamień w rękach Michaiła zmienił się w galaretę. W oczach Anastazji po raz ostatni zabłysło szaleństwo i... lampka zgasła, pokój, w którym żyła okaleczona dusza, pogrążył się w mroku.

Od bezwładnego trupa buchnęła taka fala smrodu, że Siergiejew zerwał się na nogi i zwymiotował obficie na martwe ciało, ławkę oraz podłogę.

Cóż mógł wyjaśnić Osyce? Opowiedzieć, że kiedyś przechodził szkolenie w zakresie technik mentalnych? Że takie same potwory jak ci, którzy okaleczyli to dziecko, kiedyś uczyły także jego?

Tak, teraz można to było powiedzieć – kogo interesowało, kim byłeś w poprzednim życiu? Nikogo. Dawne życie skończyło się w momencie, kiedy z hukiem pękła ściana Zbiornika Kijowskiego i miliony ton wody runęły w dół koryta rzeki, likwidując różnice między bogatymi a biednymi, szlachetnymi i podłymi, dobrymi i złymi, ludźmi i nieludźmi.

Łatwo było budować teorie, co więcej, był prawie stuprocentowo pewien, że są prawdziwe. Zbyt dobrze znał świat nieludzi, w którym niszczonego człowieka z powodu idei, pieniędzy lub dla zwykłego kaprysu dzierżących władzę.

Ale co można było wyjaśnić ludziom siedzącym z nim przy jednym stole?

Siergiejew wziął szklankę z wódką i wypił duszkiem, jak wodę.

– Nie powiedziała prawie nic – rzekł, patrząc przed siebie. – Ale starczyło, żebym się wiele domyślił. Pokój jej duszy!

– Zabiłeś ją? – wykrztusiła Tatiana, w oczekiwaniu odpowiedzi kurcząc się jak pod ciosem.

Michaił pokręcił głową.

– Nie ja ją zabiłem.

Maks zakaszczał i zwiesił głowę, unikając wzroku Siergiejewa.

– Nazywała się Nastia – powiedział Michaił cicho, lecz w zapadłym milczeniu te słowa zabrzmiały głośno. – Zdążyła powiedzieć. Tak napiszcie na krzyżu: Anastazja.

– Twoju mać... – wykrztusił Pirogow, podnosząc oczy pełne łez. – Toż to dzieci! Czy tak można, Siergiejew? Czy tak się godzi?

Nie rozumiał, że na Ziemi Niczyjej można wszystko.

Kiedy chłopcy, zaprogramowani przez Agafię, zahipnotyzowani jak ptaki przez węża, przyszli ją odbić, mało nie zginął z ich rąk. Jest taki gatunek ludzi, który nie może fizycznie podnieść ręki na dziecko. Siergiejew, na szczęście dla Pirogowa, nie należał do tej kategorii.

Jednego z chłopców, rannego w nogę, Siergiejew zdołał „oczyścić”. Drugiego przyszło zastrzelić, inaczej zginąłby Maks.

To był pierwszy przypadek pojawienia się dzieci Kapiszcza na Ziemi Niczyjej. Za Agafię– Anastazją rzeczywiście nadeszły kolejne. Pojawiały się w dalszych i bliższych koloniach, oznaczone tatuażami w kształcie swastyki – starożytnego znaku płodności i emblematu faszyzmu. Siergiejew wiedział o kilku osadach całkowicie zniszczonych przez dzieci i o jeszcze paru, które mocno ucierpiały. Każdego roku z północy szli nowi posłannicy, niosący chaos i śmierć.

Metody ich twórców stawały się coraz bardziej nowoczesne. Zniknął dziwny i nieprzyjemny zapach ciał, nauczyli się nie różnić od każdego innego podrostka, póki to było konieczne. A ich „legendy” stały się na tyle szczegółowe i kunsztowne, że nawet gdyby Siergiejew nie miał pewności, iż w sprawę zamieszane jest wojsko, po wysłuchaniu paru historii rozpoznałby pod projektem podpis bliźniaczo podobny do

podpisu jego byłego Biura.

Nie dziwiło go to, że Szpital zaatakowano. Raczej był zaskoczony, że dzieci Kapiszcza pojawiły się tutaj tak późno.

Kimkolwiek byli ci, którzy posyłali je do Strefy Wspólnych Wpływów (a Siergiejew miał nadzieję prędzej czy później spotkać się z nimi na wąskiej ścieżce), ich zamierzenia i cele eksperymentów były dostatecznie zrozumiałe. Spod określonej naukowej wartości metod programowania osobowości, które opracowywali na „bezpiecznym” materiale, ewidentnie wycierał czyjś zamiar zalania Ziemi Niczyjej idealnie posłusznymi agentami.

Zasoby pozostałe na tych terytoriach, jak by nie patrzeć, były ograniczone. Na ile jeszcze starczy tego, co zostawił po sobie Potop? Na dziesięć, piętnaście lat? Nawet jeśli brać pod uwagę niską liczbę ludności w SWW i niewielu przybyszów z zewnątrz. Nawet jeśli uwzględnić śmiertelność (nijak nie naturalną) i brak liczby urodzeń.

Kwestii zaopatrzenia nie rozwiąże się metodą kontrabandy, chociaż ta istniała, za milczącą zgodą wszystkich trzech zainteresowanych stron – to Siergiejew doskonale rozumiał. Gdyby ktoś powierzył mu ochronę granic Strefy, położyłby kres nielegalnemu handlowi w ciągu tygodnia.

Tu nie chodziło o szeroko zakrojoną interwencję, nie o zagarnięcie lokalnych stref zamieszkania za pomocą agentów, zdolnych do tworzenia mobilnych grup z dostępnego ludzkiego materiału. To był po prostu wojskowy eksperyment.

Przewerbować takich agentów i członków ich grup nie ma możliwości, ani ich wszystkich wyłapać. Takie nieoficjalne wojskowe badania, próby nowego rodzaju, nowoczesnej broni. Badania, podczas których nie trzeba mieć na uwadze bezpieczeństwa zespołu. Nikt nigdy niczego się nie dowie i nie udowodni.

A przecież ktoś pisze artykuły do mądrych pism naukowych, bez podawania detali przeprowadzonych eksperymentów, jedynie ukazując rezultaty. Mądre artykuły. Napisane skomplikowanym językiem, całkowicie niezrozumiałym dla niewtajemniczonych. Te artykuły są absolutnie amoralne i ich autorami są, rzecz jasna, całkowicie amoralni ludzie, ale nie wpływa to jednak na ich naukową wartość.

Skoro poprzednie władze miały sumienie wypróbować na własnych żołnierzach broń atomową, chemiczną i biologiczną, to co dopiero mówić o doświadczeniach na nikomu niepotrzebnych sierotach i wyrzutekach społeczeństwa?

Istny wzorzec miłosierdzia. Nic, tylko dawać order i premie za humanitarność badań.

Odkryć by to osie gniazdo! – pomyślał Siergiejew marzycielsko. Jest tutaj, w Strefie, na pewno przy północnej granicy.

Znaleźć i wypalić żywym ogniem. Nie poradzimy sobie sami z Milczkiem, to na pewno. Ale przecież Rabbi nie odmówi pomocy i w Kozackim Kureniu też wydzielił mi parudziesięciu ludzi. Najważniejsze, żeby się powstrzymać i tych chłopców w białych fartuchach z marszu nie powywieszać za jaja na drzewach. Chociaż po co się wstrzymywać? Może powieszenie za jaja i tak byłoby zbyt łagodne? Może należałoby wymyślić coś ciekawszego, jako ostrzeżenie dla innych?

Gorąca woda, w której się moczył, zamiast uspokajając, sprawiała, że krew w żyłach krążyła szybciej. Siergiejew złapał się na tym, że prawie nie słucha, co mówią Krasawicki i Goworowa. Wspomnienia o wydarzeniach w Kaniowie i śmierci Agafii nie należały do przyjemnych. Ale kto z obecnych ma przyjemne wspomnienia z ostatnich lat? Najwyżej całkiem odległe.

Na przykład z dzieciństwa. Albo te, które dotyczą czasów całkiem przedpotopowych.

Siergiejew uśmiechnął się mimowolnie na słowo „przedpotopowych”.

Przedpotopowe. Wszyscy oni są przedpotopowi. Jak mamuty. Jak dinozaury. Nawet Milczek. Najmłodszy z nich i najbardziej nieszczęsny. Wyrósł tutaj, za drutami. On nawet nie miał dzieciństwa – od razu wessała go walka o przetrwanie. Co miałby wspominać?

A może to dobrze, jeśli ma się mało wspomnień? – pomyślał Michaił. Nie ma z czym porównywać, a to znaczy, że nie ma czego zazdrościć? Ale Milczek pamięta ręce matki. Pamięta smak mleka, normalnego, niekonserwowanego jedzenia.

I to są dobre wspomnienia. On i tak wie, że życie nie było takie jak teraz. I cierpi z powodu jego niedoskonałości.

– Śpisz, łązo? – zapytała Goworowa głośno. – Ciekawe, w jakim miejscu mojego opowiadania zasnąłeś?

– Zasnąłem? – odezwał się Siergiejew. – Nie, Ira, nie spałem. Drzemałem tylko i wszystko słyszałem.

– Zostaw człowieka w spokoju – rzekł Krasawicki. – Najważniejsze, żeby nie utonął. Nie chcesz chyba utopić się w beczce, Siergiejew?

Milczek pogrążył się w wodzie po same oczy, a potem wypłynął i głośno parsknął, wypluwając szeroki wachlarz wody.

Widocznie wyobraził sobie Siergiejewa tonącego w beczce i ten widok wydał mu się śmieszny. Znów zanurkował, tym razem z głową, i po minucie ukazał się nad krawędzią – mokra, nierówno przycięta grzywka przylepiła mu się do czoła.

– Ira – odezwał się Siergiejew ugodowym tonem. – Ja naprawdę nie spałem, a dokładnie: nie całkiem spałem i jeśli coś przepuściłem, to tylko troszeczkę.

Goworowa nieoczekiwanie roześmiała się cicho i zapaliła następnego papierosa, od czego dokoła jej sylwetki na tle ciemnego okna pojawiła się na mgnienie czerwona aureola.

– Głupstwo. Jesteś zmęczony, Misza, rozumiem. Po prostu... Po prostu mi szkoda...

Wzruszyła ramionami, czysto po kobiecemu, i Siergiejew, chociaż nie widział jej twarzy, wyobraził sobie, że właśnie przygryzła wargę.

– Szkoda mi dzieci. I Edika, tego cholernego idealisty. Całą duszę im oddał...

– Mówiłem, że to się może zdarzyć – powiedział Siergiejew. – Nie jesteście pierwsi i, niestety, nie ostatni. Uwierz, Ira, mnie też to boli...

– Ile ich było? – spytał Krasawicki i odkaszlnął.

– Kogo? – Siergiejew starannie udawał głupiego, chociaż doskonale wiedział, o co pyta Timur, patrząc na niego spode łba.

– Tych, co buszowali. Zdaje się, że o to pytałeś, Misza? Kto tam u nas buszował? No to pytam: ile ich było?

Siergiejew ze zmartwieniem popatrzył na Milczka. Ten potrząsnął głową i pokazał Krasawickiemu cztery palce.

W pokoju zapadła cisza – tylko polana w palenisku trzaskały i drobne gałęzie postukiwały w szybę.

– Czyli nie wszyscy – powiedziała Goworowa zdecydowanie. – No cóż, jak rozumiem, wybawiłeś nas od części poważnego problemu. Ale druga część jeszcze biegnie po ruinach.

– Ta „łysa kocica" jeszcze żyje – potwierdził Michaił. – Była tam dziewczynka, ale nie pasowała do twojego opisu.

– Cholera, Marinka! – Twarz Krasawickiego wykrzywiła się żałością. – Edik miał taką nadzieję, że ją złapiemy i „wyczyścimy".

Spojrzał bezradnie na Goworową.

– Jak to tak, on jej szukał dniem i nocą...

– Dobrze, że nie znalazł – rzekł Siergiejew. – Bo już by Grinberga nie było wśród żywych. Ile ich jeszcze zostało?

– Troje. – Krasawicki potarł czoło, jakby chciał wymazać niechciane myśli. – Jeszcze troje. Warwara... I dwóch naszych wychowanków.

– Byłych – wtrąciła Irina. – Teraz są jej, a nie nasi.

– Uzbrojeni? – spytał Siergiejew.

– Myślę, że tak – odrzekł Krasawicki. – Przed odejściem zabrali broń.

– Widziałem. Ci, na których trafiliśmy, byli niezłe wyposażeni. Nie było wart przy magazynie?

– Jeden wartownik w ciężkim stanie – odparła Goworowa. – W pośpiechu go nie dobili. Drugiego pochowaliśmy.

– Wesoło tu sobie żyjecie, nie ma co.

– Pęknać można ze śmiechu. – Irina uśmiechnęła się niewesoło, gasząc w zaimprovizowanej popielniczce kolejny niedopałek. – Dobra, odmoczyliście się, to myć się, wycierać i na kolację. Pogadamy przy stole. Te dzieciaki to nasz problem i my powinniśmy go rozwiązać. A tobie dziękujemy za pomoc.

Ciekawe, na ile się zmienił rozkład sił, pomyślał Michaił, patrząc za wychodzącą Goworową. Wcześniej wszyscy patrzyli w Timura jak w tęczę – no i zresztą był, że ho ho! Szorstki, zdecydowany, odważny. Pewnie taki pozostał, ale dziś pierwsze skrzypce gra Ira. A Krasawicki nie stara się odzyskać pozycji lidera. Coś źle się dzieje w państwie duńskim...

Mydło było prawdziwe. Pachnące dawnymi czasami, pieniste, delikatne. Siergiejew namydlił się, stojąc na podeście z desek, umył plecy Milczkowi. Obaj wyglądali, delikatnie mówiąc, niereprezentacyjnie – cali w sińcach, zadraśnięciach i stłuczeniach. Siergiejew dodatkowo na ramieniu, akurat w miejscu szelki plecaka, miał niewielkie otarcie z kropkami popękanych naczynek dokoła. U Milczka widać było duże zadrapanie na boku – niegłębokie, ale długie i purpurowe, podobne do śladu bata.

Michaił pomacał kolano – było obolałe i nawet trochę spuchło, ale staw zginał się i rozginał bez pstrykania, co dawało nadzieję, że obrzęk zejdzie i obejdzie się bez większych przykrości. Ale jeśli, nie daj Boże, wda się zapalenie stawu...

Siergiejew wolał nawet o tym nie myśleć. Ile musiałby wtedy leżeć? Co najmniej dwa tygodnie. A czasu nie było.

– Pokaż zebra – poprosił Milczka.

Chłopak skrzywił się, lecz posłusznie uniósł łokieć. Krasawicki podszedł i posmarował skaleczenie antyseptykiem. Było paskudne, ale najważniejsze, że kości całe.

– A ty pokaż kolano – nakazał Timur. – Dawaj, dawaj, bohaterze. Pokaż. Przecież pamiętam, że zamiast rzepki masz zestaw lego.

Siergiejew się nie sprzeciwiał. Trudno, skoro doktor każe...

Krasawicki obmacał kolano, zgiął i rozgiął parę razy, a potem zawyrokował: – Dobra robota, aleja bym na twoim miejscu dał mu odpocząć. Tak z tydzień. Zostaniesz?

– Chyba we śnie – odparł Siergiejew z uśmiechem, naciągając spodnie. – Nie mam kiedy leżeć, Timur. Następnym razem obowiązkowo zostanę. Przywiozę wam lekarstwa i trochę się pogoszczę. Zrobiliście listę?

– Zrobiliśmy. Są spore potrzeby.

– Nie obiecuję wszystkiego, ale jak Bóg pozwoli, to uzupełnię wam zapasy.

– Dobry z ciebie człowiek, Siergiejew – powiedział Timur.

– Zwyczajny.

– Pewnie tak – zgodził się Krasawicki. – Ci zwyczajni też bywają różni. Już ja się w życiu napatrzyłem. Wiesz, kiedy człowiek pozostaje człowiekiem w nieludzkich warunkach, to cud. Przecież tutaj najważniejsze to żyć. No i wyżywają, jak mogą. Do tego, żeby być dobrym, niekoniecznie trzeba być świętym.

– Nie zdziwisz się, jeśli powiem, że świętych nie ma? – spytał Siergiejew. – Nigdy żadnego nie widziałem.

– Ja też nie – odrzekł Krasawicki. – Nie trafiło się. Nie ma ani aniołów, ani demonów. Jesteś dobrym człowiekiem, Misza, chociaż robiłeś w życiu rozmaite rzeczy.

– Dzisiaj pochowaliśmy z Milczkiem czworo. Czworo dzieci.

– A było inne wyjście?

– Było. Sami mogliśmy tam zostać.

– Czyli nie było innego wyjścia.

– To były dzieci, Timur.

– Anioły i demony – powtórzył Krasawicki. – Żal mi ich, Siergiejew. I Marinki, i chłopaków. Ale gdyby, nie daj Boże, ciebie zabili, oplakiwałbym twoją śmierć bardziej gorzko. Nie powiem ci, że masz się nie przejmować. I tak będziesz się obwiniał, bo inaczej nie potrafisz. Mnie oczywiście żal, ale szczególnie ciebie, Misza.

– Dzięki – powiedział Michaił. – Mnie też żal, Timur. Ty rzniesz, żeby ratować. I ja rznę, żeby ratować. Ale różnicę między tym, co obaj robimy, widać gołym okiem.

Uśmiechnął się smutno i podniósł plecak z podłogi.

– Nie nadaję się dzisiaj do psychoanalizy. Krew i błoto już zmyliśmy. A gdzie tu u was karmią grono

chirurgów?

Milczek stanął obok, czyściutki i różowy – wyglądałby jak pokazowy grzeczny chłopiec, gdyby nie czujne spojrzenie ciemnych oczu, wlepionych w Krasawickiego.

– Tak... – Timur potarł dłonią czoło, a potem zaczerwienione oczy. Widać było, że on też leci z nóg. – Psychoanaliza faktycznie psu na budę. Rozmowa ci jest potrzebna, ale... Twoja sprawa. Zaproponowałem ci rękę, a jak zechcesz skorzystać, to jestem do dyspozycji.

– A serce? – zapytał Siergiejew z poważną miną. – A serce również?

– A niechże cię! – Krasawicki machnął ręką z uśmiechem. – Trzeba cię koniecznie nakarmić. Poczucie humoru masz tak samo zagłodzone, jak sam jesteś. Obejdiesz się bez serca. Czy z tobą w ogóle można poważnie rozmawiać?

Wyszli na korytarz i skierowali się ku schodom wiodącym do suterenu. Młodziutka pielęgniarka i jej wielbiciel odprowadzali ich spojrzeniami. W salach było spokojnie i cicho, za to na schodach dały się słyszeć wzburzone głosy. Kilka męskich (w jednym Siergiejew natychmiast rozpoznał falset Grinberga) i jeden żeński – melodyjny i gromki głos Iry Goworowej.

– Co się tam dzieje? – zainteresował się Timur, jakby Michaił mógł odpowiedzieć na to pytanie. – Co się tam dzieje, co?

Milczkowi hałas też się nie spodobał. Siergiejew zauważył, że chłopak się spiął, a jego lewa ręka legła na bocznej kieszeni plecaka, gdzie zawsze nosił zdobyczny rewolwer. Ten krótkolufowy ogryzek doskonale się nadawał do walki na bliski dystans i Milczek świetnie potrafił się z nim obchodzić.

Zauważywszy ruch chłopca, Michaił lekko pokręcił głową: „Nie trzeba” i Milczek posłusznie cofnął rękę.

W holu, trzydzieści lat temu wyłożonym tanimi płytkami, rzeczywiście działo się coś niepokojącego. Nie niebezpiecznego, o tym nie było mowy. Przy drzwiach wejściowych ktoś leżał na wznak, a dokoła krzatali się ludzie.

W półmroku widać było dziwny, krótkolufowy karabin z odłączonym magazynkiem, a sam magazynek wałał się u podnóża schodów.

Kiedy podeszli, okazało się, że na wznak leży człowiek ubrany w kosztowny zimowy wariant ochronnego „kameleona”

rosyjskiej produkcji. Twarzy nie było widać z powodu słabego oświetlenia i kaptura. Po podłodze pełzł ciemny wężyk krwi, a obok, niczym oderwana ręka, leżała rękawiczka. Nad rannym krzatali się Ira i jeden z wartowników.

Grinberga nie było widać – zapewne pobiegł po pomoc. W korytarzu niosło się echo szybkich kroków. Krasawicki na widok rannego zareagował jak pies Pawłowa. Zdziałyły odruchy: bieć i ratować. W ułamku sekundy był już przy Goworowej – gdzie się podziało jego zmęczenie?

Siergiejew z Milczkiem podeszli jeszcze bliżej. Strażnik ponownie stanął przy drzwiach, z karabinem w pogotowiu.

Z półmroku wyskoczył Grinberg, a za nim jakiś zaspany facet po trzydziestce, który Michaiłowi wydał się mętnie znajomy.

Grinberg mimochodem kiwnął Siergiejewowi głową, ale nie mieli czasu na powitania. Sądząc po rosnącym strumyku krwi, rana była poważna.

Krasawicki z Goworową przewrócili ciało, głowa rannego opadła bezwładnie. Twarz zakrywała mu dziergana „omonowka” z fabrycznie obszytymi owerlokiem otworami na oczy i usta. Ran było kilka: postrzałowe uda i lewej nogi, szczególnie mocno krwawiło udo, ale przynajmniej nie fontanną, co oznaczałoby uszkodzenie tętnicy. Z ramienia sterczał zaostrzony pręt i Michaił po chwili rozpoznał w nim elektrodę. Kurtka dokoła nasiąkła krwią jak bibuła.

Krasawicki zaklął półgłosem. Zatrzeszczała rozcinana tkanina.

– Ostrożnie! – zawołał Grinberg.

– Zajmij się nogą! – burknęła Goworowa z rozdrażnieniem.

– Spokój! Nie pchaj się! – To już Timur. – Cholera, krwotok. Gdzie nosze? Nie zaceruj tego na kolanie!

Znów Grinberg: – Zaraz będą! Ira, co z ramieniem?

– Na wylot, mocno się przesącza, ale rana zamknięta. Tylko z tej pałki sypie się jakieś gówno.

Po korytarzu galopem przemknęło dwóch silnych chłopaków z noszami na kółkach. Za nimi, niespodziewanie szybko przewalając się z boku na bok niczym niedźwiedzica na tylnych łapach, szła gruba kobieta w białym fartuchu, z włosami związanymi w ogonek.

– Aha! – powiedział Krasawicki już spokojniej. – Dostawa pizzy! Która operacyjna gotowa, Lariso Matwiejewno?

– Dwójka.

– Świetnie! Raz– dwa, bierzemy!

Na podłogę upadła jeszcze jedna rękawiczka. A potem Ira zdjęła rannemu balakławę i Siergiejew mało nie zaklął na głos.

Na noszach, straciwszy od utraty krwi swój normalny oliwkowy odcień skóry, leżał nieprzytomny nie kto inny jak Ali Baba.

Właśnie dla niego Siergiejew taszczył przez czterysta kilometrów hermetyczny, przypominający termos pojemnik, zawierający śmiertelnie niebezpieczny srebrzysty proszek. Właśnie on miał dostarczyć na Ziemię Niczyją największy ze wszystkich dotychczasowych ładunek medykamentów i sprzętu. I właśnie jego krew kałużą rozlewała się po posadzce westybulu.

Oż kurwa, pomyślał Siergiejew.

Nosze potoczyły się korytarzem.

---

6 Wolf Grigoriewicz Messing – radziecki jasnowidz żydowskiego pochodzenia o rzekomych zdolnościach telepatycznych.



**B**linów pojawił się w Kijowie dopiero z początkiem lipca.

Do tego czasu miało się wrażenie, że Władimir Anatoljewicz po prostu wyparował, dostąpiwszy życia w eterze jak istota wyższego rzędu, niezależnie od dalece nieetycznej budowy ciała.

Nikt, w każdym razie nie oficjalnie, nie wiedział, gdzie on się podział. Wyższe sfery plotkowały, kierownictwo partii zachowywało grobowe milczenie, powstrzymując się od komentarzy. Postępowanie towarzyszy partyjnych było całkowicie zrozumiałe, po co mleć ozorem, skoro trzeba człowieka ukryć? Jednak otwierało to drogę nieokiełznanej fantazji zarówno w poselskich, jak i okołoposelskich kręgach. Dziennikarze z bulwarówek ryli ziemię zajadle, niczym wieprze w poszukiwaniu trufli, ale poza naciąganyymi i nieprawdopodobnymi teoriami, zapewne wymyślonymi po paru kieliszkach lub paru białych kreskach, nie wykopali niczego. Jednak Siergiejewowi ich ciekawość mocno dała się we znaki.

Będąc człowiekiem zupełnie niepublicznym zarówno z natury, jak i z powodu profesji, czuł się jak gimnazjalistka, której na pierwszym w życiu balu wypadł biust z dekoltu.

Zamachy, przy czym dwa pod rząd, narobiły takiego szumu, że Siergiejew przez początkowe parę tygodni był „panną na wydaniu”. Opędzać się od pismaków było stosunkowo łatwo, zwłaszcza że Wika porzuciła w tej kwestii solidarność zawodową i jak lwica broniła Michaiła przed ciekawskimi kolegami.

Nieoczekiwanie dla Siergiejewa generał Kosorotow zaczął na niego spoglądać z pewnym niepokojem. Kto i co mu nagadał, czy było to związane z romansiem z Płotnikową, o którym wiedział już cały Kijów, czy też z wydarzeniami w Teofanii i Boryspolu, w każdym razie szef podczas osobistych spotkań i na naradach łypał na Michaiła okiem niczym kobyła czująca wilka.

Ogólnie generał miał się czego bać: Płotnikowej mało kto uchodził nieoskubany, a powszechnie znany związek jego zastępcy z najsłynniejszą dziennikarską skandalistką, jego osobistym wrogiem, nie dodawał Kosorotowowi optymizmu.

A do tego jeszcze przyjaźń Siergiejewa z jedną z czołowych osobistości wszechmocnej NDPU czyniła go całkiem realnym pretendentem do pierwszego fotela ministerstwa. A do fotela owego generał przywiązał się całą duszą, a raczej tym miejscem, które do siedzenia służy.

Kosorotow czuł się jak samotny rycerz w kręgu wrogów – zajmował swoje stanowisko jako przedstawiciel partii Wiec, należącej do byłego premiera, a pan Kononienko już od lutego przebywał nie w świetlistym pałacu władzy, nie w szeregach parlamentarnej opozycji, ale w imigracyjnym więzieniu miasta San Francisco.

Partię Iwana Pawłowicza rozebrali na części zamienne byli wierni sojusznicy, przy czym, wbrew prognozom pesymistów, największy kawałek o nazwie Blok Wybór Regionalny przechwyciła Regina Siergijenko, która nagle wleciała na niezwykle wyżyny. W tym Reginie Nikołajewnie pomogły marna pamięć i doświadczenie w kontaktach z dziennikarzami oraz bardzo poważne ustępstwa w sferze



biznesowej. Z boku takie wycofanie z propremierowskich pozycji wyglądało może niezbyt moralnie, ale w polityce nazywa się to nie zdradą, lecz dalekowidztwem. W ślad za Reginą podobny numer odstawilo wielu graczy z drużyny Iwana Pawłowicza, wcześniej uważających ochłap rzucony ze stołu premiera za szczęście, ale...

Wystawiać partnera należy z klasą, a do tego nie wszyscy mają talent. To, co u pani Siergijenko wyglądało na manewr wojskowy zabezpieczający genialne przeorientowanie pozycji na linii frontu, u pozostałych – jak haniebna ucieczka.

I gdyby Iwan Pawłowicz miał do dyspozycji „zagradotriady”[7], dawni sojusznicy nie mieliby najmniejszych szans na dezercję.

I tylko pojedynczy, osobiście oddani Kononience ludzie pozostali pod opuszczonymi sztandarami ekspremiera, raczej z mglistą nadzieją na wdzięczność po jego powrocie, niż licząc na realną działalność polityczną.

Jednak Siergiejewa Kosorotow mógł się obawiać w ostatniej kolejności. Odwrotnie, gdyby generał zadał sobie trud i pomyślał, powinien uważać Michaiła Władimirowicza za swojego dobroczyńcę. Gdyby nie obecność Siergiejewa, Płotnikowa dawno rozerwałaby go na kawałki.

Tematu generalskich geszeftów z gruntami MSN Siergiejew i Wika podczas spotkań nie podejmowali – miejsce pracy Michaiła było terytorium neutralnym, gdzie nie prowadzono działań zbrojnych.

Ze strachu (albo ostrożności) Siergiejewowi przestano zlecać część pracy administracyjnej, nie wysyłano go na delegacje i nie pozwalano mu wnikać w sprawy bieżące. Jego praca jawnie zaczęła się przekształcać w synekurę – bez dostępu do informacji, bez jakiegokolwiek odpowiedzialności, za to z niezłą pensją, premiami i wszelkimi atrybutami wielmożności.

Łącznie z osobistym kierowcą o gębie szpicla, wożącym go wszędzie ciemnoniebieskim volvo 960 i naturalnie meldującym Kosorotowowi o wszystkich ruchach Michaiła Władimirowicza. Do kompletu była też kształna, krowiooka sekretarka w spódniczce krótkiej jak dziewicza pamięć, nieustannie robiąca Michaiłowi otwarcie nieskromne propozycje.

Gapiała się na Siergiejewa jak mysz na ser i ciągle oblizywała jaskrawo uszmińkowane, pełne wargi. Wyzywająca seksualność w niczym nie przeszkadzała jej w pisaniu raportów o gościach szefa i, jak zauważył Siergiejew, w podsłuchiowaniu niektórych rozmów telefonicznych.

Kosorotow, codziennie otrzymujący te materiały, nie wymyślił nic lepszego, jak zawalić Siergiejewa bezmyślną robotą, i chowając rozbiegane oczy, osobiście zlecił Michaiłowi opracowanie koncepcji i napisanie raportu dla prezydenta o stworzeniu specnaz MSN.

Dekret, przygotowywany w administracji prezydenta, był analogiczny do rozpatrywanego w rosyjskiej Dumie. Sęk w tym, że własna struktura siłowa pozwalała czuć się całkowicie bezkarnym.

Siergiejew był głęboko przekonany, że taki pododdział był potrzebny ministerstwu jak psu piąta noga. Równie dobrze można by utworzyć specnaz przy Ministerstwie Edukacji. Jednak Michaił uważał, że spory z kierownictwem są bez sensu, więc pisał raport starannie i powoli, z prędkością stu znaków na dzień. Ale pisał.

W jego gabinecie stał nowoczesny laptop podłączony do grubej jak baobab osobnej linii, świat był ogromny, a zainteresowania Siergiejewa różnorodne, sekretarka robiła niezłą kawę, a w skrzyneczce na biurku nie brakowało papierosów i cygar. I co najważniejsze, Siergiejewa nikt nie niepokoił. Szczerze powiedziawszy, dni mijały niezauważalnie, a Michaił Władimirowicz nie miał się kiedy nudzić.

Tak więc tygodnie pomiędzy wydarzeniami majowymi a ponownym objawieniem się Placka w stolicy przeszły praktycznie nie wiadomo kiedy.

Kijów dusił się, rozpływał i tracił kształt, jak meduza wyrzucona na brzeg morza. Gorąca mgiełka wisiała nad drogami i trotuarami. Termometr pokazywał trzydzieści stopni w cieniu, asfalt się topił, kijowianie, którzy utknęli w potwornych korkach, zdejmowali koszule we wnętrzach rozpalonych aut i wylewali sobie na głowy ciepłą wodę mineralną z plastikowych butelek.

Część mieszczuchów niczym hipopotamy zanurzała się po same oczy w ciepłej wodzie Dniepru, inni siedzieli w domach, za szczelnie zaciągniętymi zasłonkami. Ci, którzy musieli chodzić do pracy, starali się przemieszczać po mieście metrem – tam jeszcze dawało się jakoś oddychać.

Bogatsi obywatele nie cierpieli z powodu upału. Za przyciemnionymi szybami samochodów klimatyzatory pracowały z pełną mocą, w domach i mieszkaniach działały systemy odświeżania i ozonowania powietrza, podobnie jak w biurach.

Upał oczywiście przeszkadzał, ale tylko trochę. Nie dusił, jedynie dawał o sobie znać. Tam, za przyciemnianymi szybami, ale nie bliżej. Gorąco nie mogło zepsuć śnieżnej bieli koszul od Cardina, nasączyć zapachem potu sukienek od Versace i garniturów od Helmana.

I chociaż Kijów zaczynał ciężko dyszeć już od dziesiątej rano, niektórzy jego mieszkańcy pozostawiali świeży i pachnący drogimi perfumami do samego wieczora.

W gabinecie Sergiejewa pełną parą pracował biały Samsung i wdzierające się przez żaluzje słońce trafiało na powierzchnię stołu już nieco przymrożone strumieniem zimnego powietrza. Wentylator laptopa brzęczał cicho jak nieśmiały komar, z poczekalni dolatywało syczenie ekspresu i zapach świeżej kawy. Takie chwile godziły Michaiła z jego pracą – słowo „synekura” stawało się ciałem.

Sergiejew odebrał telefon od Placka siódmego lipca, dokładnie o dziesiątej trzydzieści jeden, w czasie sączenia trzeciej filiżanki kawy.

Po głosie nadziei nacjonal–demokracji można było poznać, że nadzieja nie lubi upałów, męczy się i nie może znieść nawet krótkiego przebywania w tak niehumanicznych warunkach.

– To ja – jęknął Placek do mikrofonu. – Dopiero co przyleciałem i jadę do miasta. Mój Boże, Sergiejew, jak tu u was gorąco!

Sądząc z tonu, Blinów, ledwo przestawiając opuchnięte nogi, właśnie włókł się po pustyni i wznosił zaczerwienione oczy ku rozpalonemu niebu koloru indygo, a nie rozpierał się na skórzanych siedzeniach luksusowego auta mknącego po Trasie Boryspolskiej z włączoną sygnalizacją pierwszeństwa przejazdu.

– Miło cię słyszeć, Wołodia – powiedział Sergiejew dość chłodno. – Witamy z powrotem.

Oczywiście, Sergiejew domyślał się, gdzie przepadł Placek, nie trzeba było mieć do tego szczególnych zdolności detektywistycznych. A już po telefonie Raszyda trzy tygodnie temu tajemnica stała się dla Michaiła całkiem jasna, chociaż Rasz nie powiedział ani jednego zbędnego słowa i zachowywał się jak pierwszorzędny konspirator.

Sergiejew nie obraził się, że Rasz i Placek ukrywają przed nim położenie tymczasowego schronienia, to byłoby głupie.

Nie wiadomo, kto mógł podsłuchiwać jego komórkę. Jednak nie opuszczało go niejasne wrażenie, że szkolny przyjaciel narozrabiał i schował się, pozostawiając go sam na sam z potencjalnymi nieprzyjemnościami.

– Też się cieszę – powiedział Blinów. – Co u ciebie?

– Żyję.

Blinów roześmiał się i syknął z bólu.

– Oj, nie rozśmieszaj mnie, żebra nadal bolą. Jakie plany?

– Rozległe – odparł Sergiejew tak samo lakonicznie.

– A wiesz, co ja myślę? – zapytał Blinów, nie zauważając ironicznego tonu. – Może posiedzimy u mnie na dacy? Jeszcze nie jestem za bardzo mobilny. Przyślę po ciebie samochód...

– Lepiej czołg – powiedział Sergiejew, nie zmieniając intonacji. – Albo opancerzony transporter. Byłbym spokojniejszy.

Placek znów zachichotał, zajęczał i poprosił żałośnie: – Przestań! Boli mnie, mówię. Poważnie, Umka. Musimy porozmawiać. Rasz też ze mną przyleciał. Ty co, obraziłeś się?

– Dlaczego miałbym się obrażać?

– No ja myślę, że nie! Jestem twoim dłużnikiem, Umka. Poważnie!

– Dobrze, że nie mówisz: „Proś, o co chcesz!”

– Proś, o co chcesz – powtórzył Blinów. – A jeśli będzie to w moich siłach, ja to zrobię.

– No nieźle. Robisz za złotą rybkę?

– Przecież ci powiedziałem, że nie żartuję!

Gdyby tę rozmowę słyszał Kosorotow, pomyślał Sergiejew, dostałby zawału. Albo udaru. Albo wszystkiego naraz.

– Daj spokój, Placek, co ja takiego zrobiłem?

W słuchawce zaszeleściło i rozległ się głos Raszyda. Słodki jak melon i przymilny jak szept derwisza.

– Umka, czemu drażnisz Wołodię? Jemu nie wolno się denerwować. Lekarze wypuścili go na naszą odpowiedzialność, moją i twoją!

Mówił z lekkim wschodnim akcentem, dokładnie takim, jakim wyobrażają go sobie ludzie, którzy nigdy nie byli na Wschodzie. Niczym Abdullah z „Białego słońca pustyni”.

– Przyjedź – ciągnął Rachmetułojew. – Posiedzimy we trójkę. Mamy o czym pogadać, uwierz. Jeśli jesteś bardzo zajęty, to powiedz, poczekamy.

Czując się jak panna na wydaniu, do której przyszli natrętni swaci, Siergiejew się zgodził. W słuchawce ponownie odezwał się Blinów, o wiele bardziej rzeczowy i ogarnięty niż przed chwilą.

– Gdzie jesteś?

– W ministerstwie, a niby gdzie?!

– Wysłałam samochód. Zadzwoń do ciebie Wasiliewicz i powie, jaki to wóz i gdzie będzie czekał. Już się cieszę, że cię zobaczę! Ten Rasz, co? Namówił cię w mgnieniu oka! Prawdziwy człowiek Wschodu!

– Wschód to delikatna sprawa – odpowiedział banalnym cytatem Siergiejew i złapał się na naśladowaniu mentorskiego tonu Ichneumona.

To właśnie on tak mówił: „Wschód to delikatna sprawa!” – i dziwnie poruszał przy tym nosem. Gdyby zrobił tak kto inny, kadeci śmialiby się do rozpuku, a patrząc na Ichneumona, nikt nie miał na to ochoty. Zupełnie. Ichneumon nie skłaniał do żartów z własnej osoby.

Siergiejew poruszył nosem i mu się udało!

– Co racja, to racja – powiedział Blinów. – Dziś w ściśle męskim gronie, bez bab. Kondycja mi jeszcze nie pozwala.

A i rozmowa będzie poważna, a biznes i baby źle się komponują.

Dyplomata, pomyślał Michaił. Cwaniura! Machiavelli. Tak się nawyginać, żebym tylko przyjechał sam!

A głośno powiedział: – Już zrozumiałem, że dzisiaj będziemy tylko we trójkę.

– Dokładnie. Szkoda, oczywiście. Obiecywałem przyjąć Rasza po ludzku, ale to dopiero za jakiś miesiąc, nie wcześniej.

Mam jeszcze szyny na ręce i nodze. I chodzę z laseczką, jak Komandor. Jak tam Wika? – wyrzucił na jednym oddechu.

– W porządku. Nie mogę powiedzieć, że za tobą tęskniła, ale uciesz się, że jesteś żywy i zdrowy.

– Przekaż jej ode mnie pozdrowienia. I powiedz, że pierwszy wywiad na ojczystej ziemi dam jej!

– Nie wyobrażasz sobie, jak się ucieszysz! – powiedział Siergiejew z emfazą.

– Nie wyłośliwiał się! Pewnie, że się ucieszysz. *Exclusive!* Sidorczuk, ja i ona! A świat niech poczeka. Dobra, Wasiliewicz do ciebie zadzwoni! Czekamy!

Przyjechał z nim Rasz... – pomyślał Siergiejew, odkładając komórkę. Czyżby po moją głowę? Bez względu na ryzyko, nie patrząc na to, że według Blinowa to właśnie on odkupił ten sam kontrakt, przez który Placka dwa razy mało nie wykończyli. Nie powiem, że to postępek szaleńczo odważnego człowieka, ale taka wycieczka nie jest też zbyt racjonalna.

Rachmetułojew bardzo czegoś tutaj potrzebuje, skoro przyjeżdża do kraju, gdzie go oczekuje kupa nieprzyjaźnie nastawionych handlarzy bronią, których, można rzec, porzucił... Chociaż nie, rzucił ich raczej Blinów. Po prostu w takich sytuacjach obrażona strona się nie ceregieli – rozwalają cały łańcuszek, innym na przestroagę. Trzeba będzie zasięgnąć informacji, czy żyją jeszcze Bazylewicz i Kuźmienko, którzy według Placka dogadywali się w tej sprawie ze stroną poszkodowaną. Komu jak komu, ale im trudno zazdrościć. Niewykluczone, że już gryzą piach. A jeśli nie, to ciekawe, jak im się udało wykręcić?

Blinów zaliżał rany i wrócił do ojczyzny. Prawdopodobnie żeby przyjąć walkę. W biznesie takiego rodzaju nie może być za długo nieobecny. Zbyt duże straty z powodu zerwanych transakcji i kontaktów. Ci, co celowali w Blinowa, wiedzieli, co robią. Gdyby zabili Władimira Anatoliewicza albo poranili tak ciężko, że wypadłby z interesów na czas dłuższy, struktura zbudowana na prywatnych kontaktach i osobistym zaufaniu runęłaby jak domek z kart. Nie łańcuszek między sprzedawcą a klientem – nie ma co się martwić, kupujących jest dużo. Łańcuszek wewnątrz kraju – między biznesmenami z armii, biznesmenami z polityki,

biznesmenami ze świata kryminalnego... Zerwałby się niewątpliwie, związki niepewne zostałyby wypalone ze wszelką surowością i na jego miejscu powstałby inny, lub kilka innych, ale w nich dla Blinowa już nie byłoby miejsca. I wszystkie te kontakty oraz osiągnięcia, które teraz mu się należą, musiałyby odbijać zbrojnie.

Dlatego też Placek wrócił. Zagipsowany, kulawy jak Hefajstos. Hefajstos był bogiem, wielkim mistrzem – kowalem, mężnym wojownikiem i wytwórcą broni. Blinów oczywiście nie dorównywał greckiemu bogu, ale bez wątpienia był człowiekiem odważnym.

Zlecenie na niego szczerze opłacono, ale nie zostało wypełnione, a to pociągało za sobą szereg konsekwencji, letalnych albo dla Blinowa, albo dla tych, którzy wzięli pieniądze za jego likwidację. Włączając w to pośredników. Trzecie wyjście nie istniało. Dlatego problem wymagał szybkiego rozwiązania i kwestią było tylko, kto kogo wyprzedzi. W takiej sytuacji nie można zwlekać ani chować głowy w piasek. Pod skrzydłami Rasza Blinowa było trudno dosięgnąć. Nie żeby całkiem niemożliwie, ale straszliwie trudno, drogo i ryzykownie.

Ale Placek nie zamierzał przecież przez całe życie siedzieć u Rachmetułowjewa? Mają wspólne interesy, i na Wschodzie lubią gości, ale przecież nie aż tak! I wcześniej czy później Władimir Anatoljewicz powinien wrócić. Ci, którzy czekali na Blinowa, czekali w domu, nie pchali się za nim na obczyznę, ale cierpliwie liczyli godziny do spotkania.

Wszystko wskazywało na to, że Raszowi i Blinowowi potrzebny jest zaufany człowiek, niezamieszany w ich porachunki, za to stuprocentowo pewny i bez kompleksów. Taki, który osłoni, jeśli trzeba, i sam się obroni, jeśli go przycisną, i w razie potrzeby ruszy głową. Rasz takiego człowieka dostrzegł w Sergiejewie kto wie czy nie wcześniej od Placka. Ci dwaj byli sobie warcii!

Z całą pewnością będą go dzisiaj werbować, bezczelnie i bez ogródek. Nie mają czasu na ceremonie i łagodne podchody. Będą kupować za dużą forszę. Za dowolnie dużą, gdyż nieboszczykom pieniądze są niepotrzebne.

Sergiejew uśmiechnął się niewesoło, dopił wystygłą kawę jednym łykiem i zapalił papierosa. Na ekranie laptopa migały banery.

Duże pieniądze oznaczały dla Sergiejewa duże ryzyko, choć do niego był przyzwyczajony. Michał pomyślał nie o pieniądzach, ale o Wice i Marince, którą Wika nadal trzymała z dala od niego, i pokręcił głową.

– Jeszcze kawy, Michaile Władimirowiczu?

Zza uchylonych drzwi kusząco spoglądała na niego krowiooka sekretarka Nila – Neonila Iwanowna. Dla wzmocnienia propozycji w drzwi został wstawiony także biust, szczerze wydekoltowany z powodu upału. Tułów Neonili był skierowany w stronę Sergiejewa pod takim kątem, że przez wycięcie sukienki widać było nawet brak bielizny.

Z nastaniem lata Sergiejew przekonał się, że jego sekretarka jest w rzeczywistości brunetką.

– Dziękuję, Neonilo Iwanowno – odrzekł Michał oficjalnym tonem. – Jeszcze filiżankę i szklanek zimnej borżomi.

– I to wszystko? – zapytała zalotnie Niloczka, oblizując się jak kotka, która dopiero co zjadła tłustą mysz.

– Wszystko.

– Że też pan może pić tyle wody w ten upał? – zagaiła Neonila Iwanowna. – Ja w ogóle nie piję, a cały czas się pocę. – Niloczka poruszyła ramionami z cygańską gracją, od czego jej pochylony biust zakołysał się jak kule do burzenia ścian. – A wpraszać się do pana pod prysznic jakoś nie wypada...

Sergiejew posłał jej karcące spojrzenie.

Gdzie ich teraz uczą? Czy to może wrodzony talent? Jak u Władimira Siemionowicza: „Tam agentki wabią seksem, lepiej spokój sobie daj, w razie czego mów, że z seksem już uporał się nasz kraj”[8].

Jakim idiotą musiałyby być, żeby dać się złapać na tak prymitywną przynętę? Toż ona rozłoży nogi na kanapie, a pomiędzy jednym a drugim orgazmem z dziecięcą naiwnością poprosi, żeby się nie kręcić, bo fotograf nie może złapać ostrości.

Profesja schodzi na psy... Michał przypomniał sobie Ritę, wykładającą na kursie specjalnym. Zgrabną,

wysoką, przypominającą geparda sposobem trzymania głowy i sprężystym, czujnym krokiem, i nawet tym, jak prostowała plecy, wychodząc z audytorium.

Była zadziwiająco przystojna, pociągająca seksualnie, szczególnie dla nich, kadetów pozbawionych damskiego towarzystwa. I jednocześnie, przy całej swojej wyzywającej zmysłowości, zimna niczym śniegi Kilimandżaro i niedostępna jak jej szczyt. Oszalały na jej punkcie jak kot od waleriany Kędzierzawy, wierząc w swoją atrakcyjność, spróbował ją poderwać, ale...

Co powiedziała mu Rita, nikt nie słyszał. A Kędzierzawy do samej śmierci nie pisał na ten temat ani słowa. Tak więc kwestia podrywu padła natychmiast. A na widok Rity Kędzierzawy kurczył się i odwracał wzrok. Przystojniaczek, łamacz serc niewieścich był cichszy od wody i niższy od trawy, jak skarcony kociak.

Już po dyplomie Siergiejew dowiedział się, że Rita była doktorem nauk, profesorem psychologii, specjalistą od wzajemnych stosunków obu płci. A do tego jedną z najlepszych agentek terenowych jeszcze za Andropowa. I oczywiście nie miała na imię Rita, a lat miała wtedy...

Generalnie, gdyby Kędzierzawy się dowiedział, nigdy w życiu by nie uwierzył.

A Neonila... Neonila to współczesny ersatz. Dwójkowa uczennica. Te wszystkie sztuczki typu cycki na wierzch, nogi w szpagat nie były warte jednego spojrzenia Rity rzuconego mimochodem, jednego ruchu jej głowy. Chociaż na „nowych Ukraińców” to wystarczy. O jakich tu mówić subtelnościach? W końcu ten cielesny szturm na kogoś działa. Każde czasy mają swoich bohaterów!

– Po prostu kawa, Neonilo Iwanowno – powtórzył Siergiejew. – Niebawem wychodzę, może pani wtedy skorzystać z prysznicza.

– Dziękuję, Michaile Władimirowiczu!

Drzwi się zamknęły.

– Proszę bardzo – powiedział Siergiejew, odwracając się.

I wtedy zadzwonił telefon. Michaił odebrał.

– Pan Siergiejew? – zapytał nieznajomy męski głos.

Siergiejew automatycznie spojrzał na zegar – wciąż jeszcze działał u niego wojskowy nawyk zapamiętywania czasu telefonu. Była dziesiąta pięćdziesiąt, od chwili rozmowy z Blinowem minęło dziewiętnaście minut, mógł to być zapowiadany Wasiliewicz. Jednak głos Wasiliewicza Siergiejew pamiętał. To nie był Wasiliewicz. Głos nieznajomy, sądząc z braku gardłowego „g” – akcent nie południowy. Wymowa rosyjska. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie numer, pod który ten człowiek zadzwonił.

Michaił, który szybko przejmował od urzędników zwyczaje pożyteczne w kijowskim środowisku, miał cztery telefony komórkowe – na wszelkie wypadki życiowe. Jeden z nich, tak zwany numer powszechnego użytku, rozdawał na lewo i prawo, demonstrując demokratyczność i zbliżenie z narodem. Faktycznie ten numer był wyłączony i dzwoniących przełączało do „skrzynki”, gdzie ich wiadomości przepadały bez śladu, z nielicznymi wyjątkami.

Druuga komórka była niedostępna dla szerszej publiczności i zapewniała kontakt z zastępcą MSN przez osobistego sekretarza lub kierownicę. Sam Siergiejew nigdy nie odpowiadał dzwoniącym pod ten numer, ale Niloczka i jego szofer starannie „dokumentowali” abonentów i przedstawiali Michaiłowi Władimirowiczowi szczegółowe raporty. Kopie szły do Kosorotowa albo, co niewykluczone, jeszcze dalej – do miejscowego Biura. Do niektórych z tej listy Siergiejew oddzwaniał, do większości – nie.

Trzeci numer znali tylko ci, z którymi Siergiejew podtrzymywał bliskie kontakty służbowe lub pozasłużbowe. Numer ten był zastrzeżony, otrzymujący go prawie nigdy nie przekazywali go innym – to nie tylko w złym tonie, to także rażące naruszenie etyki. Odbierał sam Siergiejew. Pod ten numer dzwoniła sekretarka, jeśli należało szybko odszukać Michaiła; na niego przełączano pilne telefony do biura w czasie nieobecności Siergiejewa. Właśnie ten numer był znany Blinowowi, który dzwonił pod niego w drodze z lotniska.

A czwarty...

Czwarty powinno mieć najwięźsze grono. U niektórych ludzi taki numer znało pięć, u innych – dziesięć osób.

U Siergiejewa krąg był najmniejszy z możliwych i zawierał tylko Płotnikową.  
Jednak głos bez południowego akcentu dobiegał właśnie z tej komórki.

– Pan Siergiejew?

– Tak – powiedział Michaił prawie bez pauzy na zastanowienie. – Tu Siergiejew. Słucham pana. Z kim mam przyjemność?

W słuchawce rozległ się zdławiony śmiech.

– Nazywam się Nikołaj Nikołajewicz. Nazwisko Kasperski. Jeśli to panu coś mówi.

– Dlaczego nie? Mówi. Jest taki program antywirusowy.

– Doskonale – ucieszył się głos w słuchawce. – Może mnie pan tak nazywać, jeśli pan chce. Antywirus. Mnie też to się bardziej podoba niż Nikołaj Nikołajewicz. A czyja mogę się do pana zwracać: Umka?

– Ależ proszę – odparł Siergiejew bez mrugnięcia okiem. – Jeśli to panu pasuje... To z filmu, zdaje się? Z takiej starej kreskówki o niedźwiedziach?

– Dokładnie – zgodził się Nikołaj Nikołajewicz. – Starej. Cieszę się, że pan pamięta. Umka to taki mały, mądry niedźwiadek. Bardzo ciekawski. Bystry, powiedziałbym, nad swój wiek.

– Pochlebia mi pan.

– Czyżby? Nasi wspólni przyjaciele twierdzili, że nie jest pan łąsy na pochlebstwa. Całkiem odwrotnie. Do głowy by mi nie przyszło panu schlebiać.

– A o co chodzi, panie Antywirus? Chociaż mamy wspólnych przyjaciół, my się jakoś nie znamy. Mamy o czym rozmawiać?

– Sam pan to osądzi. Myślę, że jest pan dziś bardzo zajęty. Dużo pracy. W ministerstwie zawsze jest TYLE pracy?

– Zależy, jak się poszczęści.

– Oczywiście. Jestem pewien, że panu się poszczęści. Tak więc, Umka, proszę wieczorem zajrzeć na tylne siedzenie swojej toyoty.

– A tam będzie leżał odcięty koński łeb?

– Fu! – powiedział Nikołaj Nikołajewicz. – Dlaczego pan tak źle o mnie myśli? Jak można oglądać takie okropieństwa w telewizji? My tacy nie jesteśmy.

– Dwa pytania. – Siergiejew zapalił papierosa i wypuścił gęstą smugę błękitnawego dymu. – Pierwsze: kim jesteście „wy”?

– A drugie?

– Chciałbym usłyszeć odpowiedź na pierwsze.

– Ciekawe pytanie, ale trudno będzie na nie odpowiedzieć.

– Dlaczegoż to?

– Nie chciałbym kłamać.

– A nigdy nie próbował pan dla odmiany mówić prawdy?

– Och, Umka, jaki pan jest bezkompromisowy. Niczego od pana nie chcę. Po prostu niech pan zajrzy na tylne siedzenie swojego samochodu. Nie będzie tam odciętej głowy, ani końskiej, ani żadnej innej, obiecuję.

– Aco będzie? Bomba zegarowa?

Nikołaj Nikołajewicz zaśmiał się.

– Uprzedzono mnie o pańskim poczuciu humoru. Nie, Umka, tam będzie kasetka, której zawartość się panu spodoba.

I niewątpliwie interesujące dokumenty.

– A czego chce pan w zamian?

– Jak rozumiem, to drugie pytanie? Niczego. Absolutnie niczego.

– To niemożliwe – zaprzeczył Siergiejew. – Pan, Antywirusie, nie pracuje w Korpusie Pokoju.

– Niefortunny przykład.

Siergiejew przypomniał sobie, ilu jego byłych kolegów jeździło po świecie pod przykrywką papierów Korpusu Pokoju, i powiedział: – Rzeczywiście niefortunny. Niech pan sam wymyśli coś dobrego.

– Powiedzmy, że znając pana, spodziewamy się adekwatnej reakcji.

– Obawiam się, że nasze pojęcia adekwatności mogą się różnić.  
– Nie sądzę. Proszę zrozumieć, Umka, my nie mamy nic wspólnego z tymi, którzy pracowali w Boryspolu i Teofanii.

Jesteśmy trzecią siłą.

– Faktycznie – powiedział Siergiejew kpiąco. – Trzecia siła! Całkowicie bezinteresowna, humanitarna i niezainteresowana! Jak mówił w rzadkich przypadkach nieśmiertelny Stanisławski: wierzę!

Leżąc na biurku nokia z numerem trzecim zadzwoniła i zaczęła wibrować.

– Zresztą to pańska sprawa. – Ten, który nazwał się Kasperskim, nieoczekiwanie się wycofał. – Proszę tylko zajrzeć do auta, a dalej już, jak pan uważa. Zadzwonię ponownie i wtedy porozmawiamy. Wie pan, jestem bardzo ciekaw pańskiej opinii.

– Jeśli powiem, że pańskie zainteresowanie mnie nie uszczęśliwia, uwierzy mi pan?

– Owszem. Ale co to zmienia?

– Ma pan rację. Zupełnie nic. Przejrzę te papiery.

– Nie wątpię. Pozwoli pan, że się pożegnám. Do jutra, Umka.

– Miłego dnia, Antywirus.

W komórcie numer cztery zabrzmiały krótkie sygnały. W komórcie numer trzy rozległ się głos Wasiliewicza.

– Dzień dobry, Misza. Miło cię słyszeć!

– Wzajemnie – odrzekł Siergiejew szczerze. Naczelnik partyjnej służby bezpieczeństwa rzeczywiście wzbudzał jego sympatię.

– Za dziesięć minut na dole będzie na ciebie czekał ciemnozielony grand cherokee. Kierowca nazywa się Grigorij.

Ochroniarz: Siergiej. 555-77 KM. Jak się czujesz?

– Można uznać, że już wyzdrowiałem.

– Silny jesteś. A Władimir Anatoliewicz nadal w bandażach, jak mumia Tutenchamona! Zobaczymy się wieczorem.

Powodzenia.

– Dziękuję.

Do pokoju, kołysząc biodrami, wpłynęła Neonila z tacą, na której stały filiżanka kawy i spotniała szklanka wody mineralnej.

Zaraz się zacznie, pomyślał Siergiejew.

Neonila Iwanowna obesła go z tyłu, stanęła z lewej strony i pochyliła się, kładąc szefowi biust na ramieniu. Ustawiała tacę na biurku i bez pośpiechu przeniosła jej zawartość na serwetki, które położyła przed Michaiłem. Pachniało od niej czymś słodkawym: troszkę potem, trochę dezodorantem i perfumami.

– Cośjeszcze? – zapytała Neonila Iwanowna przymilnie.

– Tak. – Michaił nadał swemu głosowi maksymalną miękkość. – Koniecznie. Teczkę z bieżącymi dokumentami. Podpiszę je teraz. Zaraz wyjeżdżam.

– Wezwać samochód?

– Przyjadą po mnie.

Neonila preparadowała do drzwi, z podziwu godną łatwością rysując biodrami zawile figury. Trzeba przyznać, że z tyłu wyglądało to niezłe.

Ciekawy rozwój wydarzeń, pomyślał Michaił, wybierając numer na komórcie numer cztery.

– Tak – odezwała się Płotnikowa. – Cześć, trutniu!

– Cześć, pszczołko Maju!

– Nawiasem, od rana już sporo zdążyłam zrobić.

Dzisiejszego dnia Wika wyszła od niego o siódmej, jeszcze senna – położyli się o pierwszej, a zasnęli po drugiej. Na pożegnanie pocałował ją w czoło, gdyż pocałunków w usta rano Płotnikowa nie lubiła. Słyszał stukanie obcasów na schodach za zamkniętymi drzwiami i odprowadził wzrokiem ciemnoniebieskiego volkswagena wyjeżdżającego z podwórka.

– Nie wątpię. Wika, wybac, dziś wieczorem jestem zajęty, zmiana planów.

– Dobrze – odpowiedziała Płotnikowa zwykłym tonem, ale Michaił, który nauczył się rozpoznawać jej emocje szóstym zmysłem, wyczuł, że jest urażona. Pytania o to, gdzie Siergiejew się wybiera, nie zadałaby za skarby świata, to też dobrze wiedział.

– Masz pozdrowienia od Blinowa. Wrócił.

– Ach, no proszę – powiedziała z jawną ulgą. – Malborough wrócił!

– Malborough pojechał na wojnę – poprawił ją Siergiejew. – A wrócił Karlsson z dachu.

– Karlsson był dobry i nieszkodliwy, a twój Blinów nie. Jedziesz do niego?

– Bardzo prosił.

– Nie rozumiem cię, Siergiejew. Niby nie jesteś sentymentalny, skąd takie przywiązanie do przyjaciela z dzieciństwa?

Strzelają do ciebie, wysadzają, a ty nic, nadal swoje.

– Przy okazji, ofiara terroryzmu obiecała ci ekskluzywny wywiad.

– Tak? – ożywiła się Płotnikowa. – Serio?

– Ty, on i Sidorczyk.

– Jakiś podejrzenie szczodry się zrobił... Uważaj na siebie. Mam nadzieję, że po drodze nie ostrzela cię eskadra bojowych śmigłowców!

– Też mam taką nadzieję.

Żarty żartami, a lepiej nie wywoływać wilka z lasu, pomyślał Siergiejew.

– Zadzwoń do mnie – poprosiła Wika już normalnym tonem. – Jak skończysz z tym wampirem, to zadzwoń.

– Oczywiście – obiecał Michaił. – Na razie...?

– Na razie.

Dokumentów oczywiście przejrzeć nie zdążył, ale na szczęście nic to nie zmieniało w rytmie pracy ministerstwa.

Neonila Iwanowna starannie napisała na karteczce: „Wyszedł o 11.30. Jeep grand cherokee, zielony, 555-77 KM”.

Kosorotow, otrzymawszy tę informację i numer rejestracyjny, za pośrednictwem zastępcy naczelnika GAI ustalił właściciela auta na „ministerialnych” numerach i po raz kolejny upadł na duchu.

A Siergiejew już o wpół do pierwszej wjeżdżał w bramę daczy Blinowa, stojącej za Koncza– Zaspą.

Zamiejska rezydencja (daczą tę budowlę można było nazwać tylko podczas inspekcji podatkowej, i to za duże pieniądze), otoczona trzymetrowym ogrodzeniem z czerwonej cegły, była naprawdę ogromna. Po obu stronach muru rosły sosny, a w leśnym cieniu gorąco nie było tak duszące, lecz nadal dawało się odczuć. Pomimo bliskości rzeki czoło strażnika, który zajrzał do samochodu, było pokryte potem.

Automatyczna brama rozjechała się na boki i przepuściwszy jeepa, ponownie się zamknęła. Samochód potoczył się drogą długą na jakieś osiemset metrów, w kierunku domu – dziwacznej bryły w stylu *moderne*: szkło, beton i metal.

Ochroniarz, który przez całą drogę nie powiedział ani słowa poza „dzień dobry”, poprowadził Siergiejewa do wnętrza i przekazał go w ręce wyszkolonego młodego człowieka z odruchami profesjonalnego bodyguarda.

Placek i Rasz rozkoszowali się strumieniami chłodnego powietrza w oranżerii, koło basenu. Wasiliewicz nie minął się z prawdą, Blinów rzeczywiście przypominał mumię Tutenchamona, co prawda trochę uszkodzoną, i siedział w specjalnym fotelu inwalidzkim z silniczkiem elektrycznym. Utył jeszcze bardziej i wyglądał na opuchniętego i bladego. Za to Rasz prezentował się doskonale i lśnił jak wylizany kocur.

– Witaj, Umka, witaj, mój drogi – wymruczał Rachmetułojew, próbując objąć Siergiejewa za ramiona. – Tak się cieszę, że przyjechałeś!

– Przyjaciele, nareszcie razem! – powiedział Blinów, zacierając pulchne dłonie. – Co będziesz pił? My z Raszydem postanowiliśmy strzelić po whiskey...

– To samo, co wy. – Siergiejew rozsiadł się w głębokim fotelu naprzeciwko Placka i się rozejrzał. – Ładny dom.



– Przepiękny dom! – poprawił Raszyd, nalewając Michaiłowi do szklanki aromatyczny bursztynowy płyn. – Bajeczny dom! Dla ciebie z lodem, Umka?

– Z wodą, jeśli można, Rasz. Nieco mniej niż pół na pół.

– Widziałbyś, jaki Rasz ma pałac u siebie! – Blinów zatoczył koło zdrową ręką trzymającą szklankę, starając się nie rozlać whisky. – Bez kitu, Misza, prawdziwy pałac. Nie dom, nie dacza... Jak w „Tysiącu i jednej nocy”! Raj w oazie!

– Jaki tam pałac! – machnął ręką Raszyd, sadowiąc się w swoim fotelu. – Nie przesadzaj, Wołodia! Ty pałaców nie widziałeś! Dom jak dom... Moje zaproszenie nadal jest aktualne, Misza. W dowolnej chwili, jak tylko się zdecydujesz, dzwoni i przyjeżdżaj. Może nie słuchaj tego gaduły! Wszystko zobaczysz na własne oczy. Byłeś już na Wschodzie?

Siergiejew był na Wschodzie, ale opowiadać, jakiego rodzaju to była delegacja, nie zamierzał, a kłamać nie miał ochoty.

Pozostawało mówić półprawdę. Nie najlepszy wariant w jakoby szczerzej rozmowie, ale zawsze lepszy niż bezpośrednie kłamstwo. Zwłaszcza jeśli brać pod uwagę słowa Raszyda skierowane do Hasana w farsii, w sali VIP Boryspolskiego Portu Lotniczego. W pewnym sensie Rasz dał Michaiłowi przyzwolenie na niewielkie sztuczki we wzajemnych stosunkach.

– Za spotkanie! – rzekł Blinów, podnosząc szklaneczkę. – Za spotkanie, które się mogło nie ziścić, ale się ziściło!

– Za spotkanie! – zawtórował Raszyd.

– Za spotkanie! – podtrzymał toast Siergiejew.

Whisky była wyśmienita. Osiemnastoletni malt, rozcieńczony źródlaną wodą, zmanifestował się takim aromatem, że nawet bez patrzenia na etykietę było wiadomo, że piją naprawdę dobry i bardzo drogi trunek.

– A więc... – odezwał się Blinów, upiwszy ze swego naczynia dobrą połowę, i pytająco spojrzął na Michaiła. – Dlaczego trzej szlachetni donowie, póki obiad dla nich dopiero się gotuje, nie mieliby odkryć kart?

– Na Wschodzie nikt by tak nie prowadził rozmowy! – wmieszał się Raszyd. – Co ty tak od razu byka za rogi? Daj gościom posiedzieć, porozmawiać, nakarm ich, napój, niech odpoczną w towarzystwie pięknych kobiet i dopiero potem, jeśli taka będzie wola Allacha, zacznij rozmowę o interesach!

– Nakarmić i napić obiecuję, kobiet na dziś nie zaplanowano, a na niespieszne rozmowy zawsze czas się znajdzie – powiedział Placek. – Teraz tylko parę pytań wstępnych, żeby Umka miał czas pomyśleć i zdecydować.

– A o czym tu myśleć? – odparł Rachmetułojew ze zdumieniem. – Jestem pewien, że Misza się zgodzi!

– Wygląda na to, że mnie zawczasu ożeniliście. – Siergiejew przeniósł spojrzenie z Blinowa na Rasza i z powrotem.

Blinów, mimo że pozostawał w skórze serdecznego, beztróskiego gospodarza, patrzył czujnie i oczywiste było, że jest nastawiony na poważną rozmowę, bez preambuł. Uśmiech i uniesione brwi wyglądały na nim jak narysowane.

Raszyd zaś przypominał jakiegoś wschodniego bożka: grubego, z oczyma–szczelinkami, rumianymi, pulchnymi policzkami – posadź go po turecku, zdejmij drogą jedwabną koszulę, krawat od Diora i proszę: wykapany Budda cierpiący na otyłość.

Jednak to była tylko zewnętrzna powłoka, tego Siergiejew był pewien. A pod nią ukrywał się nie dobroduszy chłopiec znany mu z dzieciństwa, ale człowiek, który dorobił się majątku w Tadżykistanie, kraju Rahmonowa. Jedynym kraju na świecie, gdzie nawet uzbrojeni po zęby islamiści, dopuszczeni do władzy, niespodziewanie stali się obrosłymi tłuszczem politykami i wiernymi stronnikami byłego elektryka i byłego przewodniczącego Rady Najwyższej Tadżykistanu, mądrego i ostrożnego Emomalego. To nie był ten Rasz, którego Michaił znał, ale człowiek żyjący w pałacu (Placek nie kłamał, dałby za to głowę!) wybudowanym za pieniądze zarobione na handlu bronią i niewykluczone, że nie tylko bronią.

O ile człowiek handlujący wschodnimi słodyczami mógł być niewinny jak dziecko, to człowiek targujący broń z pewnością nie jest pluszowym misiem. I Raszyd Mamedowicz nim nie był.

– A dokładnie o co chodzi? – zapytał Michaił. – O czym powinniśmy rozmawiać, chłopcy?

Blinów westchnął i spojrzał na Siergiejewa karcąco, jakby ten zawiódł jego oczekiwania. Potem Władimir Anatoliewicz nachmurzył się, znów uniósł brwi i rzekł: – O ile pamiętasz, odbyliśmy w szpitalu pewną rozmowę. Rozmowę, którą rozpoczęłeś ty, nie ja. Ale to już się stało i nie da się odkręcić. Jeśli mówić wprost... Chciałbym zaproponować ci pracę, trochę specyficzną oczywiście, ale bardzo opłacalną i ciekawą.

Tym razem brwi uniósł Siergiejew.

Wyraźnie przesadził z przewidywaniami. Rzeczywiście, po co głupie zabawy w szpiegów, kiedy człowieka można po prostu kupić? Profesjonaliści– najemnicy to dla całego cywilizowanego świata towar pożądanym, choć kosztowny. Ciekawe, na jaką sumę wycenią usługi starego szkolnego kolegi? Jeśli tanio, to się obrazi!

– Jeśli nie zauważyłeś, Wołodia – odezwał się Siergiejew, wyciągając papierosa– ja już mam pracę.

– Zauważyłem – odparł natychmiast Placek. – Świetna praca. Co prawda trochę nieopłacalna. Ale za to prestiżowa, że tak powiem.

– Jest, jaka jest. – Michaił wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Tak w ogóle to nie jestem człowiekiem ubogim. Jak by nie było, sporo lat pracowałem za granicą. Masz rację, Placek, taką mam robotę, że się nie nachapiesz, ale na wygodne życie na razie mi starcza. Mam oszczędności.

– Na twoim stanowisku można się „nachapać” w try miga – rzekł Placek pouczająco. – Miesiąc i w każdym banku na świecie będą cię witać kieliszkiem najdroższego koniaku. To nie kwestia pracy, tylko ciebie! Można pomyśleć, że cudze miejsce zajmujesz! Ty popatrz na niego, Rasz! Altruista! Pies ogrodnika! Toż za jeden sprzedany kawałek ziemi pod Kijowem można kupić taki sam w Marbelli! Ty popatrz na Kosorotowa, boi się, a i tak robi! A ty?

– Powiedz, tylko szczerze, jak przyjacielowi, co znaczą dla ciebie „duże pieniądze”? Naprawdę duże, Misza... – odezwał się Rachmetułow swoim przymilnym głosem, słodkim i lepkiem jak nugat.

– Za co, Rasz?

– Co znaczy „za co”, Umka?

– Duże pieniądze otrzymane za co? Po prostu duże pieniądze? Czy trzeba za nie coś zrobić? A jeśli tak, to co?

Rachmetułow uśmiechnął się samymi kącikami warg.

– Nie byłbyś sobą, gdybyś odpowiedział wprost. Zaczynam sądzić, że któryś z twoich przodków był z naszych stron.

A jeśli odpowiedzieć na twoje pytanie abstrakcyjnie? Bez kazuistyki? Powiem o sobie, żeby tobie, skromnieńkiemu, było lżej. I Wołodia też powie, jeśli chcesz. Okej?

Siergiejew lekko skinął głową, patrząc na Rasza poprzez zasłonę tytoniowego dymu.

– Dla mnie, Umka, duże pieniądze zaczynają się po stu milionach. Kiedyś myślałem, że tysiąc dolarów to duże pieniądze.

Miałem taki okres w swojej biografii – powiedział Rachmetułow, nie zmieniając miękkiej intonacji, ale patrzył na Siergiejewa jak przez celownik karabinu. – Nawiasem, na początku było trudno. Ciężkie czasy, wojna... Ludzkie życie było bardzo tanie. Można powiedzieć, że warte tyle, co nic. Wiesz, przyjacielu, jak to jest, żyć w kraju, w którym cały czas toczy się wojna domowa? Kiedyś ci opowiem, przy okazji.

Dla Michaiła suma stu milionów dolarów nie była niewyobrażalna, mógł ją sobie przedstawić, choć czysto teoretycznie.

Ale wyobrazić sobie siebie jako jej posiadacza nie potrafił, choćby nie wiadomo jak się starał.

– No? – Blinów nie wytrzymał. – Milion? Dwa? Dziesięć?

– Nie wiem – odrzekł Siergiejew. – Uczciwie mówiąc, nigdy o tym nie myślałem.

Rasz roześmiał się, a jego śmiech przypominał kaszel kota dławiącego się kłaczkiem sierści. Nawet podskoczył na fotelu, jak różowitki, gładki balonik. „Snajperskie” spojrzenie zostało ukryte do następnego razu.

– Jak takiego najmować, Wołodia? – zapytał, ocierając łzy rozbawienia. – Co mu proponować? Jak to nie myślałeś?

Jesteśmy dorosłymi ludźmi, Misza. Kto uwierzy, że w życiu nie myślałeś o pieniądzach? Może myślałeś nie tak, jak trzeba?

Za mało myślałeś? Nie jeździsz zaporozcem, garnitur masz porządny, zegarek może nie za dziesięć tysięcy dolarów, ale i nie za sto hrywien. Mieszkanie w Kijowie w dobrej dzielnicy. Tylko nie mów mi, że na to wszystko zarobiłeś jako inżynier wojskowy. I tak nie uwierzę. I Blinów też nie uwierzy. Nikt nie uwierzy!

– Wierzcie albo nie wierzcie, wasza sprawa, chłopcy. – Siergiejewa trudno było zbić z pantałyku. Po to stworzono legendę, żeby jej się trzymać. Zechcą sprawdzić, niech sprawdzają. Nie ma na świecie takiego miejsca, gdzie można by się zapoznać z prawdziwymi dokumentami, wszędzie tylko fałszywe, uwierzytelnione ślady. System uczył się bronić wieleset lat i wykuł idealną tarczę. – Inżynierowie wojskowi, tak nawiasem, bardzo dobrze zarabiali.

– Serio? – odezwał się Blinów z nieukrywaną ironią. – To oczywiście zależało, kto płacił i za co płacił! Umka, w porządku, nie możesz mówić, to nie mów. Nie chcesz, też dobrze. My z Raszydem jesteśmy ludzie państwowi i jednocześnie biznesmeni. Nie musisz nam tłumaczyć, co to jest cudza tajemnica. Uwierz, lejemy z wysokiej góry, kim i gdzie byłeś wcześniej. Mogłeś gwałcić krowy albo palić wsie ze swoimi kumplami z Legii, nas to z Raszem nie obchodzi. Jesteś naszym starym przyjacielem i to jest najważniejsze. Widziałem, jak się zachowywałeś w sytuacji, kiedy pasują nawet zawodowcy.

Umka, ja przecież nie powinienem tu z wami siedzieć, tylko leżeć pod drogim pomnikiem w eleganckiej trumnie!

Uratowałeś mnie dwa razy!

– Ratowałem też własną skórę – przypomniał Siergiejew, gasząc w popielniczce dopalonego prawie do filtra papierosa.

– Siedzieliśmy w jednej łódce. Jak miałem uratować siebie, gdybym nie wyciągnął ciebie, Placek? No dobra, chłopaki. Jak wam udowodnić, że jestem przedstawicielem najbardziej pokojowej w świecie profesji, jeśli mi z góry nie wierzycie? Jak chcecie, to sprawdźcie archiwa...

– Sprawdziliśmy – przerwał mu Rasz spokojnie. – Rzeczywiście, projektowałeś i budowałeś na całym świecie. I wiesz, co ciekawe, tak drobiazgowej dokumentacji, ze wszystkimi plikami i papierkami, linkami, poleceniami przeniesień, raportami o przybyciu itede, nie ma prawie nikt z twoich kolegów po fachu. U wszystkich burdel na kółkach, brakuje połowy papierów, jedna trzecia gdzieś zginęła, i tylko paru wybrańców takich jak ty wszystko ma w idealnym porządku.

Powiedz no, Umka, czy tobie by się to nie wydało dziwne? Tak na zdrowy rozum?

Tu chyba ma rację, pomyślał Siergiejew. To akurat taki wypadek, kiedy za dobrze to niedobrze. Na tle ogólnego bałaganu z ostatnich lat należało to przewidzieć. Ale jak szybko sprawdzili! Wręcz rekordowo! Ciekawe, kto to dla nich zrobił?

Wzruszył ramionami.

– Mógłbym wymyślić dla was jakąś historyjkę, żeby nawet wasza ciekawość zdechła z nadmiaru informacji, ale nie mam ochoty zmyślać. Nie mam innej historii, Rasz. Nie podoba ci się, to trudno, nic na to nie poradzę.

– To odpowiedź? – zapytał Rasz poważnie.

– Tak.

– Ostateczna?

– Możliwe.

Placek roześmiał się i znów uniósł półpustą szklankę.

– Dosyć! Chłopcy, wypijmy, to zbliża ludzi!

– Z ciebie zawsze był spryciarz – powiedział Rachmetułow do Michaiła, bez uśmiechu, nie odwracając ciężkiego spojrzenia aksamitnych oczu. – Nawet wtedy, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi. Twoje zdrowie, Umka!

Siergiejew w odpowiedzi uniósł swoją szklankę.

– Odłóżmy rozmowę na po obiedzie – zaproponował Placek. – Jakoś nam się to wszystko nie klei...

Rzeczywiście, w powietrzu wisało napięcie, niczym zapowiedź nadchodzącej burzy.

Chociaż Rachmetułojew rzucał inteligentne żarty, a Placek opowiadał dykteryjki ze swojej poselskiej i nieposelskiej biografii – śmieszne i nieśmieszne, chociaż litrowa butelka szlachetnej whisky opustoszała więcej niż w połowie, sytuacja i tak przypominała balik dziecięcy, na który przez pomyłkę przyprowadzono uczniów starszych klas, niewierzących już od dawna ani w Dziadka Mroza, ani w Śnieżynkę.

Kiedy podano obiad, rozmowa zupełnie utknęła, kręcąc się dokoła kulinariów, właściwości niektórych trunków i podobnych głupstw. Kiedy zaczęli jeść gulasz, okazało się, że kucharz Blinowa jest Węgrem. Rasz ucieszył się i powiedział, że pracował u niego kiedyś kucharz Włoch, sprowadzony z Rzymu za duże pieniądze, ale pewnego dnia zniknął niemal bez śladu. A odnaleźli go ludzie Rasza w jednym z obozów wojskowych u podnóża gór, gdzie musiał gotować dla dowódcy, który tak się znał na sztuce kulinarnej, że ledwo odróżniał parmezan od roqueforta. Kucharza udało się odbić, unicestwiając prawie cały oddział, ale w powrotnej drodze do rezydencji Raszyda przerażony Włoch do reszty zwariował i w ciężkim stanie musieli wysłać go do domu, do Rzymu.

Siergiejew nigdy nie miał osobistego kucharza cudzoziemca, więc opowiedział prawdziwą historię o kubańskim barmanie imieniem Sanchez, pracującym kiedyś w barze Sole na bulwarze w Hawanie, który potrafił zonglować czterema butelkami i przy tym mieszał najsmaczniejsze w świecie koktajle.

Wstawiony Placek natychmiast zaproponował, żeby polecili na Kubę wypić w tamtym barze, nie podejrzewając, że Sole został zniszczony przez kubański kontrwywiad jeszcze w dziewięćdziesiątym trzecim, a Sanchez...

Tu wmieszał się Rasz, kierując temat na kobiety, a Placek natychmiast zrobił się podejrzanie zamyślony i zaczął się kręcić na fotelu – widocznie łubki zaczęły mu przeszkadzać.

Druga zmiana dań nastąpiła pod koniec opowieści Rasza o jego podróżach na południowy wschód Azji, o gorących nocach w Budapeszcie, Amsterdamie i Afryce. Blinów z rzadka wtrącał żarty tematyczne, ale wyraźnie był nieswój i pił jeszcze więcej. Siergiejew, który lubił kobiety, za to świńskich rozmów o nich – nie, pił w milczeniu.

Whisky się skończyła. Placek zażądał wódki, zarumieniony Rasz patrzył na Siergiejewa na przemian to z czułością, to nieufnie. Siergiejew, potrafiący pić profesjonalnie, poczuł, że do momentu, który w ich zawodowym slangu nazywano „zgasło światło”, zostało około dwustu gramów i jeśli nie chce zakończyć wieczoru w talerzu z gorącą zakąską, pora wyhamować.

Jednak rozrywki dopiero się zaczęły – Władimir Anatoliewicz, wychyliwszy sto gramów wódeczki, które doskonale, bez obniżenia procentów legło na prawie czterystu gramach whisky, nagle uznał, że gips to żadna przeszkoda, i zaproponował zadzwonić po dziewczynki. Rasz natychmiast sięgnął do kieszeni po komórki, lecz ta, opisawszy łuk w powietrzu, poleciała do basenu praktycznie bez bryzgów, jak mistrz skoków do wody. Rasz próbował ją złapać i w ślad za telefonem w wodzie wylądowała niewinna roślina doniczkowa i część serwisu.

To wszystko tak przypominało zwyczajną studencką popijawę: nierozważną, bezsensownie wesołą i nieujarzmioną, że Michał zaczynał się zastanawiać, czy tamta rozmowa na wstępie mu się nie przywidziała. Ale popijawa popijawą, a ani Raszyd, ani Blinów nie poruszali zakazanego tematu, choć wydawali się zalani w pestkę, w każdym razie na pierwszy rzut oka.

Znad basenu przeszli do jadalni – na szczęście była niedaleko, w tym samym skrzydle. Zresztą „przeszli” to mało powiedziane. Blinów na swoim elektrycznym fotelu robił takie zygzaki, że tylko cudem nie wpadł do basenu. Rasz, choć z trudem trzymał się na nogach, zdążył jednak przechwycić wózek i drobiąc jak kobieta w za wąskiej spódnicy, potoczył przyjaciela przez hol. Blinów śmiał się głośno i wymachiwał zdrową ręką.

Siergiejew nie czuł się najlepiej.

Wstając z fotela, sam na chwilę stracił równowagę, ale zaraz wyrównał i poszedł do jadalni za głośną parą. Po drodze Rasz z Plackiem zdołali rozbić ustawioną w holu starą chińską wagę i przekrzywić piękny, wygięty jak łabędzia szyja kinkiet.

Wysoki mężczyzna w stroju kelnera i zabawnych okrągłych okularach, stojący w oczekującej pozycji koło drzwi, ze zmartwieniem patrzył na stos odłamków, mnąc ręcznik przewieszony przez ramię.

– Podpowie mi pan, gdzie jest toaleta? – zapytał Siergiejew.

Nie odrywając oczu od skorup, kelner wskazał ręką na prawo.

– Co, oberwie pan?

Kelner poprawił okulary i odezwał się cicho, żeby nie usłyszeli go za drzwiami: – Kogoś na pewno zwolnią. Waza była droga. Z dziesięć, piętnaście tysięcy.

Zerknął na Siergiejewa i dodał: – Nie hrywien.

– No tak, to nie w kij dmuchał – powiedział Siergiejew. – Ale przecież sami rozbili.

– A kto to jutro będzie pamiętał? – spytał kelner smutno. – Waza była? Była. Droga? Droga. Rozbili ją? Rozbili. Czyli ktoś za to odpowie. Pan jest przyjacielem Władimira Anatoliewicza? Pierwszy raz tu pana widzę.

Siergiejew potwierdził po chwili namysłu.

– Długo się nie widzieliśmy...

Kelner westchnął.

– W takim razie wszystko jasne. Jeśli on po prostu kogoś wyrzuci, to jeszcze nic. Najważniejsze, żeby nie zatrzymał i nie kazał odrabiać straty. Ja na przykład tej wazy do końca życia nie odpracuję!

– Umka! – ryknął za drzwiami Blinów. – Gdzie jesteś? Czekamy!

– A co, może tak zrobić? – zapytał Michaił.

– Niech pan nie wątpi – powiedział okularnik, przykucając nad resztkami dzieła sztuki z czasów dynastii Ming. – Może.

On, wie pan, może praktycznie wszystko. Daj Boże, żeby jutro sobie nie przypomniał.

Placek ujawniał coraz to nowe ciekawe cechy. Oczywiście, waza była droga i kosztowała ogromne pieniądze, ale dla Blinowa to były grosze! A kelner wyraźnie nie kłamał, bał się. Bał się gniewu pracodawcy, bał się kary pieniężnej, a przy tym był zupełnie niewinny – Siergiejew sam widział, jak Władimir Anatoliewicz, machając ręką, strącił wazę z podstawki.

– Umka! – teraz Blinów i Rachmetułowjew wrzeszczeli już razem.

– Idę! – odezwał się Siergiejew.

Łazienka, położona na prawo od drzwi, również była niezwykła, jak na dom mieszkalny. Kilka kabinek z toaletami, kilka umywalk, parę kabin prysznicowych. Lubiano tu i potrafiiono przyjmować gości.

Przede wszystkim Michaił wszedł do kabiny i pochyliwszy się nad muszlą, włożył do gardła dwa palce. Po paru minutach poczuł ulgę: w głowie pojaśniało i chociaż kończyny zaczęły lekko drżeć, a na czole wystąpił pot, myślało mu się znacznie lżej.

W powietrzu unosiła się wyraźna woń drogiej whisky. Siergiejew z żalem pokiwał głową.

Z przyjemnością umył twarz zimną wodą i wytarł się papierowym ręcznikiem. Wyplukał usta, gdyż na języku został nieprzyjemny posmak soków żołądkowych.

W lustrze odbijał się siwawy mężczyzna w wieku lat trzydziestu paru, o kanciastej, szczupłej twarzy z poczerwieniałymi od alkoholu oczami, w jasnej letniej marynarce i białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem.

Siergiejew umiał pić, ale lubił w tej materii umiar. Nie widział sensu w tym, żeby tracić głowę i męczyć się rano z powodu kaca. Również praca nie pozwalała popuszczać sobie cugli w tej kwestii – cena pomyłki mogła okazać się zbyt duża. Dla szczególnych przypadków istniały w Biurze specjalne preparaty, ale Ichneumon uprzedzał, że nie należy ich przyjmować zbyt często i pochopnie.

„Głowa pozostanie jasna, ale wątroba... Wątroba nie jest z żelaza. Ojczyzna generalnie ma twoją wątrobę w dupie, ale zapasowej nie dają! Tak że myślcie głową, panowie!”

I polecał używanie sorbentów, gdyż tych również nawymyślano nieprzebrane mnóstwo.

Trzeba będzie poszukać czegoś odpowiedniego, pomyślał Siergiejew, przyglądając włosy wilgotnymi dłońmi. Rozpiję się przecież w cholere! Taka whisky! Barbarzyństwo...

W jadalni właśnie podawano zupę.

Aromatyczny barszcz ukraiński ze śmietaną, tak gęsty, że łyżka stawała między kawałkami mięsa. Pieczony w folii schab wieprzowy grubości ręki, mocno naszpikowany liśćmi laurowymi, młodym czosnkiem i obsypany apetycznymi przyprawami, puszczający różowy sok. Obok pysznił się półmisek z młodymi ziemniakami, jędrnymi i krągłutkimi, błyszczącymi od masła i ozdobionymi siekanym

koperkiem. Na jednym talerzyku tłoczyły się młode karpiki, na drugim leżały kręgi smażonej domowej kiełbasy. Na półmiskach ułożono grubo krojone jarzynki, koreańskie marynaty, chleb i czosnkowe bułeczki. W centrum stołu już stało kilka zapotniałych butelek wódki. Obiad z powodzeniem mógł płynnie przejść w kolację, potem w śniadanie. A potem znów w obiad.

Tak się zaczynają libacje, pomyślał Siergiejew smętnie. I nie ma jak uciec...

Jednak druga część uczyty zaczęła się niespodziewanie spokojnie.

Władimir Anatoljewicz niewątpliwie znał się i na picciu, i na zakąsce. Po gorącym jak ogień barszczu obaj z Raszem bardzo zwolnili. Lodowata wódka teraz służyła raczej jako przyprawa, czyniąca obfity obiad jeszcze smaczniejszym.

Trzeźwieli w oczach i gdyby Michaił sam nie widział procesu, uznałby to za cud.

Rozmowa, jeszcze pół godziny temu niemożliwa, raptem znów została podjęta, a Blinów z Raszydem przestali przypominać śmiertelnie nawalonych studentów. Znów stali się politykami i biznesmenami, tylko w stanie zrelaksowanym.

– Mógłbyś chociaż zapytać, na czym będzie polegała ta praca – rzekł Rasz, bez pośpiechu wycierając ręce białą serwetką. Kelner pojawił się za jego prawym ramieniem i błyskawicznym ruchem napełnił szklankę lodowatą wodą mineralną. – Odmówić zawsze zdążysz. Myślisz, że dwaj starzy przyjaciele zaproponują ci coś złego?

Blinów chrząknął ironicznie.

– Możesz być pewny, Raszyd. Dokładnie tak myśli. Nie inaczej.

Placek odchylił się na oparcie i odprowadzał wzrokiem kelnera, odnoszącego talerz po barszczu.

– Umka to w ogóle zagadkowy facet. Mam wielką ochotę pociągnąć stary temat. Pamiętasz, Umka, były kiedyś takie książki: „Kim jesteś, doktorze Sorge?“, „Kim jesteście, starożytni Egipcjanie?“. Była moda na takie tytuły. I tak sobie myślę... Gdybym pisał o tobie książkę, Misza, zatytułowałbym ją „Kim jesteś, inżynierze wojskowy?“. Rasz, spotykałeś się z inżynierami wojskowymi?

Rachmetułojew skinął głową, rozpluwając się w chytrym uśmiechu, lekko zacierającym jego rysy: oczy jak kreski, dołeczki w policzkach – wypisz wymaluj obrazek z dziecięcej książeczki. Tylko z tych oczu, w których kącikach kryły się cieniutkie zmarszczki spalone słońcem Tadżykistanu, na Siergiejewa nagle powiało lodowatym, niemal grobowym chłodem.

– Khe– khe – roześmiał się Raszyd Mamedowicz swoim kaszlącym śmiechkiem i odwrócił wzrok. – Spotykałem, i to nie raz. Porządni ludzie. Pracowici, jak ich zmusić! Khe– khe! Pracują dużo, jedzą mało. Twoi koledzy, Umka, byli u mnie niewolnikami i robili w polu. Oficerowie ich sprzedawali. Niektórzy później u mnie zostawali. Na przykład ci, co nie chcieli wracać do Turkmenistanu, gdzie ich czekał Ojciec Wszystkich Turkmenów[9]. Tak że spotykałem inżynierów wojskowych.

A czemu pytasz, Wołodia?

– Dlatego, że ja widziałem mnóstwo inżynierów wojskowych – odparł Blinów, patrząc na Siergiejewa jak wychowawczyni z przedszkola na kłamiącego malca. – Ale nigdy nie widziałem takiego jak nasz przyjaciel Siergiejew. Za co proponuję wypić po siedem gramów!

No proszę, pomyślał Siergiejew, podnosząc kieliszek. Teraz Placek się odegra za to, jak go rozgryzałem w szpitalu. Seans magii z jej demaskacją w finale!

Blinów z apetytem zachręścił świeżym ogórkiem, czekając, póki kelnerzy nie rozłożą dania po talerzach i nie znikną za drzwiami.

– Nie obrażaj się, Misza – ciągnął, obracając w palcach nóż do ryb. – Ale przy całej mojej do ciebie miłości, przy całej wdzięczności, uwierz, że szczerzej... No dobrze... Sam powiedz, mój drogi przyjacielu, czy ty byś w coś takiego uwierzył?

– W co? – zapytał Siergiejew, pojmując, że wstrzymuje obowiązkowe pas w kiepskim show.

– Misza – powiedział łagodnie Raszyd. – Tu nie ma nikogo poza nami. Nikogo. Tylko ty i my z Wową. Oczywiście, dawno się nie widzieliśmy i możesz powiedzieć, że słabo mnie znasz...

– I będziesz miał rację – wtrącił Blinów, krojąc leżącego przed nim karpika z wprawą patologa sądowego.

– ...ale to jeszcze przed nami – zakończył myśl Raszyd. – Mamy czas, żeby poznać się na nowo.

– A nie da się bez tych podchodów? – poprosił Siergiejew. – Wstęp odpracowałeś na piątkę i nic już nie trzeba dodawać.

Preludium skończone.

– Nieładnie! – Rachmetułojew cmoknął z dezaprobatą. – Po co się śpieszysz? Widać nie szanujesz.

– Dobrze, Rasz, niech tak będzie. – Blinów niespodzianie poparł Siergiejewa. – Bez „podchodów”. Tylko jedna zasada, Umka. To, co zostało powiedziane między nami, między nami też umiera. Inaczej umrze jeden z nas. Nawet nie pytam, czy się zgadzasz, bo domyślam się, że wedle takich zasad żyłeś. Prawda?

Uśmiechnął się szeroko i beztrzesko, tak miło, że Siergiejew mimowolnie uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Takie to u was, prostych inżynierów wojskowych, są zasady – ciągnął Placek. – I u nas, prostych biznesmenów, mniej więcej takie same.

– Kiedy rozmawialiśmy w szpitalu, byłeś mniej kategoriyczny w tych kwestiach! – rzekł Siergiejew z ironią.

– Człowiek jest słaby – oznajmił Rachmetułojew, unosząc brwi. – Przecież wiesz, Umka, jak bardzo człek jest słaby. Ale Wołodia trochę koloryzuje. Nie mamy przed tobą szczególnych sekretów. Co jak co, ale nie polecisz z donosem. Poza tym nie bardzo komu jest donosić, szczerze mówiąc. Taki to już kraj. Ale nie w tym rzecz. Ja na przykład, szczerze powiem, jestem zainteresowany współpracą z tobą. Na tym świecie, Misza, bardzo mało jest ludzi, którym można ufać...

– Nie mów głupstw, Rasz! – przerwał mu Siergiejew, czując, jak narasta w nim rozdrażnienie. – O jakim zaufaniu może być mowa? Byliśmy dziećmi, teraz jesteśmy od dawna dorośli. Nic nie wiecie o moim życiu przez ostatnie dwadzieścia lat, a ja o waszym. Jakie masz podstawy, żeby mi ufać? Ani ja dla ciebie brat, ani swat, jedynie towarzysz dziecięcych zabaw, nic więcej. Zawsze miło mi będzie cię widzieć, Rasz, ale proszę cię, nie udawaj głupiego. To ci nie wychodzi!

I wtedy Raszyd znów roześmiał się swoim „kocim” śmiechem. Blinów mu wtórował, najpierw cicho, a potem w głos. Po kontuzji, nabierając powietrza w płuca, poświstywał jak czajnik na ogniu.

– Co w tym zabawnego? – zdziwił się Siergiejew. – Co to ma znaczyć? Palma mi na głowie wyrosła?

– Jutro oddam – wykrztusił Raszyd, ocierając oczy. – Nie mam tyle przy sobie.

Placek tylko machnął na niego ręką, że ma nie gadać głupot, i wyjaśnił Michaiłowi: – Założyliśmy się, że nie zgodzisz się od razu. Potem niewykluczone. Ale od razu nie. Przecież pamiętam, że jesteś ostrożny. Na dach też nie chciałeś włączyć. Pamiętasz, jak nas Margot nakryła na strychu?

Siergiejew oczywiście pamiętał historię z „ucieczką” i krzyki Margot, która śmiertelnie się wystraszyła, gdyż tylko zupełni idioci mogli łązić zimową nocą po oblodzonym blaszanym dachu tylko po to, żeby przenocować na zakurzonego strychu zamiast w czystej i ciepłej sypialni.

Nie rozumiała, czemu Blinów i Siergiejew to zrobili, ryzykując życie. Wowa Placek i on sam, Misza Siergiejew, doskonale wiedzieli, czemu włączą na strych, cuchnący gołębiem pomiotem i myszami. Rozumieli to wtedy i teraz również. Ktoś, kto nie spał całymi latami w ośmioosobowej sypialni internatu, nie mając możliwości nawet w toalecie i pod prysznicem zostać sam na sam z sobą, nie jest w stanie tego pojąć.

Bali się. Okropnie się bali, ale obaj z Plackiem dzielnie przepęzli całe trzydzieści metrów do uchylonego okna strychu.

Po drodze obaj po dwa razy mało nie spadli. Siergiejew skaleczył rękę o krawędź blachy i posiniaczył łokieć. Któryś z dyżurnych wychowawców podniósł alarm i o świcie znaleziono ich na strychu lewego skrzydła. Gdyby w internacie numer piętnaście oficjalnie praktykowano kary cielesne, obaj z Plackiem nie mogliby siedzieć przez miesiąc. Była awantura, Margot łykała krople na uspokojenie, winowajcy dostali „naganny” z zachowania i zostali bohaterami. Historia z ucieczką z sypialni przyniosła im prawdziwą popularność, chodzili po szkolnych korytarzach z wysoko podniesionymi głowami, sprawiedliwie dzieląc sławę na pół. Co prawda, o ile Siergiejew pamiętał etap przygotowawczy, na dach nie chciał włączyć właśnie Blinów. Teraz role się zmieniły. Ale historia jest tym, w co człowiek wierzy, i Siergiejew się nie kłócił.

– I ile kosztowała moja odmowa? – zainteresował się Michaił, czując się niczym zwycięski koń na wyścigach.

– Symboliczna kwota – powiedział Blinów.

– Nawet nie ma o czym mówić – poparł go Rachmetułojew.

– Miło jednak czuć, że miało się rację! – kontynuował Blinów. – Iza to proponuję siedem gramów! I w końcu przestać grać Umce na nerwach. Nie, Siergiejew, szczerze zapraszamy cię do biznesu. Nie na pełny udział, o tym nie my decydujemy, są też inni posiadacze akcji, ale też nie jak najemnego pracownika. Dostaniesz swoją część i uwierz, nie będziesz rozczarowany. Nic mi nie odpowiadaj!

Podniósł rękę, jakby zabraniał Siergiejewowi powiedzieć nawet słowa.

– Niczego nie obiecuj. Nigdy nie mów nigdy! Po prostu przemyśl. Wart jesteś dużych pieniędzy, Umka.

– Tyle ci nigdy nie płacili – powiedział Rachmetułojew, zapalając grube cygare. Otoczył się dymem niczym szczyt góry mgłą, ale zaraz rozegnał kłęby dłońią, błyskając skośnymi oczami spod ciemnych brwi. – Twoi byli pracodawcy nie mieli tyle pieniędzy. A my mamy! I zapłacimy! Powiedz, Umka, czy tobie kiedykolwiek proponowali milion rocznie?

Siergiejew pomyślał, że jego byli właściciele – dokładnie właściciele, a nie pracodawcy, którzy przyszli po tym, jak Biuro stało się bezpańskie, mieli tyle pieniędzy, ile Raszydowi z Blinowem nawet się nie śniło.

Dysponowali wszystkimi zasobami naprawdę wielkiego mocarstwa, zasobami które w każdej chwili mogły zostać rzucone do wypełnienia określonego zadania. Nie milion, nie dwa, nie dziesięć, ale tyle, ile trzeba. Plus całkowity brak jakiegokolwiek moralności przy rozwiązywaniu problemów politycznych lub geopolitycznych, plus ideologiczna obróbka wszystkiego i wszystkich tkwiących w systemie. Plus zasoby państw sojuszniczych, które zawsze były do pełnej dyspozycji Wielkiego Brata. Milion... Taak. Różnica między ofertą Placka i poprzednią pracą Siergiejewa polegała na tym, że wszystkie te zasoby i niewyobrażalne pieniądze kraj mógł wydać na wypełnienie zadania za każdą cenę, a zapłata wykonawcom już nie przysługiwała. Wszystko, co zostało Siergiejewowi po odejściu na emeryturę, zarobił już po tym, jak Biuro przeszło na „własny rozrachunek”. Wcześniej wprost z państwowego utrzymania tacy jak on odchodzili dwa metry pod ziemię.

Co ciekawe, moralność była nieobecna w obu przypadkach. Moralność, jak wiadomo, niepotrzebna jest ani przy zarabianiu pieniędzy, ani w polityce. Obciąża, przeszkadza w normalnym funkcjonowaniu mechanizmu. Ale Raszyd nie miał racji. Takie pieniądze mieli jego poprzedni panowie, tylko nie wydawali ich tak jak teraz i nie na to, co teraz.

– Nie proponowali – przyznał Siergiejew. – Nikt. Co prawda chciałbym wiedzieć, kogo miałeś na myśli, mówiąc „pracodawcy”? Ale jeśli tych, o których pomyślałem, to tam taka propozycja nie mogła paść.

– Dlaczego? – zdumiał się szczerze Rasz.

– W batalionie inżynieryjnym nie było takich pieniędzy – powiedział Michaił z całą możliwą powagą. – Inżynierowie wojskowi to naród niebogaty!

Raszyd odrobinę się zmieszał, a Blinów parsknął ni to z rozbawieniem, ni to z rozdrażnieniem.

– W kółko to samo! Koniecznie musisz przepieprzyć cały dzień? Co z ciebie za człowiek, Umka! Przecież nie chcemy cię wynająć jako etatowego kilera!

– A jako kogo? – zapytał Siergiejew.

Cygare, które palił Rasz, miało świetny aromat i gęstość dymu. Nie cohiba, o, nie zapomniał, jak one pachną, ale całkiem przyzwoite.

– Jako kogo próbowacie mnie zatrudnić? Kapitana szkunera? Chorążego? Jest taka praca jak „towarzysz dziecinnych zabaw”? I za nią płacą milion rocznie?

– To zależy, jaki towarzysz z dzieciństwa – rzekł Blinów nieoczekiwanie ponuro. – Izależy, jaką ma profesję. Czasami płacą milion za jeden strzał. Albo za dobrą radę, jak ten strzał najlepiej oddać. Czasami nic nie płacą, jak by się człowiek nie starał. Albo rozliczają się dwunastoma gramami w pełnym płaszczu. Wiesz, bardzo zróżnicowane podejście, w zależności od osobistych cech wynajmowanego. Ale taka praca przecież by cię nie skusiła, prawda, Miszeńka? Nie jesteś takim człowiekiem... Chociaż kto cię tam wie, czym naprawdę się zajmowałeś przez te lata, kiedy oficjalnie budowałeś zręby socjalizmu na piaskach Bliskiego Wschodu i w Azji? Co? Nikt nie wie! Możliwe, że nawet ty nie wiesz.

Wykonawcom nie pokazują całego obrazka. Kto wtedy zawracał sobie głowę, żeby ci go pokazywać?



A pracując z nami, sam będziesz malować taki obrazek, a kto będzie w kadrze, nie powinno cię martwić. Wychodzić na scenę to nie twoja robota. Twoja to w cieniu pociągać za sznurki.

– Pięknie, cudownie pięknie – odparł Siergiejew. – Ale mętnie. Powiem szczerze, Wołodia, niczego nie zrozumiałem.

Zejdź z trybuny, nie jesteśmy na zebraniu! W czym sęk? To, że nie pasuję do roli najemnego zabójcy, jest naturalnie miłe, ale to dla mnie nic nowego. Co wy mi proponujecie? Rolę pomagiera?

– Oj! – Raszyd skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę. – Jakie paskudne słowo, Miszka! Pomagier...

Blinów był poważny i patrzył Siergiejewowi w oczy twardym wzrokiem. Tylko czerwone plamy na różowej niczym pięćka niemowlęcia łysinie świadczyły o tym, że pan poseł wypił dawkę śmiertelną, jak to mówią, dla żołnierza piechoty morskiej wagi średniej. Blinów w tej chwili nie był w nastroju do żartów. Najwyżej mrocznych.

– A jak to nazwać? – spytał Siergiejew. – Młodszy pomocnik? Starszy referent? Jak? Wiecie, chłopcy, wydaje mi się, że gdyby nie było tej rozmowy w szpitalu...

– Poczekaj – przerwał mu Placek. – Rozmowa i tak by była. Możesz mi nie wierzyć, aleby była, obowiązkowo. Już wyjaśniam dlaczego. Wiesz, ja już wiele lat siedzę w biznesie i w polityce, i są rzeczy, które przez te lata wykułem jak „Ojciec nasz”. Na przykład aksjomat, że nikomu nie wolno ufać! Banalne? Niewątpliwie! Do wyrzygania! Ale jest to bezsporna prawda. Ja czasem i sobie nie ufam, Umka. Ale interesów nie robi się w pojedynkę. Istnieją ludzie bliskiego kręgu. Oni, oczywiście, też zdradzają...

– Straszny jest ten świat – wystękał Raszyd, nalewając sobie mineralnej. – Wy, chrześcijanie, jesteście dziwnymi ludźmi.

W Koranie jest napisane: porzucić niewiernego podłożą jest. I od razu wszystko staje na właściwe miejsca!

– Tak między nami, ja też jestem niewierny, Rasz! I w Koranie tego nie ma! – rzucił Blinów i ciągnął dalej: – Rasz jest dla mnie bliskim przyjacielem. Jesteśmy związani przeszłością, wspólnymi pieniędzmi, wspólną odpowiedzialnością...

I wspólną krwią, dokończył Siergiejew w myśli.

Dałby głowę, że tak faktycznie było. W takim biznesie nie może być inaczej. Na Ukrainie nawet sprzedaż jedzenia dla niemowląt nie mogła się obejść bez krwawych porachunków, a co dopiero mówić o handlu bronią? Bliski krąg...

Przypomniawszy sobie czarne, złe, zimne jak odłamki lodu oczy Hasana. Nuker[10]. Odpowiedni pseudonim dla takiego człowieka. Ciekawe, do czyjego bliskiego kręgu on należy?

– Nawet kobiety czasami mamy wspólne – roześmiał się Rachmetułojew. – Khe– khe– khe!

Popił wody z bąbelkami i parsknął z zadowoleniem, jak wynurzający się z rzeki hipopotam.

– Pamiętasz, powiedziałem ci, że jestem teraz twoim dłużnikiem? – spytał Placek z powagą, nie zwracając uwagi na Rasza. – Pamiętasz, powiedziałem ci: proś, o co chcesz? Nie żartowałem. Dwa razy mnie uratowałeś, Siergiejew. Mamy wspólną przeszłość. Gdybym miał brata, nie jestem pewien, czy zrobiłby dla mnie więcej. Chcę, żebyśmy pracowali razem. Myślę, że mogę ci ufać.

Siergiejew milczał, patrząc w oczy Blinowa.

– Nie ponaglam cię – rzekł tamten. – Inie chcę ci mówić o szczegółach, mniej wiesz, lepiej śpisz! Nie zamierzam też ryc w twojej przeszłości. To i tak nie ma sensu, prawda?

Michaił wzruszył ramionami. Nie było tu nic do dodania.

– Jeśli przyjmiesz naszą propozycję, pojutrze polecisz do Londynu. Będziesz mieć carte blanche. Nieważny proces, tylko rezultat, a ten będzie czysto biznesowy: podpisany kontrakt, wysłany ładunek, przelew na konto. Nie będziesz nawet musiał prowadzić negocjacji ani składać podpisów. Od tego są tam nasi ludzie, z innym obywatelstwem i inną narodowością. Wrócisz do Kijowa już jako bogaty człowiek.

– Nie myśl, Siergiejew, że to będzie wycieczka – powiedział Raszyd, szczerząc drobne białe zęby. – W takich sprawach negocjacji nie prowadzi się za stołem. Nikt nigdzie nie daje kasy za darmo.

– Nie poganiam cię. – Blinów rozlał wódkę do kieliszków. – Zastanów się. Jeśli nie, to o wszystkim zapomnimy. Tak czy owak, jestem ci wdzięczny, Umka. Po siedem gramów, panowie! Za przyjaźń!

Więcej już do tych spraw w rozmowie nie wracali.

---

7 *Zagraditelnyj otriad* (ros.) – oddział umieszczony na tyłach wojska, mający na celu zapobieganie ucieczkom z pola walki i dezercjom.

8 Włodzimierz Wysocki, „Przed wyjazdem za granicę”, tłum. Michał B. Jagiełło.

9 Chodzi o Saparmurata Nijazowa.

10 Nuker (z mongolskiego *neher*) – wasal, towarzysz, przyboczny.



## Rozdział 5

**W**ieczór omal nie skończył się rejsem na jachcie Blinowa (na szczęście do tego potrzebny był kapitan) i sauną z zaproszonymi prostytutkami.

Rasz odpadł pierwszy – dały o sobie znać męczący przelot i nieco mniejsza w porównaniu z Plackiem waga.

Zasnął w fotelu, odchyliwszy głowę i chrapiąc z otwartymi ustami, od czego wygładziły się jego trzy podbródki i stał się widoczny złoty mostek dentystyczny. Siergiejew czuł, że powoli zapada się w ciężkie zamroczenie, od którego nie uratuje go już ani gorący barszcz, ani tłusta barania pieczeń.

Picie z Blinowem stanowiło ciężkie zadanie. Dobrze byłoby zorganizować jakiś kurs specjalistyczny, tylko szkoda kursantów. Może to kwestia komsomolskiej odporności, ale Władimir Anatoliewicz, dopiwszy się do zupełnej utraty kontaktu z rzeczywistością, zawisł w tym stanie jak między ziemią a niebem – kolejne „siedem gramów” już niczego nie zmieniało.

Czym to wszystko się skończyło, Siergiejew pamiętał niewyraźnie.

Jechał na tylnej kanapie swojej toyoty, za kierownicą siedział nieznajomy kierowca, a obok niego z jakiegoś powodu Wasiliewicz. Co rusz oglądał się przez ramię na spływającego z siedzenia Siergiejewa.

Nieprzychylnie spojrzenie sąsiadki, wyprowadzającej na trawniku flegmatycznego chow–chow. Schody, po których naczelnik ochrony prawie go niósł. Płotnikowa, pomagająca mu dojść do łóżka.

Ranek był potworny. Głowa nie bolała – po prostu jej nie było. Nawet dobra, droga wódka jest bezlitosnym przeciwnikiem.

Słońce, sączące się przez zasłony, świeciło nienaturalnie jasno, klując w oczy. Zeschnięty język z trudem mieścił się w ustach. W żołądku burczało.

Siergiejew otworzył jedno oko, zorientował się, że leży we własnej sypialni, bez spodni i skarpetek, za to w koszuli.

Wypił duszkiem butelkę wody mineralnej, troskliwie postawionej przez Płotnikową na szafce nocnej, i wyłączył się na kolejne dwie godziny.

Słońce stało już chyba wysoko. W mieszkaniu dało się wytrzymać, klimatyzacja pracowała, lecz na czole i tak wystąpił paskudny lepki pot. Poczucie chorobliwej bezsilności było na tyle mocne, że Siergiejew miał ochotę schować głowę pod poduszkę. Ale należało wstać. Zegar w bawialni, widoczny przez uchylone drzwi, wskazywał już kwadrans po dziesiątej.

Postanović łatwiej, niż zrobić. Mózg pływał w jakiejś oleistej cieczy pluskającej wewnątrz czaszki. Sypialnia chwiała się przed oczami. Michał dobrnął do kuchni, znalazł w lodówce sok pomidorowy, jajka i zaczął się leczyć.

Krew zabitych pomidorów, dwa jajka, pieprz, sól – wszystko to wymieszać i wypić duszkiem. Najważniejsze, żeby nie zwymiotować. Inaczej powtórka. Mieszanina przeleciała przez przewód pokarmowy i chlupnęła do wymęczonego żołądka, wzbudzając spazmy, które Siergiejew mężnie opanował.



Jakiż silny organizm trzeba mieć, żeby parę razy w tygodniu pić tak jak wczoraj! Przy Blinowie Arnold Schwarzenegger ze swoimi whisky i cygarem to zwykły dzieciak i powinien palić w salonie, kiedy dorośli rozmawiają.

Michaił zamknął za sobą drzwiczki kabiny prysznicowej i włączył zimną wodę. Z powodu senności i przepicia rzeczywiście wydała mu się zimna, chociaż od miesiąca w rurach płynęła raczej letnia. Jęknął z zadowolenia, podstawiając twarz pod mocne strugi bijące z prysznicą.

O której godzinie zakończył się wczoraj ten koszmar? Chyba niezbyt późno, jakoś o północy. Ale... Nie mógł sobie przypomnieć dokładnej godziny na zegarze i to go jeszcze bardziej zdenerwowało. Trzeba jak najszybciej zaopatrzyć się w odpowiednie środki. Przynajmniej w sorbenty. Jeszcze kilka dni w takim tempie i ujrzy własną wątrobę leżącą na kolanach.

Przełączył wodę na gorącą i oblał się niemalże wrzątkiem. Potem znów zimna. Po piątej zmianie skórze zaczęło wracać czucie – na piersi i ramionach pojawiły się czerwone plamy.

Dwie tabletki rozpuszczalnej aspiryny, dwie kapsułki no-spy i szklanka soku pomarańczowego. I cała dżezwa kawy – środek reanimacyjny.

Siergiejew wrócił do łazienki i ogolił się, nie ryzykując już poderżnięcia gardła maszynką.

Zmusić się do zjedzenia śniadania było ponad jego siły.

Sąsiad, akurat wychodzący z mieszkania piętro niżej, poprawił węzeł drogiego krawata, przywitał się i ze współczuciem pokiwał głową. Siergiejew popatrzył na niego wyzywająco i włożył ciemne okulary. Już na parkingu sąsiad nie wytrzymał i odezwał się półgłosem: – Ja bym na pana miejscu nie siadał dziś za kierownicą.

– Dziękuję – odpowiedział Michaił. – Zapewne tak zrobię.

Toyota stała na swoim zwykłym miejscu. Drzwi były zamknięte. Wasiliewicz pewnie spytał dozorcę, gdzie postawić auto. I najprawdopodobniej zostawił u niego kluczyki.

Kluczyki rzeczywiście były u stróża. A paczka z dokumentami i kasetą wideo na tylnym siedzeniu, tak jak obiecał Antywirus.

Ali Baba miał na oko trzydzieści pięć lat, albo i mniej. Teraz, kiedy jego rysy zaostrzyły utrata krwi i szok, stało się to bardziej widoczne. Jednak Michaił wiedział, że Ali Baba jest tylko trochę młodszy od niego samego.

Siergiejew nigdy specjalnie nie interesował się jego wiekiem – nie było powodu. Jednak wychodziło na to, że znajomek Siergiejewa nie mógł być aż tak młody. Po prostu dobre geny i tyle. Jego trybu życia nie nazwałby zdrowym nawet beznadziejny optymista.

Kiedy Kostia Istomin zapoznał ich ze sobą, podbródek Ali Baby zdołała bródka a la Osama bin Laden i biały turban aż się prosił na jego głowę, chociaż Ali Baba był ubrany po europejsku i zachowywał się odpowiednio do tego. Było w nim coś z bogatego studenta prestiżowej medresy<sup>[11]</sup> i wyglądał w Camelocie, delikatnie mówiąc, obco. Zapewne tak samo prezentowałby się prawosławny mnich, który przez pomyłkę trafił do baru ze striptizem.

Kiedy jechali na spotkanie, siedząc na tylnym siedzeniu służbowego audi Istomina, Kostia krótko wprowadził Siergiejewa w sprawę.

– W rzeczywistości jest etnicznym Albańczykiem, ale starannie to ukrywa. Kształcił się w Arabii Saudyjskiej. Pracował, jeśli tak można powiedzieć, w Afganistanie. Zepsuł mnóstwo krwi naszym przyjacielom amerykańcom. Moje źródła twierdzą, że miał związek z wszystkimi dużymi aktami terrorystycznymi w Kabulu i Peszawarze w ciągu ostatnich pięciu lat. Specjalista od wybuchów. Ponoć umie zrobić bombę z zapalaka i papieru toaletowego. Oficjalna profesja: dziennikarz.

Utalentowany biznesmen. Zorganizował dostawy broni dla talibów w zamian za narkotyki. Narkotyki transportował morzem, przewoził przez Meksyk do Stanów, a za utargowane pieniądze kupował broń u nas i u Chińczyków. Był bardzo bogaty. Około roku temu jego statek, wyładowany przenośnymi zespołami

przeciwlotniczymi i raketami powietrze– powietrze, według informacji Anglików capnęli w Stambule.

– To pewne? – zapytał Siergiejew.

Istomin wzruszył ramionami.

– Angole sami go ładowali. A Turkom info o ładunku nie wiadomo czemu przekazali Izraelczycy. Łańcuszek daje się prześledzić, nie sądzisz? Ale to jeszcze nie wszystko. Prawie jednocześnie wyładowany po brzegi narkotykami transportowiec, który Ali Baba wynajmował, chłopcy z DEA[12] zgarnęli za pomocą dwóch myśliwców na południowej granicy Teksasu. Żadnych dowodów jego udziału oczywiście nie znaleziono. On w ogóle jest człowiekiem widmem.

A ładunek skonfiskowano. Dwa ciosy pod rząd nie każdy wytrzyma. On wytrzymał, chociaż mocno go obskubali. Tak że jeśli był bajecznie bogaty, to teraz jest po prostu bogaty. Parę razy interesował się Ziemią Niczyją. Zadawał mi pytania.

– Kontaktujecie się bezpośrednio?

Istomin popatrzył na Michała ze skrytą ironią i potwierdził.

Nie było nic dziwnego w tym, że jeden z kierowników obecnego Biura kontaktuje się z międzynarodowym terrorystą.

Praca Konstantina Olegowicza nie dawała mu możliwości bycia wybrednym. Przyjaciół względnie jeszcze mógł sobie wybierać, ale prywatnie, z kolei na prywatność praktycznie już mu nie zostawało czasu. Służbowo Istomin rozmawiał z najróżniejszymi ludźmi: od niezbyt przyjemnych po skrajnie nieprzyjemnych.

Mówiąc otwarcie, na Siergiejewie nie zrobiłby wielkiego wrażenia fakt, że Istomin nie mówi mu całej prawdy. Na przykład tego, że Ali Baba w rzeczywistości ukończył Uniwersytet imienia Patrice'a Lumumby, z którego wyszło niemało rewolucyjnych liderów z bandyckimi nawykami. I przeszedł szkolenie w tym samym obozie na krymskim stepie, gdzie niegdyś opanowywał podstawy swojej przyszłej pracy sam Michał. Chociaż... Etniczny Albańczyk...

Za reżimu Envera Hodży w Albanii potrafili hodować supermanów i bez radzieckiej pomocy. Zresztą kto zagwarantuje, że to faktycznie Albańczyk? Z pewnością nie Istomin. I nie sam Siergiejew. Egipcjanin, Libańczyk, Marokańczyk... Do wyboru! Siergiejew tyle razy sam nosił różne maski i kopiował akcenty, że nie umiałby ich zliczyć. Ktokolwiek może okazać się kimkolwiek– złota zasada, o której nie należy zapominać.

– Naturalnie. – Istomin mówił ze zmęczeniem, jakby po raz setny powtarzał to samo nierozgarniętemu dziecku. – Dostałem go w spadku. Sam rozumiesz, że tyle lat pracuje dla nas...

Istomin ponownie uniósł rozpaczliwie brwi, jakby smakował myśl, którą zamierzał wypowiedzieć.

– ...a może i nie tylko dla nas, że przekazać go komuś z młodziaków... Chyba pamiętasz tych dwóch rotmistrzów, którzy przywitani cię za pierwszym razem? Tam, u babci...

– Pewnie – odparł Siergiejew, patrząc na migające za oknem światła Sadowoje Kolca. – Godna zmiana wam roślinie.

Można powiedzieć, że przekażesz Rosję w pewne ręce.

– Nie dramatyzuj – zaproponował Konstantin Olegowicz, lekko urażony. – Nie jest tak źle.

– Nie może być gorzej – rzekł Siergiejew, zniżając ton. – Kostia, przynajmniej siebie nie oszukuj. Biuro nie marnieje. Ono już zmarniało. Was, staruszków, karmią do wypęku, owszem. Drogie komputery, sprzęt, samochody...

Zrobił ruch ręką, pokazując otaczający ich wstrzemięźliwy po niemiecku luksus.

– Ale nie zapominaj, kim był nasz pan imperator w swoim poprzednim życiu. On ma duży respekt dla twojej profesji.

Tylko aktywnych operacji Rosja przez wasze Biuro już dawno nie prowadzi...

Istomin roześmiał się.

– Zdziwiłeś mnie. Nawet rozśmieszyleś, Umka! Kiedy to Rosja nie prowadziła aktywnych operacji przez nasze Biuro?

– Nie dosłuchałeś do końca!

– Głupstwa gadasz! – odparł Istomin już ostrzej. – Kompletne bzdury! Proszę bardzo, mów, ale...

– Kostia... – powiedział Siergiejew miękko. – Przecież znamy się od lat. Nie kochamy się, ale szanujemy i jesteśmy wobec siebie stosunkowo uczciwi. Po co kłamać? Jesteśmy dla siebie pożyteczni i obaj wiemy, że Biuro odsunięto. Już dawno. Porozciągali chłopaków po kątach jak psy kości. Służą teraz jeden tu, drugi tam... Guzik byś mi dzisiaj oddawał Ali Babę, gdybyś jeszcze prowadził swoje gry. Taka krowa tobie samemu jest potrzebna. Ale przecież oddajesz? Oddajesz, jak pionierzy makulaturę.

Konstantin Olegowicz milczał, patrząc przed siebie.

– Oddajesz, bo nie masz co robić z takim skarbem. Ile lat może „spać” agent? Uczono nas, że w nieskończoność. Wątpię.

Chociaż... Być może kiedyś tak było. Ale świat się tak szybko zmienia. Wczorajsi przyjaciele stają się dziś wrogami.

Wrogowie przyjaciółmi. A Ali Baba jak prowadził, tak nadal prowadzi swoją własną grę, i ty o tym dobrze wiesz. Ale to twój agent. Twój as atutowy, którego nikomu nie możesz przekazać. I żal, i strasznie, Kostia. Nie chce się zostać pogrzebanym pod żalonymi szczątkami swojej dawnej wielkości, prawda, Istomin?

– Nie chce.

– Liczyłeś, ilu chłopaków z twojej grupy zostało przy życiu?

– Aty, Umka?

– Czyli obaj liczyliśmy. – Siergiejew się uśmiechnął. – Z moich trzydzieści procent. Co trzeci. W dwa tysiące piątym było nas dwa razy więcej. A u ciebie?

– Ja jestem ciut starszy – powiedział Istomin. – Z moich zostało czterech z dwudziestu.

– Nas już dawno można nie brać w rachubę. Aleksander Aleksandrowicz ma swoich ludzi. Czemu miałby ufać obcy?

Ma swoje Biuro, swoich doradców, swój krąg. A wykarmić tych z nas, którzy jednak przeżyli, to nie jest duży koszt. Rosja to bogaty kraj.

Zamilkli.

Dobiegała północ. Nowy Arbat, jak zwykle, pełen był ludzi. Drogie samochody zamarły przy poboczach, oczekując swoich właścicieli, bawiących się w kasynach, nocnych klubach i restauracjach. Światło tysiącwatowych latarni i kolorowych reklam przemieniało noc w dzień.

Limuzyna Istomina płynęła w rzedającym potoku aut w kierunku Twerskiej. Siergiejew znów poczuł ostry atak mizantropii. Wybierając między sytością i demokracją, Rosja zdecydowała się na sytość. Wcześniej Siergiejew prychnąłby wzgardliwie, a teraz miał możliwość porozmyślenia o słuszności wyboru.

W Camelocie było jeszcze spokojnie. Prawdziwa zabawa zacznie się trochę później, o trzeciej, kiedy do restauracji zajedzie pokrzepić się klientela zmęczona tańcami i grą. W kabinach toalet będą rzygać, uprawiać seks i odpracowywać kłótnie rodzinne. Kelnerzy w średniowiecznych strojach zamiatają się po sali jak wystraszone karaluchy, roznosząc wykwintne dania, szampana i koniaki po tysiąc dolarów za butelkę.

Na stolikach w umywalniach pojawiają się kokainowe kreski – i to bez względu na to, że imperator wydał dekret kary śmierci za użytkowanie, przechowywanie i sprzedaż narkotyków. Ale nawet państwowi oprycznicy i żandarmi wiedzą, że co innego trzymać się litery prawa w podmoskiewskich Lubiercach, a co innego w centrum stolicy. Dlatego nad ranem zawiśnie w powietrzu gryzący zapach trawki, a będący na liście płac FSB ochroniarze będą udawać, że to ich nie dotyczy.

Stylizowany na średniowiecze Camelot miał już za sobą szczyt popularności i przygotowywał się na zapomnienie za rok lub dwa. Jednak kuchnia nadal była tu dobra i na dodatek podawano tu najlepszą w Moskwie baraninę w sosie z granatów, której Istomin, folgujący rozkoszom podniebienia, nie potrafił się oprzeć.

Ali Baba siedział w jednej z łóż na niewysokim podeście w końcu sali. Bardzo sensownie, jak zauważył Siergiejew: niedaleko wejścia do kuchni, w słabo oświetlonej strefie, twarzą do drzwi.

– To on – rzekł Istomin cicho, idąc przez salę. – Czeka. Nie dziw się. To bardzo światowy człowiek, kiedy jest w towarzystwie światowych ludzi. Pije wino, je wieprzowinę. Ostatecznie zabił podobno tylu niewiernych, że tak czy siak po śmierci będzie pił herbatę z Allachem.

Pogromca niewiernych okazał się szczupłym, dość młodym człowiekiem z kocią bródką, w drogim letnim garniturze.

Jeśli on jest Albańczykiem, to ja jestem Jakutem, pomyślał Siergiejew, ściskając rękę na powitanie. Arab.

Śródziemnomorski Arab. Zabawne. Po co Istomin miałby łączyć? Przecież to tak się rzuca w oczy!

Ali Baba był smagłoskóry, drobnej kości, z żywymi, przypominającymi lśniące czarne żuki oczami i gładkimi, zaczesanymi do tyłu włosami, w których lśniło parę siwych nitek. Jego profil był całkowicie semicki. Nie robił wrażenia niebezpiecznego człowieka, czyli – jeśli brać pod uwagę charakterystykę przekazaną przez Istomina – był naprawdę niebezpieczny.

Oto ona, Konstantynie Olegowiczu, twoja polisa ubezpieczeniowa, pomyślał Siergiejew, siadając wygodniej za stołem.

Twój portfel, twój kapitał podstawowy. Niepodobny do Carlosa Sancheza, najwyżej kolorem włosów. Wszystko zrozumiałeś, panie Istomin, znacznie wcześniej, niż ja dostrzegłem ze swojego bagienka. I teraz nie Biuro mnie zapoznaje z agentem, ale ty osobiście. I nie Biuro będzie mieć z tego korzyść, ale ty. I ze smutkiem muszę przyznać, że to nie Ali Baba jest twoim agentem, ale ty – jego.

Ali Baba wyglądał jak gość na cudzym przyjęciu. Siergiejew nie miał wątpliwości, że Arab, jeśli tylko zechce, będzie umiał zlać się z otoczeniem niczym kameleon – i tutaj, i w tłumie kibiców piłki nożnej, i w głównej sali Moskiewskiej Synagogi.

Jednak teraz nie było to konieczne i za stolikiem w ciemnym Camelocie siedział typowy geek, który zabłądził przez pomyłkę w imprezowe miejsce.

– To zaczynajmy – powiedział Istomin. – Ze swojej strony przy negocjacjach mogę ręczyć za obu. To jest za obie strony...

– Jeśli panowie pozwolą – odezwał się Ali Baba prawidłowym rosyjskim, lecz z okropnym akcentem – będę mówić po angielsku.

– Jak panu wygodniej – odrzekł Siergiejew, automatycznie przechodząc na język byłego przeciwnika strategicznego. – *It's up to you!* [13]

– To świetnie – ucieszył się Ali Baba i zaczął mówić w nieskazitelnym *british*. – Zasadniczo mam kilka pytań. Pierwsze.

Pan Istomin powiedział, że dobrze pan zna terytorium Ziemi Niczyjej.

– Zapewne tak – odparł Michaił. – Chociaż twierdzić tak byłoby z mojej strony nierozumnie. Arogancko, rzekłbym. Nikt nie zna Strefy dostatecznie dobrze. Ja nie jestem wyjątkiem. Możliwe, że znam ją nieco lepiej niż inni.

Istomin chrząknął i szcęknął zapalniczką.

– Kostia powiedział mi, że żyje pan tam od samego początku? – zapytał Ali Baba.

– Tak. Prawie.

– Przewozi pan przez granicę medykamenty i sprzęt?

– Tak.

– Czym pan płaci?

– Pieniędzmi. – Siergiejew wruszył ramionami. – A czym innym można płacić?

– A jeśli zapytam, skąd pan ma te pieniądze?

– Odpowiem, że w Strefie jest ich pełno. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie leżą, i umieć zabrać.

Ali Baba skinął głową.

– Przemycą pan towar?

– Nie! Wwożę oficjalnie! Czy pan w ogóle ma pojęcie, o czym mówi? Ziemia Niczyja to tysiąc kilometrów granic, drutów kolczastych, pasów kontrolnych, dziesiątki tysięcy czujników ruchu i temperatury, karabiny automatyczne, pogranicznicy, regularne wojska, ONZ i bandyci. A z każdym rokiem granica robi się coraz szczelniejsza, przewożenie ładunków staje się trudniejsze.

– Ale przecież pan wozi? Czyli jest okno?

– Stałych okien nie ma – wmieszał się Istomin. Z całej trójki mówił po angielsku najgorzej, wyraźnie zapomniawszy języka w czasie siedzenia za biurkiem. – Oczywiście, dla Siergiejewa granica jest dziurawa

jak sito, ale jeśli pójdzie, nie znając brodu, po czyichś śladach, to się nie pozbiera.

Stałe okna istniały, lecz Michaił nie chciał poprawiać kolegi grającego przed gościem rolę szefa. Nie ma to nie ma...

– Ile potrzeba lekarstw? Na przykład na rok?

– Nie wiem. Dużo. Naturalnie zależy, z której strony patrzeć, ale bardzo dużo.

– Jak by się pan odniósł do tego, że zaproponuję panu interes?

– Jaki?

– Wymienić coś na kilka samolotów transportowych z lekarstwami i sprzętem medycznym? Coś, co zdoła pan z łatwością wynieść z Ziemi Niczyjej? Kilka transportowców z lekami powinno bez trudu rozwiązać problemy na parę lat?

– Tam się nie da rozwiązać problemów – powiedział Siergiejew. – Tam można tylko częściowo załatwić niektóre problemy na jakiś czas. I to jeśli się będzie miało duże szczęście. Co trzeba wynieść? Pieniądze? Dokumenty? Bomb atomowych tam nie ma, z góry uprzedzam.

Ali Baba uśmiechnął się i potrząsnął binladenowską bródką.

– Na co nam bomba atomowa? Co pan? Jesteśmy absolutnie spokojnymi ludźmi, co najwyżej trochę się gniewamy, kiedy nas szturchają. Nie, nie... Nie bombę. Coś całkiem innego. I to leży spokojnie w centrum Kijowa.

– Aha, w centrum Kijowa? Szanowny Ali Babo, to nie „Sezanie, otwórz się!”, może być pan pewien. Wie pan, jak teraz wygląda Kijów? – zapytał Michaił, uważnie patrząc w szczupłą twarz Araba, zachowującą neutralny wyraz. – Czy Kostia cokolwiek panu mówił? Tak dla ogólnej orientacji?

– Tak. Wiem. Opowiadano mi. Nawet widziałem film... Amatorski. Robi wrażenie.

Siergiejew skrzywił się. Niezbyt przyjemnie było usłyszeć określenie „robi wrażenie” w takim kontekście.

Ali Baba się stropił. Nie zmieszał, ale właśnie stropił, jak student, który palnął na egzaminie kompletną bzdurę. To tak dobrze pasowało do kreacji geeka, że Michaił gotów był bić brawo, tylko temat ich rozmowy był bardzo „niegeekowski”.

– Możliwe, że wiem nie wszystko o tamtejszych komplikacjach, ale jednak o nich wiem – kontynuował Ali Baba. – Gdyby to było łatwe do wykonania, nie prosiłbym pana. Jest masa sposobów desantu na zamknięte tereny... Sam pan wie.

– Wiem – zgodził się Siergiejew. – Znam tysiąc i jeden sposobów wejścia na Ziemię Niczyją. Ale sposobów wydostania się stamtąd znam o wiele mniej. Proszę mi wierzyć na słowo. Nie jestem skłonny do podbijania swojej wartości.

Niedawno, dosłownie dziesięć dni temu, pogrzebałem to, co zostało z dwóch takich właśnie turystów. Mało zostało.

W każdym razie do identyfikacji.

Ali Baba milczał, uważnie obserwując Siergiejewa, a potem rzekł, wyjmując papierosy z kieszeni swojej modnie pomiętej marynarki: – Dobry angielski. Dawno takiego nie słyszałem w tym kraju. Wie pan, Michael, to dosyć trudne: przekazać ironię w obcym sobie języku.

Zapalił i dodał: – A panu się to udało. Doceniam. Nie będę opowiadał, że poradzę sobie bez pana. Potrzebuję, żeby wykonał pan zlecenie, a ja gotów jestem za to dobrze zapłacić. Listę medykamentów może pan sam sporządzić. Lepiej pan wie, co jest potrzebne tym, którzy tam zostali. Żadnych warunków dodatkowych. Prosta wymiana. Najpierw, i to jak najszybciej, próbka materiału. Potem dwa warianty. Pierwszy omówimy teraz. A więc jaki ładunek, dość niebezpieczny, może pan wynieść osobiście?

– Na początek proszę powiedzieć, co mam wynieść? I dokąd? Na północ? Na południe? Mam nadzieję, że obecność Konstantina Olegowicza nie jest przeszkodą?

– Ależ skąd – odparł Ali Baba. – Konstantin wie praktycznie wszystko.

– Nie przywiózłbym cię tutaj – potwierdził Istomin. – Gdybym miał jakieś wątpliwości...

Kłamiesz, pomyślał Siergiejew. Łziesz jak bura suka! Oj, Kostia, Kostia... Z przyzwyczajenia myślałem, że my obaj jesteśmy wilki, a ty już od dawna owca – na stołku i z pagonami. Czy nie czujesz, że siedzisz teraz między dwoma wilkami – strasznymi, cuchnącymi zwierzem i lasem – taki delikatny i ufny, że



zglupieć można? A przecież kiedyś byłeś straszny...

Nie tak jak Ichneumon, ten nie miał sobie równych, ale bardziej doświadczony niż ja i Kędzierzawy albo Nurek...

Jednoznacznie. Czym on cię tak omotał? Nie wierzę, że ciebie można zastraszyć, nie wierzę! A jeśli nie zastraszyć, pozostaje kupić. Oczywiście, jest jeszcze trzeci, mglisty wariant, że zorganizowałeś to spotkanie na polecenie Biura, ale to wydaje mi się, przyjacielu, nieuzasadnionym usprawiedliwieniem.

Kelner, ubrany jak szesnastowieczny sługa na francuskim dworze, tylko z notatnikiem i fosforyzującym chińskim długopisem, przyjął zamówienie i odszedł. Istomin wybrał swoją ulubioną baraninę w sosie z granatów. Siergiejew po chwili namysłu zdecydował się na to samo. Ali Baba pozostał przy medalionach cielących w sosie serowym.

– Wcześniej pracował tu taki orzeł – powiedział Konstantin Olegowicz, patrząc za kelnerem – że zapamiętywał zamówienie na cały stół bez żadnych notatek. Wyobrażacie sobie? Obsługa pięciu ludzi bez żadnej pomyłki. Już go tu nie ma, a szkoda... Popatrzylibyśmy, jak pracuje prawdziwy fachman.

Sommelier o twarzy spiczastej niczym pyszczek łasicy zmaterializował się koło stolika z kartą win w skórzanej oprawie i oceniwszy garnitury, wręczył ją Ali Babie.

Bingo, pomyślał Siergiejew, nie bez złośliwości.

Ali Baba lekko uniósł brew, a postać geeka błyskawicznie ustąpiła miejsca kwaśnemu jak ocet, wyelegantowanemu playboyowi. Sommelier zamienił się w słuch, zaszeleściły udające stary pergamin stronicy – i decyzja została podjęta: Medoc 1994. Nieźle, chociaż nie można było go nazwać idealnie pasującym.

Kiedy kelner nakrywał do stołu, Siergiejew, Istomin i Ali Baba siedzieli w milczeniu, otuleni dymem tytoniowym i półmrokiem, w którym kołysał się płomyk świecy zatkniętej w szyjce butelki, oblanej stalagmitami wosku. Dopiero kiedy kelner oddalił się, pozostawiając zakąski i pucharki z bąbelkującym „świętym źródłem” (ulubionym napojem Rosjan, jeśli wierzyć reklamie), Siergiejew zwrócił się do Ali Baby, nie podnosząc głosu: – Wróćmy do tematu.

Istomin uśmiechnął się, mrużąc oczy, i od razu odmłodził o pięć lat.

– Wiadomo wszystko: cena, miejsce i nawet trudności... Nie wiadomo, czego szukać. I dokąd dostarczyć. Bez tego nigdy nie odpowiem na pańskie pytanie, ile ładunku zdołam wynieść.

– Innymi słowy, chce pan wiedzieć co?

– Nie żebym chciał – powiedział Siergiejew. – Ale przecież za piękne oczy nie podaruje mi pan samolotów z medykamentami?

– Nie.

– No cóż... W takim razie... Mam powtórzyć pytanie?

– Po co? Zrozumiałem za pierwszym razem. Potrzebuję berylu.

Siergiejew szczerze się zdumiał. Za to Istomin – nie.

– Skąd beryl w Kijowie? – zapytał Michaił bardziej Konstantina Olegowicza niż Ali Babę i odpowiedział mu Istomin, Arab zaś milczał, popijając wodę i zagadkowo przymykając oczy, jakby drzemał.

– Beryl jest tam od dawna. Jeszcze od początku lat dziewięćdziesiątych. Była tam filia pewnego petersburskiego wojskowego SKLEPIKU, nazywała się Zachód. Robili tam coś takiego, czego nie robiono nigdzie indziej, detale dla przemysłu zbrojeniowego. W kosmos, powietrze, ziemię... Unikalna produkcja i takie tam... Wiesz... Dodatki za szkodliwość, BHP, rok za trzy, emerytury jak u generałów... A potem, pewnego pięknego dnia, wszystko umarło.

Siergiejew doskonale pamiętał ten dzień, kiedy wszystko umarło, chociaż przywitał go pod obcym niebem. Nie najlepszy dzień w jego życiu... Biuro, na ich szczęście, było żywotne jak kot, inaczej też mieliby się z pyszna, za to pracownikom kijowskiej „skrzynki” powiodło się gorzej.

Złapał się na tym, że słucha Istomina jednym uchem. Z jakiegoś powodu przypomniały mu się ogromne kolejki do sklepów nabiałowych, stojące w porannym, zaśnieżonym półmroku. Budy handlowe, koło których w nocy płonęły ognie w żelaznych beczkach.

Przyjechał wówczas do Moskwy po długiej niebytności i patrzył na wszystko oczami przybysza. Tak,

dokładnie, listopad 1991 roku. Wszystko już runęło, lecz nikt w to jeszcze nie wierzył. Kraj ześlizgiwał się w chaos, imperium rozlatywało na kawałki, z których każdy uważał się za jego spadkobiercę. Udzielne książątka wpełzały na trony miasteczek, a ich zgraje, żarłocznie warcząc, rwały na części łup, który im przypadł w udziale. Czy kogokolwiek obchodziło jakieś tam biuro, cicho dogorywające w dalekim Kijowie? Umierały zakłady i kopalnie, które żywiły nie trzydziestu naukowców, ale całe miasta.

Kto miałby myśleć o filii leningradzkiego instytutu, która znalazła się w cudzym i, jak się okazało, niezbyt przyjaznym państwie?

– Pieniądzy starczyło tylko na to, żeby popakować surowiec w kontenery. Potem, po paru latach, kasę dało nowe państwo. Budowali specjalny magazyn, jak należy, z ochroną i sygnalizacją, ale odcięto finansowanie i skarbca nie dokończyli. A całe to gówno w rezultacie pozostało w piwnicach budynku instytutu w samym centrum Kijowa, cholernie niebezpieczne, i teraz akuratnie leży bez żadnej ochrony – dokończył opowieść Istomin.

– A skąd on o tym wie? – zapytał Siergiejew po rosyjsku i dostrzegłszy rzucone z ukosa spojrzenie Ali Baby, pojął, że tamten rozumie rosyjski lepiej, niż chciałby się przyznać. – Ty mu powiedziałeś?

– Od niego się dowiedziałem. – Kostia pokręcił głową. – Nie, Misza, do niedawna nie miałem o tym pojęcia. On ma swoje źródła i, jak rozumiesz, nie zdradza ich.

– Szukają bezpańskiego materiału – rzekł Michaił. – Takiego, żeby potem nie znaleziono absolutnie żadnych śladów. To świństwo jest na tyle toksyczne, że trudno sobie to wyobrazić. A już wymieszane z izotopami i kilogramem plastiku to koszmar dla wszystkiego, co żyje. Berylu jest na świecie pełno, Kostia. Są kopalnie, zakłady wzbogacania i specjalne wytwórnie. A on szuka bezpańskiego... Po co mu on, jak myślisz?

Istomin wyciągnął z paczki kolejnego papierosa i zapalił, nie odrywając oczu od Siergiejewa. Ali Baba nadal siedział naprzeciwko, spokojny i zagadkowo uśmiechnięty, jak sfinks.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – powiedział Konstantin Olegowicz. – Nie moja sprawa. A ciebie to interesuje? U ciebie już wszystko się wydarzyło, Misza, gorzej nie będzie. W twoim zwierzyńcu pojawiają się lekarstwa i sprzęt, a to, że gdzieś, tysiąc kilometrów od ciebie, coś wybuchnie? Chuj z tym. Kiedy u ciebie pierdolnęło, to dużo pomogli? Ach, jakie nieszczęście! Ach, biedni ludzie! Aj, jaki koszmar! I tyle. Ile czasu wystarczyło, żeby o was zapomnieli? Nawet pół roku nie minęło, prawda?

Siergiejew nie odpowiedział. Nie było nic do powiedzenia ani powodu do zdenerwowania, ale z jakiejś przyczyny poczuł paskudny metaliczny posmak w ustach. Zawsze go czuł, kiedy znajdował się w krytycznej sytuacji – jakby dotknął językiem baterii. Tylko bateria była tym razem bardzo duża.

– Zdumiewające, jaki ty jesteś humanitarny, Siergiejew! Po prostu wbrew wszystkiemu. Przyjechałeś tu szukać kontaktów z Biurem? Po co? Żeby ratować ludzi? Wywozić kogoś z tej waszej kwarantanny z naszą pomocą? Nosić tam lekarstwa? Byłeś gotów zaprzedać nam duszę! No to dostaniesz wszystko hurtem, a duszę zatrzymasz. Czego się gryziesz?

Do grona świętych i tak cię nie przyjmą, za to trzasną przy przekraczaniu granicy, a jakże. Więc jaki sens rozpytywać mnie czyjego, co i gdzie pójdzie? Po co mu ten proszek i z czym chce go zmiksować? Czego chcesz: lekarstwa czy pytania?

Twarz miał Istomin całkiem spokojną, za to oczy... Te zdradzały całą burzę emocji. Konstantin Olegowicz był zamieszany w gry Ali Baby po same uszy. I miał z tego kupę pieniędzy. I w walce pod tymi pieniężnymi sztandarami Kostia Istomin nie miał ani wrogów, ani przyjaciół – tylko rywali.

– Kłótnie są niepotrzebne – odezwał się Ali Baba nie najgorszym rosyjskim, przestając się wygłupiać, i zaraz ponownie przeszedł na angielski. – Chcę pana zapewnić, Michaił, że potrzebny mi materiał nie będzie użyty na twoim terytorium.

Ani na twoim, Kostia. A gdzie będzie użyty, to już, proszę wybaczyć, nie powinniście wiedzieć. Najpierw chciałbym otrzymać próbki. W oddzielnym hermetycznym pojemniku. Dostarczę go: coś w rodzaju termosu. Niewielka metalowa tuba, zamykająca się na głucho. Ciężar: trzysta pięćdziesiąt gramów. Po wypełnieniu nie więcej niż piętnaście kilo. Jednak nie zalecam ładować do pełna, ciężko nieść, a i ja tyle nie potrzebuję.

– Jeszcze na nic się nie zgodziłem – rzekł Siergiejew ponuro.

– Tak? – powiedział Ali Baba z umiarkowaną ironią. – Naprawdę? Nie zauważyłem... Potrzebujecie pomocy humanitarnej?

– To nie pomoc humanitarna. Za pomoc humanitarną się nie płaci.

– Czyżby? Chcę powiedzieć, że tego nie widziałem nigdy i nigdzie. Nie ma darmowych obiadów! Za nią też płacą, Michaile. Być może nie ci, co ją otrzymują, tu bywa różnie. Lecz ktoś na pewno płaci, możecie nie wątpić. I to bardzo dobrą cenę. Pomoc humanitarna, przepraszam za cynizm, ma swój rynek. I to, co panu proponuję, jest opłaconą przez pana pomocą humanitarną dla Ziemi Niczyjej. Pełni pan rolę mecenasa. Ja ciemnych sił służących dobru. Śmieszne, ale niewesołe. Panowie pozwolą, że będę kontynuować? Termosu z próbką materiału nie musi pan wynosić ze Strefy.

Spotkamy się, powiedzmy, w Zaporozżu, zrobię ekspresową analizę od razu na miejscu i umówimy się, jak mogę otrzymać ładunek. Desant śmigłowców jest w pełni wykonalny. Mam duże możliwości. – Uśmiechnął się i pogłaskał brodę, istny mułła w czasie modlitwy. – Jednocześnie zaczynam przewozić do Strefy to, co pan zamówił. Proszę zauważyć, że jeszcze zanim pan zapłaci za moje usługi...

– Na tyle mi pan wierzy? – zdziwił się Siergiejew. – To mi pochlebia. A jeśli, nie daj Boże, niechcący zginę? Wie pan, to się czasami zdarza... Co wtedy?

– Niedogodnie jest mnie oszukiwać – rzekł Ali Baba poważnie. – Jestem dla pana cenny. Wasz los na loterii przeżyca.

Zapewne nawet nie podejrzewaliście, że to jest możliwe. Wszystko jest skrajnie pragmatyczne. Był taki oenzetowski program „Ropa za żywność”. A nasz program będzie się nazywał „Beryl za lekarstwa”. Niech pan będzie realistą, Michaił.

A jeśli pan przypadkiem umrze... No cóż, to moje ryzyko. Ostatecznie nie pan jeden powinien ryzykować.

Siergiejew znów spojrzął na Istomina, a potem przeniósł wzrok na Ali Babę. Terrorysta i szef regionalnego oddziału niegdyś wszechmocnego Biura. Waleczny obrońca interesów Rosyjskiego Imperium i człowiek, którego ścigali profesjonalni likwidatorzy minimum dziesięciu specsłużb, siedzieli z nim przy jednym stole. Do czegoś takiego należało przywyknąć, chociaż... nic nowego pod słońcem. Wiele wywiadów miało swoje psy bojowe. Niektóre na postrach, a niektóre do wypełniania konkretnych zadań politycznych. Poza robieniem chytrych planów należało mieć jeszcze kogoś do machania łomem. No i kim w zasadzie jest terrorysta? Terrorysta to taki sam bohater narodowy, tylko po drugiej stronie płotu.

– Dalej? – odezwał się Siergiejew.

– Co? – odrzekł Ali Baba.

– Sprawdza pan próbkę. To jest to, czego pan potrzebuje. Co się dzieje dalej?

– Ach, tak... Rozumiem. Dla pana, Michaił, zupełnie nic. Jeśli próbka spełni moje oczekiwania, dam panu mały sygnalizator satelitarny. Nie można go namierzyć. Umieszcza pan sygnalizator obok ładunku, na przykład na dachu budynku, i natychmiast odchodzi. Na tym misja się kończy. Byłoby nieludzkie z mojej strony zmuszać pana do taszczenia tego wszystkiego.

– Tam jest powyżej osiemdziesięciu kontenerów. – Istomin zgasił niedopałek i zaraz zapalił następnego papierosa. To było ich wspólnym problemem, wszyscy chłopcy z Biura dużo palili. Jednak niewielu mogło sprawdzić, czy rzeczywiście prowadzi to do nieprzyjemnych skutków, dla nich śmierć od papierosów byłaby niedopuszczalnym luksusem. Znajdowały się i inne, bardziej egzotyczne przyczyny zgonów. Tych, którzy dożyli czterdziestki, uważano za szczęściarzy, pięćdziesięciolatków za patriarchów. – Każdy kontener waży sześćdziesiąt kilogramów. Zmachałbyś się.

– To oczywiście nie moja sprawa – powiedział Siergiejew po rosyjsku, zwracając się do Istomina – ale radzę wziąć pod uwagę, że to jednak północ. Sadzę, że operację będziesz koordynować ty, dlatego mówię tobie, na wszelki wypadek...

Granica tuż obok. Baza sił pokojowych ONZ, Rosjanie pilnujący gazociągu, Kapiszcze również tuż–tuż, przy tym skrajnie agresywne i nieprzewidywalne. Plus Kijów, ulubione miejsce pielgrzymek rozmaitych działaczy bandyckiego autoramentu. Ciągnie ich do stolicy. Co tydzień nowy ataman przychodzi tam panować. I co tydzień jakiś wojak tradycyjnie wiesza jego i jego drużynę za nogi w widocznym miejscu. A i tak leżą... Samotnych niedobitków też pełno.

Zechcecie wywieźć ładunek śmigłowcami, to rąbną was z ruin, aż miło! Fachowo, i nie z przenośnego zespołu, ale po dorosłemu, z działą, żeby zostały po was tylko puzzle.

– Uwzględnimy to – uciał Istomin krótko, całym sobą dając do zrozumienia, że jest wdzięczny za radę, ale postara się przede wszystkim polegać na własnym rozumie.

Ali Baba uśmiechnął się uprzejmie. Zapewne zrozumiał, choć Siergiejew mówił szybko. Geek... jasne... Świeża legenda.

Ciekawe, czyja szkoła?

Siergiejew jako człowiek kiedyś pracujący w terenie doskonale pojmował, że dowiedzieć się takich szczegółów można tylko czystym przypadkiem. Ten mężczyzna mógł być agentem dowolnego wywiadu, a mógł też okazać się wychowankiem jednego z islamskich ugrupowań, prawdziwym fanatykiem, który przeszedł kurs pod kierunkiem najemnych profesjonalistów. To prawdopodobnie na zawsze pozostanie

tajemnicą. Jego cele były dla Siergiejewa

zagadkowe, środki ich osiągnięcia mogły być dowolne, ale tego, że rozmówca szczególnie w nich nie przebiera, Michaił był absolutnie pewien.

Zmieniały się czasy, ustroje społeczne, klasy rządzące i wiodące religie, lecz niezmiennie potrzebni byli tacy ludzie jak Ali Baba. Oni zawsze pozostawali w grze, jak za czasów dawnego Egiptu i Rzymu pozostawały w grze zwiad i kontrwywiad, zmieniając tylko nazwy, imiona i maski, lecz nigdy nie zmieniając swojego sedna: służąc panu – służyć sobie.

Kelnerzy przynieśli przekąski. Sommelier odkorkował butelkę i nalawszy wina do kieliszka, zaproponował je Ali Babie na próbę. Ten wino zaaprobował.

W czasie kolacji rozmowa stopniowo, najpewniej z powodu bezustannej obecności „w kadrze” wyszkolonych kelnerów, przeszła na tematy ogólne. Siergiejew nie mógł nie przyznać, że Ali Baba okazał się doskonale wykształcony. W każdym razie znacznie lepiej niż Istomin i, co tu kryć, sam Michaił. Przy czym owa erudycja obejmowała najróżniejsze dziedziny.

Rozmowa toczyła się niby o niczym, lecz wrażenie, które zaczęło narastać, kiedy tylko Siergiejew usłyszał klasyczną angielszczyznę, nasilało się z każdą minutą. Spod inteligentnych wypowiedzi przez płynność i oszczędność ruchów prześwitywała zwinęta w mocną sprężynę gotowość błyskawicznego, odruchowego działania – tak jak w śpiącym na parapecie leniwym kocie mimo wszystko wyczuwa się czujność dzikiego zwierza.

Widać było tę gotowość w precyzyjności przypadkowego gestu, w sztucznej niedbałości przyjętej pozy, pozwalającej zerwać się błyskawicznie z miejsca w razie niebezpieczeństwa, w mimowolnym na pozór obrocie głowy, umożliwiającym skontrolowanie otoczenia. Niezależnie od tego, kim byli ludzie uczący tego faceta, robili to dobrze. A do tego miał dar od Boga. Albo raczej od czarta, biorąc pod uwagę jego profesję.

Ślizgając się po powierzchni niezobowiązującej rozmowy przy stole, Siergiejew pomyślał, że przyjmie propozycję i prawie na pewno ją wypełni.

Istomin miał rację. Nie wtedy, kiedy nazywał Ziemię Niczyją zwierzyńcem. Tutaj, w Moskwie, jest taki zwierzyńiec, że ze świecą szukać podobnego. Rację miał wtedy, gdy mówił, że Siergiejew i tak ma się o kogo troszczyć i nie ma po co zawracać sobie głowy losiem całkiem mu obcych ludzi. I co go obchodzi, co zamierza robić z kontenerami berylu ten oliwkowoskóry facet, tak świetnie udający „geeka”...

Michaił powiedział wtedy „tak”.



Dzisiaj, patrząc na poszarzałą twarz swojego zleceniodawcy, Siergiejew z przerażeniem pomyślał, że

jeśli Ali Baba teraz umrze, na rękach Krasawickiego, to dla mieszkańców Ziemi Niczyjej nastaną jeszcze cięższe czasy.

Przez ostatnie kilka miesięcy obrachunki Michaiła zasadzały się na tym, że transakcja dojdzie do skutku i medykamenty trafią do Strefy. Nie chciał myśleć o tym, co się stanie, jeśli nie dotrze do miejsca przeznaczenia. Nadchodziła zima dwunastego roku od momentu Potopu, zima 2018 roku od narodzenia Chrystusa. I zapowiadała się na surową. Bez antybiotyków i innych zdobyczy cywilizacji do nowego, 2019 roku mogło nie dożyć wielu. Zwykle do tego czasu Siergiejew zdążał zanieść do Strefy kilka partii medykamentów. Można było do nich dołożyć te, które udało się odszukać w ruinach, jeśli zawartość opakowań nie została zniszczona przez wodę. Termin ważności już prawie nikogo nie interesował. Działa lekarstwo czy nie – określano w trakcie użytkowania.

Wyprawa do Kijowa i poszukiwanie budynku, w którego piwnicach, według słów Ali Baby, leżały zapasy berylu, zmieniła zwykły tryb wydarzeń. Jasne, kolonie przeżyją, ale przy braku dostatecznej ilości normalnych preparatów zima może zabrać wielu ludzi. Rabbi ma lekarstwa, z tego magazynu, do którego zaprowadził go Siergiejew. Pułkownik się nawet podzieli, nie jest sknerą. Ale bardziej na północ i na południe będą problemy.

Na północy, tam, gdzie klin Ziemi Niczyjej był wąski, wbity jak sztylet w cudze tereny, było mało składów, ale dość sporo ludzi. Tym bardziej że wciąż wybuchały tam walki – ktoś się z kimś ścierał, grzmiały wybuchy i strzały, konflikt zaraz tłumili oenzetowcy, z zachodu nadciągali cierpiący na paranoiczną rusofobię konfederaci, ze wschodu do samej granicy podchodziły części Republiki Wschodniej. Rosyjscy wojacy stojący wzdłuż gazociągu zaczęli strzelać nawet na pisk myszy w krzakach. Zaś pogranicznicy zgrzybiałego jak Mao w ostatnich latach życia „baćki Łukaszenki” z zimną krwią zabijali wszystko, co próbowało wyjść na pas kontrolny.

W sercu całego tego bałaganu, w ruinach Kijowa, również nie na żarty kipiały emocje, Siergiejew jednak do stolicy zachodził. I po to, żeby się pożywić, i po to, aby posiedzieć choćby pół godziny w rozwalinach domu jego i Płotnikowej.

W takiej chwili wydawało mu się, że Wika z Marinką przychodzą do niego, żeby pobyć razem – robiło mu się dobrze i ogarniał go spokój. Siergiejew sam siebie nie podejrzewał o taką sentymentalność.

Goworowa rozpruła nożyczkami spodnie Ali Baby. Materiał trzeszczał jak jedwab spadochronowy. Siergiejew, którego z jakiegoś powodu nie wygnali z sali operacyjnej (pewnie dlatego, że był świeżo po kąpieli i przebrany w czyste ubranie), zobaczył ranę i przeżegnał się w myśli. Allach był dla rannego łaskawy – kule tylko cudem nie zaczęły o tętnicę. Za to nie oszczędziły drobniejszych naczyń. Z rany sterczały białoróżowe odłamki kości. Siergiejew widywał w życiu niemało rozmaitych postrzałów i kiedy zerknął na zmasakrowaną nogę Ali Baby, natychmiast przyszła mu do głowy myśl o amputacji. Napotkał spojrzenie Grinberga i zrozumiał, że Edward Arkadiewicz myśli o tym samym.

– Co to za gówno w ramieniu? – odezwał się Krasawicki. – Drut?

– Elektroda – powiedział Grinberg. – Stara, naostrzona elektroda.

– Na wylot. – Krasawicki cmoknął. – Oho! Ma pod kurtką kaburę naramienną, przeszło przez pasek. Skórzany! Strzelali tym z kuszy czy co?

Próbował coś przekręcić – Ali Baba zajęczał, nie otwierając oczu, i zazgrzytał zębami.

– Ostrożniej, Timur – poprosił Grinberg. – Zaraz nam tu umrze z bólu. Może damy narkozę?

– Ustalimy, co zrobić, i wtedy damy – odgryzł się Krasawicki. – Albo i nie damy... Parszywa rana na goleni, na udzie też.

A co tutaj, nie pojmuję... Szaszłyk na szpadce... O cholera!

Zachwiał się i mało nie upadł. Strzała z elektrody została mu w rękę, a Ali Baba znów zajęczał i wzdrygnął się. Struga krwi bryzgnęła z ramienia i nakreśliła na fartuchu Goworowej szkarłatną krechę, oblewając przy okazji Grinberga.

– Aha – powiedział z zadowoleniem Krasawicki. – Czyli tak?

Paroma ruchami nożyc Goworowa rozcięła kurtkę rannego, sweter i ciepły podkoszulek, odsłaniając ranę, nad którą natychmiast nachylił się Timur.

– Kłuj go – polecił Grinbergowi. – Ale coś niezbyt mocnego. Nic mu nie będzie.

– A noga? – zapytała Irina ze zwątpieniem. – Żebyśmy tylko nie musieli amputować...  
– No to dajcie ogólne! – ryknął Timur. – Jeśli wszyscy wiedzą lepiej ode mnie, to dlaczego nikt nic nie robi?!

Ali Baba odetchnął ze świstem.

Brzęknęły instrumenty.

– Teraz na stół – powiedział Grinberg. – Inie krzycz, Timur, na Boga. Zaraz wszystko się zrobi.

– Pomóż – poprosiła Goworowa, zwracając się do Siergiejewa. – Tylko ostrożnie.

Ali Baba mimo szczupłej budowy był ciężki jak statua Komandora.

– Trzy cztery – zakomenderował Krasawicki. – Już.

Nieprzytomne ciało przeniesiono z noszy na stół.

– Świetnie. – Grinberg podtoczył do wezgowia stojak ze sprzętem i połał ręce spirytusem. – Zaraz wszystko zrobimy...

Zaraz wszystko zorganizujemy... Zaraz mu damy narkotyk... Zaraz...

– Zamknij się wreszcie! – wtrącił Krasawicki. – Kurwa, ależ śliskie!

– Mam – powiedziała Goworowa, pochyliwszy się nad raną. – Trzymam.

– Więcej wody utlenionej. Przecież tu na wylot... A teraz zaszyjemy! Śli- czniu- tko! – wyskandował Krasawicki. – Edik?

– Okej. Tylko ciśnienie gówniane. Trzydzieści na siedemdziesiąt.

Lampy na suficie i zwisająca bezpośrednio nad stołem zamigały parę razy i zalały salę nienormalnie jasnym światłem. Na dole zadudnił generator.

– Puls? – spytał Timur.

Jakieś narzędzie hałaśliwie upadło do kuwety. Siergiejew poczuł przemożną ochotę, żeby zapalić.

– Czterdzieści – stwierdził Grinberg. – Zaraz go podtrzymamy... Zaraz...

– Tutaj już wszystko – powiedział Krasawicki. – Ira, teraz nogi.

Z nogami było znacznie gorzej. Zwłaszcza z raną na goleni.

Krasawicki kłął. Na wezwanie Grinberga przybiegła sanitariuszka Larisa Matwiejewna i zabrała się do przygotowywania opatrunku gipsowego. Potem zaczął rzucać mięsem Edik, a następnie dołączyła Goworowa – jej kontralt brzmiał jak pieśń operowa, nie bacząc na leksykę.

Siergiejew, o którym wszyscy zapomnieli, wyszedł na korytarz i zapalił w zimnej klatce schodowej. Obok zmateralizował się Milczek, bezgłośny jak zwykle. Wyglądał na sennego i po dziecinnemu zmartwionego.

– Wszystko będzie w porządku – powiedział Siergiejew. – Wylize się.

Milczek usiadł na najwyższym stopniu, ramię w ramię z Michaiłem, i również zapalił.

– Tak – odpowiedział Siergiejew na niewypowiedziane pytanie Milczka. – To ten, do którego szliśmy. Potrzebuję, żeby przeżył. Inaczej... Inaczej... – Pomyślał chwilę, zaciągnął się gęstym dymem zdobycznego papierosa i ciągnął dalej: – Inaczej na razie nic nie będzie. Nawet nie mam po co jechać do Moskwy. Jest tam jeden człowiek, ale... Być może, ale wiosną, jeśli nie zdarzy się cud. Ci faceci byli bardzo ostrożni. Nie zostawiali żadnych śladów. Albo prawie żadnych.

Milczek pokazał dwa palce.

– Nie sądzę – odparł Michaił. – Najpewniej zabici. Ali Baba sam pokuśtykał do drzwi, nikogo z nim nie było. Mam wrażenie, że trafili na tę całą Warwarę z Kapiszcza i jej chłopców. Pamiętasz, tę, o której opowiadali Goworowa z Krasawickim. Wpadli pewnie w zasadzkę.

Czekali długo, prawie czterdzieści minut. Potem na schodach pojawiła się Goworowa. Poklepała Milczka po głowie i usiadła obok.

– No i? – zapytał Siergiejew.

– To twój przyjaciel?

– Nie. Partner w interesach.

– Ciekawych masz partnerów, Siergiejew.

– Mam interesujące życie, Irisza. Nie umarł?

Goworowa parsknęła.

- Żywiuteńki. Jutro z nim pogadasz. On mówi po rosyjsku?
- Mówi, mówi... Jeśli będzie udawał, że nie, to mu nie wierz. Mówi niezłe, a rozumie doskonale.
- Jeden plus – powiedziała Goworowa. – Nie musisz zrywać się z rana i lecieć na to swoje spotkanie.

To jego przecież szukałeś?

Siergiejew przytaknął.

– No to teraz odeśpisz. Nie ocknie się wcześniej jak o jedenastej, a i wtedy tylko na pół gwizdka. Chodźcie, zaprowadzę was do pokoju.

Pokój gościnny znajdował się na drugim piętrze. Tu też było ciepło, choć nie tak jak na pierwszym. Siergiejew zapalił niewielką lampę naftową. Umeblowanie było spartańskie: cztery łóżka, szafeczki z malowanej płyty wiórowej, taborety.

W rogu stał stary drewniany wieszak ze stojakiem na parasole, jak wyciągnięty wprost z dzieciństwa Michała. Dokładnie taki sam rogaty potwór znajdował się w przedpokoju moskiewskiego mieszkania dziadka – pułkownika Rysina.

Łóżka były starannie zaścienione. W oknach wisiały białe szpitalne zasłonki.

– Spać, chłopcy! – nakazała Goworowa i cmoknęła Siergiejewa w policzek. Nie pachniała już snem i ciepłem jak parę godzin temu, kiedy przywitała ich w szlafroku. Pachniała krwią, bólem i antyseptykami.

– Toaleta na końcu korytarza.

Kładźcie się! Ja też już idę. Ledwo się trzymam na nogach...

Nie musiała powtarzać dwa razy.

Pościel była zachwycająco czysta. Poduszka miękka jak puch. Kołdra lekka i ciepła. Siergiejew nie zdążył pomyśleć do końca, jak fajnie byłoby wypić na noc szklankę ciepłego mleka z miodem. Zasnął ze złudzeniem ciepła w gardle i smakiem gorącego, pianistego mleka w ustach.

---

11 Medresa – teologiczna szkoła muzułmańska.

12 DEA – Drug Enforcement Administration.

13 *It's up to you!* (ang.) – To zależy od pana!



**S**iergiejew może stałby się człowiekiem ciekawskim, jednak profesja wykształciła w nim zupełnie inne skłonności.

Ciekawość mogła być czynnikiem dopingującym, ale... Ciekawscy najczęściej marnie kończyli.

Czasami grała orkiestra wojskowa i jechała na lawecie trumna okryta flagą. Jednak nie było żadnych orkiestr nad mogiłą, pośpiesznie wykopaną w nieznanym lesie, do której właśnie wrzucono starannie polanego kwasem trupa.

Dlatego wchodząc na swoje piętro, Siergiejew próbował określić, w jakim stopniu opłaca mu się przejawiać ciekawość odnośnie do paczki z kasetą i papierami. Nie znalazł jednoznacznej odpowiedzi, chociaż od całej tej historii z Antywirusem, rozmową telefoniczną i przesyłką na tylnym siedzeniu toyoty śmierdziało tak, że chciało mu się wstrzymać oddech. Szczególnie fatalnie byłoby wdepnąć w jakąś historię z szantażem, beładną strzelaniną oraz równie beładnymi związkami seksualnymi i politycznymi. Ułożenie tego puzzla w obrazek bez zaznajomienia się z zawartością pakietu było niemożliwe, a z kolei zajrzenie tam mogło zaowocować nieprzyjemnościami. Zresztą nie przejrzeć dokumentów również nie pozwalała mu zawodowa duma. Tylko że z powodu którego zawodu odczuwał tę dumę, Michaił nie określił.

I wcześniej, i teraz Siergiejew często zadawał sobie pytania: kim właściwie jest? Wywiadowcą? Kontrwywiadowcą? Do czego go przyuczano? W każdym razie to, czego go uczono, nie miało żadnej konkretnej nazwy ani konkretnego przeznaczenia. Nie będąc wywiadowcami, byli gotowi zorganizować sieć i stanąć na jej czele, i to wedle wszelkich prawideł sztuki. Nie będąc dywersantami – zaplanować i wprowadzić w życie zamach terrorystyczny dowolnego stopnia skomplikowania. Nie będąc kontrwywiadowcami – ujawnić i zniszczyć zakonspirowaną siatkę przeciwnika. I nie zawsze byli najemnikami...

Kiedyś, stosunkowo niedawno, mieli zaszczyt służyć niesprawiedliwemu, niewdzięcznemu i okrutnemu, ale wielkiemu mocarstwu. Zostali wychowani przez nie na oręż, gotów do użycia w dowolnej chwili i w dowolnym punkcie świata.

Mocarstwa już nie było. A oręż, chociaż rozebrany na części, pozostał. I teraz ktoś niewidzialny rozpoczął proces składania...

To oczywiście tylko przypuszczenie. Mało to może przyjść do głowy zwykle niewiele pijącemu człowiekowi na kacu?

Jednak Siergiejew czuł przez skórę, że dokoła niego w ciągu ostatnich kilku dni zdarzyło się zbyt wiele chaotycznych przypadków. Zbyt wiele. I wszystkie one mogły złożyć się w ten jedyny obraz, którego w obecnej chwili nie był w stanie sobie wyobrazić. Jednak to nie oznaczało, że obraz nie istnieje. Zawartość dużej brązowej koperty powinna pchnąć go do jakiegoś działania. Do jakiego – Siergiejew mógł się tylko domyślać, ale jako niezły analityk był przekonany, że każdy ruch, jaki mógłby wykonać, został przewidziany przez niewidocznego mistrza szachowego.



Mógł okazać się pionkiem w walce dwóch klanów politycznych i zostać poświęcony w pierwszych minutach gry. Albo hetmanem w międzynarodowej rozgrywce i szczęśliwie dożyć do samego finału. Problem polegał na tym, żeby ocenić się prawidłowo. Hetman będący faktycznie pionkiem skazany jest na śmierć. Tak samo jak hetman niewierzący w swoje siły.

Narcystyczny głupiec nie jest w niczym lepszy od zbyt mocno kombinującego mądrali. I umierają jednakowo.

Znajomość z kopertą Siergiejew postanowił zacząć od kasety. Głowa jeszcze nie przestała go boleć, a skupienie uwagi na dokumentach, z których część stanowiły wyciągi bankowe i kopie kontraktów, w takim stanie było trudne.

Włączył wideo, włożył kasetę i poszedł do kuchni przygotować kawę.

Ciekawe, kiedy zadzwonią? – pomyślał, sypiąc aromatyczny proszek do ozdobionej na brzegu ornamentem miedzianej dżezwy. Dadzą mi czas, żebym przetrwał informację? Czy będą komentować na bieżąco, demonstrując rozeznanie? Byli na tyle bezczelni, żeby nawtykać mi w mieszkaniu pluskiew, czy bali się mojego profesjonalnego wyczucia? A przecież odkąd tu mieszkam, nie zrobiłem ani jednej czystki! Nie sądziłem, że kogoś mogę zainteresować. Straciłem czujność?

Zawodowiec, psiakość...

Za późno było zgadywać: nagrywali go czy nie nagrywali. Siergiejew wyobraził sobie, co powiedziałyby Wika, dowiedziawszy się, że niewidoczni operatorzy obserwują ich łóżkowe igraszki i komentują, siedząc w mroku pick-upa z lustrzanymi szybami i banalnym napisem „Amerykańska pralnia chemiczna”. Wzdrygnął się wewnętrznie.

Usiadł wygodnie w fotelu, wziął pierwszy łyk, gorący i słodki, a potem nacisnął guzik „Play”.

Filmowano ukrytą kamerą, i to niejedną. Blinów był doskonale rozpoznawalny mimo ziarnistości obrazu. Drugiego uczestnika spotkania, nerwowo przechadzającego się po pokoju, Siergiejew rozpoznał nie od razu. Musiał nawet włączyć stop-klatkę, kiedy światło padło temu człowiekowi na twarz, i porządnie wysilić pamięć wzrokową.

Krępy, lecz nie otyły. Długoręki, przygarbiony i pozornie niezgrabny, jednak precyzja gestów i ruchów od razu zadaje temu kłam. Łysina akuratnie przykryta pasmem rzadkich czarnych włosów, z lewa na prawo. Bazylewicz. Na pewno.

Anton Bazylewicz, była prawa ręka prezydenta. Człowiek sprzeciwiający się samemu Kononience, który w tamtym czasie parł do władzy jak byk do krowy.

Kiedy Iwan Pawłowicz dobrał się do fotela premiera, w stosunku do Bazylewicza wszczęto pięć postępowań karnych oraz skompromitowano go podczas wyborów parlamentarnych, i to tak zrećnie, że nikt się nie zorientował, jak to zrobiono.

Wczesnym rankiem kilka grup operacyjnych rozjechało się pod kijowskie adresy Bazylewicza... I nic z tego! Przejawiając daleko idącą przezorność i dalekowiedztwo, Anton Tarasowicz tego samego dnia niespodzianie odnalazł się w Londynie, chociaż według pograniczników w ogóle nie wylatywał z Ukrainy.

Londyn to miasto z rewolucyjną przeszłością i wyjazd tam można było od biedy uznać za pielgrzymkę po „leninowskich”

miejscach. Bazylewicz spacerował po gwarnych uliczkach Soho i Theatre Place, przesiadywał w zadymionych pubach centrum biznesowego i podobno właśnie tam, przy kufelku guinnessa, pisywał do Rady Najwyższej wzruszające listy zawierające sensacyjne demaskacje. Anglicy udawali, że Bazylewicza tak jakby nie ma w Brytanii, a Ukraińcy skwapliwie udawali, że szukają go po całym świecie. A świat, oczywiście, jest wielki...

Poszukiwanie człowieka mieszkającego na przedmieściach Londynu, gdzie dom za milion funtów uważano za coś tylko odrobinę lepszego od kurnika, przy dobrych chęciach można ciągnąć dowolnie długo. Aby ułatwić pracę rycerzom sądownictwa, Anton Tarasowicz dawał prasie i telewizji po kilka wywiadów tygodniowo, jednak gorliwi Stróże prawa z uporem go nie zauważali.

Po nagłym upadku – który przyniosłby zaszczyt każdemu pikującemu bombowcowi – premiera Kononienki sprawy kryminalne Bazylewicza się rozsypały, choć nie z powodu braku znamion przestępstwa, a raczej z powodu ich beużyteczności. Jednak znajdujący się w niełasce były poseł nie

śpieszył się z powrotem do porzuconej ojczyzny.

Przyzwyczał się do ciężkiej doli emigranta, a od rodzimego domu wariatów już zdążył odwyknąć.

Bycie liderem opozycji jest szczególnie przyjemne, jeśli siedzisz w Londynie, a nie za kratkami. Anton Tarasowicz opanował tę koncepcję błyskawicznie.

Jego osobisty konflikt z ekspremierem (zajmującym obecnie komfortową pryczę), który powstał na bazie zderzenia interesów, został prędko zapomniany. Sam Anton Tarasowicz zawsze i wszędzie powtarzał, że uciekł z Ukrainy przed represjami politycznymi.

Teraz Bazylewicz był nieomalże rządem na wygnaniu – wiecznym opozycjonistą, ani dnia niebędącym w opozycji, i politycznym emigrantem, chociaż kompletnie nic nie przeszkadzało mu w powrocie do rodzinnych pieleszy.

Posłowie, pokrzywdzeni przez władze podczas dzielenia dóbr materialnych, jeździli do niego niczym pielgrzymi do Mekki – zaczerpnąć z jasnego źródła ukraińskiej wolności słowa i z nowymi siłami ruszyć do walki pod sztandarami pieniądza.

Siergiejew dopił kawę i z przyjemnością zapalił.

Sam fakt, że na taśmie był Blinów z Bazylewiczem, nie miał w ogóle żadnego znaczenia. O tym, że właśnie Bazylewicz organizował transakcję Blinowa, Michał wiedział i bez nagrania. W takim razie co? Popatrzmy. Standardowy hotelowy *lux*. Podobny do Hiltona. Chociaż Hilton to nie poziom Blinowa. Z jego punktu widzenia Hilton to noclegownia dla biedaków. Ale to na pewno nie angielski hotel. Siergiejew jeszcze raz obejrzał stop–klatkę.

Plan nieco z góry, obiektyw kamery znajdował się w jakimś przedmiocie wiszącym na ścianie – na przykład w ramie obowiązkowego obrazu. Twarz Blinowa była świetnie widoczna, Bazylewicza również – tylko malować portret.

W kadrze był też widoczny kontakt – zwykła elektryczna rozетка dostosowana do europejskich wtyczek, a nie masywnych, potrójnych angielskich.

Hotel. Pięć gwiazdek. Kontynent. I na razie tyle.

Siergiejew bez pośpiechu przewinął kilka planów. Więcej poszłak nie było.

No cóż, ruszamy dalej.

– Tylko się nie zesraj! – powiedział Blinów wesoło.

Dźwięk był doskonałej jakości. Niemalże miało się wrażenie, że ten pogodny pączek zaraz wtoczy się do mieszkania Siergiejewa.

– Za każdym razem słyszę, jak cię ciągnie na ojczyzny łono, i nie mogę powstrzymać skąpej męskiej łzy.

– Dobrze ci mówić! A ja tu siedzę na końcu świata, kiedy wy tam zajmujecie się swoimi sprawami.

Michał nie znał głosu Bazylewicza. Słyszał go parę razy w telewizji, ale nie mógłby stwierdzić z całą pewnością, czy to ten sam.

– Ty tutaj też zajmujesz się swoimi sprawami, Antosza! Nie państwowymi. Tak że oszczędzaj łzy dla panienek. I dla czcicieli z czcicielkami!

Blinów był wesół, elegancki, zły i nieco bezlitosny. Tak może zachowywać się człowiek stojący o pół stopnia wyżej od rozmówcy. Tylko odrobinę wyżej, ale jednak.

– Wypijesz? – zapytał Bazylewicz.

– Ty nie pytaj, tylko nalewaj. Lecieliśmy MAU[14]. Karmią gównem, poją gównem i jeszcze tego gówna mało dają!

I samoloty też mają gówniane! Za co oni tyle forsy biorą?

– Mogłeś lecieć przez Frankfurt, z Austriakami.

– Pewnie! – powiedział Placek, przyjmując szklaneczkę whisky. – Nie chciało mi się czekać. I połączenie było niewygodne. A tak doleciałem i luzik. Dobra! Za nas!

– Za nas! – potwierdził toast Bazylewicz i usiadł naprzeciwko Władimira Anatoliewicza w identycznym głębokim fotelu.

Scena, nagrana ukrytą kamerą, powinna nosić tytuł „Lordowie na raucie”, ale coś tu nie pasowało. Fotele w kadrze były prawdziwe, za to lordowie...

– No? – mruknął Blinów, wypiwszy parę łyków. – Są nowości?  
– Ma się rozumieć – odparł Anton Tarasowicz i zrobił znaczącą pauzę. – Ty co, zapomniałeś, z kim masz do czynienia?

Odpowiedź Bazylewicz była pełna patosu, jakby skrzywdzona niewinność triumfowała nad zwyciężonym złem i on właśnie oznajmił to publiczności pełną piersią. Przy czym, co szczególnie zadziwiające, nie było w tym niczego udawanego. Całkowicie naturalna koturnowość, choć niepasująca do sytuacji.

Placek zrobił taką minę, jakby sięgnął do własnej kieszeni i znalazł tam świeże psie gówno.

– Tosza... – powiedział ze szczerym bólem. – No i dlaczego ty jesteś taki zadufany? Co to za debilny zwyczaj ciągnąć kota za jaja? Czyja tutaj przyleciałem patrzeć, jak się wydurniasz, strugając, kurwa, Europejczyka? Wyraźnie zapytałem: są nowości? Ty mi powinieneś meldować jeszcze na lotnisku, przy trapie... Witac z wartą honorową i czerwonym dywanem!

Ty, kurwa, o czymś przypadkiem nie zapomniałeś?!

Ten, kto montował taśmę, nie był oczywiście Zeffirellim ani Kubrickiem, ale podstawy kinematografii miał solidnie opanowane. Trzy kamery nieprzerwanie filmowały rozmówców, nieznanemu reżyserowi puścił ścieżkę dźwiękową w jednym kawałku, a ujęcia po mistrzowsku przeplatał, dając widzowi możliwość obserwowania mimiki obu mężczyzn.

Bazylewicz zewnętrznie zachował spokój, nie odpowiadając na chamstwo Placka, lecz szklanka w jego ręku mało nie pękła. Na wierzchu dłoni wystąpiły ścięgna i żyły, a szczęki się zacisnęły.

– Niczego nie zapomniałem, Wołodia – odrzekł w końcu i uśmiechnął się z jawnym wysiłkiem. – Nie trzeba mi przypominać. Chcesz wiedzieć, czy się dogadałem? Tak, dogadałem. Chcesz znać kwotę? Ja też jej jeszcze dokładnie nie znam. Mówiliśmy o stu milionach dolarów za system. To trzy maszyny do dyżurów bojowych, plus jedna rezerwowa. Za rezerwową płacą oddzielnie, ale tylko dwadzieścia pięć. To realne, sprawiedliwa cena. Ale... Chcą obejrzyć towar na miejscu.

– Całkiem ochujeli! – oburzył się Blinów. – Obejrzyć u nich?!

– Nie. U nas.

– To jest możliwe – zgodził się Placek, od razu spokojniejszy. – Trzeba tylko pomyśleć, jak zorganizować wjazd. Jeśli pociągnąć nitkę, nie powinno być żadnych śladów. Ale to raczej mój problem, nie twój... Co dalej?

– Dwutygodniowy kurs dla ich specjalistów. Tych, którzy pracowali z naszą aparaturą w minionych latach.

– Nie ma sprawy. Co jeszcze?

– Dokumentacja po angielsku i arabsku.

Blinów roześmiał się dobrodusznie.

– No wiadomo, że nie po hebrajsku... Już dawno zrobiona, Anton, kiedy jeszcze nawet nie było mowy o tym biznesie.

I tabliczki w pięciu, zdaje się, językach. Tylko wymienić. Coś jeszcze?

– Dostawa. Tu chcą usłyszeć nasze opinie.

– Opinie – powtórzył Blinów w zadumie. – Opinie... Dostaną nasze opinie. Musimy pomyśleć. Wypić po siedem gramów i pomyśleć. Ich przecież nie można przewozić w całości?

Bazylewicz pokręcił głową.

– Słabo się w tym orientuję, Wowa. Ale Kuzia stanowczo mówi, że konieczny jest demontaż. Transport w kontenerach.

W zasadzie już tak robiliśmy. Wariant z przeładunkiem na morzu.

– No, Kuźmienko oczywiście jest specjalistą! – Blinów upił whisky i spojrzał Bazylewiczowi w oczy. Reżyser przerzucił plan i Siergiejew zobaczył twarz Władimira Anatoliewicza. Wzrok miał niezbyt przyjazny. – Dobry wariant z przeładunkiem. Robiliśmy tak. Ale to szczególny przypadek. Szczerze mówiąc, Tosza, czegoś takiego jeszcze nie sprzedawaliśmy. Rośniemy, co? Powiedz mi uczciwie, Anton, sprzedałbyś bombę atomową? Czybyś spękał?

Bazylewicz milczał. Jego uszy poruszały się śmiesznie.

– Czyli byś spękał... – skostatował Placek i się uśmiechnął. – Ale dlaczego, Tosza? To, co sprzedajesz, to oczywiście nie bomba, ale też daje czadu, bądź pewien!

– Dziwny z ciebie człowiek. Blinów – powiedział Bazylewicz ostrożnie. – Czemu próbujesz mnie przestraszyć? Przecież nie pracuję dla ciebie, jesteśmy kolegami...

– Kolegami? – zdumiał się Blinów. – Serio? A ty kto jesteś? Poseł Rady? Naczelnik frakcji? Kierownik komitetu? Tosza!

Kolegów to ja mam w Kijowie. Z nimi dzielę i rządę, a z tobą dzielić nie mam czego. Ja tobie płacę, a ci, którym płacę, to nie koledzy! Oni dla mnie robią. Ty jesteś emigrantem politycznym bez środków utrzymania. Amator drogich kobiet, wozów i kasyn. Pośrednik na procencie, Tosza, a w charakterze bonusu w ojczyźnie winduję ci image na odpowiedni poziom. Bojownik, kurwa, walczący z reżimem!

Placek zachichotał.

– Na ile czasu, Antonie Tarasowiczu, starczy ci prowizji z tej transakcji? Na miesiąc, dwa, pół roku? Masz ponad dwa miliony długów, jeśli nie liczyć tych w kasynie. Wciąż jeszcze chciałbyś się odegrać?

Bazylewicz milczał. Skronie mu zwilgotniały, ręka ze szklanką drżała, ale Blinów tego nie zauważał.

– Ty nie jesteś dla mnie żaden kolega, tylko pracownik. Chcę cię straszyć, to straszę. Chcę mieć, to mam. A ty potakujesz i robisz zadowoloną minę, jasne? Dlatego, że ja ci płacę. Opłacam twoje mieszkanie, samochód, żarcie i nawet twoją jebaną komórkę, która kosztuje majątek, bo pierdolisz przez nią całymi dniami. Opłacam twoje prostytutki i, co jest szczególnie pikantne, rachunki za nie płacę razem z rachunkami twojej żony, która się pasie w najdroższych sklepach!

Bazylewicz nagle wyszczerzył zęby jak kundel zagnany w kąt i Siergiejew mimowolnie pomyślał, że Blinów igra z ogniem.

Nikogo nie należy zapęczać do ślepego zaułka, jeśli nie chce się go zabić.

Kiedyś, dawno temu, taki błąd popełnił zgniłozęby Chico. Blinów naturalnie to nie Chico, a Bazylewicz nie jest Siergiejewem ani Saszka Kruczyninem, ale to, że lider partyjny ryzykuje, było oczywiste.

Chico za taki błąd zapłacił życiem.

Siergiejew przypomniał sobie, jak obaj z Kruczyninem „uciekali” ze starej willi na przedmieściach Hawany, gdzie przyjemniaczek Raul urządził dla nich prywatne więzienie. Przy wtórce serii i ostrych trzasków wystrzałów karabinowych, całkiem jak Fidel po nieudanym szturmie na koszary Moncada.

Michaił spędził w zamknięciu siedem miesięcy, z czego tylko trzy dni w piwnicy biura kontrwywiadu. Czwartego przeniesiono ich do obozu dla więźniów politycznych, ponad sto kilometrów od Hawany – do oddzielnego baraku numer dwa, zwanego „egzekucyjnym”. Zamknięto tam kubańskich dysydentów, prawdziwych i fałszywych amerykańskich szpiegów i parudziesięciu prawdziwych kryminalistów, żeby utrzymywać mieszkańców baraku w strachu i posłuszeństwie.

Cały ten czas pilnował ich Chico – personalny kat i kara boska.

Potem, kiedy z powodu sprawy Raula podniósł się krzyk w światowej prasie, nie domyślając się, że nikt nie będzie robił szumu na kanałach dyplomatycznych, przewieźli ich na skraj miasta, do starej hacjendy Maria z kolumnami i marmurowymi rzezbami na frontonie. Na oko miała ze dwieście lat, albo i więcej. Ogród dokoła niej również był bardzo stary, zarośnięty tak, że zmienił się z parku w kawałek dżungli, pełen różnych stworzeń – od ptaków o rozmiarach dużej muchy do stonóg wielkości dłoni. Prawdopodobnie posiadłość została porzucona po obaleniu Batisty, stała pusta przez kilka lat, a potem dostosowano ją do potrzeb kubańskiego kontrwywiadu.

Było jasne, że nie wyjdą z katowni żywi. Trzymano ich w piwnicy hacjendy – z ceglanymi ścianami niedbale pochłapanymi wapnem i z ziemną podłogą – związanych starymi kablami, jak szynki do wędzenia.

Co tylko żyło w okolicy, włąziło do piwnicy przez okratowane okna pod sufitem i Siergiejew pokrywał się nerwową wysypką na widok pełzających dokoła skolopendr, pajaków i innych paskudztw. Kruczynin, któremu Chico przypalił prądem genitalia tak, że więźniowi od wilgoci zaczęła gnść rana na mosznie, jęczał i gryzł wargi z bezsilnej wściekłości i bólu w kroczu.

Przez pierwsze dni przesłuchiowano ich po dwadzieścia godzin na dobę, póki Chico nie zmęczył się operowaniem kablami i akumulatorem oraz ulubioną pałąką. W obozie – minimum trzy razy w tygodniu, po dziesięć, dwanaście godzin. Za to po przewiezieniu do hacjendy wydawało się, że zwyczajnie porzucono

ich w wilgotnej, zapleśniałej piwnicy na śmierć.

Siergiejew nie mógł zrozumieć, po co ich przesłuchują. Tak właściwie niczego nie wiedzieli. Nie znali żadnych sekretów i od pierwszego dnia pobytu na Kubie pracowali na zaproszenie Castro. Fidel, zapraszając zagranicznych doradców do śledztwa w sprawie tranzytu narkotyków, wyraźnie chciał się wybielić przed moskiewskimi sojusznikami. Jeszcze wtedy nie rozumiał, że żadnych sojuszników już nie ma i dosłownie za kilka miesięcy zostanie sam ze swoimi problemami. Bez środków na podtrzymanie reżimu i zakup broni, bez żywności, niezdolny do wykarmienia narodu, i do tego osławiony przed całym światem jako organizator przewozu narkotyków przez Wyspę Wolności do znieawidzonej imperialistycznej Ameryki. Za pieniądze.

Diabeł ich podkusił tak aktywnie włączyć się do śledztwa! Jasne było przecież, że temu brodatemu awanturnikowi nie można wierzyć! Ale Ojczyzna rozkazała, więc trzeba! Ojczyzna powiedziała: „Przechodźcie do dyspozycji naszego kubańskiego towarzysza. Od teraz jesteście bojownikami kubańskiej rewolucji i waszym zadaniem jest wypełnienie tego, do czego zostaliście posłani, czyli obrona kubańskich towarzyszy przed fałszywymi i złośliwymi oskarżeniami!”.

Ojczyźnie drgał prawy policzek. Jej włosy były rzadkie, tłuste i słabo przykrywały przeświecającą łysinę. Jedno oko Ojczyzny zawsze do połowy przykrywała brązowa, pomarszczona powieka. Ojczyzna nazywała się generał Jeremiejew.

Stara gwardia, towarzysz dziadka, ostatni Mohikanin – bezlitosny jak krzyżowiec, bojownik Imperium, zmarły niemal jednocześnie z nim. Ale póki był żywy, właśnie jeden gest jego artretycznej ręki wysyłał do walki na powierzchni całej planety żołnierzy niewidzialnego frontu.

Obrona kubańskich towarzyszy nie wyszła. Wręcz przeciwnie – wyszła demaskacja. Pułapka, którą Siergiejew z Kruczyninem tak starannie przygotowywali, zatrzasnęła się, tyle że z nimi w środku. I zgubili młodych chłopaków... Ilu ich wtedy było w grupie? Z początku czterech. Już potem przydzielili Jorge. Nikt nie widział, jak ich zabijali, tylko Jorge pojawił się podczas rozprawy sądowej bohaterów – *barbudos* i zeznawał tak, jak było wygodnie Raulowi i jego bratu.

Pozostali zniknęli. Nie było wątpliwości co do ich losu. Nigdzie na świecie nie ceregielą się z takimi świadkami.

Tamtego dnia Chico pojawił się w piwnicy wieczorem. Pijany, spocony, śmierzdzący i zdumiewająco wesoły. Siergiejew i Kruczynin leżeli w błocie prawie dobę, nie mając możliwości pójścia do toalety.

Rano ktoś chodził po parterze: skrzypiały deski, sypały się próchno i owady z belek pod sufitem. Potem kroki ucichły. Na krzyki nikt się nie pokazywał przez cały dzień i kiedy Mulat pojawił się na progu, obu więźniom już prawie pękały pęcherze.

Chico postawił na podłodze dużą brezentową torbę, usiadł na rozchwianym starym taborecie i uśmiechnął się, obnażając zgniłe, ciemne od nikotyny zęby. Siergiejew wiedział, co jest w torbie. Akumulator. Pałka. Nóż samoróbka z rękojeścią owiniętą taśmą izolacyjną. Szydło z drewnianą rączką. Kombinerki. Dwa skalpele. Przewody z podrdzewiałymi zaciskami. Przenośne imadło. Znał wszystkie te przedmioty. Zestaw „Mały Oprawca”, który Chico nosił ze sobą jak dziecko ulubioną zabawkę. Chico był bardzo pomysłowy, od urodzenia obdarowany fantazją wyrefinowanego sadysty. Kochał swoją pracę.

Jednak tego dnia Chico popełnił błąd. Nie wziął pod uwagę, że człowieka nie można tak ponizić. Kiedy Kruczynin poprosił o zezwolenie na pójście do toalety, Chico tylko pokręcił głową.

– Szczaj w gacie, *muchacho*! - powiedział i wesoło puścił do Saszy oko.

Przymocowywał imadło do brzegu starego stołu, zbitego z grubych brązowych desek.

– Szczaj, nie krępuj się! I tak zdechniesz!

– Nie bądź świnią, Chico. – Siergiejew wiedział, że prosi na darmo, ale nie mógł nie poprzeć Kruczynina. – Jaka w końcu różnica?

– Dla mnie żadna. I dla ciebie. Ale będzie fajnie, jak wy, czyściutcy, bielutcy *muchachos*, umrzecie obszczeni i śmierzdzący. Zrobię tak, że będziecie zdychać w mękach, a ja was nakarmię waszym własnym gównem. Jebani *gringos*!

– Coś pomyliłeś, Chico – powiedział Siergiejew. – Nie jesteśmy *gringos* [15]. Przecież o tym wiesz.

– Jesteś *gringo*, Miguelito – zaoponował Mulat i postawił na stole akumulator. – I twój przyjaciel jest

*gringo*. Przysłali was tutaj, żebyście oczernili Raula. Żebyście oszukali Fidela. Ale się nie udało. Wam nigdy nic się nie udawało zrobić z Fidelem. Tak że szczajcie w portki. Tacy jak wy nie powinni umierać jak mężczyźni, tylko w szczytach i gównie, tak jak żyliście.

Zaczął bez pośpiechu rozplątywać przewody. Sama ta czynność dostarczała mu przyjemności.

Powoli rozprostować kabel, umocować go na klemie akumulatora. Rozwinąć drugi. Przymocować. Sprawdzić iskrę, szybko stykając zaciski przypominające paszcze krokodyli. Położyć „krokodyle” na stole, zapalić przeżuty ogryzek cygara i dopiero wtedy odwrócić się do Kruczynina, którego tak lubił torturować uderzeniami prądem...

Kruczynin był brzydliwy. Naprawdę brzydliwy i nadzwyczajnie schludny. Nie wiadomo, dlaczego takiego człowieka psychologzy nie odsiali już na etapie selekcji i jeszcze wysłali do pracy w tropikach, gdzie samo pojęcie czystości ma zupełnie inny wydźwięk. Jednak właśnie ta pomyłka psychologów uratowała im obu życie.

Przez ostatnią dobę Sasza był na granicy szaleństwa, chociaż nie przejawiał zewnętrznych oznak, gdyż tylko szalenie mógł zrobić to, co zrobił Kruczynin. To nawet nie była szansa, tylko czystej wody obłąd, jednak w tamtej chwili nie potrafił ocenić prawdopodobieństwa sukcesu. Chico przegiął.

Kruczynin zbyt dobrze wyobraził sobie, co będzie dalej. Był gotów na śmierć – wszyscy oni byli, ostatecznie tego ich uczono. Był gotów umrzeć jak bohater. Jednak nie był gotowy na śmierć we własnych odchodach! I kiedy Chico się do niego nachylił, by rozpocząć torturę, Saszka wyszczerzył się, dokładnie tak jak Bazylewicz na Blinowa, i ruchem przeczącym wszystkim prawom fizyki oraz ludzkiej anatomii, całkiem jak pozbawiona kości żmija, rzucił się Mulatowi do szyi i wczepił zębami tam, gdzie pod skórą przebiegała tętnica.

Siergiejew usłyszał chrzęst – to odłamki zębów Kruczynina (Chico już na początku wybił mu dwa zęby z prawej strony) przebiły wygarbowaną tropikalnym słońcem, śmierzdzącą skórę. Mulat nie krzyknął – zawył bulgotliwie, niczym kipiący czajnik. Z zaskoczenia i bólu stracił równowagę, runął na ziemię pod ciężarem Kruczynina, zamykając obwód. Iskra krótkiego spięcia zatrzeszczała tam, gdzie stykały się oba ciała. Do zapachu stęchlizny natychmiast dołączył smród spalonych włosów i mięsa. Ziemię poznańczyły wstęgi bryzgającej krwi.

Odruchy Siergiejewa zadziały wcześniej, niż on sam zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Mięśnie cisnęły nim w kierunku splecionych niczym w porywie żądzy ciał i popełził do nich, przypominając wielką gąsienicę.

Chico kopał podłogę wielkimi stopami w wojskowych buciorach, starał się podnieść, opierając na rękach, jego korpus dygotał pod wpływem prądu – akumulator, stojący na stole, zaczął dymić. Kruczynin – pozbawiony kończyn tułów – wgryzał się w szyję Mulata z okropnym nieludzkim mlaskaniem. Tak samo w trzeciorzędnych hollywoodzkich produkcjach wampir wpija się w szyję ofiary. Chico charczał jak przyduszony pies i trząsał kędzierzawą głową, jedynie pomagając napastnikowi rwać tkankę w głębi ogromnej rany.

Krew, tryskająca strużkami jeszcze przed sekundą, teraz chlusnęła potokiem. Kruczynin zachłysnął się i w tejże chwili Chico szarpnął się z całych sił, uwalniając z zaciśniętych szczęk wroga. Zerwał się z ziemi, przechylając niezdarnie na bok, natychmiast tracąc swoją kocią, murzyńską gibkość i precyzję ruchów zawodowego kata. Czerwony potok tryskał między palcami przyciśniętymi do rany. Siergiejew uderzył go pod kolana związanymi nogami, a Chico runął jak ścięty, waląc głową o ścianę. Michał usłyszał, jak obok wymiotuje Kruczynin. Krwią i żółcią.

Jednak Chico był silny jak byk i krążyło w nim nie mniej niż siedem litrów krwi. Siergiejew zobaczył, jak Mulat powoli, niczym we śnie, wstaje i wyciąga rękę w stronę stołu, na którym leżały jego ulubione instrumenty. Na przykład długie szydło z drewnianą rękojeścią. I skalpele. Wyglądał potwornie – z wybałuszonymi oczami, białymi jak gotowane jajka, w dymiącej, przesiąkniętej krwią koszuli. Michał wiedział, że starczy, aby Chico dosięgnął czegoś ostrego, i nawet w agonii będzie niczym przygnieciona osa bezlitośnie wbijać swoje żądło w ich ciała. Jednak Siergiejew nie czuł strachu.

Oduczył się bać. Uderzył całym ciałem w stojący obok taboret i cisnął go oprawcy pod nogi. Oślepiony bólem Chico potknął się i przewrócił, trafiając skronią prosto w kant stołu. Umarł, zanim jeszcze dotknął

podłogi.

Kruczynin zwymiotował jeszcze raz, ze świstem wciągnął powietrze i zaraz zaniósł się okropnym, rozdzierającym kaszlem.

Głowa Chica leżała trzydzieści centymetrów od twarzy Siergiejewa. Z szarpanej rany na szyi nadal biła krew – w rytm cichnącego serca. Z ust kata zwiślał odgryziony koniec języka. Po ciele przebiegł konwulsyjny dreszcz, nozdrza szerokiego nosa rozdęły się, wypuszczając smużki krwi i smród ostatniego oddechu – różowy bąbel wypełzył z nich i pękł. Michał miał wrażenie, że z ogłuszającym hukiem.

Siergiejew poczuł, że zaraz go zemdli, i zamknął oczy.

Wówczas sądził, że Kruczynin przegryzający gardło ich dręczycielowi będzie mu się śnił każdej nocy. Lecz człowiek w stanie afektu ma skłonność do przesady. Tak się nie stało, choć jeszcze wiele lat później na samo wspomnienie walki w mrocznej, wilgotnej piwnicy Siergiejew czuł w ustach gorzki posmak soków żołądkowych.

Leżeli na brudnej podłodze, Saszka szlochał, a za oknem przenikliwie darła się papuga i brzęczały wielkie zielone muchy, spiesząc z ogrodu na ucztę, zwabione zapachem krwi.

Dalej było dwóch zabitych strażników i jeszcze jeden szpicel, pilnujący drzwi na drugim końcu rezydencji, któremu Michał skrzył kark jak kurczakowi. Ciężki dym prochowy, lufa parząca ręce. Wiszący na jego ramieniu, posiekany odłamkami granatu Kruczynin. I ból w zmiążdżonym kolanie, a właściwie straszliwy, pulsujący koszmar, wzmagający się z każdym krokiem. Zabici Kubańcy z bezpieki w płonącym „gaziku”...

Jednak teraz Siergiejew o tym nie myślał. Zatrzymał kadr ze zbliżeniem twarzy Bazylewicza i nagle zrozumiał, że Placek, którego do tej pory uważał za świetnego intuicyjnego psychologa, w samej rzeczy jest ślepy jak kret. Tylko ślepy mógł nie dostrzec, że swoim pragnieniem ponizania i władzy Władimir Anatoliewicz nie zwyczajnie robi sobie wrogów, ale jeszcze daje im straszną siłę obrażonej miłości własnej.

Albo ślepy, albo głupiec, a Blinów nie był ani jednym, ani drugim – po prostu władza uczyniła go zbyt pewnym siebie.

A nadmierną arogancję od śmierci dzieli nawet nie jeden krok – jeden oddech. Nikogo i nigdy nie należy przypierać do muru. Placek powinien o to zapytać Chica.

Siergiejew zaciągnął się papierosem i ponownie wcisnął „Play”.

Ciekawe, kiedy robiono zapis? Przed strzelaniną na trasie? Jeśli przed, to Bazylewicz powinien być podejrzanym numer jeden. W każdym razie trzeba szukać nie tylko tych, którym Blinów popsuł wielomilionową transakcję, ale i tych, których podeptał, tak jak tutaj. Sądząc z tej taśmy, po śmierci Placka do jego grobu stanie kolejka jak do mauzoleum Lenina. Żeby na tę mogiłę splunąć, naturalnie.

– Zostaw w spokoju moją żonę, Wowa – wysyczał Bazylewicz. Twarz mu drgała. – Nie twoja sprawa, kogo dymam...

Siergiejew uważał, że Blinów w tym momencie powinien spasować, ale nie spasował.

– A dymaj choćby Eltona Johna! – Wargi Blinowa wykrzywiły się pogardliwie. – Twoja sprawa, ale wtedy, kiedy ty płacisz! A płacę ja! Tak że mi się tu nie „koleguj”, tylko rób swoje, Antoszka! Rób, jak mówię, nie inaczej! Bo przed „papą”

to ja cię chronię, wyjaśniam mu, że jesteś kieszonkową opozycją, wygodną i maksymalnie oddaloną. Jesteś czy nie jesteś, diabli wiedzą, ale niby donosi się jakieś demokratyczne poszczekiwanie zza kanału La Manche, no i super. Na chuj nam prawdziwa opozycja, kiedy mamy odptaszkowanego ciebie na wygnaniu? Ale jak mnie wkurzysz, to twoje szczekanie wepchną ci z powrotem do gardła, bądź pewien. Dotarło? Czy powtórzyć?

Bazylewicz milczał.

– No to się dogadaliśmy – rzekł Blinów z zadowoleniem, wyjmując cygaro ze stojącego na stole humidora. – Sprawa zamknięta, wracamy do tematu.

No tak... – pomyślał Siergiejew. Na pewno dobrze jest dostać od Blinowa propozycję współpracy. Po prostu cudownie.

Ile on mi tam obiecał? Milion? Dwa? Trzeba będzie uprzedzić mojego drogiego przyjaciela, że

inżynierowie wojskowi są bardzo nerwowi. I jeśli ktoś raptem uzna, że można im bezkarnie nawrzucać, to wszystko się może zdarzyć.

Bazylewicz na ekranie wyglądał marnie, a pragnienie złapania Blinowa za gardło wyłaziło z niego jak ciasto drożdżowe z miski.

– Znaczy tak – powiedział Blinów, zapalając cygaro. – Słuchaj uważnie, co trzeba robić...

Płomyk masywnej złotej zapalniczki lizał brązowe ciało cygara, jego koniuszek już zaczął dymić. Władimir Anatoliewicz udawał, że nie widzi pełnych nienawiści spojrzeń Antona Tarasowicza. A może nie udawał? W każdym razie nie dawał po sobie niczego poznać.

– Niech Kuzia opracuje kilka wariantów dostawy – polecił.

Bazylewicz, opanowawszy emocje, odpowiedział: – Już opracowaliśmy. Jedna trasa przez Suez. Druga z wypłynięciem na Atlantyk i przeładunkiem na oceanie.

– Bardzo dobrze – pochwalił Placek nieoczekiwanie życzliwie. – Ile kontenerów na każdą stację?

– Jeśli nie urządzać komedii z ciągnikami, to dwa dwudziestofuntowe. Problem w tym, że to dogłębna rozbiórka...

Blinów cmoknął z niezadowoleniem.

Michaił gotów był przysiąc, że Anton Tarasowicz odruchowo wystraszył się tego dźwięku, tak jak występujący na arenie lew wzdryga się na trzask bata.

– Kuzia proponuje wszystko robić w Libii – dodał pośpiesznie.

Blinów pokiwał głową i zapytał: – To twój pomysł?

– Nasz – powiedział Bazylewicz.

Jeszcze chwila i Anton Tarasowicz spuściłby oczy i zaczął dłubać zadbanym paluszkami skórzany podłokietnik fotela.

Jaki skromny, pomyślał Siergiejew. Czyżby?

– No i? – Władimir Anatoliewicz uniósł brwi pytająco.

– Są tam nasze stare bazy techniczno– remontowe do obsługi przeciwlotniczych zestawów rakietowych. I scudów.

Można zorganizować montaż i osadzenie sprzętu na podwoziach.

– Gówniany plan – osądził Blinów bez szczególnych emocji. – Kompletne gówno. Nie, jeśli sprzedawać kałasze, to plan bardzo dobry. A jeśli chodzi o coś, o czym nigdzie ani słowem nie wolno wspomnieć, to gówno! Dla inteligentnych inaczej: w Libii co drugi pismak pracuje dla czyjś wywiadu. A wy pchacie tam towar, za który urządzi nam nie zwykły międzynarodowy bojkot, a odizolują od reszty świata na wieki wieków! O którym jutro będzie wiedzieć każdy libijski kundel! Nawiasem, oni tam psów przypadkiem nie jedzą?– zapytał Blinów nieoczekiwanie.

– Nie – odpowiedział szybko pocący się ze strachu Bazylewicz i dodał ogłupiały: – Psy to w Korei.

– Fakt! W Korei! Erudyta, job twoju mać! To jak myślisz, Tosza, czy będzie można w takim wypadku zachować sprawę w sekrecie?

– Sądziliśmy, że komplikacje techniczne...

– Sądziliście... Tosza, na chuj ci będą twoje domysły, kiedy cię złapią za jaja i zawloką w jakieś ciche miejsce, przywiążą do krzesła i nie mniej od ciebie uczeni chłopcy z MI6 zaczną wytrząsać z ciebie duszę? Przecież ciebie nie obejmuje immunitet dyplomatyczny, prawda, Antonie Tarasowiczu? A po tym, jak cię wypatroszą jak zdechłą kure, będzie ekstradycja. I dokąd? Jak sądzisz? Prawidłowo! Do domciu! Na Ukrainę. Przecież już nie będziesz dla nich uciekinierem politycznym, Tosza. Będziesz zwykłym handlarzem niezwykłą bronią. A kto będzie na ciebie czekać w Kijowie? Okłamany przez ciebie „papa”, to raz. I ja, bardzo zmartwiony chujowym wypełnieniem planu, to dwa! Powiem uczciwie, ja bym na twoim miejscu „papy” się nie bał. Czemu się go bać? Miły, dusza człowiek. Żartowniś i gitarzysta. Bać się go? Ale będąc na twoim miejscu, w takich okolicznościach – od razu powiesiłbym się w Hyde Parku. Zgadnij dlaczego?

Bazylewicz milczał. Sądząc z koloru twarzy, był bardzo bliski apopleksji.

– Dlatego że – Blinów uśmiechnął się przyjaźnie – jeśli ja dorwę cię wcześniej, niż ty się powieszisz, to pożałujesz, że się urodziłeś! I ten twój Kuzia, strateg od siedmiu boleści, też pożałuje! I to będzie



sprawiedliwe! Dlatego że ludzie w waszym wieku i na waszych stanowiskach po prostu nie mają prawa być takimi debilami i nie widzieć dalej niż czubek własnego nosa! Koniec! Nie chcę więcej słyszeć żadnych waszych pomysłów! Mam taki kaprys, Antonie Tarasowiczu, żeby dożyć do późnej starości i móc wydawać zarobione pieniądze. A z wami, pedałami durnymi, nie tylko nie dożyję starości, ale nawet jutra.

Bazylewicz podniósł na Władimira Anatoliewicza spojrzenie pełne prawdziwej męki. Taaak, Placek umiał zdobywać czyjąś sympatię!

Jednak Blinowa nie można było zmiękczyć żalonym spojrzeniem.

– Teraz instrukcja dla kompletnych idiotów. Po pierwsze, zalecam zapamiętanie schematu, żeby nie denerwować mnie na przyszły raz. Nigdy i niczego nie sprzedamy naszym arabskim przyjaciółom. To w ogóle nie są nasi przyjaciele. Po drugie, sprzedamy to tylko tam, gdzie zezwala ONZ i gdzie jest to rzeczywiście niezbędne. To się nazywa uzasadnienie transakcji z punktu widzenia ekonomicznego i politycznego. Ucz się, Tosza, póki masz możliwość. To nas będzie kosztować parę procent, ale stratę paru milionów dolarów przeżyć łatwiej niż wielki skandal z podpalaniem dupy w zestawie. Najzabawniejsze jest to – Placek rozpląnął się w uśmiechu zadowolenia – że jako pośrednik między nami a czarnodupcami występuje izraelska firma. Jakiś tam Avionic z Tel Awiwu. Ironia losu, co? Pierwszy punkt przeznaczenia: Etiopia. Mamy już stamtąd zamówienie, i zostało zrobione według wszelkich przepisów. Ładunek idzie do strefy wojennego konfliktu. Teraz twoje zadanie: negocjacje z pośrednikiem, że towar powinien zabrać stamtąd. W Dżibuti, w porcie... Wszystkie etiopskie ładunki idą przez ten port, tam i z powrotem. Żebyś nie zapomniał, Anton, od razu cię uprzedzam: skrzynki po wyjściu z Etiopii mają już być oznaczone w ich języku. Jaki tam mają język?

– Zdaje się, że angielski też jest... – wymamrotał zgnębiony Bazylewicz.

– Widzisz, Tosza, jaki z ciebie erudyta – rzekł Blinów protekcyjnym tonem. – A ja nie wiedziałem. Znaczący się oznakowanie ma być po angielsku. Jakies tam kombajny... Albo sprzęt meteo... Tam jest dużo elektroniki?

– Dużo – odpowiedział Anton Tarasowicz i przełknął z trudem ślinę. – Elektroniki najwięcej ze wszystkiego.

– No i świetnie! – ucieszył się Placek. – Bardzo dobrze. Napiszcie na kontenerach coś bardzo elektronicznego. I w liście przewozowym. I na każdej skrzynce, na wypadek gdyby otworzyli kontener. Jasne?

Bazylewicz przytaknął. Bał się gniewu Blinowa – to aż biło w oczy.

Co też on na ciebie ma, biedny Antonie Tarasowiczu? – pomyślał Siergiejew. Coś potężnego, co zmusza do lizania ręki walącej cię po pysku. Niezły majster – psycholog z tego Placka. Heinrich Muller niech się schowa!

– Teraz kwestia montażu i obsługi po sprzedaży... – Blinów niedbale rozparł się w fotelu. Był w swoim żywiole. Gromił i władał. Wydawał rozkazy. Zarabiał pieniądze. Wyrokował o losach podległych mu ludzi. – Nasi specjaliści pojedą do Iraku osobno, na delegacje nacierzy, i spotkają ładunek w Bagdadzie, a skoro system Husajnowi sprzedaje nie Ukraina, a Etiopia, kolejną grupę inżynierską skierujemy przez Addis Abebę i Dżibuti. I tak samo wrócą. I w tym całe piękno, mój drogi, rozumiesz? Dokumenty, montaż i ustawienia, dostawę do Etiopii zapewnimy my oraz Izraelczycy, a potem...

Potem, zamiast kurzyć się na granicy z Erytreą, nasze maszyny znajdą się w tak samo gorącym kraju, w którego stolicy zawsze panuje spokój... I to będzie nie nasz interes, a ich osobista, etiopska sprawa!

Placek przeciągnął się słodko jak syty kot i rzekł dobroduszenie: – No i tak... A ty Libia i Libia... Nic wam nie można powierzyć, wszystko spartolicie. Nalej mi jeszcze whisky, Tosza.

I nie obrażaj się, kto was głupich nauczy, jeśli ni chuja nie umiecie?!

Ekran stał się niebieski.

Siergiejew nacisnął „Stop” i zaczął niespiesznie przeglądać dokumenty. Niezły wybór. Kopia kontraktu, kopia rachunków, kopia listu przewozowego. Wydruk maila od Ukrwojeneksportu do izraelskiej Avioniki. Koperta...

W kopercie z grubego żółtego papieru były zdjęcia. Port, w którym bez pudła można rozpoznać ukraiński Izmań. Statek pod maltańską flagą, na który ładują kontenery. Te same kontenery na rampach

kolejowych. Ktoś troskliwie zakreślił czarnym markerem numery, wyraźnie widoczne na zdjęciach, żeby Michaił łatwo mógł je porównać.

Aha... Robi się ciekawiej. Wyładunek. Co to za port? Wyraźnie afrykański, ale który, Michaił nie rozpoznał. Port handlowy. Nie ma ani transatlantyków, ani miejscowych liniowców, choć kto może wiedzieć, na czym wożą okoliczną ludność? Możliwe, że na barkach – to jednak Afryka. Kontenerowiec był już nie ten z Izmaïlu, tylko liberyjski i nieco większy. Czyli gdzieś po drodze nastąpił przeładunek. Wszystkie dwanaście kontenerów jak na dłoni.

Dalej w zasadzie można było nie patrzeć. Na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć procent to wszystko prawda.

Nasuwało się proste pytanie: no i co? Siergiejew nie odczuwał sprawiedliwego gniewu, a czym się zajmuje jego stary przyjaciel Placek, wiedział już wcześniej. Na samym początku swojej kariery Michaił eskortował podobne ładunki – najpierw dla ZSRR, a później dla Rosji.

Bronią handlowały wszystkie kraje mające taką możliwość: rozwinięte, rozwijające się i pozostające w ogonie. Ci, którzy nie produkowali sami, odsprzedawali cudzą. Nielegalni handlarze od legalnych mało się różnili. A kiedy transakcja była naprawdę korzystna, te różnice malały do zera.

Siergiejew podszedł do okna.

Jednak ten materiał miał mnie do czegoś przekonać... Zmusić, żebym zaczął się denerwować, wątpić. Nie przysłał mi przecież lektury do poduszki. Czego nie zauważyłem?

Przejrzał papiery po raz drugi, uważniej. Zupełnie normalny kontrakt. Egzemplarz skserowano jeszcze przed podpisaniem, więc całkiem możliwe, że w tekście prawdziwej umowy są jakieś zmiany. Kwity? Też normalne. Przedpłata plus pozostałe dziesięć według listu przewozowego. Pośrednik finansowy... rachunek... izraelski Leumi Bank...

Nic dziwnego, nic nienormalnego. Pan Antywirus gdzieś spartaczył, niedopracował. Nie wywołał ani podniecenia, ani chęci, by od razu lecieć i się zaciągać.

Siergiejew przejrział fotografie. Na jednej z ostatnich, tej, gdzie kontenery (jak się domyślał) ładowano na statek pod indonezyjską flagą w porcie Dżibuti, z odwrotnej strony zapisany był numer telefonu. Tym samym czarnym markerem, którym zakreślono numery kontenerów na zdjęciach.

Odebrał sam Antywirus, widocznie czekał. Siergiejew od razu rozpoznał tembr jego głosu i sposób mówienia, odrobinę rozciągający końcówki słów.

– Miło pana słyszeć, Michaile Władimirowiczu!

– Obejrzałem to, co pan przysłał.

– Zdziwiony?

– Nie.

– Spodziewał się pan czegoś podobnego?

– Nie spodziewałem się. Wiedziałem.

– Wszystko pan wiedział?

W tonie rozmówcy nie było ani śladu rozczarowania z powodu fiaska planów. A powinien być rozczarowany.

– Wszystkiego człowiek nie jest w stanie wiedzieć... – odparł Siergiejew możliwie jak najbardziej obojętnie. – Powiem tak: nic nowego, poza asortymentem. A co, powinienem być zdziwiony?

Antywirus zaśmiał się – cicho, inteligentnie.

– Interesujący z pana człowiek, Michaile Władimirowiczu! Proszę powiedzieć, czy podczas pierwszej rozmowy zrobiłem na panu wrażenie człowieka naiwnego?

– Jak można, panie Kasperski? W naszym fachu ludzie naiwni nie żyją długo.

– W takim razie proszę mnie nie bajerować, to niepotrzebne. Program obowiązkowy już odtądaliśmy poprzednim razem. Może pan uwierzyć mi na słowo, że mam czym pana zadziwić. Ale kto pokazuje wszystkie karty już na początku gry?

– A my już gramy?

– Oczywiście. Zapoznał się pan z przesyłką, zadzwonił pan, a teraz rozmawiamy. Gra trwa.

– Proszę posłuchać, panie Kasperski, ja swoje już odegrałem. Koniec balu, światło zgasło – powiedział

Siergiejew. – Poza tym... Nie uważa pan, że nieładnie naruszać warunki ustalone przy pożegnaniu?

– Ach, o tym pan mówi? Nieładnie? Po prostu obrzydliwie! Powiem więcej – potwierdził Antywirus – całkowicie niemoralnie! Ale wie pan, Siergiejew, bywają w życiu okoliczności, kiedy kwestie moralności, jak by to powiedzieć, schodzą na dalszy plan. Pan na przykład zastanawiał się nad moralnością w trakcie swojego uczestnictwa w niektórych...

hm... projektach geopolitycznych? Jeśli pan chce, mogę się powołać na sytuację bez wyjścia. Zgoda?

– Czy to coś zmienia?

– Nie, nie zmienia. Jest pan jedynym, do kogo możemy się zwrócić w obecnej chwili.

– Jestem na emeryturze. To już dawno ustaliliśmy.

– Powiem uczciwie, podjęto decyzję, żeby uznać emeryturę za urlop. Bardzo wysoko zdecydowano. Na samej górze.

– Mam gdzieś, na jakiej górze podejmowano decyzje. Już od dawna podejmuję je sam. To pańska góra. Antywirus!

– Nie śpieszmy się może z wywodami. Wie pan, ja sam niejednokrotnie zaobserwowałem sytuacje życiowe, w których góra i dół spontanicznie zamieniały się miejscami. Spotkamy się. Porozmawiamy.

– Z panem? – zdumiał się Siergiejew.

– Oczywiście, że nie! Z moim przedstawicielem, powiedzmy...

– Chwała Bogu! Już myślałem, że Biuro całkiem straciło kwalifikacje!

– Nie ma obawy! – odparł Kasperski wesoło. – W obecnej sytuacji cieszymy się wzięciem jak nigdy.

– Przez kogo, jeśli to nie sekret? Jak pamiętam, przysięgę składaliśmy temu krajowi, którego już dawno nie ma na mapie.

– Jaki z pana formalista, panie Siergiejew. Na mapie... A w sercu? Co z sercem?

– Wie pan, panie Kasperski, kiedy ktoś ze mną zaczyna rozmawiać o sprawach sercowych, podejrzewam, że tak naprawdę chodzi o pieniądze. Z jakiegoś powodu zawsze tak wychodziło...

– A wcześniej było inaczej? – odparł Antywirus, nie skrywając sarkazmu. – Już nie pamiętam kto, ale człowiek jawnie niegłupi powiedział: „O czymkolwiek by była mowa, bądźcie pewni, że chodzi o pieniądze”. Nie ręczę za dokładność cytatu, ale sens przekazałem odpowiednio. Pan, Michaiile Władimirowiczu, nie jest przypadkiem altruistą?

– Nie zauważyłem.

– Chwała Bogu! Już się wystraszyłem. Można rzec, że dusza mi zamarła. Bardzo nie lubię idealistów. Niebezpieczni, nieprzewidywalni ludzie. Wszystkie światowe nieszczęścia są przez nich, proszę mi wierzyć. A kto nas obecnie potrzebuje, na pewno się pan dowie. Na wszystko przyjdzie czas, Michaiile Władimirowiczu. Jutro podejdzie do pana człowiek...

– ...i powie: „Najlepsze kasztany są na placu Pigalle”.

– Ma pan paskudną skłonność do niestosownych żartów. Hasło nie będzie potrzebne. Człowiek pana zna.

– Sęk nie w tym, czy on mnie zna, tylko czy ja znam jego.

Antywirus ponownie miękko zachichotał.

– Chytrus z pana, Michaiile Władimirowiczu, urodzony chytrus... Proszę zaczekać do jutra. Gdzie się panu śpieszy?

I jeszcze... Proszę przyjąć propozycję szanownego Władimira Anatoliewicza. I to jak najszybciej.

A to dopiero! – pomyślał Siergiejew. To już nie werbunek, nie zaproszenie do powrotu do pracy, ale czort wie co!

Zwykle Biuro nie działało wprost. Jaki sens łamać człowieka, jeśli on lepiej pracuje, kiedy robi wszystko dobrowolnie i ze śpiewem na ustach? Michaił miał już wieloletnie doświadczenie w tym względzie.

Antywirus Michaiła nie werbował. Pracownik rozmawiał z pracownikiem, obaj znali reguły gry, obaj wiedzieli, kto i do czego jest zdolny. Co prawda Kasperski miał niewielką przewagę: najprawdopodobniej leżało przed nim pełne dossier Siergiejewa, zawierające informacje o akcjach, w których Michaił uczestniczył w latach służby, komentarze i rekomendacje od psychologów oraz relacje biograficzne.

Wszystko, co tylko dało się zebrać, łącznie z orientacją seksualną i preferencjami. Kasperski wiedział, jak na niego wpływać, ale zlekceważył rekomendacje.

Jego słowa oznaczały, że dom Placka jest na podsłuchu. Możliwe, że nie cały – inaczej Wasiliewicza rzeczywiście powinno się wyrzucić na zbity pysk – ale lokalne strefy są kontrolowane przez jakieś urządzenie elektroniczne. Co więcej, łącznie z taśmą i fotografiami, ten fakt mówił o tym, że Władimira Anatoliewicza rozpracowują już od wielu miesięcy (jeśli nie lat). I poza tym, przedmiot handlu został nazwany. Bezpośrednio. Bez ogródek.

Mój Boże, pomyślał Siergiejew. No dlaczego tak chronicznie mi się nie wiecie? Kto tam sobie o mnie przypomniał po tych wszystkich obietnicach?

W zasadzie sam mógł sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Siergiejew stał się łakomym kąskiem dla kolegów po fachu, kiedy znalazł się w otoczeniu Blinowa. Pozostawało wyjaśnić, dlaczego Biuro tak interesuje się Plackiem. Samo zajmowało się biznesem zbrojeniowym, ale kwestii konkurencji nie załatwia się takimi sposobami. To zbyt drogie i pracochłonne. Usługi dobrego snajpera kosztują znacznie taniej. A doskonałych strzelców w Biurze było multum!

– Proszę posłuchać, panie Antywirus, dlaczego mnie pan tak bezceremonialnie atakuje? To nawet jakoś niezręcznie...

Mam ochotę spytać: gdzie preludium?

– A po co się ograniczać, Michaiile Władimirowiczu? – odparował rozmówca wesoło. – Itak jest pan nasz, co by nie mówić. To przy urodzeniu był pan mamy i taty, a od wielu lat już nasz. I sam pan to dobrze rozumie. Nie mógł pan się rozłączyć? Albo posłać mnie do wszystkich diabłów? Ale przecież pan nie posłał? Papiery czytał, amatorskie filmy oglądał... Potrzebne to panu było?

– Wrodzona ciekawość.

– Oj, Michaiile Władimirowiczu, nie wszystkiemu jest winna natura. Nudził się pan?

– Nie ma pan pojęcia, panie Kasperski, jak przyjemnie jest się czasem dla odmiany ponudzić!

– Zapewne. Nie próbowałem. Nie mam czasu się nudzić.

– Trudzi się pan dla ojczyzny? Czy jednak dla pieniędzy?

– Powiem panu szczerze, Siergiejew, że w ostatnich latach to się nawet nieźle łączy. Może przestaniemy się przerzucać frazami, Michaiile Władimirowiczu? To nie pasuje do człowieka z pańskim bohaterskim życiorysem.

Siergiejew westchnął.

– Nie chcę nikogo szpiegować. Nie interesuje mnie moralne oblicze Blinowa. Uważam, że nie jestem nic winien naszym wspólnym przyjaciołom. Czy to jasne?

– Zapomniał pan dodać, że chce po prostu spokojnie żyć w tym pięknym mieście, hm... przyjaźnić się z panią Płotnikową, odwiedzać służbową synekurę...

– Synekurę możecie sobie zabrać z powrotem. O Płotnikowej ani słowa, ryzykuje pan zdrowie, zapewniam. A z tezą całkowicie się zgadzam.

– A jeśli powiem, że nie trzeba szpiegować? Powiem, że moralne oblicze Blinowa nas również interesuje tylko ze strony kognitywnej? I zapewnię, że nie ma pan żadnych długów wobec Biura?

– Zadam pytanie zwrotne: czego w takim razie ode mnie potrzebujecie?

– Potrzebujemy, żeby Władimir Anatoliewicz nadal z powodzeniem żył i pracował. A to w ciągu ostatnich paru miesięcy umożliwił pan i bez nas, dwa razy. Chcemy, żeby jego związki z pewnymi ludźmi rozwijały się i wzmacniały. I żeby pan się orientował we wszystkich jego sprawach. Nie po to, żeby nam meldować. To nie jest konieczne. Sam może pan korygować jego aktywność, lecz w ramach koncepcji.

– A jaka jest koncepcja?

– Koncepcja, wie pan, nie zmieniła się. Co dobre dla imperium, dobre jest i dla nas.

Nad zapyłonym placem wiatr gnał kłęby chmur, szarych jak psia sierść. Powietrze pachniało suchą trawą krymskiego stepu, rozkładem, lekkim jak proch brązowym kurzem i trochę wodorostami, gnijącymi na dalekim piaszczystym brzegu.

Ichneumon, suchy i krzywonogi jak kawalerzysta, stał przed szeregiem zziębniętych kursantów, założywszy ręce za plecy. Było zimno. Bardzo zimno i niewiarygodnie wilgotno. Z niskiego nieba co

chwila sypało drobnym wodnym pyłem.

– Kadeci! – odezwał się niegłośno, lecz wyraźnie. – Wy wszyscy mnie nie lubicie. Niektórzy nawet nienawidzą. To normalne. Z końcem nauki będą mnie nienawidzili wszyscy. To też normalne. A kiedy to wszystko się skończy, ktoś ujrzy we mnie przyjaciela. To całkiem normalne, choć mało prawdopodobne.

Uśmiechnął się jednym kącikiem ust i przesunął wzrokiem po szeregu.

– Jest jedna zasada, kadeci, którą trzeba zapamiętać. Jedna. Podstawowa. Zasada. Jeśli zrozumiecie, co mam na myśli, wszystkie trudy i wyrzeczenia będą się wam wydawać nieistotne. I ja, i wy służymy nie sekretarzowi generalnemu ani ministrowi obrony, ani CK KPZR. Służymy imperium. Ono było przed nami, ono będzie, kiedy nas już nie będzie i sama pamięć o nas już się zatrze. Ale ono pozostanie dzięki każdemu z nas. Oto, dlaczego chcę, żebyście zapamiętali tę myśl i powtarzali ją każdego dnia, szczególnie kiedy będzie wam źle. Co dobre dla imperium, dobre jest i dla nas.

Szereg milczał, powoli siniejąc na ostrym jesiennym wietrze.

– I za każdym razem, kiedy będziecie chcieli mnie udusić, pamiętajcie o tym. Nic więcej. Nic osobistego. DLATEGO ŻE...!

– wrzasnął ochryple, a z dwóch niskich topoli za jego plecami zerwały się przestraszone wrony.

– CO DOBRE DLA IMPERIUM, DOBRE JEST I DLA NAS! – zakrakał szereg.

– Imperium nie istnieje już od ośmiu lat – powiedział Siergiejew możliwie najspokojniej. – A to znaczy, że nie ma też tego Biura...

Wciąż jeszcze stał tam, na placu, ciekło mu z nosa i nie mógł go wytrzeć. Łzawiły oczy, w które wiatr miotał deszczem.

– Tak? – rzekł Antywirus tym samym ironicznym tonem i Michaił, chociaż nigdy go nie widział, wyobraził sobie twarz rozmówcy: gładko ogolony, z cienkim nosem, szeroko rozstawionymi ciemnymi oczami i zmarszczką między brwiami.

I zobaczył krzywy uśmiezek na wąskich, białych wargach. – Jest pan tego pewien?

---

14 MAU – Międzynarodnyje Awialinii Ukrainy.

15 *Gringos* (hiszp.) – pogardliwe określenie białych cudzoziemców, w tym konkretnym wypadku Amerykanów.



**A**ch, jakże piękna była Płotnikowa, kiedy patrzyły na nią kamery telewizyjne!

Była piękna i bez nich, ale w chwili, kiedy padało na nią światło reflektorów, kiedy zapalały się czerwone diody rejestratorów, kiedy przed jej twarzą zaczynały tańczyć mikrofony ozdobione logotypami kanałów, Wiktoria Andronowna rozkwitała.

W takich chwilach stawiała się naprawdę piękna, lecz nie uduchowionym żywym pięknem, ale chłodną doskonałością symbolu. Za takimi kobietami idzie się na śmierć, o takie kobiety się walczy i właśnie takich kobiet rozsądni mężczyźni boją się jak ognia.

Konferencja prasowa dopiero co się skończyła, powoli, potrząskując, stygły metalowe podwieszenia reflektorów, dziennikarze jeszcze trzepali komentarze przy wozach transmisyjnych, a Wika już zaczynała swoją własną konferencję na progu Międzynarodowego Centrum Kongresowego.

Patrząc na Płotnikową, ciasno otoczoną tłumem reporterów, Siergiejew pomyślał, że na miejscu jej szefa zastanowiłby się, czy warto puszczać przed sobą jako „lodołamacz” osobę tak charyzmatyczną i pociągającą.

Żartowała z niewymuszonym wdziękiem, nie zwracając uwagi ani na skierowane na nią kamery, ani na dyktafony, i dziennikarze śmiali się razem z nią, co samo w sobie było niespodzianką. Jej szef podobał się przedstawicielom mediów znacznie mniej. W jego obecności nikt nie pozwalał sobie na żarty. Pretendował do stanowiska narodowego ulubieńca i ze wszystkich sił próbował odgrywać rolę brata łąty, lecz przy ostrych pytaniach pod swoim adresem momentalnie się najeżał i nie mógł zetrzeć z twarzy wyrazu agresji.

Lecz pan Łysenko był niejako zręcznie spreparowanym projektem pijarowym, podawanym narodowi jak zapotniały kieliszek z zimną wódką: na srebrnej tacy i z kwaszonym ogóreczkiem. Z takim wizerunkiem nie można było przegrać.

Dla podtrzymania jednolitego obrazu otoczenie Władimira Wiktorowicza powinno być odpowiednio proste, demokratyczne do wyrzygu i nieobdarowane szczególnym intelektem. A Płotnikowa wyróżniała się z tej kompozycji samodzielnością, niezależnością osądów i zwyczajnie posiadaniem rozumu. Podobny dysonans w załodze zwykle rzucał się w oczy i denerwował nie tylko speców od public relations, ale również wyborców. Ale, o dziwo, błyskotliwa i wyróżniająca się z ogólnego tła premiera Płotnikowa podobała się ludziom.

W jednym gościu tej kobiety było więcej powabu i tak miłej narodowi seksualności niż w półtoragodzinnej przemowie pana Łysenki z całym jego męskim testosteronem, postawą macho i chamstwem, parującym każdym porę skóry.

Elektorat to, rzecz jasna, biomasa i bydło, jak niejednokrotnie określały go obie strony nowo narodzonej ukraińskiej demokracji, ale na niektóre rzeczy to samo bydło reaguje całkiem adekwatnie. Gołym okiem było widać, że gdyby Wiktoria Andronowna rozpoczęła teraz swoją kampanię wyborczą, nawet z niewygodnej pozycji sekretarza prasowego, Łysenko mógłby udać się na niezасłużony odpoczynek – za

nią ludzie pójdą bez namysłu, jak szczury za bajkowym flecistą.

Z lewej strony Wiki, trzymając się na dystans od dziennikarzy, stał pacholek Placka, Ławrik, i świdrował Płotnikową rozkochanym spojrzeniem. Przy czym w mniemaniu Siergiejewa szczerze, a co jak co, lecz szczerłość u Ławrika była zjawiskiem niespotykanym.

Za plecami Ławrika nawet pracownicy Titarienki, u którego ten był adiutantem, nazywali go Tabaki lub po prostu Szakał.

A teraz właśnie ten Szakał dosłownie pożerał Wikę oczami – z apetytem i mlaskając. Siergiejewa ogarnęła przemożna ochota, żeby dać Ławrikowi w ryj. Jednak doskonale wiedział, że nie ma do tego nawet moralnego prawa; inne etyczne przeszkody Michał radośnie by olał.

Łysy – obecny premier i kandydat na prezydenta Łysenko Władimir Wiktorowicz – już zniknął z widoku, zjechawszy po Władimirskim Spusku w stronę Padołu razem ze swoim orszakiem czarnych gelandewagenów najnowszego modelu.

Ogólna wartość samochodu premiera i dżipów dziwnym trafem równała się emeryturom w okręgu kijowskim, których rząd z jakiegoś powodu od paru miesięcy nie wypłacał.

Pokazanie się w centrum miasta w takich „wózkach” i w takich okolicznościach byłoby szaleństwem, ale... Prawilni ludzie szmelcem nie jeżdżą. A krępować się nie mają kogo. Emeryci przeżyją! Spoko.

O tym, że półtora roku wcześniej, podczas pomarańczowej rewolucji, mocno oberwali po łbach, już zdążyli zapomnieć.

Zresztą oberwali czysto umownie. Popisano w gazetach. Pogrożono w telewizji. Szczególnie dobrze rozpoznawalni musieli parę miesięcy poopalać się w ciepłych krajach albo pojeździć na nartach. I tyle wszystkiego.

Hasła pozostały hasłami. To na bilbordzie pisali „Bandyci – do więzienia”, a w realnym życiu wszystko ułożyło się całkiem nieźle. Przyszłość jawiła się jako wygodna, równa droga, po której pomaszczą ramię w ramię członkowie partii lewicowych i prawicowych, zjednoczeni walką przeciwko partii rządzącej. Orszak przedstawicieli kapitału narodowego z ciemną przeszłością i jasnymi perspektywami w towarzystwie przodujących osobistości świata kryminalnego.

Cóż można powiedzieć? Ci, którzy zastrzelili się w czasie rewolucji, trochę się pośpieszyli. Ale kto jest winien, że w swojej ludzkiej naiwności wzięli tanie zagrania za poważne groźby? Chłopców, którzy zwycięsko powrócili na kijowską scenę, nie dało się wziąć na takie plewy. Nie ten poziom.

Siergiejew złapał się na myśli, że jego sarkastyczny nastrój wywołała zapewne zwykła, banalna zazdrość, i uśmiechnął się krzywo. Tak, był zazdrosny. Nie ma co zaprzeczać. Nawet teraz, już po rozstaniu i tych wszystkich słowach, które powiedzieli sobie nawzajem, patrzył na Płotnikową nie jak na byłą żonę. I nie mógł pozostawać obojętny podczas spotkań z nią, nie mógł się na nią gniewać, chociaż tak się zdarzyło, że życie rzuciło ich na różne strony barykady i miał powód do złości.

Siergiejew wciąż jeszcze był o nią niemądrze zazdrosny. Antypatię odczuwał także wobec Łysego, o którym mówiono, że jest łasy na kobiece wdzięki, jednak woli kobiety proste, łatwe w obsłudze i niezbyt inteligentne. I żeby patrzyły na niego z zachwytem! Mawiano też, że taki gust przejawiał już w młodości, co odbiło się na wyborze towarzyszk życia.

Podobały mu się przede wszystkim duże damy, sto kilo żywej wagi, z potężnymi piersiami i udami – właśnie takie dostarczał mu do sauny i domków myśliwskich Ławrik, wyznaczony przez partyjne kierownictwo jako „zawiadujący serajem”.

Płotnikową, z jej pięćdziesięcioma pięcioma kilogramami przy wzroście metr sześćdziesiąt siedem, była „niewymiarowa” i przygarnąć takiej chudziny Łysy nie chciałby nawet z litości. Za to Ławrik i Usolcew, kierujący sztabem wyborczym Łysenki, oraz cały tłum, wystrojony w pomarańczowo – błękitne barwy przyszłej partii rządzącej, patrzyli na Płotnikową jak myszy na ser. Gwoli sprawiedliwości, Wika zawsze lubiła, kiedy mężczyźni tak na nią patrzyli. Szukała kolejnych potwierdzeń swojego niezwykłego powabu i znajdowała je bez trudu.

Siergiejew doskonale o tym wiedział i nauczył się nie zwracać uwagi na płomienne spojrzenia, którymi rozkoszowała się jego ukochana, niczym przebieśnięg wiosennym słońcem.

Ale to było wtedy, kiedy należała do niego.

„Należała”? Płotnikową „należała”?

Co za głupstwa, pomyślał Siergiejew z goryczą. Całkowicie nieodpowiednie słowo. Chociaż chciałbym, co tu kryć...

Naprawdę za nią tęsknił.

– Wiesz, Misza – mówiła Marinka, kiedy wczorajszego wieczoru siedzieli przy stoliku w Reprise i pili zieloną herbatę z cukrem trzcinowym – ja już z mamą nawet nie próbuję o tobie rozmawiać. Tylko się złości i milczy.

Marinka w wieku niespełna szesnastu lat stała się tak samo piękna jak matka, w niczym nie przypominając tego brzydkiego kaczątka, które przed laty usiadło na tylnym siedzeniu auta Siergiejewa. Chodziła jak Wika, mówiła z jej intonacjami, tak samo przygryzała dolną wargę, kiedy była zagubiona lub zagniewana. Tylko nie paliła i pewnie dlatego nie przejęła od matki gestu, którym tamta gładziła brew, nie wypuszczając z palców goździkowego papierosa.

Obecna młodzież miała lekkiego bzika na punkcie zdrowego trybu życia. Dlatego po tym, jak Płotnikową odeszła od Siergiejewa, oni oboje z Marinką spotykali się w tajemnicy właśnie tutaj, w Reprise, gdzie obowiązywał zakaz palenia.

Nieczęsto, parę razy w miesiącu. Marinka miała swoje sprawy, chłopaka, swoją miłość, swoje życie. Jednak była przywiązana do Michała i mimo niezadowolenia matki znajdowała dla niego czas.

– Dlaczego ona jest na ciebie taka zła? Znalazłeś sobie kogoś?

– Na razie nie – odpowiedział Siergiejew. – Ale to nie ma z tym nic wspólnego. Nie dlatego jest zła. Uwierz, Marisza, to, czy kogoś mam, czy nie, ona już od dawna ma w nosie.

Marinka upiła łyk i zmarszczyła się śmiesznie – herbata była gorąca.

– Kobiety i tak się złością, czy jesteś potrzebny, czy nie! – powiedziała szybko. – Zawłaszczyła cię, wiesz? Myślisz, że to już na zawsze?

– Co na zawsze? To, że się rozeszliśmy?

Skinęła głową, patrząc na niego spod grzywki.

– Tak. To, że się rozeszliście.

– Myślę, że tak.

– Dlaczego? Dlaczego tak myślisz? Jeśli cię zawoła, to wrócisz?

Dobre pytanie, pomyślał. Wrócisz, Siergiejew? Czy inaczej: Siergiejew, zawoła cię?

– Marisza, to nie ja odszedłem, tylko ona. To ja powinienem ją zawołać.

– W takim razie dlaczego nie wołasz?

– Dlatego, że ona nie wróci.

Znów dotknęła wargami filizanki. Wargami Wiki.

– Skąd wiesz? Spróbuj!

I jak to wyjaśnić? – przemknęło Siergiejewowi przez głowę. Jak opowiedzieć o tym, że nasza miłość umierała niejedną dzień i niejedną miesiąc? Jak wyjaśnić, że ona zaczęła umierać, jeszcze nie zdążywszy się urodzić? Z powodu przeszłości Wiki jeszcze przede mną. Dlatego że jej życie było walką ze wszystkim, co ją otaczało, i w tej wojnie nie robiono podziałów na obcych i swoich. Był tylko jeden wyjątek od tej zasady. Oczywiście nie ja, tylko ty, Marinka.

– Próbowałem – odparł. – Nic z tego nie wyszło. Kiedyś, dawno temu, kiedy dopiero się poznaliśmy, powiedziała mi, że w chwili, kiedy dowie się o mnie wszystkiego, stanę się dla niej nieciekawym. I wtedy ode mnie odejdzie. Tak więc... Można uznać, że twoja mama po prostu dotzymała słowa.



Za oknami kawiarni na nierównym bruku kolebały się samochody. Obok straganu na ulicy stał skrzypek o nabrzmiałej od alkoholu twarzy i w skupieniu wodził smyczkiem po strunach. Dźwięki nie przebijały się



przez grube szyby i tylko kiedy drzwi otwierał kolejny gość, oddalona muzyka wdzierająca się do środka krótką frazą – tylko kilka nut. Siergiejew pomyślał, że kiedy spadnie deszcz, muzyk podniesie wyświechtany futerał z drobniakami i zmiętymi banknotami i skulony pobiegnie ukryć się w najbliższej bramie. A on nie zdąży rozpoznać melodii.

– Ja myślę, że to był tylko pretekst – oznajmiła poważnie Płotnikowa młodsza.

– Możliwe – zgodził się Michaił, uśmiechając się z przymusem jedną stroną ust. – Ale to kompletnie niczego nie zmienia.

Jest nawet gorzej.

– Minął prawie rok...

– Trochę więcej.

Mógł z dokładnością co do dnia powiedzieć, ile czasu minęło od chwili, kiedy Płotnikowa tam, na schodach, dotknęła chłodnymi wargami jego czoła w pożegnalnym pocałunku. Trzysta dziewięćdziesiąt siedem dni. Można byłoby określić z dokładnością co do minuty, ale Siergiejew wolał tego nie robić. Trzysta dziewięćdziesiąt siedem dni od odejścia Płotnikowej i drugiego nadejścia Ichneumona. Tylko trzysta dziewięćdziesiąt siedem dni.

– Zamówmy dla ciebie sernik – rzekł do Marinki i uśmiechnął się ciepło, choć kosztowało to nieco wysiłku, by uśmiech nie wydawał się męczeński. – A kto wie, może nie wytrzymam i też zjem kawałeczek dla towarzystwa. Dobrze?

Marinka przytaknęła i uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Uśmiechem Wiki.

– Trzeba go stąd ewakuować – powiedział Siergiejew. – Możecie mi wierzyć, a możecie nie wierzyć, ale... Jeśli go nie dostarczyć na Dużą Ziemię, to ta zima może być dla nas ciężka.

– Na co ty liczyłeś? – spytał Krasawicki.

Oczy miał zaczerwienione, zmęczone. Timur nie wyspał się i było bardzo zauważalne, jak się postarzał przez ostatnie pół roku.

Siedzieli w holu na parterze, przy kominku, zbudowanym przez jakiegoś majstra ze starych cegieł szamotowych. Za oknami szalała prawdziwa zamieć, całkiem częsta w tych miejscach. Ciskała w szyby płatkami śniegu, a w pomieszczeniu było ciepło, prawdziwie ciepło, tak że nie dało się wysiedzieć w butach.

Siergiejew postanowił się nie męczyć, tym bardziej że zmienił skarpety wieczorem. Zdjął desanty i siedział, z zadowoleniem poruszając palcami u nóg. Milczek natychmiast poszedł za jego przykładem.

– Liczyłem na to – odezwał się Siergiejew – że nasz podopieczny w najgorszym razie będzie się umiał obronić. Wiesz, miał pewne specyficzne doświadczenie w tym względzie.

Goworowa popatrzyła na Michaiła ze zwątpieniem.

– Tak, owszem – potwierdził. – Gdybyś tylko wiedziała, ilu ludzi wysłał na tamten świat ten błąd młodziaków...

– No, dajmy na to – zgodził się Krasawicki, biorąc szklankę w pięknej podstawce, pełną gorącej herbaty.

Krasawicki uwielbiał takie starodawne przedmioty i jego przyjaciele, wiedzący o tej słabości Timura, znosili mu w prezencie różne antykwaryczne durnostojki znalezione w ruinach. Ten właśnie uchwyt pod szklankę z oksydowanego srebra znalazł i podarował mu Siergiejew.

– Powiedzmy, że masz rację i ten facet to istny potwór. Zgina szyny w rękach, żelazne pręty zawiązuje w supełki.

Wzrokiem zabija, jak bazyliżek! Bestia, morderca, superman! Ale raczej nie idiota? Ile stąd jest do najbliższej granicy? Sto pięćdziesiąt kilometrów?

– Mniej – odrzekł Siergiejew w zadumie. – Ale i tak niebliisko. I miejsca, zauważ, też paskudne, czy na zachód się ruszyć, czy na wschód...

– No, sądząc z wyglądu, na zachód nie pójdzie. Wschód jest mu bliższy. – Krasawicki uśmiechnął się niewesoło. – Chcesz powiedzieć, że wyznaczył ci rendez- vous tutaj, a potem chciał pieszo drałować do wschodniej granicy? Po niebezpiecznych terenach, ponad sto kilometrów? Nie wierzę! On co, ma stałe

„okno” na wschodzie?

Sądząc z tego, kto swego czasu poznał Siergiejewa z Ali Babą, Arab miał na wschodzie nie tylko okno, a nawet całą bramę. Ale lepiej było nie mówić o tym głośno, nawet w kompanii „swoich”. Oczywiście można, ale lepiej nie. Czy to wiadomo, kto się może dowiedzieć o „dziurce” w granicy?

Nie żeby nie dowierzał Krasawickiemu i spółce, odwrotnie, tym ludziom Siergiejew wierzył bez zastrzeżeń. Jednak w Szpitalu kręciło się dużo tymczasowych mieszkańców i gości. Jakaś wzmianka, usłyszane mimochodem słowo, przypadkowo rzucone zdanie...

O czym wie dwóch – to już nie tajemnica.

Siergiejewowi nie uśmiechało się spotkanie z oddziałem walecznych oenzetowców, wysłanych dla „przerwania bezprawnej działalności grupy przestępczej”. Szczególnie w „oknie”, w czasie przekraczania granicy z ładunkiem. „Białe kaski” strzelały wcześniej, niż zaczynały się bać, i oczywiście wcześniej, niż zobaczyły cel.

– „Okno” na wschodzie? Możliwe – powiedział Michaił wymijająco. – Wolałbym tego nie potwierdzać. Ale w tym, że miał plan szybkiej ewakuacji, to masz rację, Timur, na sto procent. Miał. Ale czy ma nadal?

Milczek popatrzył na Siergiejewa z nieukrywaną ironią, zmarszczył perkaty nos i znów poruszył palcami nóg. Michaił zauważył, że przetarła mu się jedna skarpetka.

– A po co właściwie mamy zgadywać? – odezwał się Grinberg. – Obudzi się i pogadamy. Tak od serca.

Mówił gardłowo, od czego jego głos nabierał wytworności, jakby Edward Arkadiewicz nie był tutejszym do szpiku kości, a jakąś znakomitością, która zajechała w gości.

Powierzchność Grinberga nie komponowała się z głosem. Edik był przysadzisty, krępy, po chłopsku grubokościsty, z różową jak pupa noworodka łysiną, otoczoną wianuszkami siwych włosów. W krótkich palcach obracał skręta i mrużył w chmurze gryzącego dymu swoje małe oczka, przykryte zaskakująco gęstymi, czarnymi brwiami. Jednak najbardziej wyrazistym szczegółem były uszy – ogromne, różowe, przeświecające pod światło, zdawało się, że Grinberg zaraz nimi załopocze niczym słonik Dumbo.

– Przecież mówiłem: problem nie w tym, żeby z nim pomówić i zdobyć wyznanie jakichś utajonych grzechów czy nieodpowiednich związków – objaśnił Siergiejew cierpliwie. – On nie jest głupi i szybko zorientuje się w sytuacji. Powie wszystko, co trzeba. A czego nie trzeba, nie powie. I co z tym zrobisz? Taki ma zawód: milczeć, kiedy pytają. Trudne będzie co innego... Na przykład dostawić go do punktu rendez- vous. Sądzę, że to prawie niemożliwe. Iść przecież nie da rady?

Przypominający złamany znak zapytania Boria Gołowko pokręcił przecząco głową jako pierwszy, a pozostali lekarze przyłączyli się sekundę później.

– Jasne – westchnął Michaił. – A miał w plecaku telefon satelitarny?

Teraz głową pokręcił Milczek.

– Czyli nie miał. Ani odwołać, ani przenieść spotkania bez niego nie można. Tych dwóch, którzy z nim byli, się znalazło?

– Nikt ich nie widział. – Krasawicki ze zmęczeniem potarł skroń. – Ten twój znajomek wypadł prosto na południową strażnicę. Jakim cudem go chłopcy ze strachu nie załatwili z automatów... Mówili, że skakał jak kangur, tylko na jednej nodze... I chrypiał. W tej balaklawie same oczy, wybałuszone... On w ogóle słowa nie mógł powiedzieć.

Siergiejew wyobraził sobie skaczącego po grudach rozbitych cegieł i betonu Ali Babę. Nieustraszonego Ali Babę, miecz na niewiernych, człowieka, za którego głowę niektóre służby specjalne gotowe były zapłacić obłądne pieniądze, skaczącego ku zbawczym ogniskom. Wyobraził go sobie rannego, z wytrzeszczonymi oczami i oniemiałego ze strachu...

Smutny widok. Mimo bujnej fantazji Siergiejew nie mógł sobie wyobrazić, co tak mogło przerazić jego tajemniczego partnera.

– Któryś z chłopaków nawet palnął, ale na szczęście chybił – ciągnął Krasawicki. – Ten twój Ali Baba kuśtyka, krew mu z nogi chlusta. Starszy patrolu się połapał, że trzeba człowiekowi pomóc, rzucił się naprzeciw, złapali go, i wtedy przyleciało toto z ciemności. Szczęście, że w ramię. Gdyby go trafiło w szyję albo bliżej kręgosłupa – pozamiatane, już nie byłoby sensu operować.

– Mam przedstawić swoje domysły co do tego, kto to zrobił? – zapytał Michaił, patrząc na Gołowkę. –

Czy i tak wszystko jasne?

Borys Iwanowicz spojrział na Siergiejewa i spuścił oczy.

– No, nie ma co Borii obwiniać – wstawiła się za nim Goworowa, kładąc mu rękę na ramieniu. – Tego nie dało się przewidzieć nawet w złym śnie.

– Ja nie obwiniam – zaproponował Siergiejew. – Po prostu zapytałem, czy to dla wszystkich jasne? Dla mnie na przykład owszem.

– Daj spokój, Misza. – Timur wzruszył ramionami i z niezadowoleniem obserwował, jak Irina Konstantinowna zapala kolejnego, nie wiadomo już którego z kolei papierosa. – Co będziemy robić?

– Nie wiem. Nie patrz tak na mnie, Timur! Naprawdę nie wiem, co robić! Iść łapać to przedszkole z automatami? Nie mam na to czasu! Rozumiesz przecież, że od tego, czy Ali Baba trafi, czy nie trafi do swoich, zależy, ilu ludzi pochowasz tej zimy. I nie tylko ty. Dlatego wszystko pozostałe schodzi na dalszy plan!

– Jeśli od niego tak wiele zależy, to wybacź, Misza, po cholere go tutaj puściłeś? – spytała Goworowa swoim głębokim kontraltem.

Lecz to już nie była dama, ale portowa dziwka z nożem, która, szczerze powiedziawszy, zawsze podobała się Michaiłowi bardziej niż powściągliwa i wyniosła matrona, którą Goworowa była przez większą część doby.

– Siedziałyby sobie twój Ali Baba cicho w Doniecku albo Moskwie i spokojnie na ciebie czekał. Co, postanowił sprawdzić, czy faktycznie ma żelazne jajca? I bez takich przygód bym mu powiedziała, że nie żelazne. Żelaznych u faceta w życiu nie widziałam.

Dobre pytanie. Rzeczywiście, dlaczego? Czemu Ali Baba polazł w samo piekło? – pomyślał Siergiejew niepewnie.

Zamącił mi w głowie przy pierwszej rozmowie! Nie polazł przecież po to, żeby mi było wygodnie, to na pewno. A jeśli po to, żeby sprzątnąć wszystkich świadków? Ciepłej... To możliwe. Ale mało prawdopodobne. Musi jeszcze wywieźć główną część berylu, a sprzątać będzie można dopiero wtedy, kiedy śmigłowce przetną granicę Ziemi Niczyjej, nie wcześniej.

Z drugiej strony po co sprzątać po zakończeniu operacji? Co to da? W pełni zabezpieczyć się już nie będzie można, zbyt wielu zorientowanych ludzi znajdzie się poza zasięgiem, a jak Ali Baba zrobi tu coś nie tak... Mogiła! Droga do pozostawionych materiałów będzie zamknięta na zawsze. Nielogiczne? Tak, nielogiczne! Ale pozostaje pytanie... Czego w takim razie on potrzebuje? Po co poszedł na takie nieuzasadnione ryzyko? Przecież nie dla testowania wytrzymałości własnych jaj! To człowiek sprytny i doświadczony. Nastawiony na to, by przeżyć. Ma gdzieś kwestie godności i przyzwoitości. Jeśli będzie trzeba, to padnie twarzą w gówno i będzie tak leżał godzinami, bez mrugnięcia i nie oddychając. On, z jego kontaktami i „plecami”, nie powinien podchodzić nawet do przygranicza, nie tylko nurkować z głową w tę otchłań!

Jedyna rozumna wersja: Ali Baba nie chciał, żeby przekazanie towaru nastąpiło w Moskwie albo w kontrolowanej przez imperium Republice Wschodniej. Dlaczego? Próbował zaplątać ślady, a to oznacza, że nie dowierza Istominowi. Ja dla niego nie jestem niebezpieczny, co więcej, pożyteczny, jak ucywilizowany aborygen. Wyciągam dla niego kasztany z ognia – własnymi rękami, nawiasem mówiąc. Istomin w tej historii jest tylko pośrednikiem. Istomin to człowiek Ali Baby, który myśli, że Ali Baba to jego człowiek. Jaki oksymoron! Ale niewykluczone, że wszystko jest dużo bardziej skomplikowane.

Na przykład jeśli dopuścić, że Istomin rozpracowuje Ali Babę? Nie bądźmy tacy skromni, wiedząc, czym było i nadal jest Biuro, można w sumie dopuścić, że Kostia rozgryza nas obu i po cichu się podśmiewa...

A wtedy...

Wtedy wszystko pasuje. Przy całej absurdalności takiego założenia, niechby i poniżającego dla własnej ambicji (lecz dosyć wiarygodnie się prezentującego), obraz w tym układzie wygląda przejrzyście.

I tak... Co my tu widzimy?

Ali Baba wchodzi do Strefy pod patronatem Istomina: „okno” do wejścia to sprawa Kostii, dla którego załatwić to to jak przesłać dwa bajty. Jeden telefon. Co tam nabajerował mu nasz światowy muzułmanin,

jak argumentował– tajemnica to wielka. Konstanty Olegowicz połknął te bajki, i chwala Bogu! Mnie to nie interesuje. Widocznie Ali Baba bardzo mu nie ufa, skoro postanowił zaryzykować życie i zdrowie tylko po to, by zamaskować wywóz berylu. Rzucić Kostię to nie żarty!

Siergiejew przypomniał sobie Istomina podczas ich ostatniego spotkania w Camelocie.

Kościę korpulentnego, z lekka otłuszczonego. Kostię, który z apetytem pochłaniał soczystą baraninę w sosie z granatów.

Kościę z dobronudnym, by nie rzec – prostackim wyrazem twarzy.

Zuch! Stara szkoła. Prawie mnie nabrał. Mnie, ale nie Ali Babę. Domyślał się, ten smagły chytrus!

Operacja, w mniemaniu Siergiejewa, mogła przebiegać tak: Ali Baba przekracza granicę Ziemi Niczyjej, otrzymuje od Siergiejewa pojemnik z próbkami berylowego proszku i po pozytywnym wyniku ekspertyzy zaczyna przewozić medykamenty i sprzęt do Strefy.

Jednocześnie obaj z Istominem przygotowują śmigłowiec do wywozu pozostałego ładunku i parę jako osłonę. Michaił naprowadza ich na cel, realizuje załadunek i...

Tu mogło być kilka wariantów.

Pierwszy – nie wypuszczają ich ze Strefy i przeprowadzają albo pokazowe przejście, albo pokazowe rozstrzelanie, jak nie kijem, to pałą.

Drugi wariant – przechwycenie ładunku i grupy w punkcie spotkania, czyli w dowolnym wygodnym miejscu poza Strefą Wspólnych Wpływów. Tu możliwe jest tylko przejście, gdyż rozstrzelanie śmigłowca pełnego proszku berylowego nad zamieszkanymi terenami to czyste szaleństwo.

Póki nie było innej teorii, należało się przyjrzeć tej. Tym bardziej że wydarzenia pasowały do niej z niepokojącą dokładnością.

Siergiejew przerwał rozmyślenia i powrócił do rozmowy, zanim Goworowa zauważyła, że odpłynął myślami.

– Jaki sens się nad tym rozwodzić? – zapytał i odchyliwszy się na oparcie krzesła, ciągnął: – Ali Baba już jest tutaj. I to, czy zrozumiemy jego ukryte motywy, nic nam nie da. A fakty są takie, że leży w sąsiednim pokoju, cały podziurawiony.

Dobrze jeszcze, że żywy. Mam bardzo proste zadanie: zrobić tak, żeby wydostał się ze Strefy. A już potem, jeśli będzie możliwość, wypytam go, po cholere tutaj przylazł.



Milczek zadarł głowę tak, że niemalże dotknął potylicą łopatek, i ułożył dłoń w łódeczkę. A potem chytrze uśmiechnął się do Siergiejewa i mrugnął. Tyle emocji malujących się na zwykle obojętnej fizjonomii chłopca mogło zdziwić obcego człowieka, ale nie Michaiła, który nauczył się rozumieć Milczka, obserwując jego spojrzenia lub skąpe gesty.

Milczek był bardzo zadowolony z myśli, jaka go olśniła. Był pewien, że znalazł wyjście z sytuacji. Pozostawało tylko zrozumieć, jaki genialny pomysł przyszedł chłopczkowi do głowy.

– Samolot? – zapytał Siergiejew ostrożnie.

Milczek pokręcił głową i powtórzył gest.

– Łódka? – powiedziała Goworowa. – Jaka łódka? Dniepr już ścięło lodem, nie da się przepłynąć.

Milczek wbił wzrok w Siergiejewa i pomachał rękami jak skrzydłami.

– Ptaki? – Goworowa chyba wciągnęła się w grę w zagadki. – Samolot?

– Latać? – podchwycił Timur.

Milczek kiwnął twierdząco.

– Latająca łódka? – spytał Siergiejew. – Milczek, masz na myśli to, co znaleźliśmy wiosną?

Znów potwierdzające skinienie.

– Znaleźliście latającą łódkę? Hydroplan czy co? – zdumiał się Grinberg.

Jednak nie otrzymał odpowiedzi.

– Zuch, Milczek – rzekł Michał z szacunkiem. – Superpomysł. Będą oczywiście komplikacje, ale sam pomysł obłędny!

Odkryli to zupełnie przypadkowo.

Sam budynek zmiotła woda w czasie Potopu. Ścieła jak brzytwą. Sądząc z fundamentu, był to przysadzisty równoległoscian ze szkła i betonu. Stopnie wiodące do piwnic skruszyły deszcze, lód i wyrastająca w szczelinach szorstka trawa. Ściany, pokryte kiedyś kafelkami, ziały szarymi cementowymi plamami, z których sterczały pęczki zardzewiałych prętów zbrojeniowych, niczym włosy z nozdrzy. Samą piwnicę śmieci zawałały prawie w dwóch trzecich. Drzwi w głębi można było zobaczyć, ale dotrzeć do nich chyba tylko buldożerem. Po zawale pełzł już mech i śmierdząca pleśń.

Dobre znaki ciepłej wczesniej wiosny, pomyślał Siergiejew, przedostając się przez resztki jakiejś metalowej konstrukcji, zmiętej nie do rozpoznania. Pleśń i mech.

Kiedyś tę porę rozpoznawano po różowych „świeczkach” kwitnących kasztanów, pojawiających się na trotuarach stolikach letnich kafejek, lekkich sukienkach powiewających dokoła kobiecych nóg, po aromacie kwitnących akacji i głośnych wiosennych deszczach, splukujących z miast resztki zimy.

Teraz po ostrych odłamkach betonu, plastiku i metalu, po zgniłych drewniakach pełzł mech. I to zwiastowało, że lato blisko.

Tutaj, w ruinach, młode drzewka już zaczęły przebijać się przez potrzaskany asfalt i gdzieś tam nawet pojawiła się trawa. Za dwadzieścia lat będzie tu las. A za kolejne dwadzieścia ruiny całkowicie skryją się pod dywanem roślin. A po stu? Czy ktoś będzie pamiętał, że było tu miasto? Czy będzie miał kto pamiętać?

Kiedy skręcili z Milczkiem w lewo, drogę przeciął im brązowy szczur wielkości niemalże nutrii. Bezcelne zwierzę nawet nie biegło, tylko truchtało bez pośpiechu, wlokąc po ziemi goły szaroróżowy ogon. Milczek sięgnął po karabin, ale się rozmyślił. Nie było sensu tracić naboju. Takich celów widywali powyżej setki na dzień, a nocą liczby szły w tysiące. Nie tylko koty, nawet psy unikały porzuconych miast. Byłyymi siedzibami ludzi władały teraz szczury i karaluchy.

Karaluchy szeleściły w rozwaliskach od wiosny do późnej jesieni, a wraz z pierwszymi mrozami gdzieś znikwały. Mróz powinien je zabijać, ale nie zabijał. Pomyślnie zimowały w swoich podziemnych kryjówkach, grzejąc się w ciepłe gnijącej materii organicznej, i z pierwszymi promieniami słońca ich czarno-brązowe plemię znów pojawiało się na górze.

Szczur, kołysząc się jak zawodnik sumo, przedostał się nad wrośniętą w odłamki rurą, przerdzewiałą niczym koronka, i z hałasem zjechał z kupy śmieci na brzuchu.

– Ostrożnie – powiedział Siergiejew do Milczka. – Widzisz, jak ziemia osiadła?

Ziemia z przodu rzeczywiście osiadła i mógł tam znajdować się „bąbel”. Ominęli niebezpieczny kawałek, przyciskając się plecami do bloków fundamentu, jakby szli po gzymsie nad przepaścią.

Z drugiej strony resztek budynku ukazały się wrota. Farba z nich już zlazła, metal pokrył się rdzą, odpadającą przy dotyku. Masywne „uszy” zespajała równie zardzewiała kłódka. Milczek obejrzał wrota, kłódkę i wyjął z ładownicy granat.

Dość radykalne rozwiązanie, ale bez piły tarczowej przeszkoda była nie do pokonania. Czegoś takiego nie rozbije się kolbą.

Milczek przyczepił granat do „uszu” Skoczem. Siergiejew przywiązał żyłkę do zawleczonej i poszli za węgiel, by schronić się przed odłamkami. Na skraju hałdy śmieci, jak na parapecie, siedział ten sam chyba szczur i z bezpiecznej odległości bacznie obserwował nieproszonych gości paciorkowatymi ślepkami.

Rozległ się głośny huk wybuchu, a jego echo utonęło w ruinach.

Szczur, zachowując lodowaty spokój, poruszył wąsami i z zainteresowaniem stanął słupka, jakby chciał wszystko lepiej zobaczyć.

Kłódka prawie nie ucierpiała, za to jedno „ucho” zostało całkowicie oderwane. Fala uderzeniowa nieco przekrzywiła wrota i jedno skrzydło odgięło się z przeraźliwym zgrzytem.

Ostrożnie wsunęli się do środka.

Ciemność panująca wewnątrz była lepka i niemal dotykalna. Wiało chłodem i wilgocią,

w pomieszczeniu unosił się lekki zapach jakiejś chemii. Tak pachnie w warsztacie, w którym przez długi czas używano rozpuszczalników. Aceton? Spirytus mineralny?

Siergiejew zamarł u progu, odczekując, aż oczy choć trochę przywykną do mroku. Broni nie dotykał. W środku nie mogło być niczego żywego. Sądząc z wrót, wejście do piwnicy było do niedawna zasypane i odsłoniło się dopiero wtedy, gdy osiadł grunt. A do tej pory kłódki na pewno nikt nie otwierał.

Z lewej słyszał lekki oddech Milczka. Jego i Siergiejewa oddzielał tylko promień światła padający ze szczeliny w drzwiach. Po oświetlonym ciepłym wiosennym słońcem kawałku ziemi miały się ogromne, włochate krocionogi.

Szelesty. Gdzieś w głębi głośno plusnęła spadająca kropla wody. Trzasnął kawałek tynku, naruszonego wybuchem. Iść tam bez światła było głupotą, ale podziemie kusilo.

Czego Bóg nie da, tego Świnia nie zje!

– Włączamy oświetlenie – powiedział Siergiejew półgłosem, sięgając do wiszącej na pasie wodoodpornej latarki.

W dół wiodły schody z ułożonymi na nich stalowymi szynami. Podest, na którym stali odkrywcy, był kiedyś wyłożony płytkami, ale teraz ceramika całkowicie zarosła szarym mchem, grubym i mocnym, jakby wykonano go z silikonu. Kiedy Milczek świecił pod nogi, wydawało się, że cała podłoga się rusza – tyle klebiło się na niej stworzeń: pająki, stonogi, wiję, żuki, ślimaki i inni mieszkańcy podziemi.

Uchylone wrota i światło wystraszyły część lokatorów, a innych przyciągały jak magnes, więc na zewnątrz już popłynął potoczek chrzęszczących chityną owadów.

Nie zwracając uwagi na chrupanie pod nogami, Milczek i Siergiejew ruszyli w dół po schodach. Okazały się dość płaskie i krótkie, zaledwie pięć śliskich stopni. Na niższym podeście robactwa było już po kostki. Drzwi wiodące dalej zabezpieczono zamkiem kodowym, który Siergiejew rozwalił krótką serią. Dokoła gorących gilz, spadających na żywy dywan, zakręciły się wiry.

Te drzwi otworzyli z trudem. Siergiejew nawet pomyślał, że tracili czas na darmo: otwierały się na zewnątrz, wyważanie ich ramieniem nie miało sensu, a klamka została mu w ręku już po pierwszym szarpnięciu. Jednak jakoś przeszli.

Kolejne pomieszczenie było długie jak wagon kolejowy i kończyło się dużą salą o niskim suficie, z którego zwisały jakieś łachmany (pajęczyny?) i białawe grube nici.

W korytarzu na szynach, będących przedłużeniem tych przy wejściu, stał wózek. Na nim zaś piętrzyło się coś wielkiego, masywnego, zamotanego w grubą polietylenową folię, szarą od brudu.

Po bokach pomieszczenia ciągnęły się stelaże zastawione kanistrami, narzędziami i akumulatorami – starymi i nowymi, nadal w opakowaniach. Akuratnymi rzędami stały puszkki, najwyraźniej ze smarami, pokryte gęstym „welurem”

brązowego kurzu, na półkach leżały jakieś żelastwa przypominające części reduktorów, obrośnięte taką samą kurzową „sierścią”, i metalowe pudełka z nieznanymi detalami.

Pod jedną ze ścian na podpórkach stały na wpół rozebrane silniki do łodzi.

– Na górze był sklep – zrozumiał w końcu Siergiejew, przesuwając po tym wszystkim promieniem latarki. – Sklep sportowy. A tu był magazyn i warsztaty. No to, przyjacielu, zobaczymy, co jest w kanistrach?

W kanistrach była benzyna, więcej niż pół tony.

A pod zabrudzoną folią krył się najprawdziwszy poduszkowiec – niewielka, sześćosobowa łódka. Dostarczono ją zapewne tuż przed katastrofą. W każdym razie wodniacy nie zdążyli jej rozkonserwować. Wszystkie te lata poduszkowiec przestał na wózku, w fabrycznym smarze, z cylindrami silnika zalanymi olejem. Owady się do niego nie dobrały, ale dlaczego nie ruszyły go szczury, które posiekały zębami nawet boki starych akumulatorów? Być może folia spowijająca łódkę była trująca. Inaczej nie dawało się tego wyjaśnić.

Po szybkich oględzinach okazało się, że wewnątrz kabiny pasażerskiej, komora silnika i boczny fartuch są w idealnym stanie. Siergiejew z Milczkiem ponownie bardzo starannie zapakowali pojazd i wyszli na zewnątrz zapalić.

Szczur nadal siedział na dawnym miejscu, tylko teraz złowieszcze stworzenie nie gapiło się, ale myło,

nie zwracając na ludzi kompletnie żadnej uwagi.

– Pożyteczne znalezisko – powiedział Siergiejew, podstawiając twarz pod promienie popołudniowego słońca.

Przymknął oczy, lecz nadal obserwował otoczenie poprzez rzęsy. Milczek siedział obok, postawiwszy automat między kolanami i opierając się o plecak chudymi plecami.

– Teraz trzeba się zastanowić, jak je ukryć – ciągnął Michał, sadwiąc się wygodniej.

Pogładził dokuczające od wilgoci i długiego marszu kolano, przypalił cuchnącego starym tytoniem papierosa jednorazową zapalniczką wesolutkiego, jaskrawozielonego koloru.

– Na pewno się przyda. Widziałem, jak takie łódeczki chodzą. Co prawda w poprzednim życiu, ale widziałem...

Milczek skinął głową i w zadumie podrapał się w policzek, pokryty świeżym, młodzieńczym puszkami.

– Mogę go uruchomić. Robota na parę godzin. Suche akumulatory tu są, jeszcze zapakowane. A ta łódka jest latająca.

Nad lasem oczywiście nie przeleci, ale bagna, rzeki, zarośla, piaski są dla niej jak dla nas szosa.

Milczek popatrzył na niego ze zdziwieniem.



– Możesz mi uwierzyć na słowo – odrzekł Siergiejew z nutką urazy. – Jest dokładnie tak, jak mówię. Sam widziałeś: nie ma ani kół, ani skrzydeł, ani śruby napędowej. A jeździ i po wodzie, i po lądzie. Ale jeśli jej nie zamaskujemy, to znajdą się na nią chętni. Nie my jedni jesteśmy tacy mądrzy. Tak więc ruszaj głową!

Samemu Siergiejewowi nie przychodziły na myśl żadne rewolucyjne pomysły. Można było oczywiście wysadzić drugie drzwi, ale to groziło zawaleniem całego warsztatu, a razem z nim poduszki. A tego, rzecz, jasna nie chcieli!

Można było go wytoczyć na zewnątrz razem z wózkiem po owych zardzewiałych szynach, zatankować, uruchomić i spróbować gdzieś przejechać. Szpital był niedaleko... Rabbi też nie za siódmą górą... Tylko czy uda się zapuścić silnik? Czy zadziała akumulator, który tyle lat stał suchy?

Milczek zerwał się z miejsca, zanurkował we wrota i po chwili pojawił się z przenośną spawarką. Miał chytrą minę.

Skinął na wrota i podał narzędzie Siergiejewowi.

– Zaspawamy wejście? – powiedział Michał, natychmiast kojarząc, że łatwiej schować gdzieś w pobliżu spawarkę niż poduszkowiec.

Milczek uśmiechnął się.

W butlach spawarki było jeszcze paliwo.

Przez dziesięć minut szczur przyglądał się, jak Siergiejew sprawnie zapieczętował metalowe skrzydła. Kolejne pięć minut obaj z Milczkiem zrzucali w dół gruz, maskując swoje wtargnięcie. A szczur cały czas siedział i patrzył na tę krzątanicę, póki nie odeszli. Dopiero wtedy, gdy ich kroki ucichły, szczur pokuśtykał w stronę ruin, ciągnąc za sobą swój łysy ogon.

Piwnica z poduszkowcem znajdowała się raptem dwie godziny szybkiego marszu od Szpitala i ich mały oddział dotarł tam o wpół do drugiej po południu.

Mieli szczęście. Przez całe lato i jesień nikt nie znalazł ich schowka. A jeśli nawet ktoś widział wrota w głębi wyrwy, to nie wysilił się, żeby je otworzyć.

Siergiejew pokazał bojownikom Krasawickiego, gdzie mocować ładunki, i kiedy ostatecznie wyrwane z zawiasów drzwi runęły na ziemię, obaj z Milczkiem zeszli na dół i znaleźli poduszkowiec na tym samym miejscu – zapakowany w folię i przewiązany na krzyż Skoczem, jak prezent pod choinkę.

Dni były już krótkie, więc musieli się pospieszyć. Siergiejewowi nie uśmiechało się nocowanie

w piwnicy albo, co gorsza, na ruinach porzuconego miasta. Kiedy wyciągnęli wózek z poduszkowcem na górę i zdarli folię z kadłuba, jeden z mężczyzn aż zaklął z zachwytem. Poduszkowiec był jak spod igły! Piwnicę oczywiście okresowo zalewało, ale na bardzo krótko. Woda nie dostała się pod folię, albo prawie nie. Nawet deska rozdzielcza była niemal niezakurzona.

Kiedy bojownicy nosili benzynę w kanistrach i tankowali pojemne baki poduszkowca do pełna, Siergiejew rozkonserwował silnik, przetaił i wyczyścił świece. Poinstruowany Milczek tymczasem zalał wodą suchy akumulator.

Silnik zakichał, złapał rytm i poduszkowiec uniósł się nad ziemią, łopocąc „spódnicą” nad pokruszonym betonem. Z tyłu z niskim buczeniem zaczęło mieć powietrze śmigło, schowane w tłustym od smaru drucianym futerale.

Siergiejew polecił załadować na miejsce dla pasażerów wszystko, co się mogło przydać: części zapasowe, smar, narzędzia i przede wszystkim paliwo. Serce biło mu szybko. Możliwe, że z sytuacji jeszcze wczoraj patowej znaleźli wyjście. Naturalnie, to nie było zwycięstwo, ani nawet sukces, ale mogli uniknąć kompletnej klęski.

Śmigło napędowe miało śnieżny pył, stery chodziły opornie, ze skrzypieniem – smar tężał na mrozie i wolno przesączał się w głąb przegubów. Wyładowany poduszkowiec ślizgał się po powierzchni przypominającej księżycowy krajobraz, zostawiając za sobą biały woal niczym dym z pogorzeliiska.

Jechali ku Szpitalowi.

Bezgwiezdna, wilgotna noc następowała im na pięty. Z ruin unosiły się z krakaniem przestraszone wrony. Wył potężny silnik, a z krawędzi fundamentu obserwował latającą łódź wielki rudy szczur.

Kiedy wszystko ucichło, szczur opadł na przednie łapy i zasyczał, szeroko otwierając pysk. W odpowiedzi na ten przenikliwy dźwięk zza kupy śmieci wyskoczył jeszcze jeden zwierzak, rudoszary i nieco mniejszy, potem jeszcze jeden, i jeszcze... Ruiny ożywały.

I ludzie wcale nie byli do tego potrzebni.





## Rozdział 8

**L**ondyn przywitał Siergiejewa deszczem.

Lunęło z błyskawicznie pociemniałego nieba, kiedy tylko ekspres ruszył z peronu Heathrow.

Samolot przyleciał za dnia, pasażerów było niezbyt wielu i wagony zostały na pół puste. Michaił zajął miejsce za stolikiem przy oknie i zamówił u stewarda kawę. Jednorazowy kubeczek wypełniał obrzydliwy brązowy płyn, lecz Siergiejew uparcie siorbał gorący napój, wpatrując się w migający za oknem przemysłowy pejzaż.

Bywał w Londynie jesienią 1996. Raptem kilka dni, przy czym dni bynajmniej nie próżniaczych. Nie miał wtedy, delikatnie mówiąc, głowy do zwiedzania.

Grupa Siergiejewa dostała wówczas zlecenie na odszukanie i likwidację Anwara Usmanowa. Zadanie trzeba było wykonać czysto i w napiętym terminie. „Czysto” oznaczało nieobecność bezpośrednich poszlak wskazujących na to, że zabójstwo Usmanowa zostało przeprowadzone przez rosyjskie specsłużby. Metody wykonania wyroku (co do tego, że to był właśnie wyrok, nie było wątpliwości) nie określono. Zleceniodawców interesował jedynie rezultat.

Czeczeńcy w Londynie w tym czasie nie byli już osobliwością. Okazywano im współczucie, nazywano bojownikami o wolność i udzielano zezwoleń na pobyt bez szczególnych trudności. Wielu nawet otrzymało status uchodźców politycznych. Anglicy, którzy przeżyli niejedną wojnę kolonialną, wiedzieli, co to jest tracić imperium. Właśnie oni, przelawszy tyle krwi dla potwierdzenia i ochrony swojej potęgi, o dziwo, potrafili współczuć buntownikom.

Ludzie, którzy wysłali Siergiejewa nad Tamizę, nie umieli współczuć wichrzycielom. Pewnie nie czytali w dzieciństwie „Robin Hooda”.

W kwietniu tego roku, kiedy Umka, czyli Siergiejew, Olenin zwany Bambi i Kulka – Gienka Kulkow – przyjechali do Londynu z różnych krajów i z różnymi paszportami, zginął Dżochar Dudajew. I ktoś z rosyjskiego Olimpu uznał, że Usmanowa absolutnie nie można wpuścić na zwolnione stanowisko prezydenckie w Czeczenii. Wielmożne „nie wpuszczać” traktowano jednoznacznie. Rozkaz został wydany. Jednak nie dostała go żadna z rosyjskich służb specjalnych.

Za to otrzymało go nieistniejące już od trzech lat Biuro.

Oficjalnie nieistniejące.

Po rozkazie likwidacji Biura w 1993 roku, podpisanym osobiście przez Jelcyna, pracowali teoretycznie na własne ryzyko, chociaż faktycznie pod tymi samymi opiekuńczymi skrzydłami państwa.

Jako osoby prywatne stali się jeszcze wygodniejsi w użytkowaniu, pewnie dlatego, że teraz płacono im niemałe pieniądze. A za dobrą kasę fachowiec, jak wiadomo, może wszystko. Nawet to, czego nie może!

Dla całego świata byli nikim.

Nazywali się Nikt.

W przypadku fiaska, a takie przypadki się zdarzały, nie mogli liczyć na jakąkolwiek pomoc. Dla

wszystkich, w tym zleceniodawców, byli międzynarodowymi awanturnikami, czymś na podobieństwo Legii Cudzoziemskiej. Widmami.

Materiałem jednorazowego użytku. Takich się nie broni, o istnieniu takich jak oni nawet się nie wspomina. No i oczywiście przyzwoici ludzie nie korzystają z usług takich łajdaków!

Ale to właśnie oni – Kulka, Bambi i Umka – przylecieli do stolicy Wielkiej Brytanii tego lata. Przylecieli dlatego, że ktoś powinien odpowiedzieć za wybuchy w Moskwie i Nalczyku. I Usmanow odpowiedział w całej pełni. Czy był winien, czy nie – kwestia drugorzędna. Został wskazany i to wystarczyło.

Tego wieczoru, a konkretnie nocy, żadnego z nich już w Londynie nie było. Siergiejew leciał do Buenos Aires, Olenin w tym samym czasie mknął do Paryża tunelem pod kanałem La Manche, a Kulka wsiadł do samolotu do Barcelony.

Anwar Usmanow tego wieczoru – co za nieszczęście! – zmarł na atak serca. Zupełnym przypadkiem. Bez żadnych widocznych przyczyn. Jeśli nie uważać za przyczynę kilku kropli bezbarwnego płynu, które Kulka naniósł na skórzany pokrowiec kierownicy Usmanowskiego jaguara.

To jednak nie zatrzymało ani wybuchów, ani wojny. Co zresztą, szczerze mówiąc, było niepotrzebne nawet samym zleceniodawcom.

Pociąg jechał ku centrum Londynu. Po szybach wagonu ściekały krople wody – deszcz się wzmagał.

Trzy lata, pomyślał Siergiejew z nieoczekiwanym smutkiem. Całe trzy lata minęły od tamtej delegacji. Myślałem, że to już skończone na zawsze. Dwa lata swobody. Całkiem inne życie, inne troski... A tu proszę, od nowa. Jak na złość, ten sam Londyn, ten sam deszcz. Pozostaje mieć nadzieję, że przynajmniej tym razem nikt nie umrze.

Jednak nie było szczególnych nadziei na taki finał. Wszystko raczej skończy się bardzo nieprzyjemnie. W każdym razie Siergiejew miał złe przeczucia. Zawsze ufał swojej intuicji, szczególnie ostatnimi czasy.

Przez nagle rozerwany dywan chmur przedarło się słońce. Pociąg przemknął obok ceglanej ściany, pokrytej szczelnie graffiti, i wypadł na estakadę. Na kilka sekund zawisł nad czerwonymi budynkami, zieloną i świeżą plamą niewielkiego skweru, samochodami pełznącymi po uliczkach i szkarłatnymi piętrowymi autobusami stojącymi koło przystanku.

O dziwo, Siergiejew dobrze znał Londyn. Wtedy, w 1996, mieli tygodniowy kurs, łącznie ze szczegółowym zapoznaniem się z mapą miasta, trasami transportu i schematem metra. Zapamiętywanie takich rzeczy na długo, jeśli nie na zawsze, było częścią jego profesji. Także teraz mógłby bez problemu przespacerować się po Berlinie, bez planu miasta dojechać do odległego regionu Buenos Aires, znaleźć potrzebny dom w Madrycie, Tel Awiwie lub Bejrucie...

I w Hawanie, w której znał prawie każde podwórko studnię, pełne słońca i zapachu gnijących śmieci.

Obok śmietników suszyło się na długich sznurach pranie, przemykały chude koty. W czasie sjeisty przez otwarte okna, poczerniałe ze starości, z obłupanymi ramami, donosiły się słodkie jęki. I wszędzie pachniało morzem, ciepłym Morzem Karaibskim szmaragdowej barwy. A kobieca skóra koloru kawy z mlekiem miała słonawy smak...

W jego pamięci spoczywał dobry tuzin miast, w których bywał. I tyle samo miast, w których nie był. Były dla niego martwe – mapy, schematy, główne ulice, ciekawostki... Jednak starczyło, żeby do któregoś trafił, a miasto ożywało, wypełniało się gwarem tłumu, akcentami, zapachami jedzenia, muzyką, echem kroków na pustych nocnych ulicach, ciepłym wiatrem z tuneli metra...

Londyn znał.

Pociąg się zatrzymał i Siergiejew, wzięwszy torbę podróżną, wyszedł na dworzec Victoria.

Spędził pięć minut w statecznej jak oficjalna Brytania kolejce do taksówki.

Szofer na szczęście trafił mu się spokojny, żujący gumę z flegmatycznością wiekowej krowy. Nie denerwowały go korki, polityka ani wynik ostatniego meczu. Po prostu wykonywał swoją pracę. Radio w taxi milczało.

Siergiejew siedział z tyłu, postawiwszy obok siebie torbę, i patrzył, jak szybko wysychają kałuże na trotuarach. Nad trawnikami unosiła się lekka mgiełka. Turyści idący po Circle pochowali parasole i płaszcze przeciwdeszczowe.

Londyńskie lato. Deszcz, słońce i znów deszcz.

Kiedy taksówka zmieniła pas, obok przejechał wycieczkowy autobus bez dachu. Dwie zachwycone młodziutki Japonki (sądząc ze skośnych oczu i kruczonych włosów) radośnie machały do przechodniów i mijających je aut.

Siergiejew uśmiechnął się mimowolnie i również pomachał, lecz nikt tego nie zauważył. Mężczyzna w średnim wieku, machający ręką nie wiadomo po co i do kogo. Jakoś stracił humor.

Taksówka skręciła w jedną z bocznych ulic i zatrzymała się przed drzwiami hotelu. Michaił wysiadł i zapłacił kierowcy, dodając trzy funty napiwku. Taksówkarz z godnością skinął głową. Do wymówienia krótkiego „thank's” już się nie zniżył.

Siergiejew wybrał miejsce na nocleg zgodnie z profesjonalnymi wymaganiami: nie rzucać się w oczy. Przy jego obecnym *emploi* Waldorf Astoria wyglądałby wyzywająco. A ten hotel nadawał się idealnie. Przyzwoity, w trzeciej strefie, mocne trzy gwiazdki, obok park, do najbliższej stacji metra pięć minut spacerkiem, do drugiej dziesięć, a obie na liniach wiodących prosto do centrum.

Rosjanie byli w tym hotelu rzadkimi gośćmi, co czyniło to miejsce jeszcze bardziej atrakcyjnym. Chociaż prawdopodobieństwo spotkania w tutejszym „cichym centrum” kogoś znajomego lub zostania rozpoznany było niezmiernie małe, Siergiejew wolał tego nie sprawdzać. I tak wiedział, że w życiu bywają różne przypadki.

Rzuciwszy bagaż w ciasnym pokoju, Michaił wziął prysznic, ale się nie ogolił, pozostawiając na policzkach króciutką szczecinę. Przebrał się w lekki lniany garnitur, zaczesał do tyłu wilgotne włosy i od razu zrobił się podobny do wychodźcy z Ameryki Łacińskiej albo rdzennego mieszkańca północnej prowincji Hiszpanii.

Gdyby jakiś znajomy z Kijowa zadał sobie trud zajrzenia do hotelowej skrytki, gdzie leżał paszport Siergiejewa, pozostawiony przy meldunku, zapewne bardzo by się zdziwił.

Paszport opiewał na niejakiego Angelo Garcia, obywatela Hiszpanii. A na fotografii widniał były zastępca ministra MSN, Michaił Władimirowicz Siergiejew we własnej osobie. Obywatel Garda mieszkał nie w Kijowie, ale w Madrycie i sadząc z ilości wiz, zdobiących stronicę dokumentu, wiele jeździł po świecie i prawie nie bywał w domu. Na zdjęciu don Garcia prezentował się szacownie i bardzo uczciwie.

Paszport był „prawilny”.

Michaił widział już w życiu wiele fałszywych paszportów. I takie, które drukowano w specjalnym wydziale wytwórni papierów wartościowych Goznak, i takie, które wykonywano niemalże na kolanach w ruderach Hanoi. Trafiały się również kompletnie beznadziejne fałszywki.

Ten paszport był prawdziwy. Blankiet do jego przygotowania został ukradziony albo kupiony (ale wcześniej tak czy siak ukradziony). Taki dokument, nienamalowany, niewiszący w rejestrach zaginionych druków, kosztował naprawdę duże pieniądze.

Wasiliewicz, kiedy przekazywał paszport Siergiejewowi, miał zdumiewająco zadowoloną minę.

– No, *señor* Angelo, gratuluję imienia – powiedział, rozciągając w uśmiechu swoją kaczę fizjonomię. – Sam Bóg je zesłał..

– Całkiem przyzwoite imię – odparł Siergiejew, przeglądając stronicę sztywnej czerwonej książeczki. – Od słowa „anioł”.

Dlaczego ci się nie podoba? A nazwisko wybitnie chłopskie, za to bardzo powszechne. Jak u nas Pietrenko albo Iwanow.

Dobre nazwisko.

– I jak dokumencik? – zapytał Wasiliewicz i mrugnął, siadając na wysokim stołku przy barze. A kiedy Michaił kiwnął głową z aprobatą, dodał: – No właśnie!

– Napijesz się czegoś?

– Mineralnej z lodem – rzekł Wasiliewicz. – Kto pije alkohol w taki upał? Mogę przy tobie zapalić?

Siergiejew bez słowa postawił przed Walerym Wasiliewiczem popielniczkę i szklanekę z wodą mineralną. Szklanka była zapotniała z zimna, a bąbelki gazu rwały się w górę między kostkami lodu.

Wasiliewicz przyglądał szeroką dłońią swego króciutkiego srebrzystosiwego „języka” i napił się z widoczną przyjemnością. Jego przegub, wyglądający z rękawa marynarki, porośnięty był tak samo

siwymi włoskami i wyglądał na nadspodziewanie mocny. Takie przeguby miewają doświadczeni bokserzy albo zapaśnicy.

Szef partyjnej służby bezpieczeństwa dłonie i stopy miał w ogóle nadwymiarowe, jakby pożyczone od dużo większego człowieka. Dłoń wielkości talerza do zupy pasowałaby bardziej do dwumetrowego giganta, a nie średniego wzrostu mężczyzny z chytrym wyrazem twarzy i wąskimi ramionami. A buty numer czterdzieści pięć wyglądały na jego nogach jak kajaki, chociaż były miękkimi zamszowymi mokasynami firmy Redwood. Z powodu takich osobliwości anatomicznych Walery Wasiliewicz wydawał się nieproporcjonalny i niezgrabny, lecz Siergiejew, znając jego przeszłość, ani przez sekundę nie wątpił, że w razie konieczności niezgrabność gdzieś zniknie, a nieproporcjonalność kończyn będzie dawała przewagę ich właścicielowi.

W dawnym życiu Walery Wasiliewicz był wojskowym. I nie zwykłym wojskowym, lecz dowódcą oddziału specjalnego.

I to nie zwyczajnym specnazowcem, ale...

Ogólnie, biografia pana Bużkina pomimo śmiesznego nazwiska była zupełnie nieśmieszna, w pełni zasługująca na pełną szacunku uwagę, tylko jakoś nie udawało się Michaiłowi zapoznać z jej szczegółami. Sam Wasiliewicz nie lubił opowiadać o sobie, wykpiwał się żartami albo mglistymi aluzjami. Ale rozpoznasz ptaka po locie...

– *Sehr gut!* - powiedział, zapalając papierosa. – Dzięki, Misza. Jak skończysz z paszportem, to sprawdź bilety. Są w kopercie. Powrotny jest *open*, bez konkretnej daty.

– A w drugiej kopercie? – spytał Siergiejew.

Druga koperta była niebieska i bez foliowego okienka.

– Trzy karty: Visa, Master i American Express. Podpisz z drugiej strony.

Patrzył, jak Siergiejew podpisuje się na kartach kredytowych, i dodał: – Wiesz, cieszę się...

– Ja też się cieszę – powiedział Siergiejew. – Tylko nie wiem z czego. Wiesz, jestem człowiekiem przyzwyczajonym do zagranicznych delegacji...

Bużkin mruknął ironicznie, patrząc na Michaiła przez woal dymu.

– Cieszę się, że pojawił się u mnie kolega, na którym mogę polegać. Czyli jak? Jest to powód do radości?

– Z pewnością. Nie obrażaj się, Wasiliewicz, ciebie osobiście to nie dotyczy. Po prostu tak mi się chce jechać, jak kłaść do trumny...

– Tfu, tfu, tfu! – Bużkin, jak każdy człowiek stykający się wiele razy ze śmiercią, nie cierpiął wspomnienia o kosztach.

Splunął trzy razy przez lewe ramię i postukał w drewniane siedzenie hokera. – Żeby ci język odpadł, Misza! Czemu ty gadasz takie rzeczy? Chcesz zapeszyć?

– Przestań, Wasiliewicz. – Siergiejew wzruszył ramionami. – Nie jadę na wojnę. Coś ty taki przesądny?

– Wiesz, ja się już w życiu napatrzyłem. – Wasiliewicz się nadał. – Różnych spryciarzy spotykałem. Ale lepiej nie żartować na takie tematy. Nie wywołuj wilka z lasu.

– A co, jak nie wywoływać, to nigdy nie przyjdzie? Co?

Michaił rozumiał, że Wasiliewicz ma rację. Nie należało krakać, szczególnie na wstępie zupełnie niepojętej podróży, która według Blinowa miała być z jakiegoś powodu „wycieczkowa”. Według samego Siergiejewa jej cel i wynik były mętne, a według mniemania Wasiliewicza zdecydowanie negatywne.

Walery Wasiliewicz nie był lękliwy. Był doświadczony, a doświadczenie i tchórzostwo to dwie całkowicie różne rzeczy.

I Wasiliewicz nie uważał wyjazdu Siergiejewa za przechadzkę, bynajmniej.

– Twoja sprawa... – mruknął Bużkin, strzepując popiół do popielniczki. – Jesteś już duży chłopiec...

– Dobra, kolego – powiedział Siergiejew ugodowym tonem. – Nie ma się o co kłócić. Masz rację. Przepraszam.

– Ja się nie kłóczę.

– Rzeczywiście nie jestem pewien, czy dobrze robię.

– Mówisz o Blinowie?

Siergiejew wzruszył ramionami.

– No, Władimir Anatoliewicz to człowiek skomplikowany – zauważył Wasiliewicz nie bez ironii. – Pozostali też nie białe owieczki. Czy ty może myślisz, że mój szef to anioł? Zasadnicza różnica między nami polega na tym, że on jest moim przełożonym, mam wobec niego obowiązki służbowe. Tak że ten twój Blinów to dla mnie nie kolega, tylko szef. Może i nie bezpośredni, ale szef. I za niego powinienem iść pod kule. Za to mi płacą. A ty poszedłeś pod kule nie za pieniądze.

Tylko dlaczego, nie mogę pojąć. Z powodu przyjaźni? Jak dawno temu wyście się przyjaźnili? Z powodu wspólnych interesów? Wybacz, Misza, ale nie widzę, żebyście mieli wspólne interesy. Blinów niczego nie robi tak po prostu. On nawet srać nie pójdzie bez kontekstu. Sra obowiązkowo z podtekstem politycznym. A jeszcze częściej z komercyjnym i politycznym.

– Oj, nie kochasz ty Blinowa – powiedział Siergiejew raczej twierdząco, niż pytająco. – Zupełnie.

– Wiesz, ja kocham kobiety – odparł Bużkin. – Jestem całkowicie tradycyjnej orientacji. Władimira Anatoliewicza kochać nie pozwala mi płęć. A szefostwu służę zgodnie z harmonogramem. Szkoda, że mam nienormowany czas pracy. Byłoby jeszcze przyjemniej: od dziewiątej do piątej, a potem *auf Wiedersehen, meine Hebe Freunde*! Dobra... – westchnął i ogień, który zapalił się w jego oczach, zgasł. – Wracamy do tematu, kolego. Dokumenty ci dałem, bilety też. Samochód podstawię pod dom. Pozostało tylko przekazać pozdrowienia.

– Blinów kazał mi przekazać pozdrowienia? – zdziwił się Michaił. – Obiecał mnie odprowadzić, tak nawiasem... Skłamał?

– Blinów? – Wasiliewicz wziął z baru szklanekę, która prawie całkiem zniknęła w jego dłoni. – Przywiozłem ci pozdrowienia od naszego wspólnego znajomego. Nazwisko Kasperski coś ci mówi?

Siergiejew podniósł oczy na Wasiliewicza i uśmiechnął się jednym kącikiem ust.

– Ach, to tak... Tak, Walery Wasiliewiczu, niewątpliwie. Nazwisko jest mi znajome. Rozmawialiśmy na dniach, dość długo. A co?

– Nic. Prosił, żeby ci przekazać, że jest bardzo wdzięczny za zrozumienie ważności sprawy. I że masz swobodę działania wedle własnego uznania.

Milczeli przez chwilę. Potem Siergiejew sięgnął do barku po butelkę koniaku. Nie pytając, nalał oleistego, bursztynowego płynu do dwóch szklaneczek. Postawił jedną przed rozmówcą i usiadł naprzeciwko, nie odrywając wzroku od Wasiliewicza.

– Od dawna? – zapytał Michaił.

– Ty o mnie pytasz? – upewnił się Wasiliewicz, zachowując całkiem spokojny i przyjazny wyraz twarzy.

– Tak.

– Od dawna.



Zastanowił się, znów pogładził swoją szeroką dłonią srebrzystego „języka” i dodał: – Od bardzo dawna. Od samego początku.

– Ciekawy obraz nam się tu maluje.

– Pewnie – zgodził się Wasiliewicz. – Nie zaprzeczę. Ciekawy.

– Pomysł też był twój?

– Nie. Nie mój.

– A ja sobie łamałem głowę, kto sobie o mnie przypomniał? Mieliśmy przecież umowę...

– Tak, wiem. – Wasiliewicz machnął ręką. – Ja też miałem umowę, Misza.

Prawie jednocześnie podnieśli szklaneczki z koniakiem i wypili.

– Chujową mamy robotę – powiedział Siergiejew. – Ale pełną niespodzianek. Nie można się nudzić.

– Owszem – zgodził się Bużkin. – Samiśmy wybrali. No dobra... Nie ma co płakać.

Oparł się piersią o blat i wyciągnął szyję, przez co jeszcze bardziej upodobnił się do Kaczora Donalda, i ciągnął: – Do Londynu, niestety, polecisz sam...

– No dobrze, dobrze – ciągnął Krasawicki z pewnym rozdrażnieniem. – Jasne, ty i Milczek to straszna siła bojowa, nie zaprzeczam! Ale sto pięćdziesiąt kilometrów do granicy... Patrole, pola minowe, zasieki... Dobrze się czujesz, Siergiejew?

Bardzo potrzebuję lekarstw. Bardzo! Ale nie aż tak, żeby posyłać cię na pewną śmierć!

– Są jeszcze magazyny – włączył się Grinberg. – Itutaj, i bardziej na południe. Poszukamy, przezimujemy, podleczy my twojego antysemitę... Na cholere niepotrzebnie się narażać, Michaił? Co to komu da, jeśli cię zastrzelą?

– Edik, Timur! A niby dlaczego miałoby mnie zastrzelić? – odrzekł Siergiejew ugodowo. – To akurat nie wchodzi w moje plany.

– Człowiek planuje, a Bóg decyduje, Misza – dodał Gołowko, nastroszony jak puchacz. Jego pochyłe plecy były zgarbione jeszcze bardziej niż zwykle.

– Chodziłem przez granicę po cztery razy do roku. A czasami więcej. O co my się tu kłócimy?

– I za każdym razem miałeś przy sobie rannego, którego należało za wszelką cenę dostarczyć na drugą stronę? Tak? – zapytał Timur zjadliwie. – Ty to jesteś istny Winnetou, Milczek też sroce spod ogona nie wypadł. Ale... Siergiejew! Ocknij się! Zima, śnieg, wszystkie ślady widoczne na kilometr, las goły... A ty tu na wronym koniu... Nie mogę cię nie puścić, ale proszę jak przyjaciela: zostań. Pomożesz nam tutaj...

– Poczekaj, Timur. – Głos Goworowej był zmęczony.

Bezsenność pozostawiła na jej twarzy nowe zmarszczki. Teraz określić jej wiek było łatwo. Siedziała na skraju krzesła, spuściwszy ręce między rozstawionymi kolanami, z nieodłącznym papierosem w dłoni. Pod opuchniętymi z niewyspania oczami malowały się sińce.

– Co wy się na niego tak rzuciliście? Jak dzieci, słowo daję! Dajcie człowiekowi coś powiedzieć.

Grinberg wydał niezadowolone parsknięcie. Jego wielkie oczy poczerwieniały z oburzenia.

– Oto, dlaczego wolałem patriarchat... – zaczął i urwał, zauważwszy wzrok Iriny Konstantinowny.

Spojrzenie nie było wrogie. Goworowa szczerze kochała Edwarda Arkadiewicza. Ona wszystkich kochała: kolegów i pacjentów. Po prostu Timura kochała jako kobieta, a pozostałych jak matka i siostra. Jednak Edik zamilkł momentalnie, tylko spotkawszy się z nią oczami.

Spojrzenie miała znużone. Tak patrzy zmęczona życiem gospodyni wielkiego domu na nieposłusznego syna, który nie słucha jej dobrych rad.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Goworowa Siergiejewa. – Jak rozumiem, podjąłeś już decyzję i nie zamierzasz jej zmieniać?

Michaił potwierdził.

Temperatura za murami szpitala wyraźnie spadała. Po szybach rozrastały się białe gałązki szronu. Ranek był zimny i wietrzny. Wicher dął od strony Dniepru, podrywając śnieg, huczał w ruinach i dobijał się do okien ciężkimi, mięsistymi łapami.

– Chłopcy, nie mamy innej szansy – powiedział Siergiejew. – Nie. Ja nie jestem samobójcą, żeby rzucać się na bagnety...

– Tak? – rzekł Grinberg. – Czyli to się teraz nazywa inaczej? Nie samobójstwem?

– Edik! – skarciła go Goworowa. – Dosłuchaj do końca, dobrze? Skup się, proszę! Jeszcze się nagadasz. Siergiejew westchnął.

Nic dziwnego, że jego przyjaciele się niepokoiłi. Plan przekroczenia granicy na znalezionym w ruinach poduszkowcu był bardzo ryzykowny. W zasadzie planem można go było nazwać tylko umownie. Jaki tam plan? Typowa filozofia Portosa: wdać się w bitkę, a dopiero potem kombinować, co i jak. Co więcej, Siergiejew na razie jeszcze nie zdecydował, w jakim miejscu najlepiej szturmować granicę.

Poduszkowiec mógł pokonać czterysta, czterysta pięćdziesiąt kilometrów, jeśli nie cisnąć za mocno gazem. Jako że po drodze stacje benzynowe nie występowały, można było wziąć ze sobą jeszcze ze sto, sto dwadzieścia litrów paliwa w kanistrach. Odległość do najbliższej granicy wynosiła około stu pięćdziesięciu kilometrów i nawet jeśli prędkość nie przekroczy dwudziestu kilometrów na godzinę, po kilku godzinach

będzie można znaleźć się w Republice Wschodniej.

A po upływie kolejnej doby – w Moskwie. Kostia Istomin nie odmówi pomocy, jakkolwiek by było, to jego operacja.

Chociaż nie wiadomo. Ali Baba wyraźnie miał na ten temat własne poglądy. Gdyby między nim a Kostią wszystko było zupełnie cacy, to Ali by tu nie laźł. Siedziałyby sobie gdzieś w Doniecku, popijając zieloną herbatę, i patrzyłby przez okno hotelu na Żelazną Różę – zafundowany przez sojusz oligarchów pomnik regionalnego symbolu. Nie ruszałby się z miejsca.

Ale nie! Polazł! Tak że na razie trzeba będzie odłożyć na bok pomysł, by poprosić o pomoc „rękę Moskwy”.

Można oczywiście na własne ryzyko puścić się prosto do granicy z Konfederacją, ale strach. Strach przede wszystkim dlatego, że w całej tej sprawie było zbyt wiele białych plam. Kto w Konfederacji i co wie o misji tego zwariowanego Araba na Ziemi Niczyjej? Konfederaci to zabawni ludzie, paranoja jest ich cechą narodową.

Siergiejew przypomniał sobie fizjonomię Romy Szałaja, stojącego obecnie na czele służby bezpieczeństwa hetmana Konfederacji Stečkiwa, i mimowolnie się uśmiechnął.

Przypominający przerośniętą wiewiórkę Roma Szałaj jeszcze jako kursant był fanatycznym zwolennikiem teorii spiskowych. Rzadka grzywka nieustannie spadała mu na niskie czoło, małe, sprytnie oczka błyskały w głębokich oczodołach kościstej twarzy. Spomiędzy bladych, wąskich warg sterczały wielkie przednie siekacze. Jednak przy całej tej komicznej powierzchowności nie można było Romki nie szanować.

Pod powłoką rudego gryzonia skrywał się potężny analityczny umysł, wyrachowany gniew i wybitne zdolności operacyjne. Paranoja tylko dodawała pieprzyku jego umiejętnościom – czyniła go niezmordowanym i pomysłowym.

Szałaj, zwłaszcza mocno podпиты, szukał wrogów zewnętrznych i wewnętrznych nawet pod łózkami w koszarach, a już stanąwszy na czele SB konfederatów (i osobistej ochrony tchórzliwego hetmana), znalazł się na właściwym miejscu.

Wrogowie drżeli i poddawali się całymi tabunami. Problem polegał na tym, że liczba wrogów na jednostkę czasu była skończona i kiedy tymczasowo ich nie było, Szałaj ich wymyślał i wyznaczał osobiście.

Siergiejewa szanował, przyjmował zyczliwie i można powiedzieć, że z nim sympatyzował, ale Michaił nie ręczył, czy Roman Iwanowicz nie dostanie ostrego ataku podejrzliwości po ich przyjeździe.

Jechać do Wampirów? Nikt lepiej od nich nie szmuglował przez granice, a Siergiejew miał okazję to sprawdzić. Też niezły pomysł. Ale latem. Zimą szybowce nie latały. A jak Michaiłowi było wiadomo, dwie z trzech awionetek (jeśli być uczciwym, to nie były samoloty, ale latające trumny, zmontowane ze śmieci znalezionych w Strefie) zostały zestrzelone przez helikoptery ONZ na początku jesieni.

Na północy gospodarowały rosyjskie patrole, ochraniające rurociągi z gazem i ropą naftową, panoszyły się bandy dążące do Kijowa, a na południe brnęły przez lasy i pola dzieci Kapiszcza.

A na samym południu ziała trującymi wyziewami Pustoszą – dawna żyzna delta Dniepru, stukały kopyta oddziałów samoobrony i tatarskich patroli po wyschniętej ziemi Krymu, u wybrzeża pluskały fale martwego morza.

Gdyby Siergiejew był sam, albo tylko z Milczkiem, problem wyboru przejścia nie byłby tak palący. W ogóle by nie istniał.

I plan byłby zupełnie inny.

– Jak rozumiem, Ali Baby dzisiaj lepiej nie ruszać?

– Kategorycznie! – rzucił Krasawicki. – I nie ręczę, że będzie można jutro. Ani pojutrze. On jest ranny, jak może pamiętasz. I to ciężko.

– Timur, nie zamierzam go nigdzie wlec teraz, zaraz! Chcę iść do Rabbiego, wziąć któregoś z jego żołnierzy do pomocy.

Szkoda zostawiać taką maszynę, żeby się zmarnowała, niech odprowadzi z powrotem.

– Jesteś beznadziejnym optymistą – stwierdził Grinberg i pokręcił głową. – Maszyny mu szkoda.

A siebie mu nie szkoda...

– Nie zamierzam przedzierać się szturmem – powiedział Siergiejew nieszczerólnie pewnie.

Do pomieszczenia zajrzała kobieta w starannie zawiązanej białej chustce, odszukała wzrokiem Goworową i powiedziała: – Irino Konstantinowno! Wasz ranny się ocknął. Otworzył oczy.

Milczek, cały ten czas drzemiący w kątku, błyskawicznie się ożywił. Michaił poczuł nawet lekką zazdrość.

Milczek nigdy nie traciłby czasu na wyjaśnienia i spory. To było zbędne, jak i każde osądzanie moralnej strony jakiegokolwiek działania. Słowo „moralność” w jego słowniku nie istniało. Dla tego, by przeżyć, już dawno najważniejsze stało się pojęcie „konieczność”. Jeśli trzeba – Milczek zabijał. Jeśli trzeba – ryzykował życie, by ratować. Trudno było nazwać jego zachowanie okrutnym, był raczej po prostu racjonalny. Okrutny i pragmatyczny. Jedynym, który nie zawsze wpisywał się w uporządkowany obraz czynności niezbędnych dla przeżycia, był Siergiejew. Jednak nie ma zasad bez wyjątków i Michaił nie pochlebiał sobie zbyt. *Ratio* [16] w ludzkiej postaci...

Tak i teraz: Milczek spał, póki nie nadeszła pora, by działać.

„Co mówić? O czym? Ali Baba obudził się i za pół godziny wszystko się zdecyduje – będzie jasne, co robić, gdzie jechać, gdzie iść. A do tej pory... Wasza sprawa, ale ja bym lepiej pospał”.

Ali Baba był jeszcze nie do końca przytomny. Utrata krwi, niezbyt wysokiej jakości, prawdopodobnie przeterminowana narkoza, szok bólowy. Tym bardziej że po zakończeniu operacji Krasawicki nie dał mu zastrzyku przeciwbólowego. Zaszli i się ciesz! Antybiotyki co prawda dostał – z konieczności. Rany były niebezpieczne. Siergiejew przypomniał sobie, jak sypały się brązowoszare łuseczki ze sterczącej z ramienia Ali Baby zaostrzonej elektrody, jak chlustała krew z przestrzelonej nogi, i podziękował Bogu za to, że ten geniusz terroru dowlóknął się do drzwi szpitala. Bez antybiotyków Arab już zaczęłyby umierać od zakażenia krwi i gorączki. A razem z nim umarłyby nadzieje na sfinalizowanie transakcji.

Atak...

Leżał na białych, choć mocno spranych prześcieradłach, z twarzą szarą niczym mąka pośledniej jakości i wielkimi oczami rannego jelenia. Czoło miał pokryte potem, drobne kropelki rozsypały się nad górną wargą i skryły w odrosłej szczecinie.

Na skroni widniało zajodnowane zadrapanie. Powieki podpuchły i przez to żalosne spojrzenie stało się jeszcze bardziej wyraziste.

– Witaj, Ali Babo – powiedział Siergiejew po rosyjsku i usiadł na stojącym w nogach łóżka krzesło.

– Fitaj – wychrypiał Ali Baba i oblizał suche, popękane wargi. – Chcę pić... Bardzo.

Siostra pojawiła się za plecami Michaiła, zachlupotała nalewana do kubka woda i po sekundzie Arab chciwie przyłgnął wargami do naczynia.

– Lepiej byś na mnie poczekał – ciągnął Siergiejew po angielsku. – Co ci szkodziło zatrzymać się na dobę w debarkaderze? Przecież wiedziałeś, że przyjdę. Wiedziałeś, że chcę zrobić ten biznes.

– Jaki dziś dzień tygodnia? – zapytał Ali Baba. – Długo tu leżę?

Dzień tygodnia trudno było przypomnieć sobie tak od razu – Siergiejew spojrzał na cyferblat naręcznego zegarka.

– Wtorek, dwudziesty listopada.

– Jestem tu od dwóch dni?

– Trochę krócej. Co się stało? Pamiętasz?

Skinął głową.

– Pamiętam. Dzieci. Dziewczynka i dwóch chłopców. Płakała w ruinach. Szlochała. I poszedłem.

O cholera! – pomyślał Michaił. Morderca, terrorysta, bandyta, którego poszukuje Interpol, biegnie, jak szczeniak, na dziecięcy płacz w rozwalinach, gdzie za każdym kamieniem czai się śmierć. Odruch – płacze dziecko, trzeba ratować. I ten sam człowiek wysadza pociągi razem z pasażerami i dworcami, posyła na dro promy, rozwała na kawałki samoloty.

A w momencie, kiedy być może pierwszy raz w życiu poddał się porywowi sumienia, płacząca dziewczynka z zimną krwią rozwała go razem z towarzyszami.

– Ci, co byli z tobą, żyją?



– Nie. Zabiła ich.

– Widziałeś to?

– Tak jak ciebie – odrzekł Arab z wysiłkiem. – Na razie nie mogę o tym mówić.

– Misza – odezwał się cicho Krasawicki od drzwi – nie męcz go. Na razie nie wolno.

– Kiedy powinieneś wyjść? I w jakim miejscu?

Ali Baba znów oblizwał wargi. Milczał.

– Posłuchaj. – Siergiejew mówił przyjaznym tonem, lecz ta życzliwość kosztowała go sporo wysiłku. – Nie staram się wyciągnąć od ciebie sekretów. Nie są mi potrzebne. I uwierz, że nie o ciebie się troszczę. Ciebie, szczerze powiedziawszy, mam gdzieś! Rozumiesz?

Arab skinął i skrzywił się z bólu.

– Potrzebuję, żeby nasza transakcja doszła do skutku, wszystko jedno jak. A skoro bez ciebie się nie da, to znaczy, że sfinalizujemy ją z tobą. Kiedy powinieneś być w punkcie rendez–vous?

– Dwudziestego trzeciego – odpowiedział Ali Baba. – Nie później niż o dwudziestej trzeciej i nie wcześniej niż o siódmej wieczorem.

– Gdzie?

Ali Baba zawahał się. Wyraźnie nie miał ochoty składać swojego losu w ręce Siergiejewa. Zresztą na jego miejscu Siergiejew też nie płonąłby entuzjazmem, by oddawać swoje życie w ręce Araba. To akurat było całkowicie rozsądną reakcją. Jednak po zastanowieniu stawało się jasne, że właściwie nie ma innego wyjścia. Jasne, można było milczeć, ale wtedy pobyt tutaj w charakterze pacjenta mógłby płynnie przejść w pobyt w charakterze jeńca. Różnica była istotna. Ali Baba musiałby być zupełnym głupcem, żeby jej nie widzieć, a głupcem na pewno nie był.

– Za Pietropawłową... – Potoczył wzrokiem po pokoju, szukając czegoś. – W plecaku mam GPS, a tam koordynaty.

– Jeden punkt?

– Gdybyś przyszedł na czas, byłyby dwa.

– To daleko od granicy?

– Praktycznie na niej.

– To Istomin przygotowywał okno?

Trzydzieści sekund Ali Baba patrzył na niego w milczeniu, stając się jeszcze bardziej wyczerpanym i mrocznym, choć wydawało się to prawie niemożliwe. Potem powoli, żeby nie urazić rany, przecząco pokręcił głową.

Aha, czyli trafiłem w dziesiątkę, pomyślał Siergiejew. Każdy ma swoją grę. Los gra z człowiekiem, a człowiek gra na trąbie... No i? Jak teraz rozgrywać swoją partię? On mi przecież nie wierzy za grosz!

– Masz pojęcie, co będzie, kiedy on zrozumie, że ty grasz nie w jego grę? Wyobrazasz sobie?

– Tak – odrzekł Ali Baba. Nawet próbował się uśmiechnąć, ale tylko męczyńsko wykrzywił twarz. – Jeśli zapytasz, czy dobrze się zastanowiłem, znów powiem „tak”.

Siergiejew westchnął.

– Masz podstawy, żeby mu nie wierzyć?

– Mam zwyczaj nie wierzyć nikomu. Dlatego jeszcze żyję.

– Jak zamierzasz zabrać ładunek?

– Przyniosłeś próbkę? – odparł pytaniem na pytanie.

– Tak – powiedział Siergiejew. – Próbkę mam ze sobą. Ale wywieźć ten pojemnik i wywieźć to, co widziałem w Kijowie, to zadania różnego stopnia złożoności. Nie dasz rady tego przenieść bez pomocy Istomina. Ani do Republiki Wschodniej, ani do Rosji...

Ali Baba, nie bacząc na męczący go nieustanny ból, znalazł siły, by jednak się uśmiechnąć. W dodatku z określoną dozą wyższości, niemalże litością wobec niemądrego rozmówcy. Gdyby Arab nie był ranny, oberwałyby w łeb, jak dwa i dwa cztery. Michaił mimowolnie zacisnął pięści.

– Nikomu bym nie polecał mieć Istomina za wroga – powiedział Siergiejew cicho, nie odrywając oczu od rozmówcy. – Przy okazji, to samo mówią o mnie.

– Naiwny z pana człowiek, Michaił. Albo chcesz się takim wydawać. Istomin zje i mnie, i pana, jeśli

tylko zechce.

– Mnie na razie nie zjadł.

– Mnie też. Ale myślę, że zamierzał.

– Dlatego poszedłeś w Strefę sam?

– Myślisz wolniej niż on. Jestem przekonany, że w punkcie rendez- vous, który przygotowywał Konstantin Olegowicz, roznieśliby mnie na strzępy.

– Nie sądzę – odparł Siergiejew. – To nie miałoby sensu. Prędzej aresztowaliby z szumem, krzykiem i telewizją. Jaki pożytek z rozpylenia ciebie na atomy? Od tego Kostii nowe gwiazdki na pagonach nie wyrosną. Ale nie jestem pewien, czy Istomin zamierzał coś takiego z tobą zrobić...

– Czyli marnie go znasz.

– W odróżnieniu od ciebie znam go od wielu lat.

– W takim razie wiesz... – zaczął Ali Baba.

– Że pracował dla ciebie? – wszedł mu w słowo Siergiejew, uśmiechając się leciutko. – Domyślałem się. Ale jeśli spytasz mnie, czy Istomin był twoim człowiekiem, to odpowiem: nie wiem. Myślę, że nie był.

– Też tak myślę – odrzekł Arab. – Właśnie dlatego postanowiłem wyjść sam.

– I zabrać ładunek też sam?

– Jestem trzeźwo myślącym człowiekiem! Ochch...! – zasyczał.

Twarz Ali Baby stała się ziemista, oddech przerywany. Gdyby Krasawicki nie wyszedł z pokoju, by nie przeszkadzać w rozmowie, Michaił zostałby stąd wyrzucony za znęcanie się nad rannym. Jednak Timura nie było, a sprawę należało wyjaśnić jak najszybciej.

– Daj pić – poprosił Ali Baba cicho, ochryple. – Nie mogę mówić, gardło wysycha.

Siergiejew wstał i nalał wody do starego porcelanowego kubeczka. Emalia gdzieniegdzie popękała w drobną pajęczynkę, uszko zostało starannie przyklejone. Na boku kubeczka wyblakły Kubuś Puchatek biegł gdzieś z kiedyś różowym, a teraz praktycznie bezbarwnym Prosiaczkiem. Nad nimi unosił się balonik. Bajkowy niedźwiadek wyglądał żałośnie. Prosiaczek zniknął i Puchatek resztę życia miał spędzić sam na sam z balonikiem – lekkim jak puste nadzieje.

Co się ze mną dzieje, pomyślał Siergiejew. Co to za dziki ciąg skojarzeń? To po prostu kubek. Mieliśmy z Wiką dokładnie taki sam. Kupiłem go kiedyś dla Marinki. Wtedy Masi, a nie Marinki. Maški. Wtedy jeszcze nie puszczali tej okropnej kreskówki o Masiani. Dopiero kiedy się pojawiła, Marinka poprosiła, żeby nie nazywać jej Masią. Nawet pamiętam, gdzie stał ten kubeczek. U Wiki w kuchni, w szafce nad zlewozmywakiem. Potem...

Potem widział go w rozwaliskach. Leżał zanurzony do połowy w błocie, nieprzyzwoicie błyszcząc czystym bokiem i jaskrawym rysunkiem. Po jego krawędzi pełzła wielka szmaragdowa mucha. Powietrze wibrowało od niskiego buczenia – nad ruinami roily się miliardy much. Składały jaja w gnijących w gorącym słońcu ciałach i rozmnażały się, rozmnażały, rozmnażały...

Siergiejew mimowolnie zamknął oczy, podając Ali Babie wodę. Wydawało mu się, że ogromny metaliczny owad nadal pełźnie po skraju naczynia, poruszając skrzydłami i chciwie pocierając łapkami.

I zapach...

Jaki potworny smród! Słodkawy, duszący, ciężki. Był wszechobecny. Na każdej ulicy. W każdym domu. Tak cuchnęła śmierć. Gniły nie tylko ludzkie ciała. Rozkładały się ciała zwierząt, rośliny, wodorosty, martwe ryby. Cały świat gnił pod palącym letnim słońcem. Świat umierał. Ci, którzy przeżyli, wlekli się Siergiejewowi naprzeciw. Ku granicom. Zanim się zamkną na zawsze, najeżywszy się drutem kolczastym i polami minowymi.

Szedł do epicentrum wydarzeń, gdzie światło słoneczne cuchnęło gnojem. Tam, gdzie były Wika i Marinka. I Placek, żeby go! I Wasiliewicz. I rodzice Milczka. I rodzina Motła– Matwieja. I pułkownik Bondariew, wtedy jeszcze nie Rabbi.

I Timur Krasawicki, płaczący nad ruinami swojego domu. I Maks Pirogow. I jeszcze milion martwych i tysiące żywych, przyszłych obywateli Ziemi Niczyjej: świętych, bandytów, niewinnych ofiar i zimmokrwistych morderców, stojących po obu stronach prawdy.

Powietrze czuć było śmiercią.

Palilo słońce.

Brzęczały muchy.

I wył na jednej nucie szalencie, ukrywający się w ruinach.

W błocie, błyszcząc czystym bokiem, leżał cały kubeczek.

Po kubeczku pełzła wielka zielona mucha.

Kubuś Puchatek i Prosiaczek razem biegli za błękitnym balonikiem.

Usta Siergiejewa wypełniły się gorzką śliną. Przez chwilę nie pojmował, gdzie się znajduje, i ze zdumieniem patrzył na leżącego przed nim człowieka. Potem wszystko wróciło na swoje miejsca.

Arab napił się chciwie, ale woda wyraźnie nie przyniosła mu ulgi. Tak zawsze bywa po silnej utracie krwi – organizm domaga się uzupełnienia płynów.

– Wiem, że teraz chce ci się spać – powiedział Siergiejew – ale musimy dokończyć rozmowę. Nie ufasz mi. Co więcej, domyślałem się, że przy takim układzie nie zamierzałeś mnie puścić żywego.

W oczach Ali Baby coś błysnęło. Być może szacunek. Może strach. A może i coś innego.

– Teraz sytuacja się zmieniła. Jesteś w moich rękach. I tylko ode mnie zależy, czy będziesz żył dalej, czy nie.

– Po co miałbyś mnie zabijać? – zachrypiął Arab, patrząc na Siergiejewa smolistymi oczami spod podpuchniętych powiek. – Jaki w tym sens?

Pod żółtą od jodyny ranką na skroni pulsowała żyłka. Ali Baba bał się, choć tego nie okazywał.

Siergiejew wyszczerzył zęby. Jego odruchy ożywały.

„To bardzo ważne – mówił Leonid Siergiejewicz, poprawiając okulary w rogowej oprawie – aby przed tym, zanim zaczniecie zadawać pytania, wyczuć nastrój przesłuchiwanego. Jego emocje. Przesłuchanie to sztuka. Cokolwiek by wam mówiono, umiejętność wydobycia informacji od człowieka, który nie chce ich wam dostarczyć, jest pokrewna grze na jakimś instrumencie. Przy czym zadanie jest tym trudniejsze, że macie zagrać na instrumencie wam nieznanym”.

Przeszedł po gabinecie, bezgłośnie stąpając po drewnianej podłodze, pomalowanej przepisową brunatną farbą olejną.

Odwrócił się do audytorium i powiedział z czułą, pełną żaru intonacją, od której mrówki zaczynały chodzić po grzbiecie: – Znajdźcie klawisze, struny, guziki czy co tam jeszcze bywa! Naciśnijcie z odpowiednią siłą, a instrument zabrzmi. Nie bójcie się go zepsuć, niech on się boi, że go zniszczycie!”

„Zamierzałeś mnie przecież zabić? – spytał Siergiejew, pochylając się nad leżącym. – A ja przecież umawiałem się z tobą całkiem inaczej...”

– Skąd ci przyszło do głowy, że chciałem złamać warunki umowy?

Ali Baba rzeczywiście bał się coraz bardziej z każdą minutą – zaczął wydzielać zapach strachu, którego nie mogły zamaskować nawet medykamenty.

– Nie myśl, że jestem głupszy od ciebie. Zamierzałeś owinąć Istomina wokół palca. Zamierzałeś olać umowy. Kiedy już powiedziałbym, gdzie leży proszek, stałbym się zbędny.

– Skąd bym wiedział, że nie kłamiesz? Umówiliśmy się, że sygnalizator włączy się już po tym, jak twój ładunek zostanie dostarczony do Strefy. Siergiejew, nie bądź paranoikiem! Nie zamierzałem cię zabijać. Nie zamierzałem ci nie płacić. Ale w tym masz rację: nie ufam Istominowi. Być może się mylę. Aleja mu nie wierzę. On coś wymyślił.

Ali Baba opadł na poduszkę, zupełnie wyczerpany.

– Nie wierzę mu! – powtórzył. – Jadł mi z ręki. Pomagał mi „pauzować” w Rosji, kiedy robiło się za gorąco. Wyposażał mnie w broń i ludzi...

Ciekawy detal, pomyślał Siergiejew z roztargnieniem. Zresztą czemu się tu dziwić? Czy nie jadłem kiedyś obiadu w Budapeszcie, w samym centrum, z pewnym czarującym hiszpańskojęzycznym obywatelem? Kto nas wtedy zapoznał?

Atak, Kołyczew, niech spoczywa w pokoju. Miłe spotkanie, porozmawialiśmy, wspominaliśmy Hawanę, Buenos Aires, Pragę...

– ...i nawet pomagał w planowaniu operacji! – kontynuował Arab.

...a potem się okazało, że to był Carlos Ramirez Sanchez, oficjalnie zabity półtora roku temu. Jak na

trupa, miał bardzo dobry apetyt.

– Jednak nie mogłem się pozbyć uczucia, że on mnie tuczy jak pastuch barana na szaszłyk.

– A ty ze mnie planowałeś zrobić kebab? – przerwał mu Michał z tą czułą intonacją, której nauczył się wiele lat temu. – Czy coś innego? Ali, mało nie zginąłem, kiedy dostarczałem ci tę cholerną próbkę, ryzykowałem życie swoje i cudze, żeby zdążyć przynieść ci pojemnik! A ty, okazuje się, zamierzałeś mnie oszukać? Niedobrze. Mam nadzieję, że wszystko to sobie starannie przemyślałeś...

– Uspokój się, Siergiejew! – Ali Baba chciał krzyknąć, ale nie miał siły, więc tylko zachrypiął i zakaszał. Kaszel wzbudził taki ból w ramieniu i przestrzelonej nodze, że zazgrzytał zębami. – Masz mnie w rękę! Próbka jest u ciebie! Czego ty chcesz? Pokroić mnie na kawałki? Sprzęt medyczny od tego się nie pojawi. Potrzebujesz mnie czy lekarstw? Daj mi dojsć do siebie, a potem wszystko omówimy!

– Ładunek jest gotowy do wysyłki?

– Częściowo. Miałeś coś sprecyzować...

– Myślę, że obejdzie się bez precyzowania. Jak wydasz rozkaz, żeby go wieźli?

– Po to muszę wyjść ze Strefy.

– Jeśli wyjdiesz, będziesz starał się mnie oszukać.

– Pomyśl, Michał, czy jest sens, żebym to robił?

– Na moje oko oszukiwanie Istomina też nie miało zbyt wiele sensu.

– Jesteś pewien? – zapytał Arab. I powtórzył z naciskiem, uparcie, błyskając ciemnymi oczami: – Jesteś pewien?

Siergiejew uśmiechnął się. Tylko beznadziejny optymista mógłby ten uśmiech nazwać przyjaznym.

– Powinieneś się bać Istomina tylko w jednym przypadku – powiedział, siadając swobodnie na krześle.

– Jeśli oszukałeś go co do tego, jak zamierzasz zużytkować beryl. On jest niegłupi. Pracował z takimi jak ty, kiedy ty jeszcze chodziłeś do szkoły. Powiedz mi uczciwie, gwiazdo terroru, co zamierzałeś robić z tym proszkiem? Nie, nie, pamiętam: powiedziałaś, że ani w moim kraju, ani w Rosji używać go nie będziesz. Więc wyjaśnij, na Boga albo, jeśli ci wygodniej, na Allacha, co wie Istomin? Albo raczej czego ja nie wiem?

– Porozmawiamy później – rzekł Ali Baba nieoczekiwanie twardo. – Trudno mi mówić.

I zamknął oczy na znak, że rozmowa skończona, albo też ze zmęczenia.

Jednak przerywanie rozmowy nie wchodziło w plany Siergiejewa. Nie miał na to ani czasu, ani możliwości.

– Dobrze, do Istomina jeszcze wrócimy. Teraz nurtuje mnie inne pytanie. Co będzie, jeśli nie pojawisz się w miejscu spotkania na czas?

Arab milczał. Żyłka nadal pulsowała pod zadraśniętą skórą. Między brwiami pogłębiła się zmarszczka. Oddech był nieco nieregularny.

– Dobrze – powiedział Siergiejew, wstając. – Możesz milczeć nadal.

Podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. W pobliżu nikogo nie było. Nawet Milczek gdzieś zniknął – zapewne razem z Krasawickim odszedł do westybulu na końcu korytarza. Rzeczywiście, obok stołu siostry dyżurnej, blisko piecyka, nad oparciem kanapy widniała chłopięca głowa.

No i dobrze, pomyślał Siergiejew. Obejdziemy się bez towarzystwa ochrony praw ciężko rannych.

Starannie zamykając drzwi, odwrócił się w stronę łóżka.

– Ali... – powiedział cicho.

Powieki Araba drgnęły, ale to była jedyna reakcja.

– Tak czy owak, potrzebuję odpowiedzi – rzekł Siergiejew, nie podnosząc głosu. – Dzisiaj. I ja je otrzymam. Wierzysz mi?

Ali Baba milczał.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał Michał i sam sobie odpowiedział: – Wiesz. Nie chcę krzywdzić bezradnego człowieka, ale będę zmuszony to zrobić.

Ali Baba powoli otworzył oczy. Były głębokie jak studnie i tak samo czarne. Siergiejew zrozumiał, że teraz w żadnym wypadku nie powinien się odwracać plecami do rozmówcy.

– Posłuchaj mnie, Ali Babo – powiedział, wciąż tak samo spokojnie. – Gotów jestem wypełnić naszą

umowę. Co do joty, tak jak to ustaliliśmy. Sygnalizator jest ustawiony na kontenerach. Zrób to, co obiecałeś, a ja pomogę ci zabrać ładunek.

Znaleźć, załadować i wywieźć. Uwierzyć, że to nielekką misją. Jeszcze nawet nie zacząłeś wypełniać swojego zadania, a już leżysz tutaj półżywy. A twoi chłopcy są martwi. Pamiętasz, co mówiłem ci w Moskwie? Tu nie ma bohaterów. Tu wygrywa ten, kto ma doświadczenie. Cały twój szwung dla tutejszych mieszkańców to jest nic. Załatwili cię nawet nie dorośli, tylko dzieci... Masz pojęcie, jacy są w takim razie dorośli?

Tu Siergiejew oczywiście grubo przesadzał. Nazwać dzieci Kapiszcza zwyczajnymi dziećmi! Lecz Ali Baba nie znał całej prawdy i to mogło pomóc.

– Nie chcę mieć cię na liście wrogów. Jest możliwość dostarczenia cię na miejsce spotkania, ale muszę wiedzieć dwie rzeczy. Czy zamierzasz wypełnić swoją część umowy? I do kiedy będą tam na ciebie czekać? Odpowiedź leży w twoim interesie – uściślił Michaił.

Ali Baba obliznął wyschnięte wargi. Siergiejewowi nawet się wydało, że usłyszał suchy, szeleszczący odgłos. Jakby żmija przepęzła po suchej trawie.

– Zamierzam dotrzymać umowy – rzekł Arab z wysiłkiem. – W punkcie spotkania będą na mnie czekać jeszcze pięć dni.

Odpowiedziałem na twoje pytania? A teraz daj mi wody, zawołaj pielęgniarkę i odejdz.

Nową porcję wody pochłoniął tak samo chciwie.

Siergiejew poszedł do drzwi, kiedy Ali Baba zawołał go swoim ochrypłym szeptem: – Szergejew!

Michaił obejrzał się.

– Będziesz mile zdziwiony, Szergejew!

Ali Baba oczekiwał zwrotnego pytania, lecz Michaił milczał, patrząc tylko na niego.

– Znasz człowieka, który będzie na mnie czekał.

Arab zaśmiał się złośliwie, choć śmiech ten bardziej przypominał bolesciwe pojękiwanie.

– Prosił, żeby przekazać pozdrowienie. Powiedzieć, że czeka na spotkanie z tobą. Nigdy nie uwierzył, że zginąłeś.

Wiedział, że tacy jak ty zawsze przeżywają. Nie żywi już do ciebie urazy, chociaż nosi na twarzy ślady po waszym ostatnim spotkaniu. Jesteś zdziwiony, Szergejew? Wiesz, o kim mówię? Ten człowiek jest dla mnie jak brat. Jak nauczyciel.

Powiedział, że ty zwałeś go Nuker...

I w tym momencie Siergiejew zrozumiał, dlaczego Istomin przygotowywał pułapkę na Ali Babę.



## Rozdział 9

**Z**a każdym razem, kiedy Siergiejew schodził do metra, odczuwał coś przypominającego atak klaustrofobii.

Człowiek bez żadnej fobii to zjawisko nieistniejące w przyrodzie i jej brak jest bardziej przejawem nienormalności niż zdrowia psychicznego. Od świadomości, że jeszcze setki tysięcy żywych istot schodzących do podziemnych tuneli odczuwają podobny dyskomfort, Michaiłowi wcale nie robiło się źlej.

Londyński *underground*, z jego specyficznymi windami na czterdzieści osób i korytarzami zdolnymi wzbudzić nostalgię w budowniczych egipskich grobowców, sprawiał, że Siergiejew zaczynał lekko się pocić i ogarniało go uczucie, że włosy na karku stają mu dęba. Dokładnie takie same reakcje wzbudzało w nim instynktowne przecucie niebezpieczeństwa.

Tłum londyńczyków – wielorasowy, wielokolorowy i wielogłosowy – niósł go po wąskim i długim jak kiszka korytarzu, obok plakatów reklamowych, tam, gdzie z łoskotem mknął pociąg. Sterylność ścian wyłożonych żółto–białymi ceramicznymi płytkami cieszyła oko, szczególnie w porównaniu z szopą nieświeżych warkoczyków zaplecionych na głowie idącego przed Michaiłem mężczyzny – typowego rastafarianina, tylko nie wiadomo czemu ubranego w drogi garnitur od Cavallego.

Siergiejew uśmiechnął się, patrząc na jego szerokie plecy. Właściciel niehigienicznych warkoczyków mógł w równej mierze okazać się urzędnikiem biura wyższej rangi, jak i właścicielem takiego biura (Londyn w tej materii był nieprzewidywalnie demokratyczny), handlarzem narkotyków z Edynburga lub Glasgow albo uzależnionym od prochów, przepuszczającym na nie i drogie ciuchy tatusiowe pieniądze.

Mógłby być kimkolwiek, pomyślał Siergiejew, z rozdrażnieniem rozglądając się dokoła. Co ja tu tworzę? Wymyślam jakieś teorie! Jak można tak nienawidzić metra? Zwykły facet, taki jak wszyscy!

W tym momencie mężczyzna, widocznie czując na sobie cudze spojrzenie, obejrzał się przez ramię, ukazując dalece nieszlachetny profil z wypukłymi, negroidalnymi ustami i spłaszczonym jak u boksera nosem. Podejrzenie, że właściciel drogiego garnituru jest prawdziwym rastamanem, nasiliło się.

Paranoja! – skarcił się Michaił.

Tłum wyniósł Siergiejewa na peron.

Nawet śmierdzący moczem, ciemny i poplątany niczym labirynt Minotaura nowojorski *subway* nie wzbudzał w nim tak silnych emocji jak londyńska „rura”.

Metro w Wielkim Jabłku to nadzwyczaj niebezpieczne miejsce, gdzie późnym wieczorem można zostać pobitym, ograbionym, trafić na strzelaninę lub bójkę na noże. W porównaniu z nim londyńskie wydawało się sterylne jak jednorazowa strzykawka w opakowaniu i niegroźne jak stary eunuch. Jednak jego ciasnota i zamknięcie, brak szerokich schodów i peronów przelotowych wzbudzały w Siergiejewie wewnętrzny niepokój i drżenie członków. A niebezpieczna jak nóż sprężynowy w ręku chuligana podziemna kolejka Nowego Jorku nie wzbudzała niczego poza nerwowym napięciem mięśni pleców podczas schodzenia po schodach zasikanych przez bezdomnych.

Z tunelu wionęło gorącym powietrzem, z łoskotem zajechał krótki skład i tłum wniósł Siergiejewa do wagonu, by po kwadransie wypluć go w Covent Garden – pomiętego, lecz niezłomnego duchem.

Covent Garden, jedna z turystycznych mekk Londynu, był ludny o każdej porze dnia i nocy. Kafejki, restauracje, cukiernie, sklepy, kina i, co najważniejsze, teatry przyciągały tu tysiące przybyszów ze wszystkich stron świata. Gdzie należy chować liść? W lesie! Dlatego Siergiejew, z maską leniwej ciekawości na twarzy, spacerował po uliczkach, udając przyjezdnego dona, niezauważalnego pomiędzy takimi samymi jak on turystami.

W chińskiej dzielnicy odkrył restauracyjkę z południowochińską kuchnią i zjadł smaczny obiad. Potem odwiedził kilka sklepików handlujących pamiątkami. Wstąpił do księgarni, gdzie kupił sobie najnowszą powieść Morella, i do maleńkiego antykwariatu, wciśniętego między dwie witryny butików z modną odzieżą.

Antykwariat Siergiejewa rozczarował. Towar bardziej pasował do sklepiku ze starzyzną niż sklepu, choć i małego, lecz położonego w jednym z najdroższych rejonów Londynu.

Lampy z podartymi abażurami, marmurowe i porcelanowe drobiazgi, metalowe figurki, wyglądające na beznadziejnie podrabiane „antyki”, jakieś tabakierki, popielniczki, wytarte lub wręcz połamane lorgnony, wyświechtane lalki...

I jeszcze tysiąc bezładnie rozłożonych rzeczy, łącznie ze starym słomianym kapelusikiem zdobitym marmurowe popiersie nieznanego Michaiłowi brodacza w epoletach.

Jednak w ciągu tych dziesięciu minut, kiedy Siergiejew oglądał asortyment sklepiku, młody, żulikowaty z wyglądu właściciel sprzedał srebrną papierośnicę i komplet porcelanowych buldożków za sumę, od której Michaił dostał szczękościsku.

Przeszedł przez skwerek, nie dbając nawet, by sprawdzić, czy nie ma „ogona”, i usiadł za metalowym stolikiem niewielkiej ulicznej kawiarenki. Z okazji braku deszczu zamówił dużą szklankę jasnego piwa. Na smaku angielskiego ale Siergiejew zupełnie się nie znał.

Po dziesięciu minutach do jego stolika przysiadł się jakiś człowiek, zamówił filiżankę espresso z wodą, wypił i poszedł sobie, pozostawiając na krześle niewielką plastikową kopertę z telefonem komórkowym. Odchodząc od stolika, Siergiejew zabrał pakiecik i komórka przewędrowała do zewnętrznej kieszeni płóciennej marynarki.

Po kolejnych dziesięciu minutach, kiedy Michaił oglądał afisze filmowe przed kinem na Leicester Square, komórka zadzwoniła.

Głos, który rozległ się w słuchawce, z początku wydał się Siergiejewowi obcy i dopiero pod koniec zdania, wypowiedzianego marnym hiszpańskim, usłyszał znajomą żalną intonację i rozpoznał – to był Bazylewicz.

Ostoja ukraińskiej swobody myśli na wygnaniu, zastraszona przez podłego Blinowa, nie wyróżniała się talentem językowym. W Hiszpanii za taką wymowę dostałby wciry, a w Argentynie mogliby go zlinczować. A tutaj, w Londynie – zwyczajnie nie zrozumieć.

– Pan Garda? – upewniła się komórka. – Nazywam się Anthony. Na pewno pan o mnie słyszał... Nasz wspólny przyjaciel Burrito powiedział, że mogę się z panem dziś spotkać.

Siergiejew mało nie roześmiał się w głos. Blinów miał poczucie humoru!

– Oczywiście, może pan – odezwał się po angielsku, dusząc śmiech. – Gdzie panu będzie wygodnie?

Bazylewicz odetchnął z ulgą i przeszedł na o wiele lepszą angielszczyznę, choć z silnym akcentem.

– W centrum, wieczorem. Gdzie ma pan zamiar jeść kolację?

– Szczerze mówiąc, dopiero co jadłem obiad.

– No, u nas się jada kolacje późno... – powiedział Bazylewicz tonem stołecznego snoba. – Zróbmy tak...

Jest tutaj sympatyczna restauracyjka na Drury Lane, nazywa się Sarastro. Popularna wśród miłośników opery, więc póki w operze trwa przedstawienie, jest tam prawie pusto. Możemy spokojnie porozmawiać. Zna pan Londyn?

– Tak – odrzekł krótko Siergiejew.

– Znajdzie pan to miejsce?

– Tak.

- W takim razie o dziewiątej. Jak...
- Znam pana – uprzedził pytanie Siergiejew.
- Doskonale – odrzekł Anton Tarasowicz vel Anthony. – Do zobaczenia, don Angelo.
- Do zobaczenia.

Do kina iść czy co? – pomyślał Siergiejew leniwie. Wrobili mnie w zabawy dyletantów. Przedszkole w krótkich majtkach... Nie należy czytać kiepskich powieści szpiegowskich! Tajemne spotkania w restauracjach, kobiety w sukniach bez pleców, blask brylantów, trucizna w kieliszku... Co za brednie.

A do taniego baru typu „fish and chips” to nie łaska? Tam oczywiście nie da rady spotkać się dyskretnie? Stanowisko nie pozwala. Och, panie Fleming! Pan przecież znał tę robotę nie tylko ze słyszenia, ale siedział w środku. Tylko że gdyby pisał pan tak, jak to naprawdę było, nie sprzedałby ani jednej książki!

A Bazylewicz tak kocha twojego Bonda! Wyzначzył spotkanie nigdzie indziej, ale w centrum Londynu! Nie w pubie dla klasy średniej, ale w modnej restauracji teatralnej, gdzie jego, estety i politemigranta, znają z twarzy i nazwiska wszyscy, od właściciela po kelnera.

Jedno tylko pocieszało: Siergiejew miał to wszystko w nosie. Jego zadanie polegało na tym, żeby być maksymalnie widocznym i tworzyć wokół Bazylewicza niezrozumiały ruch. Wyglądało na to, że Blinów & Ska, przy udziale angielskich partnerów, zamierzali urządzić w stolicy Brytanii prawdziwą aukcję. Albo prawdziwy „przekręt” – to już zależy, z jakiej strony patrzeć.

Niebo kolejny raz tego dnia nabrało deszczem, lecz było ciepło i kałuże parowały na chodnikach. Siergiejew postanowił przejść się nad Tamizę. Bez pośpiechu, pieszo, a jeśli deszcz postanowi jednak spaść, schowanie się przed nim nie będzie problemem. A można się i nie chować. Co jak co, ale parasole w Londynie sprzedają co krok.

Pospacerować ot tak, beczynn timer i leniwie, wydawało się niezwykle kuszącym pomysłem i wolno krocący przez miasto Michaił zaczął pojmować, czemu Blinów nazwał jego delegację wycieczką.

Z jakiegoś powodu przypomniał mu się profesor Pleischner<sup>[17]</sup> idący po neutralnym Bernie (zdjęcia kręcono, zdaje się, w Rydze) z zachwyconym wyrazem twarzy.

Asocjacja była na tyle silna i nieprzyjemna, że Siergiejew od razu spał się niczym drapieżnik, który usłyszał w zaroślach szczęk odwodzonego kurka. Niemal błyskawicznie, dosłownie jak symptom psychozy, zrodziło się w nim poczucie, że ktoś wbija mu wzrok w plecy. Po raz kolejny zarzucając sobie paranoję, Siergiejew „sprawdził się” w lustrzanej witrynie, obok której sprzedawano parasole wywieszane na stojaku. Minutę później zrobił to samo przy sklepie tytoniowym.

Szło za nim dwóch. Mniej więcej podobnego wzrostu i wieku, jednakowo nieogoleni. Jeden był nieco masywniejszy, z obwisłymi policzkami buldoga i niskim czołem, nad którym pełzły mu wyraźne zakola; długie włosy miał związane w ogon na karku. Drugi wyróżniał się chorobliwą chudością i dziwnym zaczerwienieniem dokoła czarnych, błyszczących oczu. Takie twarze Siergiejew widywał u bywalców portowych spelunek.

Sądząc po ubraniu chudego, podobnego do karykaturalnego Draculi, przyczyną rumienia była nie elitarna „różowa”

kokaina, ale tani „crack” albo coś jeszcze gorszego – cała jego postać emanowała długotrwałym zaniedbaniem, właściwym ubogim narkomanom ze stażem.

Profesjonalizmu mieli w sobie równo tyle, co atrakcyjności. Siergiejew szedł ulicą, łowiąc odbicia drepnącej za nim dwójki w szybach wystawowych, i rozmyślał, kto za nim wysłał tych partaczy.

Nie miał wątpliwości, że ta parka została wsadzona mu na ogon w celach pokazowych. Istniały minimum dwie wersje.

Pierwsza, najprostsza, że ktoś pomachał do Siergiejewa rączką: „Halo, kochanie, widzimy cię! Cześć! Widzisz nas? No to zachowuj się grzecznie!”. Wersja druga była bardziej skomplikowana i bardziej usprawiedliwiona z punktu widzenia prawdziwego zawodowca. Za widocznym ogonem kryły się ogony niewidoczne, mocni profesjonaliści, wyposażeni w najnowsze nowinki techniczne. Pod przykrywką tych dwóch bałwanów za Siergiejewem dążyły samochody wsparcia technicznego, a w jednym ze szwów jego garnituru kryła się szpilka– przekaźnik, której namiar łąpały. Ukryte kamery śledziły każdy jego krok,



a ośmiu ludzi, których nikt w żadnych okolicznościach nie wzięłyby za agentów, śledziło jego ruchy, przekazując sobie Michaiła jeden po drugim.

Dowcip polegał na tym, że „prowadzony” szybko i bez trudu gubi deptających mu po piętach dyletantów, a potem się rozluźnia. W porównaniu z topornym działaniem „przynęty” profesjonalne metody grupy obserwatorów zdają się zupełnie niezauważalne i po pozbyciu się rzekomego ogona obiekt „otwiera się” jak na dłoni.

Jeśli rzecz się miała właśnie tak, a należało to sprawdzić niezwłocznie, sytuacja mogła okazać się skrajnie ciężka.

Ktokolwiek rozpoczynał operacyjną grę przeciwko Siergiejewowi, rozpoczynał ją także przeciw Plackowi i Bazylewiczowi, a także, nie podejrzewając tego, dawał się wciągnąć w konflikt z Biurem. A stawiać się swojej byłej organizacji (nawiasem, dlaczego „byłej”?) Siergiejew nikomu by nie polecał.

Prawidłowo zorganizowana operacja skrytej obserwacji kilka godzin po zakonspirowanym przylocie do kraju oznaczała jedno: Blinów i jego kompania znajdowali się w centrum profesjonalnego zainteresowania rywalizujących grup.

I to niekoniecznie były analogi Biura – nie! Już prędzej rynek zbrojeniowy przejawiał zainteresowanie coraz bardziej bezczelną grupą z krajów postsowieckich. I co najważniejsze, źródło wycieku informacji w otoczeniu Placka było niejedno.

Nad operacją Władimira Anatoliewicza niby sępy zaczęli krążyć ci, którzy zamierzali na niej zarobić. Albo ci, którzy chcieli ją zerwać.

Siergiejew, odprowadzany przez dwie osoby narodowości przypuszczalnie arabskiej, wyszedł na Ring i podążył dalej w głębokim zamyśleniu. Nawiasem, z boku wydawało się, że nie stracił ani beztronski turysty, ani głupawo zachwyconego wyrazu twarzy, pasującego do prowincjusza, który trafił do metropolii.

Taką mimikrę Siergiejew stosował bezwiednie. Działyły odruchy, utrwalone na poziomie podkorowym przez lata nauki i pracy w zawodzie. Poczuł, że się „włączył”, i mimowolnie pomyślał z uznaniem o byłym szkolnym koledze, który właśnie jemu zaproponował udział w tej operacji, i byłych kolegach z pracy, którzy zmusili go do przystąpienia do gry. To bardzo ważne, by w porę wybrać odpowiedniego człowieka.

Po Ringu wesoło toczyły się piętrowe autobusy. Na górnych, odkrytych pokładach gnieździły się stadka turystów, najeżone kamerami i aparatami fotograficznymi. Siergiejew powstał przy krawężniku, patrząc na ruch uliczny (dwóch szpiclów zamarło dziesięć kroków od niego), potem bez pośpiechu, przy już migającym zielonym świetle, przeszedł przez ulicę i lekko wskoczył na podest przejeżdżającego obok rejsowego omnibusu.

Gruby i chudy rzucili się za nim, lecz zostali zablokowani potokiem pojazdów i z minutę miotali się na chodniku. Kiedy potok samochodów zrzędlł, było już za późno – autobus z Siergiejewem oddalił się na sporą odległość. Chudy odwrócił się do tłustego i zamachał rękami, szeroko otwierając usta. Gruby skulił się i rozłożył ręce. Zaczęli łapać taksówkę.



Siergiejew z uśmiechem patrzył na nich przez tylną szybę, chociaż nie było mu do śmiechu.

Zauważył, że kiedy zrobił „dziecięcy” manewr ze skokiem do przejeżdżającego autobusu, od krawężnika, zmusiwszy do gwałtownego skrętu czerwonego escorta, oderwało się ciemnozielone audi z przyciemnionymi szybami.

Gra się rozpoczęła. I nie był w niej naganiaczem, ale zwierzyną.

– Nigdzie nie pójdziesz! – ryknął Rabbi tak, że było go chyba słychać na parę kilometrów.

Matwiej uparcie potrząsnął głową i popatrzył na Siergiejewa, szukając wsparcia. Ten udał, że nie zauważył.

Siedzieli w namiocie sztabowym Rabbiego, za składanym stołem, na którym stał poczęstunek: kilka

konserw, cienkie placki, trochę przypominające macę, parę pęt domowej kiełbasy konserwowanej w smalcu, miska solonej kapusty i duża butelka wódki.

Rabbi krzyczał już od dziesięciu minut. Głos miał potężny i na Matwieja przykro już było patrzeć. Jednak Podolski nie zamierzał się poddawać.

– Siergiejew potrzebuje pomocy – powtórzył z uporem. – Przecież wiesz, Aleksandrze Iwanowiczu, że... No, już wkrótce nie będzie ze mnie szczególnego pożytku. Przecież wiesz?

– Sukinsyn z ciebie, Motel – wycedził Rabbi z pasją. – Pożytku z niego nie będzie, kurna... A co ma z tym wspólnego pożytek?! Czyli według twojej logiki powinienem rozstrzeliwać rannych i chorych?!

Zapałił nerwowo, zaciągając się mocno, i mrużąc oczy ze złością, wydmuchnął gęstą smugę dymu.

– Od razu, zachorował człowiek, a ja go bach! Albo ranili żołnierza, to po co go będę taszczyć do obozu, leczyć, nie daj Bóg! Kula w łeb, tak łatwiej!

I znów ryknął, czerwieniejąc w oczach.

– Odwaliło ci, Matwiej? Jesteś dla mnie jak syn, jak rodzony brat! Co ty gadasz? Mam cię puścić dlatego, że jesteś chory? Dlatego, że będziesz bezwartościowy? W dupie mam użyteczność, słyszysz?! Sram na nią! Nigdy nie porzucałem swoich i teraz też nie porzucę!

Siergiejew miał ochotę zapaść się pod ziemię. Nie uśmiechało mu się być powodem awantury. Nie spodziewał się, że Podolski złapie się możliwości pojechania z nim jak tonący brzytwy. A tu z kolei wkurzył się Bondariew, przy czym to jeszcze było łagodnie powiedziane.

Siergiejew nigdy nie widział, żeby Rabbi był w takiej furii poza polem walki.

W boju bywało różnie: poczuwszy zapach prochu i krwi, Rabbi przemieniał się w prawdziwego asasyna – szybkiego, bezlitosnego i okrutnego. Ale kiedy broń milczała, mógł nawet przejawiać coś w rodzaju sentymentalizmu.

Teraz Gadająca Głowa, wymachując protezą jak szablą, biegał po komendanckim namiocie, kulejąc w rytmie trzy czwarte, i darł się tak, że bryzgi śliny przyskały na wszystkie strony.

– Przecież nie o tym mówię, Aleksandrze Iwanowiczu – ciągnął uparcie Matwiej, nie zwracając uwagi na to, że Bondariew dyszy jak maratończyk na finiszu i wbija w niego nabiegłe krwią oczy. – Wiem, że nigdy byś mnie nie porzucił na polu walki. Wiem. Mówię o czym innym, wujku Sasza. Siergiejew potrzebuje dwóch ludzi. Kogo mu dasz? Wadima?

Lochę? Kucego? Kogo? Kogo oddasz, żeby nie było szkoda?

– Wszystkich szkoda – wycedził Rabbi przez zęby. – Tylko szkoda to po Czechach jeździ. On – Gadająca Głowa kiwnął w stronę Michaiła – nie prosi o ludzi dla rozrywki. Dla sprawy. Wadika? Dam Wadika! On potem to latające kurestwo przyprowadzi... I Kornieja dam! Snajper, saper i chuj wie co jeszcze! A ty czego się pchasz? No, strzelać jeszcze od biedy potrafisz. Ale u mnie czternastoletnie dzieciaki trafiają muchę w oko. A on – Rabbi wskazał na Milczka, siedzącego w kącie jak mysz pod miotłą – ile ma lat?

– Piętnaście – powiedział Siergiejew. – Chyba.

Rabbi machnął zdrową ręką.

– A niechby i szesnaście! On jest wart trzech takich jak ty, dlatego że tu wyrósł! Wyżył tutaj! A ty...

– Wujku Sasza – powiedział Podolski, nie podnosząc głosu – o niczym nie zapomniałeś? Ja też tu wyżyłem. Od samego początku. Razem z tobą. Dołączyłem do ciebie nie jako dziecko, prawda? Aleksandrze Iwanowiczu, ty w ogóle pamiętasz, ile ja mam lat?

Rabbi od razu przygaś, skurczył się, nawet jakoś zmałał i usiadł na składanym brezentowym krześle, niezgrabnie wyciągając niezginającą się drewnianą nogę.

Trzeba będzie zamówić dla niego protezę, pomyślał Siergiejew nagle. Zdjąć miarę i zamówić. Można przecież zrobić bez dopasowywania, tylko według wymiaru? Muszę o tym pamiętać...

– No tak... – rzekł Rabbi smutnym głosem i podniósł na Matwieja oczy, które zaczerwienienie upodabniało do oczu chorego psa. – Racja. To ja coś pomyliłem, Matwiejku.

Westchnął.

– Ale nie powinieneś iść z Miszą. Jesteś chory, osłabłeś.

Siergiejew przypomniał sobie, jak Podolski dyszał i pluł krwią w czasie ich krótkiego rajdu na obóz

myśliwych, i w myślach zgodził się z Rabbim. Z Motła był teraz żołnierz jak z baleriny samuraj, pomijając siłę charakteru.

Z charakterem u Podolskiego wszystko było w porządku.

Michaił mógł się uważać za specjalistę od takich przejawów ludzkiej natury. Miał Matwiej kręgosłup, oj, miał! I Rabbi, jeśli tylko raptem nie zgłupiał, powinien to zrozumieć. Podolski i tak pójdzie, ile by krzyżeć. On nie chce umierać w domu.

– Tak, masz rację – zgodził się nieoczekiwanie łatwo Matwiej, podszedł do stołu i zaczął rozlewać wódkę do kieliszków.

– Nie jestem teraz w najlepszej formie. I nie wiem, ile jeszcze wytrzymam. Ale myślę, że kilka tygodni mam na pewno.

Siergiejew pójdzie na północ, nie ma innej drogi. Wiem, że zima, wiem, że przez stopy na południu można przeskoczyć, ale dokąd? Do Republiki Wschodniej? Nie jestem strategiem, ale jeśli Siergiejew jest pewien, że jego przyjaciel z Moskwy to człowiek niegłupi, i on rzeczywiście jest mądry, to pilnuje wschodniej granicy jak pies łańcuchowy. Ile tam jest tej granicy?

– No nie gadaj – sprzeciwił się Michaił, rozumiejąc w duchu, że Matwiej mówi z sensem.

Na miejscu Istomina jeszcze by wyznaczył nagrodę za głowę Ali Baby. I to niemała. Kostia nie mógł się nie domyślić, że Arab wystawił go do wiatru, jak dziecko. Dostał wszystko, co chciał, a teraz ma zamiar odejść bez płacenia. Chociaż to nie była kwestia pieniędzy, o nie...

– Jasne, że granica tam nie taka jak na zachodzie, ale też i nie północna. Na północy nieporównywalnie bardziej umocniona. Patrole: Rosjanie, ONZ, a dalej Białorusini. Pełno różnego świnstwa w okręgu. A wschodnia... Co wschodnia?

Przez wschodnią to ja kilkadziesiąt razy piechotą chodziłem, a już z Wampirami... Z Wampirami to przez nią i ładunki przrzucaliśmy, i ludzi...

– Aha – mruknął Rabbi ponuro. – Przerzucałeś. Jasne. Póki wszyscy przymykali oko, to przerzucałeś. Ty co, nigdy „celników” nie kupowałeś? Myślisz, że twoje Wampiry to na stealsach latały? Akurat! Na kukuruźnikach, szybowcach, na deltoplanach! Ale przy takich układach, jak mówisz, tam teraz forsę nie wezmą! Nie taka sytuacja, żeby brać kasę...

– Zależy, ile dać – powiedział Siergiejew. – Pieniądze nie są problemem. Mam ich dosyć. Trzeba będzie dużo, to dam dużo.

– A jeśli jednak nie wezmą? – Rabbi w zamyśleniu podrapał policzek. – Albo wezmą forsę i podadzą cię twojemu koledze na tacy? Bo niby co? Sumienie im nie pozwoli? Będą mieli i rybkę, i akwarium. Ty, jak rozumiem, temu czekać nie jesteś potrzebny? Stary znajomy i takie tam? No to wydaj mu tego Jasira Arafata! Na chuj ci on? Potrzebny jak kurwie bliźnięta! Ty co, nie dogadasz się ze swoimi byłymi kolegami z roboty? Kasy masz dużo? Dużo. Tutaj jest niepotrzebna?

Niepotrzebna. To po prostu zapłać i przywiozą ci wszystko do domu! Twój przywioz! Czyja nie pamiętam wszystkich tych waszych biur? Było ich jak psów...

– Nie przywiozą – odparł Siergiejew. – Mylisz się. Byłoby fajnie, ale nie przywiozą. To stróża w bramie można kupić.

A tutaj... tutaj, Rabbi, nie chodzi o pieniądze. Polityka. Osobista gwardia imperatora. Kiedy ich wszędzie wykopali, kto ich przygarnął? O to to! Oni przecież oficjalnie nie istnieją. Nie ma ich. I wystarczy państwu pstryknąć palcami... Tak że zapomnij o tym, żeby ich kupić. Tu będzie tak, jak powie Krutow. A co powie Jego Imperatorska Wysokość, jak mu życzliwi zameldują o takich cudach, to sam wiesz. Ja się jeszcze wtedy zdziwiłem, że mi Kostia Istomin tak po prostu oddał Ali Babę, ale pomyślałem, że to jego biznes. Powinienem się bardziej zastanowić! A ja, jak głupi, nalepiłem na wszystko etykietkę korupcji i szlus. A to wszystko jest bardziej skomplikowane... Tak że uwierz, tego pokojową drogą, za pieniądze, nie da się rozwiązać. Nie da rady, Rabbi, po prostu nie da rady.

– A ty czego chłopakowi nie nalałeś? – burknął Rabbi na Matwieja. – Co on, nie mężczyzna? Szesnaście już ma. Jak może umierać, to wypić też może. Należ człowiekowi.

Ani Matwiej, ani Milczek nie mieli nic przeciwko.

Emocje tymczasowo ucichły. Cisza za stołem trwała pięć minut, przerywana tylko brzękaniem,

postukiwaniem i zgrzytem blachy.

Bondariew jadł ze skupioną miną, zabawnie ruszając brwiami w górę i w dół – myślał. I sądząc ze wszystkiego, myśli miał niewesołe. Pod koniec uczy butelka opustoszała, podobnie jak puszki i talerze. Milczek postawił na piecyku osmolony czajnik i podszedł do okna zapalić.

– Znaczy się tak – powiedział Rabbi i odchrząknął. – Bić się z tobą nie będę, Moteł. Chociaż mam ochotę. Jestem ciekaw – nie wytrzymał – gdyby tobie rozkazał prawdziwy rabbi, którego powinni niebawem przysłać, co byś wtedy zrobił? Też byś mu oczy mydlił? Czy zasalutował?

Podolski milczał, schyliwszy głowę pokrytą puchem, rzadkim jak u pisklęcia. Po różowej, łuszczącej się skórze czaszki rozpełzały się pigmentowe plamy. Bondariew, który był starszy o parę dekad, miał ich o wiele mniej.

Matwiej umierał. Choroba wyżerała go od środka, wysysała soki, niszczyła ciało, ale na razie niczego nie mogła zrobić ani z umysłem, ani z siłą woli. Co do tego, że prędzej czy później dobieże się i do nich, Siergiejew nie miał wątpliwości.

I wtedy Podolski zacznie umierać naprawdę.

To tylko kwestia czasu i zachowanie Matwieja, rwącego się na akcję, było zrozumiałe. Nie chciał, żeby ci, których kochał i szanował, widzieli, jak on przemienia się w warzywo. Ale to nie wszystko. Siergiejew nigdy by o tym nie pomyślał, a Bondariew – owszem. Tak wyczuwać się nawzajem mogliby syn z ojcem albo rodzeni bracia, a kto powiedział, że Rabbi i Podolski nie byli równie bliscy? Być może nawet bliżsi, a przelana razem cudza krew i ocaleni ludzie wiązali bardziej niż wspólne drzewo genealogiczne.

– Ty jesteś dla mnie prawdziwym rabbim – powiedział Matwiej ochryple. – Przecież wiesz, „rabbi” to po żydowsku nauczyciel. Nie miałem innego. I to nie ma nic wspólnego z religią. Zrozum, wujku Sasza, robię to, co należy. To, co powinienem zrobić w takiej sytuacji, nie mogę inaczej. Nie mogę tu leżeć i robić pod siebie. Ślinić się i wyc z bólu. Nie mogę. Lepiej sobie w łeb strzelić. I poza tym...

– Chcesz się pożegnać – odgadł Rabbi, patrząc w oczy Matwiejowi. – Z nią. Cała reszta to plewy. Ale Siergiejew nie idzie na północ. On się wybiera na wschód.

Nad stołem zawisło milczenie. Siergiejew odkaslnął.

– No ale dlaczego... – mruknął i zaczął przypalać papierosa. – W ogóle to należy pojawiać się tam, gdzie się ciebie nie spodziewają. Racja?

Ostatnie pytanie prędzej zadał sam sobie. I nie znał na nie odpowiedzi.

– Nie proponowałbym Miszy tej trasy, gdybym nie uważał, że to jest najlepszy wariant. – Podolski był poważny i skupiony, a w tym skupieniu była widoczna desperacja.

Tak patrzy na zbliżający się cel kamikadze, już czujący smak śmierci na języku.

– To czterysta kilometrów z kawałkiem – zaproponował Rabbi. – Zauważ, zamiast półtorej setki. Prawie trzy razy dalej.

Benzyny starczy, dam jeszcze zapas, ale czy starczy szczęścia?

Siergiejew westchnął. Czterysta kilometrów po Ziemi Niczyjej zimą, na ryczącym silnikami poduszkuwcu, prosto w chronioną strefę rurociągów.

Potem w prawo, przez pola minowe. No i jak wyjaśnić tym, którzy będą czekać na Ali Babę, dlaczego nie pojawił się na miejscu spotkania? Trzeba będzie połączyć się przez telefon satelitarny, ale nie od Rabbiego, inaczej cała konspiracja pójdzie w diabły. Siergiejew wiedział, że rosyjskie i europejskie satelity skanowały terytorium Strefy.

To oczywiście nie oznaczało, że na każdy sygnał telefonu satelitarnego w dół leciała rakieta, ale sygnał zapisywano, rozszyfrowywano i śledzono ruchy oraz przepływ danych z danego aparatu do chwili, póki nie uznano, że właścicielowi telefonu pora już na spoczynek.

I wtedy mogła przylecieć rakieta. Albo nadciągał uzbrojony po zęby desant. Albo ryczały, obracając się na wieżyczkach, karabiny automatyczne, przerabiając abonenta na farsz. Albo rozkładając dymne ogony, zrywały się z wyrzutni pociski...

Tak czy owak, trzeba będzie pogadać z tymi, którzy czekają na Araba. I jeszcze dać mu słuchawkę. Problemy mnożyły się jak pchły na jeżu. I nie ma gwarancji, że wszystko się uda. Okej, Ali Baba trafi do Republiki Wschodniej poza siecią Istomina, ale to jeszcze nie znaczy, że następnego dnia pełen

wdzięczności rzuci się spełniać warunki umowy. I czy w ogóle będzie je wypełniał. I nie wiadomo, czy trafi do Republiki. Ani czy żywy.

Będzie zabawnie, jeśli Istomin wyśledził ludzi Ali Baby i przygotował jeszcze jedną pułapkę tam, pod Pietropawłową.

I w ogóle Siergiejew jeszcze się nawet nie zastanawiał, jak później to wszystko będzie wyjaśniał z Kostią i Biurem. Na legendę zwyczajnie nie było czasu. Albo brakowało fantazji. A kłamać Biuru należało bardzo przekonująco. Biuro wywęszy kłamstwo jak pies, a potem kłamca zaczyna wonieć zleżałym trupem. Niezbyt różowe perspektywy. Jednak w życiu zawsze wybiera się między większym i mniejszym złem. Trzeba będzie wyjaśniać i kłamać i to wszystko nie gwarantuje ani przeżycia, ani wygranej. Same niejasności. I nieprzyjemności tam, gdzie jest jasność.

Najłatwiej byłoby odmówić Matwiejowi. Zostawić Ali Babę, żeby dochodził do siebie u Krasawickiego, a potem, już wiosną, przeprowadzić go do granicy. Albo nawet nie odprowadzać, tylko dać kopa na progu, żeby poleciał samodzielnie w odpowiednim kierunku. Zwalić wszystko na okoliczności. Nie pchać się na rożen.

No, nie udało się! Nie złożyło– i tyle! Nie było do tej pory żadnego Ali Baby i nic– jakoś żyli! Tak, ciężko. Tak, z lekarstwami i zaopatrzeniem coraz gorzej z każdym rokiem. Tak, potrzebne jest wyposażenie. Ale dwanaście lat już przecież przeżyliśmy. I kiedy sobie przypomnieć, jak to było przez pierwsze trzy, cztery lata, to teraz jest jakby całkiem nieźle. Normalnie sanatorium.

Przezimujemy, wytrzymamy, poszukamy kolejnych składów, przesznujemy kilka małych partii antybiotyków.

Obiektywnie, na ile mogło starczyć tego, co powinien sprowadzić Arab? Na parę lat? Na trzy? A jeśli nam panowie z sąsiednich krajów dorzucą ludności? Jak tam u nich z dysydentami? Nie ma deficytu? A jeśli znowu wybuchnie jakaś zaraza, jak sześć lat temu, kiedy na zachodniej granicy z ludzi złażała skóra jak rękawiczka z dłoni? Niepojęta choroba, nieznana żadnemu lekarzowi. I w ogóle czy to była choroba? Czy jakaś chemia? Albo radiacja? Czy radiacja z chemią? Nikt tego solidnie nie badał... Ludzie wymarli i cześć pieśni. Niewielki teren, nikt się tam teraz nie pcha.

Siergiejew przypomniał sobie zwłoki mężczyzn, kobiet i dzieci, przypominające ilustracje z atlasu anatomii. Leżały chaotycznie rozrzucone po całej osadzie, jakby ktoś niewidzialny, potężny i okrutny doganiał ich i obdzierał ze skóry jednym ruchem. Michaił szedł po martwej wsi w kombinezonie ochronnym, patrząc na ciała przez zachodzące mgłą szkła maski przeciwgazowej. Ziemia była przesiąknięta krwią. Nie czuł zapachów. Tym razem śmierć pachniała starą gumą i talkiem. Pozbawieni skóry ludzie jeszcze przez jakiś czas żyli, krzycząc i wijąc się w agonii – na piasku zostały ślady, jakby przepęły tamtędy wielkie robaki ociekające ciemną breją.

Na końcu wsi, na samym skraju brzoźowego zagajnika, zobaczył obdartą krowę. Absolutnie całą, chociaż przeleżała tak minimum dobę. Nie było na niej owadów: ani żuków, ani much czy mrówek. Nie tknęły jej wrony. Ścierwniki nie zjadły ani kęsa, choć rozmnożyły się na Ziemi Niczyjej w ogromnej liczbie. Krowa leżała nietknięta, wyglądając kubek w kubek jak schemat pomocniczy do rozbierania tuszy. Wzgardziły nią wszystkie żywe stworzenia.

I wtedy Siergiejew zaczął się bać na serio.

Strach ten, jak każde żywiołowe uczucie, był irracjonalny. Siergiejew został wyszkolony w przeciwstawianiu się irracjonalnym emocjom, ale tu trening okazał się zupełnie bezużyteczny. Przerazenie Michaiła było całkowicie odmienne od tego, co czuł wcześniej. Głębokie, mocarne, jak pierwotny instynkt. Na jego drodze pojawił się problem, którego nie dawało się rozwiązać siłami Strefy! Problem, który może zmienić ich wszystkich, po obu stronach granicy, w podobne preparaty anatomiczne... Niewidzialna, podstępna i straszna śmierć!

Tak więc oczywiście źle byłoby pozostać bez obiecanych lekarstw, ale Siergiejew od ręki mógł wymienić z dziesięć problemów, które były straszniejsze i bardziej śmiertelne niż brak antybiotyków.

Rzucić, rzucić to wszystko! Wycofania się w porę nikt nie nazwie tchórzostwem, nawet on sam.

Tutaj, na tej ziemi, już od wielu lat nikt nie liczył strat. I jakkolwiek by Siergiejewa kusila rola zbawcy ludzkości, niemożliwe było przyjąć ją na siebie. A żeby pchać się na złamanie karku w nieznaną, narażając

na konflikt z byłymi współpracownikami, trzeba być zupełnym kretynem.

Dobrze byłoby wstać teraz i powiedzieć: „Starczy, panowie! Rabbi, wezmę od ciebie trzech silnych, wyszkolonych chłopaków do ochrony wykopków, bo tam łązi parę młodych talentów z automatami, i trochę dynamitu. Mam zaznaczone na mapie parę miejsc, gdzie były magazyny apteczne i jeszcze kilka sejfów. Potem przywieziemy twoich z powrotem, a wiosną niech Motet z Wadikiem odprowadzą mnie do Wampirów i zabiorą za dziesięć, piętnaście dni.

A z tym pomysłem kończymy. Bzdura i prowokacja!”.

Ale głośno powiedział: – Poczekaj, Aleksandrze Iwanowiczu! Fortuna to sprzedajna dziewczka imperializmu, ale jest jeszcze zdrowy rozum, jak mawiali ojcowie– dowódcy. W tym, co mówi Podolski, jest trochę sensu. Na północy faktycznie nikt nie czeka...

Bondariew fuknął, zerwał się z miejsca i prędko zachromął po namiocie w tę i nazad.

Matwiej siedział i patrzył na Siergiejewa swoimi wilgotnymi jak u cielaka oczami, a w nich – na Boga – malowała się wdzięczność.

– Chcesz dojść do waszego kijowskiego kibucu? – zapytał go Michaił.

Podolski kiwnął twierdząco.

– Jak?

– Myślę, że po rzece. Łód już stanął, to może być idealna opcja.

Siergiejew zamyślił się, wyobrażając sobie trasę.

– To już nie czterysta kilometrów, tylko więcej – powiedział. – Rabbi, jak rozumiem, znajdzie się u ciebie mapa i krzywomierz?

– Znajdzie – burknął Rabbi z rozdrażnieniem, otwierając kufer podróżny. – Pieprzeni stratedzy! Kutuzow z Bagrationem!

Tobie, Misza, tylko wybić oko i wykapany Kutuzow za młodu! Mapa.

Rzucił na stół mapę w średniej skali.

– Krzywomierz.

Wojskowy krzywomierz błysnął mosiężnym kółkiem.

– Oczywiście, na tej mapie przez ostatnie dwanaście lat nie pojawiło się nic nowego – rzekł Bondariew do Siergiejewa.

– Dziękuję, Aleksandrze Iwanowiczu. – Michaił odsunął na bok ostatki posiłku i pochylił się nad rozłożoną „dziesięciokilometrówką”. Milczek, bezgłośnie jak widmo, pojawił się za jego plecami. Podolski stanął naprzeciw.

Rabbi parę sekund patrzył na ten obrazek, po czym splunął i usadowił się obok.

– Siergiejew, słowo honoru, sądziłem, że ty masz łeb jak sztab generalny. A okazało się, że w nim jest operetka. Gdzie cię niesie? Czy ty sam rozumiesz, co robisz?

– Tutaj możemy ściąć róg – powiedział Siergiejew, zerkając na Bondariewa.– Tutaj brzeg jest płaski. Uda się, jak myślisz, Aleksandrze Iwanowiczu?

Rabbi karcąco pokręcił głową, ale dołączył do dyskusji.

Marszruta rysowała się niełatwa.

Dniepr po Potopie zrobił się płytki i praktycznie powrócił w stare koryto. Tamy zostały zniesione, krajobraz wyrównały Fala, czas i wiatr, lecz teraz rzeka obfitowała w naturalne przeszkody i to, co przyniósł na swym grzbiecie potok.

Brzegi stały się wyższe, roślinność podeszła blisko wody. To był młodniak, ale gęsty, wyrosły na mule zostawionym przez rzekę, na gnijącej materii organicznej.

Skąd się wzięła ta materia, Michaił wolał nie wspominać.

I brzegi, i obszary zalewowe obfitowały w „bąble”, wielometrowe wyrwy, „kurzawki” i trzęsawiska. Zimą trzęsawiska pokrywała skorupa lodu, ale „bąble” i ruchome piaski pozostawały śmiertelnie niebezpieczne. Śmierć czaiła się także na dnie rozpadlin, zasypanych lekkim jak puch śniegiem. Ogólnie czatowała na wędrowców wszędzie, ale rzeka stała się szczególnie groźna.

To, co działo się na jej brzegach, nie zawsze dawało się objaśnić z punktu widzenia racjonalnej logiki. Od strony logiki mistycznej też nie, szczerze mówiąc. No, przepadają ludzie. No, pluska coś dużego

w przybrzeżnych głębinach... Łatwiej i bezpieczniej było obchodzić te miejsca z daleka, niż wyjaśniać, co tam obecnie mieszka.

Teraz nie planowano obchodzenia z daleka, tylko rajd na przełaj. Podróż korytem, ściętym lodem w bezwietrzną pogodę, była korzystniejsza. Skrócić sobie drogę, jeśli wierzyć starej mapie, można było minimum parę razy.

Patrole... Te były jednakowo śmiertelne, czy na równinie, czy w korycie rzeki. Ani wyłuskały na zimę las, ani młodniak nie mogły służyć za schronienie. Rabbi, który polecił rozłożyć obóz w parowie, nakrytym z góry siecią maskującą, od razu wskazał palcem kilka znanych mu miejsc.

– Tutaj można przesiedzieć. Wąwozy podchodzą wprost do wody. Zarosły krzakami, a zbocza drzewami, i to sporymi.

Naciągniecie sieć i tyle. Z góry was nie zobaczą, chyba że palnicie racę w śmigłowiec. A ten wasz placek z motorem po krzakach przejdzie?

– Przejdzie – potwierdził Siergiejew, zapamiętując punkty orientacyjne przyszłej trasy. – On i po bagnach łązi, jak nartnik. Słuchaj, Rabbi, a tutaj – pokazał palcem – dajmy radę przejść, jak myślisz?

Bondariew pokręcił głową, łapiąc się w zamyśleniu za podbródek.

– Tam lepiej nie. Co prawda sam tam nie bywałem, ale dochodziły mnie słuchy, że w czasie Potopu zrobił się tam zbiornik błotny. Widzisz, tu i tu ciekło, dalej po tych dwóch wąwozach spływało w łożysko... Dalej zwężenie i niedokończona budowa... Budowali jakąś fabrykę czy kotłownię... Generalnie ujście zawałiło śmieciem, zrobiła się naturalna tama i całe to gówno się tam zbierało, póki nie przelało się górą. Jeśli ludzie nie łągali, to radiacja tam wysoka i „bąbel” na „bąblu”, wszystko rozmyte...

– Łożysko wygodne – rzekł Matwiej, kładąc bladą, chudą i bezwłosą dłoń na mapie. – Z piętnaście kilometrów zetniemy jak nic! I wyskoczmy na lewy brzeg. Stąd dziesięć kilometrów do kibucu, tylko przez las...

– Nie pchajcie się tam bez koniecznej potrzeby – powtórzył Rabbi szorstko. – Ci, którzy mi opowiadali o tamtym miejscu, przeszli. Na nogach przeszli. Ale nie wszyscy. Pięciu z piętnastu. Nie bardzo pocieszający procent, prawda?

Siergiejew patrzył na mapę, obliczając, jak najlepiej zorganizować przejazd i którędy. W tym miejscu, nieco poniżej byłego Zbiornika Kijowskiego, Ziemia Niczyja wbijała się w cudze tereny wąskim klinem. Praktycznie każdy metr za falochronem był ostro kontrolowany przez wojska rosyjskie. Nie dopuszczali tam nawet oenzetowców: pola minowe, pasy kontrolne, tysiące kilometrów drutu kolczastego, czujniki i kamery. A za tymi środkami – armia.

No, może armia to za mocno powiedziane. Wojska ochrony pogranicza, które pilnowały tej granicy równie starannie jak rosyjsko–chińskiej w niedalekiej przeszłości. Strażnice, systemy alarmowe, patrole bojowe. Służący tutaj chłopcy nie umierali z nudów, co to, to nie.

Dla nich za linią demarkacyjną czaiło się coś niepojętego i strasznego. Polewającego żołnierzyków kwaśnymi deszczami, sypiącego trującym lub radioaktywnym śniegiem, palącego słonecznymi promieniami. Do lasu na jagody nie pójdziesz.

Dziewczyn nie uświadczysz w promieniu co najmniej czterdziestu kilometrów. Natomiast były tu różne dziwne zwierzęta, które należało odstrzeliwać, za to jeść dziczyzny – absolutnie nie wolno! I ptaki dziwne, i ryby. Żołnierze żywili się suchym prowiantem, czasami umierali na nieznanne choroby, czasami od celnej kuli. Oglądali telewizję, onanizowali się i marzyli o kobietach, wódce i o tym, żeby już nigdy więcej nie zobaczyć tego krzywego lasu, tej trawy wyższej od człowieka, tych kwiatów mutantów, z purpurowo–liliowymi koronami wielkości dziecięcej głowy.

Zimą nie było kwiatów. Las stał czarny, jak spalony. Trawa na „neutralce” leżała przypudrowana drobnym śniegiem.

Pola minowe znikwały pod niskimi zaspami – tu nikt ich nie oznaczał tabliczkami, konwencja genewska przestawała obowiązywać przy pierwszym rządzie zasieków. Za to teraz zaminowane obszary można było z minimalnym ryzykiem przemierzać na nartach albo raketach śnieżnych – szreń utrzymywała ciężar narciarza.

Raz na godzinę, a czasami poza grafiką, nad granicą przelatywały dwa śmigłowce, najeżone

karabinami i raketami.

Sunące wysoko satelity wytrzeszczały szklane oczy obiektywów, szukając ruchu na przygranicznych terytoriach. Jednak nocą ślepy.

Od strony rosyjskiej chętnych dostać się do Strefy było tyle, co kot napłakał, więc ci, którzy bardzo tego potrzebowali, przechodzili na Ziemię Niczyją. Oczywiście minus ci, którzy wylecieli w powietrze na minie lub wpadli w ręce pograniczników, ale zadanie to nie było niewykonalne.

Z prawej strony rosyjska granica płynnie przechodziła w granicę Republiki Wschodniej, chociaż mówiąc szczerze, to po prawej zwyczajnie dalej ciągnęła się granica rosyjska, w dół, przez stepy Priazowja aż do samego morza.

Po lewej szła granica Konfederacji – tak samo umocniona, najeżona i dalece niedostępna.

Za nią bujnie rozkwitała „ukraińska mowa” i podlewany kwasem chlebowym nacjonalizm. W Republice Wschodniej przeciwnie, nie uznawano mowy nawet na poziomie życia codziennego i Konfederację także w oficjalnych programach telewizyjnych nazywano nie inaczej jak „gniazdem banderowców”.

„Dziennik Lwowski” od czasu do czasu publikował artykuły o tym, że w Doniecku Żydzi i Moskale składają ofiary z ukraińskich niemowląt, „Donieckie Wiadomości” zaś wypuszczały materiały o tym, jak Żydzi i konfederaci w Galicji dręczą i gwałcą rosyjskie dziewczęta. W rezultacie pozbawione możliwości osiągnięcia się nawzajem obie strony były wspólny mianownik materiałów gazetowych, czyli Żydów. Między Konfederacją i Republiką Wschodnią nie było nawet stosunków dyplomatycznych. Rosja i Republika nie uznawały konfederatów i nazywały ich separatystami, a Konfederacja odpowiadała Republice pięknym za nadobne, obwiniając ją o rozłam „jednej i niepodzielnej Ukrainy”.

Im dalej na południe, tym bardziej granice oddalały się od siebie, wyraźnie określając obszar kłęski żywiołowej, i jeśli na północy dzieliło je zaledwie sto pięćdziesiąt kilometrów, to na południu „śmiertelnych przyjaciół” rozdzielała już czterystu kilometrowa Strefa.

Siergiejew patrzył na mapę, starając się wyobrazić sobie ich przyszłą podróż. Wychodziło na to, że kiedy dotrą do kibucu, przekraczanie wschodniej granicy stanie się nierozsądne. Trzeba będzie desantować się na terytorium rosyjskim, gdzie nikt się ich nie spodziewa. Wampiry tam nie poleżą. Rurociągi są dobrze chronione, przestrzeń powietrzna pilnie śledzona – ropa i gaz są dla Rosji bardzo ważne. Opiera się na nich cała ekonomika. Cały imperialny dobrobyt. I póki rynek rośnie, zbliżenie się do strefy chronionej będzie coraz trudniejsze i trudniejsze.

– A co, jeśli spróbować przejść na styku? – powiedział nagle Rabbi. – Nie wdzierać się jak niedźwiedź do pasieki, tylko delikatnie. Patrz, jak wygodnie można to urządzić. O, tutaj masz koniec rosyjskiej granicy. Tutaj siedzą wschodniacy.

Wiem, co chcesz powiedzieć! – Uśmiechnął się. – Tak, pilnują tego wszystkie rosyjskie pododdziały. Ale... – Uniósł palec wskazujący i od razu stał się podobny do starego nauczyciela wyjaśniającego coś uczniom. – Tutaj im zawracają dupę po dziesięć razy na tydzień: komisje, kontrole sztabowe i temu podobna chujnia. Wszystko dlatego, że do rur jest rzut beretem. A tutaj?

Znów tknął palcem w mapę.

– A tutaj żołnierz śpi, służba idzie. Wschód, rutyna. Żadnych komisji, żadnego wysokiego dowództwa. I poczucie bezpieczeństwa, bo zaraz obok elitarne oddziały pilnują granicy i rury jak źrenicy oka. Rozumiesz, o czym mówię?

Siergiejew skinął głową.

– Chyba tak.

Rabbi mówił rozumnie. Węch starego wojaka nie zawodził, lecz w rzeczywistości nie było aż tak różowo.

Wampiry, które latały na wschód nieco bardziej na południe od wskazanego przez Bondariewa punktu, tylko w zeszłym roku straciły czterech pilotów i tyleż deltaplanów. Dwa razy o mało nie zestrzelono z działek przeciwlotniczych ich samolotu – pilot miał szczęście i dotarł do bazy na „durszlaku ze skrzydłami”.

Tak że czasami panowie pogranicznicy przejawiali należyłą czujność i godną pozazdrosczenia celność.



Zawsze istniało prawdopodobieństwo narwania się na prymusa szkoły bojowej i politycznej, z cytatnikiem Krutowa w kieszonce na piersi.

Poza walkoniami były w straży przygranicznej i takie egzemplarze.

Wampiry wołały korzystać ze swojego starego korytarza na Charków, ale biznes jest biznes i przerzucali ładunki oraz ludzi przez granicę w dowolnym miejscu. Ładunki, nawiasem mówiąc, też były dowolne. Narkotyki, broń, lekarstwa. Ich lider i mózg, Igorek Chłystow, nie zadawał zbędnych pytań. Dlatego też miał dom na drogiej i prestiżowej Rublowce, dom we Lwowie, daczę w Karpatach i willę w Petersburgu. I w każdym mieście oddzielną rodzinę. W ciągu ostatnich siedmiu lat Chłystow stał się niebiednym człowiekiem. A pieniądze, jeśli odnosić się do nich nie tak jak Siergiejew, lecz poważnie, dla jednych stają się ciężarem, a dla innych skrzydłami. Dla wodza Wampirów były ciężarem.

Pan Chłystow, kupiwszy sobie nawet bilet wstępu do moskiewskich wyższych sfer i marząc o tytule szlacheckim, otwierającym mu drogę na dwór cara imperatora, ponad rok temu przeszedł na emeryturę, a interes przekazał Samancie.

W rzeczywistości nazywała się ni to Anna, ni to Iwanna, ale wszyscy nazywali ją Samanta – tak jak się przedstawiała przy spotkaniu. Miała odrobinę powyżej trzydziestki i była atrakcyjną kobietą – dla mężczyzn lubiących silne damy.

Sprężysta, muskularna, ostra w ruchach, nawet naga wydawała się składać z mięśni i żył. Piersi i pośladki miała jak z kamienia. Minęło już sporo czasu od chwili, kiedy samotność i głód popchnęły Siergiejewa w jej objęcia, lecz nic przyjemnego z tego nie wyszło, chociaż Samanta miała temperament i nawet próbowała być czuła. Siergiejew, mimo że bardzo się starał, nie mógł pozbyć się uczucia, że uczestniczy w akcie mężołówstwa, a Samanta w porywie namiętności mało nie złamała mu paru żeber. Siniaki bolały potem przez tydzień. Po kilku takich próbach, bardziej przypominających zapasy lub bitwę powietrzną niż zwykły seks, leżeli obok siebie na śpiworach, palili, pili wino wprost z butelki i chichotali cicho, żeby nikomu nie przeszkadzać – rzecz się działa w wampirzym obozie pod Pereszczepynem. Samanta uniosła się na łokciu (biceps, triceps i delta uwidoczniły się tak, że Siergiejew zawstydził się własnej anatomii), pocałowała go w policzek i potargawszy mu włosy, powiedziała szeptem: – Wszystko było w porządku, Misza! Teraz na pewno zostaniemy przyjaciółmi.

Położyła mu na ramieniu swoją krótko ostrzyżoną głowę, pachnącą wiatrem i prochem, przyłgnęła całym ciałem, próbując zachować w śpiworze ciepło ulatujące przez rozpięty suwak w poranną mgłę.

– To nie twoja wina, że ja powinienam się pieprzyć z tygrysami. Niczyja wina. Powiedz, czy przynajmniej było ci choć trochę dobrze?

– Tak.

Siergiejew prawie nie skłamał. Rzeczywiście było mu dobrze. Teraz. Kiedy już wszystko się skończyło i leżeli bok w bok, grzejąc się wzajemnie.

– Wiedziałam, że tak będzie, Misza. Po prostu czasami...

– Wiem, co to jest samotność – rzekł Siergiejew.

– Dla wszystkich jestem szefową. Druga zaraz po Igorze. Pilot. Ale nie kobieta. Wiesz – powiedziała nagle, a w jej głosie zabrzmiał ból – Bóg chciał, żebym jako baba była jednorazowa. Jak kondom. Nie udawało mi się spać z żadnym mężczyzną więcej niż jedną noc. Za to latać chcą ze mną wszyscy. Raz, dwa razy, dziesięć, ile się da...

Roześmiała się cicho, niewesoło.

– Dała Bozia skrzydła, a razem z nimi jaja. A miłości nie dała.

Siergiejew milczał. Cóż mógł powiedzieć? Jednak poczucie, że do jego boku przytula się mężczyzna, zaczęło znikać.

– Bez urazy, Siergiejew – powiedziała Samanta. – Było fajnie. *Finito*. Ja z tobą zawsze polecę. O każdej porze i w każde miejsce. I dałabym rabat, tylko ty nigdy nie prosisz o zniżki. Jesteś dla nas zawsze pożądanym klientem...

Ciekawe, pomyślał Siergiejew, wspominając czarne, antracytowe oczy i szorstki „język” włosów na swoim ramieniu. Czy Sam zgodzi się lecieć teraz? Z takim ładunkiem i w takich okolicznościach? Ma przecież pełne prawo odmówić albo posłać któregoś z młodziaków. Jest teraz szefową. Szef – pilot! Stary

wampir! Ale tak, jak ona lata, nie latał mój wiecznie pijany przyjaciel, świętej pamięci szmugler Piórko. Igor Chłystow za swoich najlepszych czasów tak nie latał. Wielu pilotów oddałoby wszystko, byle umieć latać tak jak ona. A ona, co za pech, wszystko by oddała za to, żeby być nie jednorazową, ale upragnioną. Trzeba będzie poprosić Samantę, żeby poleciała. To ona jest „demonem nocy”. Ale do niej trzeba jeszcze dotrzeć. Do obozu na północy.

Siergiejew zmierzył na oko odległość od kibucu do „gniazda nietoperzy”, potem sprawdził krzywometrem. Betka.

Półtorej godziny na poduszku.

– Aha – odezwał się Matwiej i puścił oko. – Jeśli ja myślę to, co ty myślisz, to to jest dobry wariant.

– Jeśli oni się zgodzą – ostudził ich Rabbi. – Siergiejew nie będzie kłamał, jaka jest sytuacja, a Wampiry nie poleżą na rożen. Mniejsze zło: lepiej nie zarobić, niż stracić pilota i samolot. To są trzeźwo myślący ludzie, a Samanta to babka bez sentymentów. Taki przerzut dyżurni będą ustalać z nią. Nie da się po cichu przelecieć, a szkoda. Szybowce i deltaplany odpadają. Misza, ja cię jeszcze raz proszę, nie leż tam! Zostań. Załatwią cię w pizdu!

– Nie denerwuj się, Aleksandrze Iwanowiczu – powiedział Siergiejew pojednawczo. – Jeszcze im takie zęby nie wyrosły, żeby mnie załatwić. Ja nie na długo. Tam i z powrotem. Na jednej nodze. No wiesz...

Rabbi pokręcił głową i w tym momencie, niezależnie od zupełnie „niekoszernego” pochodzenia, zadziwiająco przypominał rabina kołyszącego się nad Torą. Oczy miał po żydowsku smutne i zażawione. Michał nagle uświadomił sobie szczególnie jasno, że Bondariew jest stary, bardzo stary. Jeszcze się trzyma i jest w świetnej formie, biorąc pod uwagę warunki życia, ale jego myśli o następcy są bardzo uzasadnione.

– Robisz głupotę – powiedział Bondariew, krzywiąc usta. – Ofiarność masz podwyższoną, a poziom rozumnego tchórzostwa poniżej normy! Chujowy znak! Widziałem to jeszcze w górach. Bohatery, a potem do domku w pudełkach.

No dobrze. Masz głowę na karku, jakoś do tej pory przeżywałeś. Da Bóg, to się wykaraskasz. Jest, Siergiejew, taki gatunek żołnierza: szczęściarz. Wiesz, jak odłamek, to w sprzączkę od pasa. A kula w krupnik. Ale fart to fart, kiedyś się kończy.

I zauważ, że zawsze w najgorszym momencie. Nalej, Mote! Wypijemy za fart Siergiejewa. Za to, żeby wrócił żywy ze swoim chłopakiem. I za to, żebyś ty dłużej pożył. I żeby Wadik z wami, półgłówkami, kuli nie dostał. I żebyście tego waszego Arafata pomyślnie wywieźli, „turbana” zasranego. Kurwa, Siergiejew, ja przez tych „wojowników islamu” żydem zostałem! Dobra! Pajechali! Za to, żeby wam wszystkim się poszczęściło. Wypijemy, chłopcy, za to wszystko razem! Bo jeśli pić oddzielnie, to pomrzemy na marskość wątroby, a tyle nie wypijemy...

Matwiej rozlał resztę wódki do kieliszków i zabrał pustą butelkę ze stołu według starej ruskiej tradycji. Siergiejew uśmiechnął się ukradkiem. Kieliszki, puszki i talerze nadal stały na rozłożonej mapie, po której, wyrysowana markerem, pełzła czerwona arteria ich ryzykownej trasy – korytem rzeki, po lasach, polach i pustkowiach.

Rabbi wstał i wziął kieliszek. Wszyscy poszli za jego przykładem i również podnieśli naczynia.

– Za powodzenie – powiedział Bondariew bez śladu patosu. – Wróćcie.

---

17 Profesor Pleischner – postać z kultowego radzieckiego serialu „Siedemnaście mgnień wiosny”. Prof. Pleischner popełnił samobójstwo, by nie wpaść w ręce nazistów.



**K**iedy stało się jasne, że Bazylewicz spóźnia się o czas, którego żaden dżentelmen nie nazwałby dżentelmeńskim, Siergiejew postanowił jednak złożyć zamówienie.

Ostatecznie już ponad pół godziny siedział w przytulnej restauracji, urządzonej przez stylistę zwariowanego na punkcie teatralnego antyku. Popijał aperitif i był już gotów do kolacji jak stara panna do zamęścia. Komórka, z której dzwonił do niego Bazylewicz, była poza zasięgiem. Klientela restauracji rozeszła się do opery i najbliższych teatrów muzycznych, nie było nic do roboty poza tym, żeby smacznie zjeść.

Siergiejew zamówił butelkę argentyńskiego czerwonego wina, talerz serów i baraninę z kuskusem.

To, że Bazylewicz się spóźniał, oczywiście budziło czujność, lecz Michał nie miał w planach nianżenia Antona Tarasowicza, jak by nie było, dużego już chłopca.

Zadanie, jakie wyznaczył mu Blinów, było proste: robić ruch, afiszować się wszędzie, udając ni to przeciwnika, ni to konkurenta, ogólnie – personę mętłą i niezrozumiałą, ale przy tym nikomu nie urywać głowy. Przeciwnie, przyczynić się do tego, by towar osiągnął możliwie najwyższą cenę.

Antywirus nie dawał mu konkretnych zadań i wskazówek. Przyjrzeć się, ustalić to i owo, nie przeszkadzać, działać wedle okoliczności i własnego uznania. Najważniejsze: pełna informacja– kto, gdzie, komu, za ile.

Wysłał go jak na wycieczkę, oglądać ciekawostki turystyczne. Ale to były pozory. Wskazówka, żeby nie przeszkadzać, była akurat zrozumiała. Ale już działanie wedle własnego uznania to materia delikatna. Siergiejew przyjął pożegnalne słowa Antywirusa wyłącznie jako polecenie przyjrzenia się i posłuchania. Sama transakcja w mniemaniu Biura nie przedstawiała niebezpieczeństwa dla interesów imperium. Niech sobie na razie idzie swoją drogą. A jeśli sytuacja się zmieni, to Siergiejewa o tym natychmiast powiadomią. Na szczęście w obecnych czasach dzięki sieci komórkowej i Internetowi nie trzeba ze sobą taskać radiostacji ani szukać skrzynek kontaktowych. I wtedy już nikt nie zezwoli działać „wedle uznania”. Tylko wedle rozkazu.

Świętej pamięci Ichneumon wyjaśniał, że w takich przypadkach nie ma się szczególnego wyboru. Szybkość wypełnienia rozkazu powinna przewyższać szybkość fal radiowych. A jeszcze lepiej domyślić się, jaki rozkaz wyjdzie z cierpiącego na paranoję mózgu kierownictwa. Żeby spróbować (tylko spróbować!) to przewidzieć, trzeba albo dysponować pełną informacją, albo w ogóle nie wiedzieć niczego o tym, co się dzieje.

– Absurd – powiedział wtedy Kędzierzawy. – Jak to możliwe, towarzyszu instruktorze? Jeśli dysponuję całą informacją, to mogę coś przewidzieć z określonym stopniem prawdopodobieństwa. A jeśli nie wiem niczego? Jak można coś przewidzieć, jeśli się niczego nie rozumie?

Ichneumon słuchał Kędzierzawego z zainteresowaniem, przysiadłszy na skraju stołu. On w ogóle lubił tak siedzieć, bokiem, opierając się na jednej nodze i kołysząc drugą. W takich chwilach zdumiewająco

przypominał drapieżnego ptaka: przygarbione ramiona niczym złożone ptasie skrzydła, nachylenie szyi... Zdawało się, że w audytorium, wbijając szpony w blat, siedzi stary, wyleniały gryf i zatapia w Kędzierzawym czarne, wyblakłe oczy. Siergiejew by się nie dziwił, gdyby Ichneumon nagle zaskrzeczał i zatrzepotał skrzydłami, roniąc pióra na podłogę.

Jednak starczyło, by Ichneumon wstał, a podobieństwo do ptaka zniknęło. Rzeczywiście zaczynał przypominać zwierzę, którego nazwę otrzymał na całe życie jako pseudonim. Michaił widział Ichneumona na treningach i w walce – ruchy miał gwałtowne i szybkie, praktycznie niewidoczne dla oka. I co szczególnie niezwykle, niemożliwe było uchwycenie przygotowania do ataku: u Ichneumona przejście od bezczynności do działania nie miało fazy pośredniej.

Szaman, niech mu ziemia lekką będzie, opowiadał, że Ichneumona i jeszcze kilku kursantów uczył Wietnamczyk, który nie wiadomo skąd pojawił się w Biurze w połowie lat sześćdziesiątych. Czy to prawda, nikt nie wiedział, ale było w gracji kuratora coś nieludzkiego, przeczącego prawom fizyki i anatomii.

Ichneumon patrzył na Kędzierzawego spod przymkniętych powiek, kołysząc nogą, i uważnie słuchał logicznego wywodu kursanta. W kącikach jego cienkich, bezbarwnych ust czał się uśmiešek.

– To wszystko? – spytał, nie zmieniając pozy.

Kędzierzawy potwierdził.

– Mądrość, kursanci, polega na tym, że czy wiesz coś, czy wiesz wszystko, czy nie wiesz zupełnie nic, to absolutnie nie wpływa na decyzje waszych zwierzchników. Decyzja zostanie podjęta według nieznaney wam formuły, według sekretnych dla was obserwacji i może się wydać zupełnie obłąkana. Ale po pierwsze i najważniejsze... Jakkolwiek idiotyczny wydawałby się rozkaz, trzeba go wypełnić. Pytanie do ciebie, Kędzierzawy, bo jesteś dociekliwy... Dlaczego?

– Dlatego, że z rozkazami się nie dyskutuje – odrzekł Kędzierzawy markotnie.

– Odpowiedź poprawna – potwierdził Ichneumon. – Wszystkie pozostałe przyczyny są wtórne, ale skoro już do tego doszło, rozważymy je. Tylko bez banałów, towarzysze kursanci. Nie jesteśmy w regularnej armii, twierdzenia typu „ja jestem szef, a ty debil” miewają miejsce, ale nie w naszej profesji. U nas, jeśli szef jest durkiem, to jego podwładni są trupami. Natychmiast. Nie ma innych opcji. On może być draniem, pozbawionym zasad, okrutnym, krwawym i strasznym, ale nie głupim. Dalej...

Wstał. Nawet nie wstał, ale przeciekł z jednego stanu w drugi – Siergiejew nie zauważył, jak to się odbyło. Oto Ichneumon siedzi, machając nogą w błyszczącym jak lustro bucie, a oto już stoi w przejściu między ławkami, założywszy ręce za plecy. I to wszystko w jednej chwili.

– Wszyscy jesteście mądrzy. Potraficie podejmować decyzje. Analitycy. Na dodatek nauczyliśmy was strzelać i się bić.

Przeżyć. Nauczyliśmy, czego mogliśmy. Myśleć nie można nauczyć, żeby myśleć, trzeba mieć do tego odpowiedni organ w ciele. Aleja jeszcze powinienem was nauczyć posłuszeństwa wobec rozkazów, których sensu nie rozumiecie.

Podporządkowywać się bez względu na to, czy będą się wam wydawać bezsensowne, głupie i nawet czasem szkodliwe.

Zatrzymał się przy oknie, za którym królowała wczesna krymska wiosna. „Inkubator” znajdował się wewnątrz jednostki wojskowej, otoczonej płotem z drutem kolczastym, z własnymi punktami kontrolnymi i wartą. Część zewnętrzna też nie była jaka – pograniczna, a więc „kagiebowska”. Ichneumon patrzył, jak po alejce, na której skraju stroszyły białoróżowe płatki kwitnące krzewy moreli, maszeruje oddział, waląc obcasami w rudy piaskowiec. Słyszał było miarowy tupot i głos sierżanta: „Lewa, lewa, raz– dwa– trzy! Lewa, lewa!”.

– W naszej profesji człowiek pracujący w terenie widzi tylko małą część dużego obrazu. Wyobraźcie sobie, że patrzycie na świat przez nieruchomy peryskop. Część poza granicami binokularu jest wam nieznaną. W tym, co się dzieje wewnątrz waszego „obrazka”, jesteście prawdziwymi specami. Już mówiłem, że jesteście tu najmądrzejsi i najsprytniejsi, lepszych od was nie ma. Wysyłacie do Centrali informację, swoją analizę wydarzeń, swoje obserwacje i stamtąd, z Centrali, przychodzi rozkaz. Straszny w formie i treści. Zupełnie niemożliwy do wykonania. Przeczący wszystkiemu, co wam wpajano wiele lat, od samego dzieciństwa. Ale...

Odwrócił się do milczącego audytorium i powoli, jakby próbując zająrzeć w oczy każdemu, przesunął po klasie wzrokiem.

– Rozkaz trzeba wypełnić, dlatego że ten, kto go wydał, widzi cały obraz. Jest nad mapą. I jego obrachunki są niewspółmiernie bardziej skomplikowane od waszych. To, co wam się wydaje absurdem, dla niego jest jednym z wydarzeń pozwalających rozwinąć się całemu logicznemu łańcuchowi. Przypuśćmy, że polecono wam wysiakać się przed pałacem angielskiej królowej, wykrzykując przy tym „Niech żyje Szkocja!” z irlandzkim akcentem...

Po audytorium przebiegł śmiech. Kulka zachichotał, Gąsior rozciągnął usta w uśmiechu. Siergiejew też nie mógł powstrzymać wesołości.

– Śmieszne, towarzysze kursanci? Tak? Bzdura! Absurd! A wypełnić trzeba! Mówię zupełnie poważnie: otrzymawszy taki rozkaz, powinniście niezwłocznie iść pod główną bramę Buckingham Pałace, wyciągnąć fiuta i odlać się prosto na buty gwardzisty. Dlaczego? Ano dlatego, że ten, kto wydaje wam rozkaz, wie, że ten postępek wywoła odpowiednie reakcje angielskich władz, na przykład aresztowanie. I traficie do celi, i bądźcie pewni, że do tego więzienia, gdzie siedzi potrzebny nam człowiek! Na przykład związany ze szkockimi separatystami, z którymi do tej pory nie mamy stabilnych kontaktów. I ktoś inny, pracujący w tym więzieniu, działając na prośbę przyjaciela, którego z kolei poprosił o to jego bliski kolega, wsadzi was do jednej celi z tym człowiekiem. I nie po prostu tak, od czapy, tylko dlatego, że wasz psychologiczny profil w pełni pasuje do tego, żeby nawiązać kontakt z waszym przyszłym współwięźniem. Łapiecie, o czym mówię?

– Będziemy mieć nowego znajomego – zaczął Siergiejew – związanego ze szkockimi separatystami. Człowieka, który będzie nam ufał, oczywiście w określonych granicach. I zdołamy nawiązać z nim kontakt w momencie odpowiednim dla naszego dowództwa.

– Jest możliwe i takie rozwinięcie scenariusza – zgodził się chętnie Ichneumon. – Owszem. Ale to jest najprostszy wariant. Logika liniowa. A jeśli powiem, że to wszystko wymyślono po to, żeby podpisać korzystny kontrakt na dostawy mięsa do ZSRR z Argentyny w przyszłym roku? Uwierzycie?

– No... – Gąsior popatrzył na Kulkę, a potem znów na Ichneumona. – Ale co ma tu do rzeczy Argentyna?

– A trzeba wierzyć, kursanci – powiedział Ichneumon i mocno zacisnął bezkrwiste wargi. – Dlatego że mówię wam absolutną prawdę. To była w pełni realna operacja, co prawda nie trzeba było sikać na buty gwardzistom. Obyło się bez obrazy majestatu. Ale... Nikt, słyszycie, nikt z was nie może widzieć całego obrazu. Wy jesteście w terenie, wy biegacie po mapie, po szachownicy, na którą z góry patrzy strateg. I powinniście chodzić tak, jak mu wygodnie, nie inaczej!

W przeciwnym wypadku, nie chcę was straszyć, zlikwidują was przy pierwszej okazji. Poświęcą jak pionka. Zrzucą z szachownicy. Wasza odmowa obsikania butów królewskich gwardzistów doprowadzi do zerwania długofalowych planów wielkiego mocarstwa. Przypomnijcie sobie, od czego zaczęliśmy dzisiejszą rozmowę. Posiadanie lub nieposiadanie pełnej informacji o konkretnej części operacji w danym momencie nie pomoże wam przewidzieć działań stratega kierującego wami. Wasza sprawa to wypełniać polecenia. To jasne? – zapytał Ichneumon, podnosząc głos.

– Tak jest, towarzyszu kuratorze! – wrzasnęła klasa w odpowiedzi.

– A teraz sekret – powiedział Ichneumon bez cienia uśmiechu na twarzy. – Decyzja stratega mimo wszystko zależy od tego, jaką informację i w jakiej ilości mu dostarczycie. Zależy od waszego rozumu, sprytu, bezczelności, umiejętności analizowania i tylko czasami od umiejętności strzelania. Głupio myśleć, że ci, którzy grają „na polu”, nie mają na nic wpływu. Mają, i to jeszcze jak. Ale nie na strategię, nie na globalny plan, tylko na jego składowe: na ogląd każdego odcinka problemu. Kiedy wypełniacie rozkaz, nie myślcie, to szkodliwe dla pracy i zdrowia. Ale zanim rozkaz zostanie wydany, powinniście być wzorami przenikliwości i systemowego myślenia.

Obnażył zęby w uśmiechu, powoli, jakby bez pośpiechu wyciągał szablę z pochwy.

– A ja jestem tu po to, by was nauczyć również tego.

Zgięty w ukłonie kelner nalał do kieliszka nieco czerwonego wina, które pozostawiło na lśniących ściankach różowe ślady.

Siergiejew wynurzył się ze wspomnień niczym nurek z morskich głębin, z wysiłkiem przebijając grubą warstwę minionych lat.

Wino było cierpkie i ciepłe – pachniało nietutejszym skwarem, czerwonawą, kruchą ziemią winnic i górskim powietrzem. Siergiejewowi przemknął przez myśl nawet kondor unoszący się na oślepiająco błękitnym niebie, ogromny jak szkolny szybowiec, szelest liści winorośli, którymi bawi się wiaterek nad ośnieżonych szczytów, i podolek chłopskiej koszuli, pełen ciężkich, pokrytych białawym pyłkiem winogron, przepojonych sokiem. I delikatny głos glinianej okaryny samoróbki...

Czasy, kraje, ludzie, straty... Wszystko, co zostawiało blizny na ciele. Wszystko, co zostawiało blizny na duszy.

Jak łatwo było zapewne wziąć go Antywirusowi– Kasperskiemu na haczyk. Wszak rezultat rozmowy został z góry przewidziany, a on jedynie okazał cierpliwość. Kto obliczył wszystko co do słowa, gestu? Biurowi psycholodzy?

Niewykluczone. Co jak co, ale oni mają materiału aż nadto. Ilu jeszcze takich zmęczonych, marzących o spokoju emerytów z Biura potem ma chandrę i widzi w snach płonące statki, fruujące między lianami różnokolorowe kolibry i miota się na przepoconych poduszkach, nie będąc w stanie zaczerpnąć przejrzystego jak kryształ, smakowitego powietrza Kordyliarów? Czekają na pieniający się w żyłach potok adrenaliny, ale jej wciąż nie ma i ciągną się dni, słodkie i lepkie niczym smoła. Zlewają się w nudne, podobne do siebie, otępiająco spokojne lata, w których nie dzieje się kompletnie nic poza udarem lub zawałem oraz bezpłodnym oczekiwaniem.

Michaił jeszcze raz umoczył wargi w winie, z aprobatą skinął kelnerowi, który momentalnie napełnił kieliszek w dwóch trzecich (na biały obrus padł rubinowy cień), poprosił o butelkę wody Evian i prawie się nie zdziwił, kiedy zza pleców kelnera wyskoczył jak diabeł z pudełka i usiadł naprzeciwko...

Nie, nie Bazylewicz, a całkiem nieoczekiwany gość!

W czarnym letnim garniturze z drogiej wełny, w lekkiej bawełnianej koszuli, ze śnieżnobiałym uśmiechem i ciężkim jak betonowa płyta, nieprzyjaznym spojrzeniem czarnych oczu, za stolikiem siadł nie kto inny jak Hasan vel Nuker.

Siergiejew usłyszał znajomy z rozmowy w Boryspolu świst przy oddechu, a potem Hasan zgasił uśmiech pod szczotką czarnych wąsów i powiedział, chrypiąc i świszcząc niczym stara płyta gramofonowa: „Salami”.

– Witaj – odrzekł Michaił po angielsku i zawołał do pleców odchodzącego już kelnera: – Proszę jeszcze raz menu i wodę!

Jak rozumiem, pan Bazylewicz nie przyjdzie – zwrócił się do Hasana, odchylając się w krześle.

Na nosie Araba znów tkwiły okulary, nie metalowe jak zesłłym razem, ale lżejsze, nowoczesne – plastikowe soczewki połączone kilkoma kawałkami złotego drutu – lecz on patrzył na Michaiła ponad nimi, lekko pochylając głowę, od czego wyraz jego twarzy wydawał się ironiczny, co nie zmniejszało wrogości spojrzenia.

– Nie przyjdzie – odpowiedział w końcu Arab. – Ale to nic takiego. Za to ja przyszedłem z tobą porozmawiać. Tak będzie lepiej.

– To zależy – odparł Siergiejew przyjaźnie. – Powinienem rozmawiać z Bazylewiczem. On się nie pojawił. Wyjaśnij mi, dlaczego powinienem rozmawiać z tobą, Hasan?

Oczy Araba na sekundę zapłonęły i znów zgasły, przykryte powiekami. Michaił zdał sobie sprawę, że tamten zdławił silną chęć, by uderzyć rozmówcę albo rzucić mu w twarz coś naprawdę obraźliwego.

Oho– ho, pomyślał Siergiejew nieoczekiwanie wesoło. Jeśli ty tak mnie nie lubisz, nie znając dobrze, to co z tobą będzie, kiedy poznamy się bliżej? I czy to nie twoim niezdarom uciekłem tego dnia, mój arabski przyjacielu, że się tak wkurzasz?

Czy może twoi siedzieli w audi?

– To, co sprzedaje twój pan, sprzedaje mnie – zaświstał Hasan. – Dlatego będziesz rozmawiać ze mną.

– To wszystko? – zapytał Michaił i umoczył usta w winie. – Muszę cię zmartwić, Hasan. Blinów nie jest moim panem.

Nie mam obowiązku z tobą mówić.

– Widziałem cię z Blinowem i Raszydem.  
– Raszyd też nie jest moim panem. Jesteśmy przyjaciółmi. Ja też cię widziałem z nimi, Hasan. I co to znaczy? Każdy, kto stoi obok ciebie, to twój pan?  
– Pracujesz dla nich.  
– Pracuję z nimi, a nie dla nich. Widzisz różnicę, Nuker?  
– Aż tak? – powiedział Arab, wykrzywiając usta. – Wiesz, jak mnie nazywają? To twoi partnerzy ci powiedzieli? Bo jesteś ich partnerem?  
– Tak, partnerem – potwierdził Siergiejew.  
Kelner postawił przed Hasanem spóźnioną z zimna butelkę z wodą i próbował przekazać menu oprawione w starą skórę.  
– Tylko woda – wycharczał Hasan zranionym gardłem tak, że kelner błyskawicznie się ulotnił.  
Ponownie wbił spojrzenie w nasadę nosa Siergiejewa.  
– Czyli partner? Myślę, że kłamiesz. Ale przyjmę to na wiarę. Partner... No cóż, to trochę zmienia postać rzeczy. Ale nie na tyle, żebyś odmówił rozmowy ze mną.  
Siergiejew westchnął z rozczarowaniem, wziął z talerzyka kawałek sera, przeżuł i popił łykiem wina. Dopiero wtedy odezwał się do wściekłego Hasana: – A gdzie się podział Bazylewicz?  
Gdyby wzrok mógł spopielać, w tej sekundzie pozostałe z Siergiejewa płatki popiołu powoli osiadłyby na podłodze.  
– Właściwie mam tylko dwa pytania, więc się nie denerwuj – ciągnął Michaił, wyszukując na talerzu kolejny kawałek sera. – Jak w starym dowcipie. Pytanie pierwsze: czego potrzebujesz od mojej skromnej osoby? I drugie: gdzie jest Bazylewicz? Odpowiesz, będziemy kontynuować rozmowę. Nie odpowiesz, to z rozmowy nici. Nie mam pełnomocnictw do dyskusji z tobą. I wybac, nie mam najmniejszej ochoty gadać z tobą po próżnicy. Nie rozdymaj tak nozdrzy, Hasan!  
I tak się ciebie nie boję!  
Hasan zaklął w farsi, długo i zawile. Gdyby Siergiejew nie był z natury człowiekiem powściągliwym, w restauracji mogłaby wybuchnąć zwykła bójka. To jednak było bardzo obraźliwe! Należy zapamiętać.  
– Nie zrozumiałem – powiedział Siergiejew, patrząc na rozmówcę. – Ale brzmi melodyjnie. Czyżbyś postanowił recytować mi wiersze?  
Nuker roześmiał się, odchylając swoje żylaste, krępkie jak pień bambusa ciało na oparcie krzesła. Lecz śmiech ten nie był wesoły. Wywoływał mimowolny chłód i skurcz w brzuchu.  
– To dobre wiersze – odrzekł, unosząc brew. – Szkoda, nie mam ochoty ich przekładać. Spodobałyby ci się!  
– Nie wątpię. Gdzie Bazylewicz?  
– W gościnie.  
– U ciebie?  
– U mnie.  
– Po co ci on, Hasan?  
– Mnie on na nic. Tylko nie spodobały mi się pewne rzeczy, które wydarzyły się w ciągu zeszłego tygodnia.  
– Na przykład?  
– Na przykład twój przyjazd.  
– Przyjechałem dopiero dzisiaj.  
Arab znów wyszczerzył w uśmiechu swoje białe zęby.  
Niewątpliwie mówił bardzo dobrze po angielsku. Znacznie lepiej, niż chciał to pokazać. Groźne jak berberyjski lew „dziecię pustyni” równie dobrze mogło ukończyć Oksford.  
– Twój przyjazd był godnym finałem. Wiesz, nie jest dla mnie tajemnicą, że twoi partnerzy mogą prowadzić interesy na różne sposoby.  
– Racja – rzekł Siergiejew, robiąc minę pod tytułem „ach tak, teraz sobie przypomniałem!”. – Zdaje się, że wtedy, kiedy się poznaliśmy, również prowadzili interesy dziwnie. Zamierzali sprzedać ładunek jednemu, a sprzedali drugiem... Tak? Tylko ta dziwność była ci na rękę. To miałeś na myśli?

Brew Hasana znowu poleciała do góry.

– Możliwe. Tylko tym razem wątpię, że to będzie mi na rękę.

– To już zależy, jak się sprawy potoczą – powiedział Siergiejew, patrząc na kelnera, który pojawił się w przejściu między stolikami z jego zamówieniem na „postarzonej” tacy. – Wiesz, bywają różne okoliczności. Mnie na przykład się wydaje, że praca z tobą może przynieść kłopoty i dodatkowe dziurki w ciele. To oczywiście szczegóły, ale jak mówił pewien filozof, którego prace oczywiście znasz: „Praktyka to kryterium prawdy”[18]. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to nie spodobało mi się, że od razu po twoim odlocie mnie i Blinowa o mało nie usmażyli po drodze z lotniska.

– To nie byłem ja. – Hasan pokręcił głową. – Nie miałem powodu do niezadowolenia. Raczej na odwrót. Raszyd pomógł mi rozwiązać problem. A Blinów wypełnił warunki umowy.

– Wypełnił dla ciebie. A dla kogoś innego nie. Właśnie dlatego do nas strzelano.

– To nie ja – powtórzył Hasan z naciskiem. – Palestyńczycy. Libijczycy. Czarni. Wybierz sobie. Ale nie ja.

Tak właśnie powiedział: „czarni”. Słowo zabrzmiało głośno, a podchodzący do stolika kelner, smagły, wysoki Pakistańczyk, lekko zmienił się na twarzy.

– W tej sprawie było tak wielu pośredników – ciągnął Nuker – że bardzo trudno zorientować się w tym, komu dokładnie nastąpili na stopę.

– Tak? – odparł Siergiejew. – Trudno? Jeśli się nie chce, wszystko jest trudne. Zdumiewasz mnie! Porozmawiaj z pośrednikami z naszej strony... Żywi i zdrowi! Nie zmienili się! Nawiasem, nie uważasz, że to zdumiewające, Hasan? A ja owszem. Rozumiesz, w takich sytuacjach, kiedy jednego klienta przedkłada się nad drugiego, który zapłacił więcej, w pierwszej kolejności cierpią pośrednicy. Taki już ich los. A tutaj ktoś próbował ugryźć właściciela. To niewłaściwe. Skąd było wiadomo, kto jest właścicielem? Skąd było wiadomo, że ładunek zszedł na boku? Łatwiej jest sądzić, że po prostu transakcja została zerwana. Tylko trzeba zwrócić pieniądze. A czyje zwrócono, Hasan? Tego nikt nie wie. Zbyt wiele pytań bez odpowiedzi, mój arabski przyjacielu, zbyt wiele...

Uważnie wpatrywał się w oczy Hasana, który już się nie uśmiechał, tylko patrzył swoimi wypukłymi, błyszczącymi wschodnimi oczami prosto w źrenice Siergiejewa.

– Ja, jako człowiek prosty i nieskłonny do intryg, mogę wywnioskować, że ktoś mądry, ostrożny i cyniczny stwierdził, że nie opłaca się karmić zbędnych gąb. Tylko dlaczego uznał za zbędną gębę nie pośrednika tutaj, a właściciela tam?

Opowiedzieć o swoich przypuszczeniach?

Nuker milczał, tylko mocno zaciskał szczęki.

– Sam chciałbym wysledzić strzelającego – przyznał Siergiejew, rozkładając na kolanach wykrochmaloną serwetkę. – I chociaż nikt mnie nie upęnomocnił do rozmów z tobą, mimo wszystko się tym podzielę. Nieodpłatnie, Hasan, zupełnie nieodpłatnie. Wyobraź sobie, że pewien pośrednik, weźmy jako zupełnie niedorzeczny przykład pana Bazylewicza, jest w trudnych stosunkach z jednym z właścicieli dochodowego i zupełnie nielegalnego biznesu. Dajmy na to, oczywiście tylko przykładowo, że on bardzo nie lubi pana Blinowa... Rozumiesz?

– Rozumiem – zachrypiał Hasan, nie zmieniając kamiennego wyrazu twarzy.

– I oto pan Bazylewicz, który, jak wiadomo, w swojej ojczyźnie z jakiegoś powodu uważany jest za lidera opozycji na wygnaniu, postanawia, że może grać w te zbrojne gry sam. Ma kontakty z klientami na Zachodzie i Wschodzie. A na Ukrainie jest masa ludzi, którzy tylko marzą, żeby urwać kawałek z dostaw broni różnym reżimom. Wszak biznes nie staje się mniej kuszący przez to, że tkwi w cudzych zębach. Nawet na odwrót, jakże przyjemnie wydrzeć komuś kęs z gardła!

I uwierz mi, istnieją ludzie, którzy mogą „zjeść” takie kontrakty. I to niezwyčajni ludzie. Zdolni do wielu rzeczy, nawet jeśli nie do wszystkiego.

– Niemożliwe! – odezwał się Nuker z jawną ulgą w głosie. – Znam Bazylewicza. On nigdy nie wystąpi przeciwko Blinowowi. Ani Raszydowi. Ani przeciwko mnie. Boi się Blinowa. I Rachmetułowjewa. Wszystkich się boi. A mnie nie zwyczajnie się boi, ale tak, że się poci przy spotkaniu.

Zaśmiał się urywanie.



– Bazylewicz rozgrywający własną grę! To śmieszne!

Siergiejew przypomniał sobie nagranie, zrobione przez kolegów Kasperskiego, które nie tak dawno oglądał u siebie na Pieczersku. Przypomniał sobie ciężki, pełen pierwotnej nienawiści wzrok Bazylewicza i wzruszył ramionami.

– Nie będę się kłócił.

W samej rzeczy istniało mnóstwo teoretycznych możliwości przewycięzenia strachu Antona Tarasowicza przed groźnym synem pustyni. Na przykład jeszcze większy strach przed kimś innym. Bazylewicz nie był bohaterem i nietrudno było go niemal śmiertelnie przerazić. Hasan jest obok – boimy się Hasana. Nie ma Hasana – boimy się kogoś innego. Ale nienawiści wobec nieustannie go poniżającego Blinowa (och, jak płonęły oczy Antona Tarasowicza w czasie pamiętnej rozmowy!) według Siergiejewa nie dałoby się już pokonać. Naczynie pękło. Przepięło się.

Pan Bazylewicz mógł wydać swojego szefa, mógł zgodzić się na wszystko, gdyby strona przeciwna obiecała mu śmierć Władimira Anatoliewicza jako honorarium. Mógł, gdyż chciał tej śmierci tak bardzo, że był w pełni zdolny do przecenienia swoich zdolności organizacyjnych i uznania, że jest w stanie przejąć Plackowy biznes. Jednak Siergiejew doskonale pojmował, że na Blinowie łańcuszek się nie kończył. Na nim raczej zaczynają się „kulisy”, najbardziej w tym biznesie interesujące.

Zaraz za nim stali murem Titarienko i Sidorczyk, za Titarienką i Sidorczykiem stały groźne postacie w generalskich czapkach z wysokimi główkami. W cieniu generalskich ramion przemykały sylwetki tajemniczych cywilów z nienaturalnie równymi, „drewnianymi” plecami i profesjonalnie skąpą gestykulacją, a dopiero za nimi znajdowały się rozstawione figury, obdarzone władzą państwową w dosłownym sensie.

Interesy na broni robi się rękami awanturników, ale kierują nimi filary społeczeństwa. Pan Bazylewicz powinien pamiętać o tej zasadzie. Choćby dlatego, że w tym układzie w roli awanturnika występował on, a Blinów i inne osoby były raczej filarami, o ile w ogóle było je widać. Kierować zawsze wygodniej jest zza kulis. A jeśli Anton Tarasowicz uwierzył, że może obciąć sznurki i wystąpić na scenie samodzielnie, to sam jest sobie winien. Zlituj się. Panie, nad jego grzeszną duszą.

– Trudno mi znaleźć inne wyjaśnienie dla tego, co zaszło – powiedział Siergiejew. – Iszczerze mówiąc, Hasan, nie mam obowiązku cię przekonywać. Nie po to przyjechałem.

– A po co?

– Po to, żeby tym razem wszystko poszło gładko, bez zakłóceń.

– A dlaczego raptem twój przyjaciele uznali, że coś pójdzie nie tak? – W głosie Hasana brzmiała otwarta podejrzliwość. – Coś szykują?

Z talerza stojącego przed Michałem unosiły się takie zapachy, że Siergiejew mógłby stanąć do zawodów w ślinotoku z psami Pawłowa.

Rzeczywiście, po jaką cholere? – pomyślał i wziął sztucce, zauważywszy, że jego spokój działa na rozmówcę jak płachta na byka.

– Hasan, nie miałem w planach widzieć się z tobą. I nie mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwy z powodu tego spotkania. Nie bądź paranoikiem. Nie ma żadnego spisku przeciwko tobie. Jest transakcja, która powinna zostać sfinalizowana za wszelką cenę. Jest Bazylewicz, który już dawno powinien stać na dnie Tamizy w betonowych skarpetkach. Są ludzie w Kijowie, którzy zaczęli się martwić z powodu pewnych niezgodności. I jestem ja. Człowiek, który ma rozwiązać problem. I tutaj zamiast Antona Tarasowicza pojawiaasz się ty. Grozisz, zachowujesz się po chamsku, recytujesz wiersze... Czego ty chcesz, Nuker?

– Chcę, żebyś doprowadził transakcję do końca.

– W takim razie możesz się rozluźnić. Nasze plany się pokrywają.

– Nie sądzę. – Brew Hasana znów powędrowała ku górze, a głos bardziej przypominał syczenie żmii.

– To mnie właśnie najbardziej odrzuca w waszej religii – powiedział Siergiejew, próbując baraniny. – Okłamując mnie, nawet nie grzeszysz. Nie można tak bezceremonialnie łąać. Ja przecież rozumiem, że w tej historii nie ty jesteś klientem.

Nuker wyszczerzył się.

– Chciwość to zła cecha, Hasan. Ryzykujesz gniew z obu stron. I sprzedawcy, i ze strony tych, których postanowiłeś odsunąć. Znów dasz więcej?

– Nie dam. Tym razem nie mam takich pełnomocnictw. Ale towar jest mi potrzebny.

– Twoja sprawa. Ty ryzykujesz głowę. Ale jest jeszcze jeden aspekt tego problemu. Moi partnerzy. Poprzednim razem towar poszedł w drugą stronę. Po raz drugi coś takiego nie ujdzie im płazem.

– Nie martw się – powiedział Hasan. – Tym razem będzie inaczej. Towar trafi tam, gdzie powinien.

– Tak? Ciekawe. Nasz Jezus kiedyś nakarmił dziesięcioma Chlebami kilka tysięcy głodnych. Mam nadzieję, że z imieniem Allacha na ustach uda ci się zrobić tak, żeby jeden ładunek pojawił się w dwóch różnych miejscach. Z przyjemnością się temu przyjrzę.

– Nie pojawi się w dwóch miejscach.

– W takim razie o czym my mówimy?

– Mówimy o tym, że ładunek zniknie po drodze. Afryka to niebezpieczny kontynent. Dżibuti – rebeliancka prowincja.

Siergiejew milczał, zewnętrznym zachowując absolutny spokój.

Jakże wiele można się dowiedzieć w krótkim czasie. Ciekawe, czy Bazylewicz żyje? A jeśli żyje, to czy jest cały?

– Żyje – powiedział Hasan, przewidziawszy pytanie i wyraźnie rozkoszując się chwilą. – Nie tknąłem go nawet palcem.

To chciałeś wiedzieć?

– To dobrze – rzekł Siergiejew powoli. – Chociaż, uczciwie mówiąc, mam to gdzieś. Blinów i Raszyd wiedzą, co sobie wykombinowałeś?

Nuker roześmiał się.

– Na razie nie. Ty im powiesz. Potem.

– Dlaczego się z nimi nie dogadasz? Po co tyle komplikacji? Kupić jest zawsze łatwiej, niż ukraść. To tylko kwestia pieniędzy...

– Wiesz, pieniądze zawsze zmieniają właściciela. A ukraść zawsze jest taniej.

– No... Ja bym tak nie powiedział – odrzekł Siergiejew.

– Tu nie ma o czym dyskutować!

– Dobrze. Nie będziemy. A do czego ja ci jestem w tym potrzebny?

– Ukradniesz dla mnie ten ładunek, Siergiejew.

Teraz roześmiał się Michaił.

– Ja?! Hasan, o czym ty mówisz?!

– O tym, że ładunek już się zbliża do Wschodniego Wybrzeża i jutro musimy być na miejscu.

– My to kto? Ja i ty?

– Reszta czeka tam na nas.

– Pozostało wyjaśnić jedno: co może mnie zmusić, żebym stanął po twojej stronie? – zapytał Siergiejew. – Ja to nie Bazylewicz. Ze mną się tak łatwo nie uda.

– Z tobą będzie jeszcze łatwiej – rzekł Hasan, obserwując go ponad soczewkami swych eleganckich okularów. – Znacznie łatwiej, niż myślisz.

Uśmiechnął się wszystkimi mięśniami twarzy, całkiem jakby to nie była ludzka twarz, ale miękka maska klauna z porowatej gumy, poruszana palcami od środka. Michaił miał taką we wczesnym dzieciństwie. Hasan uśmiechnął się wszystkim poza oczami. I dodał: – Umka.



Jego Wysokość Imperator Wszechrusi Aleksander Aleksandrowicz Krutow był trochę zniechęcony. Nadchodzące spotkanie łamało powstałą tradycję: władca nie udziela audiencji w tygodniu świętowania

odrodzenia dynastii panującej.

Od pięciu lat imperator w te dni nie pracował. Trzeba sprawiedliwie przyznać, że poza dziesięciodniowym urlopem nad Bajkałem i kilkoma weekendami, spędzonymi w Peterhofie, był to jedyny czas w roku, kiedy na Aleksandrze Aleksandrowiczu nie spoczywały sprawy wagi państwowej.

Innymi sprawami Krutow już od dawna się nie zajmował.

Jednak Bidstrup nalegał na spotkanie, a kolegom w takich (własnoręcznie przez siebie danych) pagonach się nie odmawia. Pasza nie zacząłby bić na alarm, gdyby nie miał do tego podstaw. On, nawet mając ważne przyczyny, prędzej przemilczy, niż zacznie panikować z powodu drobiazgów. A tu... Oficjalny mail do imperatorskiego sekretariatu, osobisty telefon do referenta... I to wszystko po oficjalnej odpowiedzi, że car imperator w dni świąteczne nie przyjmuje nikogo.

Kiedy Aleksander Aleksandrowicz wysyłał Bidstrupa do kierowania Biurem, sądził, że z Pawłem Andriejewiczem nie będzie problemów. I trzeba przyznać, że do tej pory nie było. Czyli powód takiego natręctwa istnieje, i to bardzo istotny.

Biuro egzystowało w reżimie *stand by*, praktycznie nie wpływając na politykę imperium, wypełniając wyłącznie funkcje reprezentacyjne i tajne polecenia imperatora w ciągu ostatnich lat – to zdarzyło się już po Potopie i było osobistym rozporządzeniem Krutowa. Po tych pamiętnych wydarzeniach, straszliwych oskarżeniach ze strony nieprzyjaciół i pod groźbą możliwego „prześwietlenia” maskowanie było jedyną szansą uratowania Biura. Tracić ludzi, którzy przeszli unikalne szkolenie, sprawdzonych i wiernych imperium oraz jemu osobiście, car imperator nie chciał. Pozostawiać zaś Biura jako aktywnie działającej jednostki – nie mógł.

Nie zaczął go bronić – choć były ku temu chęci i możliwości – po prostu tymczasowo odsunął oficjalnie od naprawę ważnych spraw, przymknął oko na „fuchy” kierownictwa. (Wszyscy przywódcy kraju patrzyli przez palce na „chałtury”

chłopców z Biura już od 1991 roku, inaczej samego Biura już by nie było!) I nawet w tym czy owym wspierał, kierując energią byłych podwładnych w odpowiednie koryto, pożyteczne dla imperium i jego samego.

Bidstrup nie zawiódł oczekiwań. Niemające oficjalnie związków ze Służbą Wywiadu Zagranicznego Biuro, niewychylające się i nieządające orderów, stopniowo odbudowało starą sieć agenturalną, uporządkowało pozyskiwanie informacji i nawet po cichu zajmowało się werbunkiem w krajach zaprzyjaźnionych i niezaprzyjaźnionych. Biorąc pod uwagę specyfikę poprzednich spraw „pracowników biurowych”, werbowano agenturę specyficzną, bojową i zrozpaczoną – nie „białe kołnierzyki” czy profesurę, ale ludzi zdolnych rozwiązywać najróżniejsze problemy nietrywialnymi metodami.

W świecie, który rozpadł się na kawałki, nie dało się inaczej.

Pokój zależał od tego, co powie Rosja, co zrobi, jak na kogo popatrzy. ZSRR przegrał wyścig zbrojeń, ale Rosja wygrała wyścig surowców. Gaz, ropa i węgiel rządziły. Skupiska światowych sił już dawno pokrywały się ze złożami ropy i gazu.

Rosja.

Świat arabski.

Ameryka Południowa.

Chiny oczywiście były potężne, ale uzależnione od ropy jak narkoman od heroiny. Europa, rozdzielana nacjonalnymi sprzecznościami, była bliżej Rosji niż Ameryki i nie miała szczególnego wyboru, z kim się przyjaźnić. I przyjaźniła się, choć z widocznym obrzydzeniem, na które sam Krutow i jego imperium lali z wysokiej wieży.

Ten, kto posiadał zasoby, posiadał wszystko. Rosyjskie imperium miało zasoby. A to znaczy, że miało też niemal nieograniczone wpływy.

Żałosne szczątki pozostałe z byłego południowego sąsiada, podzielone martwą Ziemią Niczyją, nienawidziły się nawzajem, lecz nie przeszkadzały w najmniejszym stopniu przewozowi surowców na zachód. Co więcej, przyłączony do imperium kawałek dysponował złożami węgla i rozwiniętym przemysłem. To, co nazywało się Konfederacją, było oczywiście solą w oku i drażniło cara imperatora samym swoim istnieniem. Aleksander Aleksandrowicz, będący zwolennikiem wprowadzania w życie

bardzo twardej rozwiązania, czytając bieżące wiadomości na kanałach informacyjnych i obelżywe, tłumaczone z ukraińskiego artykuły z „Dziennika Lwowskiego” lub „Konfederata”, czasami ledwo wytrzymał swędzenie w palcach. Jednak świadomość tego, że może usunąć problem jednym słowem, czyniła go humanitarnym i cieplejszym bardziej, niż sam by tego chciał.

Obecny stan rzeczy zadowalał obie strony.

Między Europą i Rosją leżała Konfederacja. Między Republiką Wschodnią i Konfederacją – Ziemia Niczyja.

Pilnie strzeżonymi rurami płynęło czarne i błękitne złoto, przemieniając się w dostatek imperium, w podstawę jego rosnącej z roku na rok potęgi. I za to, by jego kraj pozostał liderem, Aleksander Aleksandrowicz gotów był dać wiele.

Chociaż nie wszystko.

Stanowisko zobowiązywało, więc należało przyjąć Bidstrupa na Kremlu, w sali audiencyjnej, chociaż Krutow wolały przejść podziemnym korytarzem do osobistego elektrokaru i po kilku minutach wysiąść w piwnicach budynku na Łubiance.

Tam atmosfera była bardziej znajoma, robocza, i wszystko, co potrzebne, znajdowało się pod ręką. W normalnych warunkach Aleksander Aleksandrowicz tak by zrobił, zamieniając niewygodny paradny mundur, zdobny w złote hafty i brylantową Imperatorską Gwiazdę, na ulubiony szary garnitur, a wysokie oficerki na proste skórzane półbuty od Zilli. Ale nie w tym tygodniu.

Dwaj pracownicy służby bezpieczeństwa, wystrojeni (jak błazny! – zauważył Krutow ze złością) w liberie i peruczki, otworzyli przed nim ogromne dwuskrzydłowe drzwi i Aleksander Aleksandrowicz, krocząc po wypolerowanym jak lustro parkiecie, wszedł do sali audiencyjnej.

Sekretarze już stali w szeregu, chociaż ich obecność wcale nie była obowiązkowa. Wszystko, co działo się w sali audiencyjnej, było rejestrowane przez mnóstwo kamer i mikrofonów. Głównie dla potomności, a czasami dla innych celów – poprzedni zawód Aleksandra Aleksandrowicza dawał o sobie znać.

Krutow przeciął salę, wszedł na stopnie podium i usiadł w fotelu stojącym na podwyższeniu. Procedura najbardziej przypominała mu wejście na grzędę i imperator, któryś już raz w ciągu dnia, skłął w myślach obowiązkowy protokół.

Siedząc w roboczym fotelu, najbardziej przypominającym tron, Aleksander Aleksandrowicz mógł patrzeć na otoczenie z wysokości zapewniającej mu przewagę psychologiczną, tym bardziej że był niezbyt wysoki. Jednak pomimo niskiego wzrostu Aleksander Aleksandrowicz nigdy w życiu nie czuł z tego powodu najmniejszej niewygodności. Jakie znaczenie ma wzrost, jeśli charakter Krutowa pozwalał mu rzucać na kolana ludzi dwa razy wyższych od niego? Usiadł w niewygodnym, obitym purpurowym aksamitem fotelu z maksymalną swobodą, na jaką pozwalał paradny (żeby go jasna cholera!) mundur, i skinął głową w stronę mistrza ceremonii, stojącego przy drzwiach wiodących do sali.

– Jego Ekscelencja generał lejtnant Dziewiątego Urzędu Imperialnej Żandarmerii, pan Kukolnikow! – ogłosił ten z lekkim drżeniem w głosie.

Jak demokratycznie to brzmi: pan, po prostu pan, pomyślał Krutow. A przecież Bidstrup mógł się zakrzętnąć, zdecydowanie mógł, poprzez Radę Szlachecką. Tam by nawet nie pisnęli, sam Trubecki by mu wymyślił biografię i sam namalował, że mucha nie siada. Kim tam był Trubecki przed odrodzeniem narodu? Nieudany artysta i utalentowany fałszerz pieniędzy? A teraz? Szlachcic z dziada pradziada „do dwudziestego pokolenia”, szef pisma „Biuletyn Rosyjskiej Arystokracji”, członek Rady Szlacheckiej. Przyjaciele na górze żandarmerii są mu potrzebni jak powietrze, żeby nigdy i w żadnych okolicznościach stare gówno nie wypłynęło. Jednak nie zakrzętnął się Paweł Andriejewicz, nie zaczął doić Trubeckiego, nie przepychał się w ogólnej kolejce. Trzeba by mu jakiś tytuł dać, bo w takiej randze, a bez tytułu...

Krutow popatrzył na idącego w jego stronę przez długą salę generała lejtnanta Kukolnikowa – siwego, szerokiego w barach i wyraźnie zaczynającego tyć w pasie – w błękitnym mundurze z drogiego sukna, z epoletami obszytymi złotym sznurem. I jakoś posmutniał. Zrobiło mu się zimno w tej sali, z ginącymi w nieskończoności pokrytymi freskami sufitami, wyłączonej jak buda jarmarczna i przy tym pełnej paskudnej wyniosłości na pokaz.

Za oknami Kremla panowała moskiewska zima, mroźna i wietrzna. Po szerokich prospektach wiatr gnał

tumany śniegu, listopadowe kałuże szklily się lodową skorupą. Miasto przypominało wielkie, ruchliwe mrowisko – tłumna stolica ogromnego imperium, serce Rosji, płonące neonowymi ogniami witryn, niebieskawym blaskiem latarni i różnobarwnymi pożarami gigantycznych reklam. Dziwacznie podświetlone, wznosiły się nad starymi dzielnicami głowy soborów i cerkwi, w których już od pięciu dni trwały całodobowe nabożeństwa z okazji Dnia Odrodzenia Dynastii, po ulicach mknęły okutane obłoczkami spalin pudełka samochodów, stacje metra wsysały i wypluwały wielotysięczne tłumy narodu.

Jego narodu.

W sali audiencyjnej było ciepło – chłód gnieździł się gdzieś w plecach Krutowa, wzdłuż kręgosłupa. Możliwe, że to objaw wieku: pomimo nieustannej opieki najlepszych lekarzy i medykamentów zmuszających siedemdziesięcioletnie ciało do funkcjonowania jak organizm męczyzny czterdziestoletniego Aleksander Aleksandrowicz czasami czuł się nie młodym, jak na swój wiek, tylko rozpaczliwie się odmładzającym.

Będąc z natury człowiekiem o zimnej krwi i pragmatycznym, Krutow nieoczekiwanie dla siebie zaczynał rozważać ciężar przeżytych lat, myśleć o widmach przeszłości i innych głupstwach, które wcześniej zawsze odsuwał od siebie bez wahania.

Co prawda o tych rozmyślaniach nikt nie wiedział. Na rozmyślanie i zwątpienie car imperator mógł sobie pozwolić tylko w samotności. O tym nie wiedziała nawet jego małżonka, kiedyś najbliższy Aleksandrowi Aleksandrowiczowi człowiek.

Zresztą widywali się ostatnio rzadko, rozmawiali przy spotkaniach o sprawach błahych. Lilia Afanasjewna była bardzo zajęta dobroczynnością i wychowywaniem wnuków, a polityką – zewnętrzną i wewnętrzną – nie interesowała się już od dawna, od czasu, kiedy po jej rodzimej Ukrainie przeszła mordercza Fala. Taka sama fala, nie mniej niszczycielska, przeszła wówczas przez ich stosunki i zamiast przyjaźni oraz wzajemnego zrozumienia zapanowała Wielka Susza. Do niej Aleksander Aleksandrowicz również przywykł, w życiu były ważniejsze sprawy i, jeśli być do końca szczerym, nie tęsknił za żoną.

Rozumiał, że samotność to przeznaczenie wielkich, jednak nie chciał się pogodzić z taką ceną za władzę. Chociaż w końcu zdołał. Samotność też ma swoje dobre strony.

Tylko to zimno w plecach, zapuszczające macki w klatkę piersiową...

Lepiej myśleć, że to z powodu wieku...

Kukolnikow przeszedł przez salę, zatrzymał się i pochylił głowę w pełnym szacunku ukłonie. Pochylił, ale tylko na tyle, ile wymagał protokół. Paweł Andriejewicz był człowiekiem dumnym, pozbawionym serwilizmu i chciwej służalczości, którymi odznaczało się wielu jego kolegów. Taki sposób bycia w obecności cara imperatora wystarczył, by zasłynąć na dworze jako bohater.

Spod czarnych, gęstych brwi, kontrastujących z siwą czupryną, patrzyły na Krutowa spokojne szare oczy: prawe żywe i lśniące, lewe lekko zmętniałe. Kukolnikow cierpiał na cukrzycę i z każdym rokiem widział coraz gorzej. Na szczęście tylko jednym okiem.

Generał lejtnant wyprostował się. W ciszy lewo słyszalnie brzęknęły ordery.

– Wyrazy uszanowania, Wasza Imperatorska Mość! – odezwał się.

– Dzień dobry, generale!

Głos Pawła Andriejewicza brzmiał cicho, miękko, przyjemnie i bez śladu stalowych nut. Takim głosem można opowiadać bajki wnukom (Bidstrup miał ich trzech), rozmawiać o literaturze lub sztuce. Jednak to wrażenie, wywołane aksamitnym tonem, było fałszywe. Kukolnikow należał do ludzi surowych. A nawet okrutnych. Biografię miał taką, że gdyby zaczął opowiadać wnukom nie bajki, ale historie ze swego życia służbowego, chłopcy dostaliby ciężkiej nerwicy. Niewesołym człowiekiem był Paweł Andriejewicz, oj, niewesołym – za to uczciwym, profesjonalnym i bezwzględnie wiernym, jednak nie carowi, lecz idei imperium, za co Krutow go nadzwyczajnie cenił.

– Proszę o wybaczenie, że naruszyłem protokół, ale proszę mi wierzyć, Wasza Wysokość, sytuacja jest niecierpiąca zwłoki.

Krutow wstał z fotela niewygodnego jak krzeselko turystyczne i szedł na dół, kierując się do stojącego nieopodal stołu.

Wykonał zapraszający gest w stronę Kukolnikowa. Generał podszedł do niego.

– Proszę o pozwolenie zrelacjonowania w cztery oczy.  
– Zostawcie nas – polecił Aleksander Aleksandrowicz sekretarzom.  
Zastanowił się przez sekundę, a potem dodał: – Wyłączcie zapis. Zawołam, jeśli będziecie potrzebni.  
– Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedział Kukolnikow.  
Sekretarze wyszli do poczekalni, ochrona zniknęła za drzwiami.  
– Daj spokój, Pasza – rzekł Krutow z ulgą. – Mam już tego wyżej uszu. Siadaj.  
– Dziękuję, Aleksandrze Aleksandrowiczu. – Na zewnątrz Kukolnikow trochę odtajał, ale Krutow zwrócił uwagę, że Bidstrup nie śpieszył się z siadaniem, zachowując subordynację. – Postaram się nie zająć wiele czasu.  
– Zajmiesz tyle, ile będzie trzeba. Już prawie noc. Nigdzie się nie śpieszę. Co najwyżej spać. A ile nam, starym, tego snu potrzeba...  
Kukolnikow był młodszy od Krutowa o trzy lata, lecz wyglądał o dziesięć starzej. Aleksander Aleksandrowicz jawnie się krygował.  
– Jak rozumiem, zdarzyło się coś poważnego. Inaczej podjąłbyś decyzję sam.  
– Wystarczająco poważnego, Aleksandrze Aleksandrowiczu. I chociaż problem jest bardziej z mojego resortu, obawiam się, że nie starczy mi ani zasobów, ani sił, żeby go rozwiązać.  
– Ty mnie chcesz nastraszyć? Czy zainteresować?  
– Trudne pytanie...  
Kukolnikow uśmiechnął się kącikiem ust, z niejakim przymusem, jak zauważył Krutow. W głowie cara imperatora zadzwonił dzwonek alarmowy. Stare nawyki zawodowe błyskawicznie budziły się z letargicznego snu władzy.  
– Raczej ani to, ani tamto, Aleksandrze Aleksandrowiczu. Nie warto pana straszyć. Nigdy pana nie widziałem wystraszonego, a rozgniewanego owszem, zdarzało się – powiedział Bidstrup, starannie ważąc słowa. – Zaintrygować?  
Nie ma tu szczególnej intrygi. Jest niebezpieczeństwo, więc trzeba o nim mówić bez owijania w bawełnę, a wtedy, da Bóg, można go uniknąć...  
– No? – zapytał Krutow, czując, że zaczyna mu się marszczyć skóra na czole. – Coście tam narobili, zawodowcy?  
Kukolnikow westchnął i być może w myśli się przeżegnał. W każdym razie jego prawa ręka drgnęła mimowolnie i zaraz ponownie opadła na blat stołu.  
– Rok temu meldowałem panu, że jeden z byłych oddziałów Biura zaczął grę z niejakim Ali Babą, terrorystą związanym z ekstremistycznymi organizacjami arabskimi, obecnie numerem trzecim na liście poszukiwanych FBI, drugim na liście Interpolu, czwartym u nas, w FSB...  
– Pamiętam – powiedział Krutow, odnajdując w pamięci urywki informacji otrzymanych rok temu. – W ogólnych zarysach. Czeczenia, samolot w Emiratach, potem rejs El Al. Tak?  
Wiedząc o tym, że były szef lubi wnikać w szczegóły, Kukolnikow podał Krutowowi kilka kartek pokrytych gęstym drukiem.  
– Ach tak... – rzekł Aleksander Aleksandrowicz, przesuwając wzrokiem po tekście. – No proszę... Tak. Dokładnie.  
Podniósł oczy na Kukolnikowa i to już nie były oczy imperatora, tylko szefa jednej z najgroźniejszych służb specjalnych na świecie – generała Krutowa. Chłodne, pełne skupienia i, delikatnie mówiąc, nieprzyjazne.  
– Jasne. Dalej.  
– Wtedy, kiedy panu o tym meldowałem, tylko go „prowadzili”. Zanim wetknął nos do Czeczenii, mieliśmy z nim kontakty. Nawet coś dla nas robił. A po wybuchach w Woroneżu i Noworosyjsku uznaliśmy, że już się tutaj nie pojawi. Ale się pojawił. Zachowywał się przyzwoicie. Z nikim z naszych podopiecznych się nie kontaktował. Już myślałem, że u nas przeczekuje. Ale się pomyliłem. Interesował go beryl.  
– Objaśnij.  
– Zasada „brudnej” bomby, Aleksandrze Aleksandrowiczu. Zwykła potężna bomba nafaszerowana

proszkiem berylowym, gdyby wybuchła w centrum Moskwy, uczyniłaby ją niezdatną do życia na wiele lat. Starczy parę kilo. Jeśli połączyć to z wybuchem jądrowym, efekt byłby o wielekroć silniejszy. I bardziej śmiertcionośny. Jeśli interesują pana szczegóły techniczne, mam...

– Potem. Zostawisz. Dalej.

– Taki proszek został na Ziemi Niczyjej. W Kijowie. Była tam filia petersburskiego Biura, jeszcze za sowieckich czasów. Ali Baba zaczął szukać kontaktów i my postanowiliśmy podsunąć mu swojego człowieka.

– Jacy „my”? – zapytał Krutow. – Skąd wiedział o proszku? *Chochły* ogłoszenie wywiesili czy co?

– Scenariusz opracowywał Istomin. I Rysina.

– To ona jeszcze żyje?

– Jeszcze i mnie przeżyje – potwierdził Bidstrup. – Rozum nadal ma jak brzytwa.

– Po co ona Istominowi? On swojego rozumu nie ma?

– Ma, Aleksandrze Aleksandrowiczu. Przyszywany wnuk Rysiny jest jednym z tych, którzy podtrzymują kontakt Strefy z resztą świata. Kontrolujemy ten proces, w miarę możliwości. To były chłopak od nas, z Biura, ale pan go nie zna, rozminęliście się czasowo. Chociaż nazwisko pan na pewno słyszał: Siergiejew. Michaił Siergiejew.

– Ichneumon? Sprawa Ichneumona? – Krutow raczej potwierdzał, niż pytał.

Paweł Andriejewicz szczerze się zdumiał.

Car imperator miał niesamowitą pamięć. A jak na jego wiek, wręcz fenomenalną. Pamiętać wydarzenia sprzed dwunastu lat? Zresztą w tym czasie Aleksander Aleksandrowicz był prezydentem Federacji Rosyjskiej i na pewno mu meldowano o rzeźni, jaką Umka z Ichneumonem urządzili w moskiewskim metrze w czasie Ulewy.

Ichneumon wtedy ostatecznie sfiksował. On i jego Bractwo. Banda obłąkańców. To była wówczas głośna historia. Kiedy dwaj agenci takiej klasy jak Siergiejew i Ichneumon zaczynają podrywać sobie gardła, ciężko tego nie zauważyć – ani Ulewa, która przeistoczyła Moskwę w rwącą błotnistą rzekę, ani koszmar Fali, która zmieniła część Ukrainy w Strefę, nie mogły całkowicie zatrzeć śladów.

Kukolnikow przypomniał sobie połamane, pokrzywione ciało Saszy Kruczynina, jego kredowobiałą twarz i szklane, zastygłe oczy, odbarwione od długiego przebywania w wodzie. Z kącików strużkami ciekła woda, jakby Saszka płakał.

Z otwartych ust też leciała woda. A potem spomiędzy warg wylazł wielki ślimak i popęzł po policzku ku szeroko otwartym oczom, pozostawiając tłusty ślad na zaczynającej podsycać skórze.

Nurek obejrzał ciało, cmoknął, obmacując prawą rękę Kruczynina, złamaną w trzech miejscach, po czym wygłosił werdykt, wycierając dłonie wilgotną chusteczką dezynfekcyjną.

– Ichneumon.

– Jesteś pewien? – zapytał Bidstrup. – Na co Ichneumonowi Dziergany? On się przecież kiedyś uczył u Ichneumona?

– Mnie też kiedyś Ichneumon uczył – powiedział Nurek, zapalając papierosa. – Iwódkę z nim piłem. I na zadania chodziłem. Na przykład kiedy wyciągaliśmy Siergiejewa z Kuby... A co, to coś zmienia, Pawle Andriejewiczu?

Za oknami deszcz lał się strumieniami. To ciągnęło się już trzecią dobę i stawało coraz bardziej intensywne. To była Ulewa, lecz tą nazwą ochrzczono ją później. Wielkie krople stukały po szybach zalanej brudną wodą sutereny, gdzieś piszczwały szczury, na powierzchni dryfowały plastikowe butelki, celofanowe torebki, prezerwatywy, zmięte paczki po papierosach i gówno, wypływające z rur kanalizacyjnych.

Pobladli agenci brodzili po pas w wodzie, usiłując znaleźć cokolwiek – poziom wody się podnosił i za parę godzin nie będzie już gdzie szukać. Smród był taki, że nie ratowały nawet tampony ze srebrem w nozdrzach: zapach zgniłej wody, moczu, fekaliów i stęchlizny. Ciało Kruczynina leżało do połowy w czarnym plastikowym worku, a w połowie na wiodących w górę stopniach. W ciągu ostatnich trzydziestu minut dwa niższe stopnie zniknęły w brązowej brei.

– Widział pan jego rękę? – zapytał Nurek. Z nosa śmiesznie sterczały mu kłaczki waty. – Iżebra po lewej stronie? Kręgi szyjne? To robota Ichneumona. Jego technika. Myślę, że gdzieś tam – zatoczył półkole

ręką z dymiącym papierosem – leży pistolet Kruczynina. Zdążył go wyciągnąć. A Ichneumon zdążył uderzyć. Miał taki cios: nadgarstek pęka jak zapalka, i jednocześnie ramię. A tutaj jeszcze złamał w łokciu, na kolanie, dla szoku bólowego. Z Saszki też był niezły numer, a tu popłynął, to oczywiste. Potem Ichneumon z nim rozmawiał. W sensie: chciał się czegoś dowiedzieć...

Kukolnikow widział lewą rękę Kruczynina – wszystkie palce połamane, wybite ze stawów, zmiżdżone paliczki. Nurek niewątpliwie miał rację: Ichneumon urządził tu ekspresowe przesłuchanie. Czego się chciał dowiedzieć i czy się dowiedział, pozostawało tajemnicą.

– Prawdopodobnie Kruczynin niczego nie powiedział – rzekł Nurek, strząsając popiół do wody. – Inaczej Ichneumon zabiłby go od razu.

– To on go nie zabił od razu?! – Kukolnikow się wzdrygnął.

Na samą myśl, że ten człowiek, teraz bardziej podobny do lalki przejechanej ciężarówką, żył jeszcze jakiś czas w tym smrodzie, pozbawiony możliwości ucieczki, i kręcił się w przybierającej wodzie niczym przydepnięty żuk, Bidstrup czuł przerażenie. Był człowiekiem z wyobraźnią i nic na to nie mógł poradzić.

– Obawiam się, że tak, Pawle Andriejewiczu... Nie od razu. Widzi pan, jak tu trzasnęły żebra? Cios był wymierzony tak, żeby odłamki kości przebiły płuco, koło serca. Porzucono go, żeby tu umierał.

– Mógł się czołgać?

Nurek pokręcił głową.

– To była egzekucja. Ichneumon go za coś ukarał. Okaleczył i porzucił śmiertelnie rannego. Ichneumon to okrutny człowiek, ale to za wiele, nawet jak na niego. On chyba zupełnie oszalał. Nikt by słowa nie powiedział, gdyby to był obcy.

Ale Kruczynin był swój. Różnie bywa, ale mógł go dobić, z litości... Nawiasem, ktoś się jednak nad nim zlitował.

– Nie rozumiem – powiedział Kukolnikow. – Co masz na myśli?

– Ktoś go dobił, Pawle Andriejewiczu. Nie utonął, w płucach nie ma wody. I nie zdążył się wykrwawić przez usta. Nie pierwszy raz oglądam zwłoki. Proszę potem spytać patologa, on potwierdzi. Ten, kto przyszedł później, pomógł mu odejść. Złamał Saszce kark. Bardzo rozsądna decyzja. Profesjonalna. Kruczynina nie dałoby się uratować. Tylko zrobić tak, żeby nie cierpiał.

I tu Nurek się przeżegnał.

Kukolnikow wytrzeszczył na niego oczy. Zabójca, profesjonalny dywersant, szpieg z siedmioma zerami przed numerem osobistym (gdyby taka kwalifikacja istniała w rzeczywistości) zamasyście zrobił znak krzyża, stojąc nad zmasakrowanym trupem w brudnej, cuchnącej piwnicy na podmoskiewskim przedmieściu.

Ile on ma? Pod czterdziestkę? – pomyślał Bidstrup. Nie więcej. Ateista zapewne. Komsomolec. Komunista. Były, naturalnie. Sądzi, że wychowują nowych samurajów. Asasynów. Bez strachu, bez sumienia, bez wątpliwości. Nie udało się. Wyrosło coś krzywego, okropnego, jak ja. Wszystko w środku wypalone. Ale nie u wszystkich. I nie do końca...

– Pistolet, towarzyszu pułkowniku! – odezwał się posepnie jeden z ekspertów, trzymając dwoma palcami znalezione na dnie walthera, z którego lufy lała się brudna woda. – Znalazłem pistolet!

A potem Nurek przykucnął i zamknął Kruczyninowi oczy.

– Nie wiedziałem, że Siergiejew jeszcze żyje – rzekł w zadumie Aleksander Aleksandrowicz. – A Ichneumon?

– Nie wiem – odpowiedział Kukolnikow. – Nie widziałem jego trupa. I jego samego od tamtego czasu również. Ale Ichneumon już dwa razy był uznawany za martwego. Tylko oficjalnie. Pustą trumnę chowali dwa razy.

– T- ak... – mruknął Krutow i Paweł Andriejewicz był gotów przysiąc, że w jego tonie zabrzmiał żal. – Byli kiedyś ludzie!

Dwa razy pustą trumnę, mówisz?

– Tak, Aleksandrze Aleksandrowiczu. Tak więc nie mogę ręczyć za to, że Ichneumon nie żyje. Jest martwy wedle moich informacji, ale to nie jest potwierdzony fakt.

– A co z Siergiejewem?



– Utrzymujemy z nim stały kontakt. Porozumiewa się z Istominem. Od dość dawna. Medykamenty. Broń. Wszystko to przewozi do Strefy z pomocą grupy znanej jako Wampiry, zajmującej się przemytem i nielegalnym przekraczaniem granic Ziemi Niczyjej. Wcześniej dowodził nimi znany panu Chłystow. Minimum trzy razy do roku Siergiejew korzysta z ich usług.

Z nami podtrzymuje nieprzerwane stosunki: chętnie dzieli się informacją, co się dzieje w Strefie. Jest urodzonym analitykiem.

– Jak jego dziadek. Dziadka dobrze pamiętam. A z Rysiną rozmawia?

– Unika kontaktów. Coś tam między nimi nie układało się, jeszcze jak był dzieckiem. Zresztą nic dziwnego. Elena Aleksandrowna to specyficzna kobieta.

– Co racja, to racja – zgodził się Krutow. – Dalej!

– Istomin wyprowadził na niego Ali Babę. Plan był taki: Siergiejew organizuje wywóz berylu ze Strefy za lekarstwa i sprzęt medyczny, a my zgarniamy Ali Babę z proszkiem. Arab jest nam niepotrzebny, można postraszyć i wypuścić, niech sobie idzie, za to beryl wywiezie z Ziemi Niczyjej za swoje pieniądze. A my z tego powodu podniesiemy szum na pół świata! Bo ciągle nas pytają o legalność pobytu, konfederaci w kółko piszą skargi do ONZ!

– Mam gdzieś ich skargi. Sami nie mogliście wywieźć tego świństwa? – zapytał Aleksander Aleksandrowicz. – Kasy wam brakuje? Ludzi? Gracze– sracze! Tylko mi nie mów, że to rozgrywki agenturalne...

– To rozgrywki agenturalne – rzekł smętnie Kukolnikow, zwieszając głowę.

– Tak... I Ali Baba zepsuł wam grę?

– Zepsuł.

– I straciliście kontrolę nad operacją?

– Stosunkowo.

– Tak czy nie?

– Tak – wykrztusił Bidstrup z wysiłkiem.

– Za to was lubię: wasza cholerna zdolność do zabrnięcia w ślepy zaułek, by potem lecieć do mnie po pomoc. Pewnie zapomniełeś, że ja już od dawna u was nie pracuję? Tak samo jak wy u mnie. Ja w ogóle nie mam z tym bajzlem nic wspólnego! Zapomnieliście? I co teraz? Ten pieprzony Arab zjawi się w Moskwie z bombą...

Krutow zamilkł, nagle tknięty jakąś myślą.

– Chwileczkę... A jeśli nie w Moskwie? Na przykład w Jeruzalem? Albo w Dubaju? Albo Lwowie? Albo, nie daj Boże, w Bagdadzie?! Czy po materiale można określić jego pochodzenie?

– Specjaliści twierdzą, że tak.

Aleksander Aleksandrowicz uśmiechnął się do Kukolnikowa tak, że generał mało nie stracił panowania nad pęcherzem.

– Jak miło. – Wargi Aleksandra Aleksandrowicza odsłoniły nieskazitelne dzieło nadwornego dentysty.

– Proszek, mówisz, wyprodukowano w Pitrze? Tak? Cudownie! I czego chce ode mnie moja osobista obesrana ze strachu gwardia?

Pieniądzy? Rady? Czy tego, że bym was wszystkich teraz, zaraz rozpędził na cztery wiatry?

– Prosimy o pozwolenie na przeprowadzenie w Strefie operacji na wielką skalę. – Kukolnikow zmusił się do mówienia bez drżenia w głosie.

– A co powiemy oenzetowcom? Tym, do których hetman pisze na nas skargi? To nie jest strefa ochrony rurociągów!

Operacja na masową skalę? Macie zamiar wpuścić tam wojska? Czy może zrzucić bombę atomową?

W sumie byłoby niezłe... – pomyślał Paweł Andriejewicz, a głośno odpowiedział: – Musimy bezwzględnie zablokować wyjścia ze Strefy.

– Gdzie? – zainteresował się car imperator wesolutko, a Kukolnikow się lekko skulił.

Miał wrażenie, że zanurzają go w lodowatej wodzie, poczuł nawet, jak kurczy mu się moszna.

Kukolnikow nie bał się śmierci. Widział ją i ocierał się o nią tyle razy, że pogodził się z jej nieuchronnością. Generał wiedział, że starczy, by Krutow kiwnął palcem, i za kilka minut już go nie będzie

– a czy stanie się to szybko, czy wolno, zależy tylko od łaskawości imperatora. Przyjąłby i powolną śmierć z godnością, jak przystało oficerowi. Ale ta pogarda rozbrzmiewająca w głosie byłego szefa była gorsza od śmierci. Krutow go poniżał i miał ku temu podstawy. Trzeba się było zastrzelić, ale taki postępek nie mógł naprawić sytuacji, a ta, według Bidstrupa, była bardzo, bardzo poważna.

– Gdzie? – powtórzył pytanie car imperator. – Gdzie będziemy blokować? Od wschodu? Od zachodu? Na północy czy na południu? Zdecydowaliście się, panowie? Kędy oni pójdą? Co mówi agentura? Ja oczywiście nie pamiętam dokładnie, ile moja osobista gwardia wydaje na utrzymanie sieci agenturalnej, ale są to niemałe pieniądze!

– Agentura milczy, Aleksandrze Aleksandrowiczu. Ali Baba wszedł do Strefy nielegalnie. Nawet nie wiemy, czy z niej wyjdzie. Możliwe, że już nie żyje. Wczoraj nie pojawił się w punkcie rendez- vous, gdzie czekała na niego grupa Istomina.

Nie mogę jednak wykluczyć, że żyje i dalej prowadzi grę bez nas.

– Jeszcze obcasami stuknij – powiedział Krutow. – Iwspomnij o honorze oficera.

Chwycił się dłonią za chudą, jak zawsze gładko wygoloną twarz.

– Przesraliście go, ludzie dobrzy – wycedził przez palce. – A jak zrozumieliście, żeście przesrali, przylecieliście do mnie.

A ja nie jestem Bogiem Wszchemogącym, Pasza, i nie mogę za wszystko odpowiadać...

Kukolnikow milczał, schyliwszy siwą głowę, i tylko mocno zaciskał zęby.

– Czego się spodziewałeś? – zapytał Krutow już spokojnie. – Rady? Nie mogę ci jej dać. Zgody na jawne użycie siły?

Wybacz, Pasza, też jej nie dam. To nie będzie decyzja, tylko akt rozpacz. A potem jeszcze o bombę poprosisz... Łapcie, panowie oprycznicy! Łapcie! Rusz agentów w Strefie, masz ich tam od metra. Co drugi pracuje albo dla Bogdasika, albo dla ciebie. Skontaktuj się z SB Konfederacji. Tam przecież siedzą dawni nasi. To nie sprawa polityki, niech okażą korporacyjną solidarność! Dzwoń osobiście do Bogdasika! Proś o pomoc, strasz, kłam, wykręcaj się, sram na to! Oczekuję rezultatów!

Kukolnikow w tym momencie miał na koncie już trzy prywatne rozmowy z Bogdasikiem, który wysłuchawszy wstępu, rzucił się na pomoc z całą gorliwością. Tylko pożytku z tego było tyle, co kot napłakał.

Paweł Andriejewicz, utrzymując na twarzy wyraz oddania i pełnego skupienia, pomyślał, że zapewne niepotrzebnie przyszedł z tym problemem do Krutowa. Że darowania win nie będzie – wiedział i przed prywatnym posłuchaniem, a że Aleksander Aleksandrowicz nie powie mu nic nowego – stało się jasne teraz.

W każdym razie nic takiego, czego by Paweł Andriejewicz sam nie wiedział.

Imperator mruknął ironicznie i dodał: – Powiem więcej: rezultaty są potrzebne tobie. Jesteś pewien, że ten twój Arab nie wyszedł ze Strefy?

– Tak – odpowiedział Bidstrup. – Do pewnego momentu był z nim nasz agent. Śledziliśmy go według wskazań radiomarkera.

-1? Przepadł? Tak?

– Marker nie działa. Ale kiedy przestał pracować, obiekt był sto pięćdziesiąt kilometrów od wschodniej granicy Ziemi Niczyjej.

– Dlaczego nie zapoznaliście Siergiejew z sytuacją? Wcześniej, jak należy? Dlaczego podjęto decyzję, żeby rozgrywać go „w ciemno”?

– Siergiejew – rzekł Kukolnikow, oddychając głęboko – to człowiek trudno prognozowalny. Nie mieliśmy stuprocentowej pewności co do adekwatności jego reakcji.

– Chcesz mi powiedzieć, że Siergiejew mógł stanąć po stronie Ali Baby?

– Siergiejew stoi po swojej stronie – odparł Bidstrup twardo. – Nie po naszej. Nie po tej drugiej. Nawet jeśli sobie poprzegryzamy gardła, on to zlewa. Potrzebne mu są lekarstwa i sprzęt, żeby przeżyli jego...

Szukał przez chwilę odpowiedniego słowa i nie znalazł.

– ...współplemieńcy. Będzie się starał je otrzymać. Cała reszta jest dla niego drugorzędna. Jego przekonania nie są dla nas tajemnicą. Nie mogliśmy liczyć na niego jako na współpracownika i człowieka

o takich samych poglądach. Ale przy jego pomocy operacja miała dziewięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo sukcesu.

Krutow pomyślał, pomilczał minutę i zapytał: – Pasza, a dlaczego ty zacząłeś bić w dzwony? Przecież jeszcze nic się nie stało? No dobrze, ten wariat wszedł do Strefy.

Przepadł tam człowiek z radiomarkerem. Jeszcze nikt niczego stamtąd nie wyniósł i nie wiadomo, czy wyniesie! Czy ty mi czegoś nie mówisz?

– Jest jeszcze jeden szczegół... Po prostu jeszcze do tego nie doszedłem. Otrzymaliśmy informację ze źródła zasługującego na zaufanie. I ona zupełnie zmieniła postać rzeczy. Partnerem Ali Baby w tym biznesie okazał się Nuker.

– Hasan? – Krutow na chwilę stracił opanowanie. Brwi mu się uniosły, szare oczy zaokrągliły. – Hasan Al- Fahri? Co ty?

Poważnie? Przecież on nie żyje już ze dwadzieścia lat! Zabito go w Libii albo w Tajlandii... Atak, w Dżibuti! Ta operacja jakoby z „Kolczugami”[19]...

– Tyle lat pana znam, Aleksandrze Aleksandrowiczu, i wciąż nie mogę się nadziwić pańskiej pamięci. Tak, ta operacja z jakoby „Kolczugami”. Ukraińcy sprzedawali je do Iraku. A my mieliśmy zorganizować ich zniknięcie w drodze i dostawę do Libii. Wina w każdym wypadku spadała na Kijów, Dżamahirijja dostawała broń przeciwko jankesom, Irak kupiłby „Kolczugi” u nas... Ale operacja się nie udała. Hasan, pracujący dla nas i dla Libijczyków, został zabity...

– Jakoby zabity – poprawił Krutow.

– Jakoby zabity – zgodził się Bidstrup. – Ładunek zniszczony. Wszystko poszło na opak. Z naszej strony w grze uczestniczył jeszcze jeden człowiek, były agent operacyjny, którego wtedy też rozgrywano „w ciemno”. Działając wedle własnego uznania, urządził cały ten burdel i, jak wtedy przypuszczaliśmy, zabił Hasana.

– I zniszczył towar.

– Tak. I zniszczył towar. Działał w ramach rozpracowania analitycznego. Jednak skutecznie. Znacznie skuteczniej, niż nam było potrzeba! Zamiast zmanifestować w transakcji obecność trzeciej siły, na którą mieliśmy później wskazać, zupełnie zmienił sytuację. Pseudonim operacyjny tego człowieka, Aleksandrze Aleksandrowiczu, brzmi Umka. A nazywa się...

– Wiem, jak się nazywa – przerwał Krutow. – Co za straszna skłonność do tanich melodramatycznych efektów.

– Znów Hasan. Znów Siergiejew. Niebezpieczny dla nas wszystkich ładunek. Stare porachunki. Powiedziałbym nawet: niezrealizowane ambicje. Pan, jako profesjonalista, powinien zrozumieć moje zatroskanie. W obecnej chwili praktycznie nie kontrolujemy sytuacji. Winni zostaną ukarani, ale to nie zmieni już okoliczności. Smutny fakt. Ja ze swojej strony wielokrotnie wyrażałem pogląd, że wszelkie operacje dotyczące Ziemi Niczyjej uważam za nadzwyczaj ryzykowne...

– Tak, tak – przerwał mu car z rozdrażnieniem. – Gdyby to od ciebie zależało, zamiast Strefy byłoby asfaltowe jezioro!

Krutow wstał i przeszedł wzdłuż stołu – mały, suchy, z drapieżną, zaostrzoną twarzą, jednak po dawnemu zgrabny i zwinny. Obcasy paradnych butów głośno załomotały po parkiecie, a echo wielokrotnie odbiło się od wysokiego, sklepionego sufitu. Jakby w sali audiencyjnej zastukał metronom.

Bidstrup wstał jednocześnie z imperatorem i zamarł, obserwując Aleksandra Aleksandrowicza.

Stół miał siedem i pół metra długości. Imperator przeszedł dwanaście kroków w jedną stronę, zrobił w tył zwrot i poszedł w drugą.

Milcząc.

Kukolnikow czekał.

Zasadniczo, gotowa decyzja leżała w niewielkiej plastikowej teczce, czekającej swojej godziny na blacie z czerwonego drewna. W tym dokumencie nie było ani słowa o globalnej operacji ani o wtargnięciu do Strefy Wspólnych Wpływów.

Paweł Andriejewicz nie myślał podobnymi kategoriami. Jednak przygotowany przez niego plan trudno było nazwać czystą grą operacyjną.

W tej samej teczce leżały jeszcze trzy alternatywne dokumenty, przewidujące nieoczekiwane zwroty myśli cara imperatora. Generałowi pozostawało tylko wyciągnąć odpowiednią kartę – tak doświadczony szuler podkładał współgraczowi znaczoną talię.

Paweł Andriejewicz przywykł, że od decyzji podejmowanych w ciemnych, cuchnących krwią i pieniędzmi korytarzach władzy zależą losy milionów ludzi, i uważał, że kryteria moralności są nie do spełnienia przez osoby gotowe wziąć na siebie brzemię odpowiedzialności za podjęcie takich decyzji. Takich ludzi nie można sądzić według ludzkich praw. A on – ogniwo łączące, mechanizm wykonawczy między tymi, którzy tworzą historię, i wszystkimi pozostałymi, którzy sami o tym nie wiedząc, podlegają tym decyzjom – również jest nieosądzalny. Najwyżej na Sądzie Bożym.

A w Boga Kukolnikow nie wierzył.

On nikomu nie wierzył. Nawet temu niewysokiemu człowiekowi w paradnym, doskonale skrojonym mundurze z brylantową Imperialną Gwiazdą na piersi. A może zwłaszcza jemu. Jednak sznurki kierujące znaczną częścią świata trzymały właśnie te szczupłe, podobne do ptasich łapek dłonie. Car imperator potrafił podejmować decyzje.

Dlatego Kukolnikow stał, obserwując proste plecy Krutowa, lekko dotykając palcami plastikowej teczki, leżącej na stole w oczekiwaniu na swój czas. Stał i czekał, ostrożny i zimnokrwisty niczym siedzący w zasadzce pająk.

Potrafił czekać.

---

18 Karol Marks.

19 Kolczuga – radziecka zautomatyzowana stacja pasywnego wywiadu radiotechnicznego.



## Rozdział 11

**J**ako pierwszy za sterami usiadł Wadim.

Kierowanie poduszkowcem bardzo przypominało sterowanie transporterem opancerzonym. Dźwignie i pedały odpowiadały za dystrybucję ciągu potężnych wentylatorów, tłoczących powietrze pod „fartuch” pojazdu. Najpierw maszyna poszła bokiem, lecz Wadik szybko się dostosował i wyrównał poduszkowiec, który pewnie zakołysał się nad ziemią.

– W lewo – powiedział Siergiejew. – W lewo i potem w dół, parowem.

W kabinie było gorąco. Autonomiczny grzejnik pracował wzorowo, wypełniając wnętrze zapachem sauny. Było też ciasno. I to, biorąc pod uwagę długą drogę, prawdopodobnie stanie się największą niedogodnością.

Ładownię całkowicie zapchano kanistrami z paliwem i częścią amunicji. „Ładownia” to zresztą słowo na wyrost. Miejsca tam było niedużo. Kilka kanistrów i resztę amunicji wsadzili do kabiny, a potem na wierzchu umieścili nosze z Ali Babą.

Broń położyli na stosie między fotelami, tylko pudła z nabojami i parę granatników, dla których już nie było miejsca w środku, przymocowali po bokach kabiny na zewnątrz mocnymi brezentowymi pasami.

Za oknami trwała zadymka. Widoczność była beznadziejna. Wycieraczki szorowały po przyklejającym się do szkła śniegu, gęstym jak śmietana. Siergiejew pomyślał, że jeśli zamieć nie ucichnie do nocy, z zaklejonych śniegiem reflektorów będzie mało pożytku.

Poduszkowiec prześlizgnął się po ścianie suchego sitowia, z chrzęstem i szelestem przygniatając brązowe łądygi.

Zgrabnie przemknął między wysepką spalonego autobusu i ogromną bryłą betonu, po czym chwacko poszedł w dół po stoku, ku rzece, slalomem jak narciarz. Wadik zaklął wesoło.

– Ostrożniej – odezwał się Motel z tylnego siedzenia. – Ranny nam zleci!

Rzeczywiście, poduszkowcem bezlitośnie miotało. Milczek wczepił się w fotel oburącz, aż mu kostki palców zbieleły.

– Chwileczkę! – Wadim dał wsteczny, pojazd posłusznie poszedł pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, podskoczył na wale ziemnym przegradzającym parów w poprzek i wyleciał na lód, kręcąc się jak puszczona doświadczoną ręką frisbee. – Jest! – krzyknął Wadik, uradowany jak dziecko. – Uch, świetna maszyna!

Z tyłu rozległ się jęk Ali Baby. Wczepiał się w krawędzie noszy i był blady jak płótno. Leżąc, obrywał najgorzej ze wszystkich. A skoro jeszcze był ranny...

– Teraz prosto – zakomenderował Siergiejew. – Trzymaj kurs na tę wieżę linii wysokiego napięcia.

Przypominająca rzeźbę szalonego abstrakcjonisty, połamana i skrzywiona konstrukcja stała sto metrów na północny zachód, praktycznie na granicy widoczności. Okazało się, że można tam dojechać w minutę. Dalej wirujący śnieg tworzył zwartą ścianę i nie było widać żadnych punktów orientacyjnych. Prowadzić pojazd po gładkim lodzie to czysta przyjemność, ale według mapy i wskazań GPS – inaczej po prostu się

nie dało.

Siergiejew wstawił GPS w dorobiony uchwyt na desce rozdzielczej i włączył trasownik. Z dwunastu satelitów potrzebnych dla dokładnej lokalizacji miejsca pobytu przyrząd „wymacał” tylko pięć, więc i dokładność była odpowiednia: plus minus dwadzieścia pięć metrów.

– Nie szalej – powiedział Michaił. – Jedź ostrożnie.

Wysoki brzeg, z którego dopiero co zjechali, zniknął w białej mgle.

Dniepr leżał przed nimi, skuty lodem. Nie był tak szeroki, jak go pamiętał Siergiejew, znacznie węższy, ale i tak nadal potężny. Teraz z jego zaśnieżonego cielska wyspy wyłaniały się niczym starożytne twierdze, wznosząc wysoko swoje granitowe brzegi. Drzewa, kiedyś rosnące nad samą wodą, pochylały się nad urwiskami i ich splątane korzenie zwisały zmarzniętymi frędzlami, nie mogąc dosięgnąć ziemi.

Silnik poduszki pracował równo, lecz głośno – nieustanny niski huk wypełniał kabinę i odzywał się wibracjami w kościach.

Lód pod „fartuchem” był stosunkowo gładki – woda zamarzała przy bezwietrznej pogodzie, lecz teraz purga usypywała w poprzek koryta grube śnieżne jezory i widoczność pozostawiała wiele do życzenia. Istniało niebezpieczeństwo wpadnięcia na spiętrzone lodowe torosy lub inne przeszkody.

– Pilnuj obrotów, Wadik – uprzedził Siergiejew jeszcze raz. – Będzie fatalnie, jeśli zarzniemy silniki.

Ten w milczeniu skinął głową i rzucił okiem na deskę rozdzielczą.

Od gorąca jego wielkie uszy poczerwieniały i sterczały na boki jak anteny satelitarne. Na twarzy malował się nieskrywany zachwyt – dowódca szturmowego oddziału Rabbiego był szczęśliwy jak chłopiec, któremu ojciec po raz pierwszy dał potrzymać kierownicę samochodu.

Milczek na odwrót, siedział zasępiiony i uważnie, z zazdrością obserwował, jak Wadim prowadzi poduszki przez śnieżną zasłonę.

Siergiejew odwrócił się i poklepał go po kolanie.

– Jeszcze zdążysz. Droga długa – powiedział półgłosem. – Dostaniesz swoją działkę.

Sądząc z miny, Milczek chciał się uśmiechnąć w odpowiedzi, jednak uznał to za zachowanie niegodne dorosłego człowieka, więc tylko skinął głową.

Matwiej z powodu gorąca czuł się nie najlepiej i dyszał ciężko. Grube krople potu spływały z jego głowy pokrytej białawym puchem, miały miejsce, gdzie kiedyś były brwi, staczały się po policzkach za kołnierz flanelowej koszuli.

Ali Baba czuł się źle, także od wstrząsów. W zasadzie powinien jeszcze trzy, cztery dni leżeć na szpitalnym łóżku, ale rany nie ropyły, nawet zaczęły się zasklepić i on sam nalegał, żeby jak najszybciej ruszyć w drogę.

Timur Krasawicki oczywiście protestował, lecz musiał się poddać – ostatecznie każdy wybiera sobie śmierć według własnego gustu. Jednak zdaje się, że Arab już pożałował swojej decyzji. Był okropnie błądliwy, z ciemnymi kręgami pod oczami, krzywił się przy każdym wstrząsie i nawet zagryzał wargi na większych wybojach. Lecz już nie jęczał, widocznie wstydząc się słabości.

Prawie trzy i pół godziny jechali korytem rzeki bez szczególnych problemów, jeśli nie liczyć objazdu po wąskiej linii brzegowej resztek mostu kolejowego i zardzewiałych wraków wagonów, sterczących z lodu. Na stromych brzegach nie było żadnych śladów mostu. Najprawdopodobniej wagony i pogięte przęsła przyniosła ze sobą Fala z odległości wielu kilometrów. Wyglądało to wszystko tak, jakby ktoś wrzucił do rzeki części gigantycznego „Małego Konstruktora”

i rozdeptał je w ataku wściekłości. Stalowe struktury, porośnięte soplami, przypominały dziwaczne rzeźby, a wagony wyglądały jak chaotycznie rozsypane klocki. Jeden z nich, sterczący pionowo, przypominał zaproszony śniegiem obelisk – koła wisiały w powietrzu, na wgniecionym, kiedyś stalowozarym boku widać było pozostałości liter: STOLICZ... Reszta napisu „Stolicznyj Ekspres” została zatarta przez rdzę.

Musieli objeżdżać też progi.

Siergiejew wiedział, że takich przeszkód jest przed nimi jeszcze wiele – spłycona rzeka z przyjemnością pokazywała kamienne zęby, od ponad trzech czwartych stulecia schowane pod wodą. Jednak kiedy z białej zawiey wyłoniły się granitowe głazy, mimo wszystko poczuł się nieswojo.

Tym razem im się poszczęściło: znaleźli przejście z prawej. W tym miejscu rzeka wymyła sobie drogę,

uniósłszy gwałtownym potokiem część brzegu. Urwisko osłaniało poduszki przed porywistym wiatrem i śnieżycą, lód pod nim był czysty, czarny i przejrzysty. I chyba cienki, a w każdym razie cieńszy niż w miejscach, gdzie nie było bystrego nurtu.

Pod ciemną powierzchnią płynęły na południe setki ton zimnej wody, pędziły z prędkością pośpiesznego pociągu, powoli przewalały się nad głębinami i znów mknęły, po czym, już zmęczone, wpływały wolno do zatrutego, nieżywego Morza Czarnego.

Zatrzymali się i sprawdzili położenie według GPS. Rezultat był całkiem niezły. Udało im się pokonać prawie sześćdziesiąt kilometrów podług trasownika i nieco ponad pięćdziesiąt realnej drogi. Jeden z baków na lewej burcie, jeśli wierzyć czujnikom, był prawie pusty, drugi, położony symetrycznie na prawej – w połowie. Druga para baków była pełna. Zużycie paliwa okazało się niższe od oczekiwanego, ale mimo wszystko niemałe. Chociaż Siergiejew obliczył, że paliwa powinno wystarczyć, a jeśli się poszczęści, na drogę powrotną trzeba będzie dolać tylko sto litrów.

– Zmiana – polecił Siergiejew, składając mapę. – Wadik, idź do tyłu, do Matwieja. Milczek, siadaj obok, będziesz stażystą.

Obejrzał się.

– Motel, jak tam u ciebie?

– Bywało lepiej, Misza – odrzekł Podolski.

Nie przestał się pocić, ale już nie dyszał i kuczał teraz koło noszy Ali Baby, sprawdzając opatrunki. Ten patrzył na niego oczami gazeli i milczał, przygryzając wargę.

Tak powstają osnowy międzynarodowej przyjaźni, pomyślał Siergiejew z dozą czarnego humoru. I humanitaryzm zwycięża wielowiekową wrogość. Co bardzo raduje, szczególnie jak sobie przypomnieć, co zrobił ten syn pustyni z rejssem El Al.

Jednak Matwiej o tym nie wiedział, ani Wadik. I zdradzać im szczegółów tego dawnego i krwawego wydarzenia Siergiejew nie zamierzał. Ani uświadamiać o roli bezsilnego teraz Ali Baby w akcie terrorystycznym na pokładzie izraelskiego samolotu. Jego towarzyszom mogłoby zabraknąć humanitaryzmu.

– Nic strasznego – zameldował Motel. – Oczywiście go boli, ale rany się nie otworzyły. Słuchaj, Ali – zwrócił się do Araba po angielsku, z okropnym akcentem, ale całkiem zrozumiale – musisz wytrzymać. Dam ci parę tabletek analgetyku, będzie lżej.

Ali Baba, na którego głowę Mossad polował od dobrej dekady, przyjął środki przeciwbólowe z ręki Żyda Podolskiego i chciwie zapił je wodą z plastikowej butelki.

Siergiejew zajął miejsce kierowcy. Fotel był wygodniejszy niż w transporterze, ale operowanie dwoma pedałami i dwiema dźwigniami podczas wielogodzinnej podróży stanowiło wątpliwą przyjemność. Michaił kilka razy poruszył wajchami wirników – nie było oblodzenia, chodziły lekko – i płynnie ruszył z miejsca.

Do zmierzchu pozostawało niespełna siedem godzin. Przez ten czas Siergiejew chciałby pokonać jeszcze sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kilometrów.



Póki wiatr gnał nad rzeką ciężkie śnieżne chmury, mogli nie obawiać się śmigłowców. Jednak prędzej czy później zamieć się skończy, a wtedy...

O tym, co będzie wtedy, Siergiejew nie zdążył pomyśleć.

Z purgi wyłoniła się leżąca na boku wywrotka – jak mamut przewrócony na lód. Mocarne uderzenie przekreśliło pudło pod niewiarygodnym kątem względem podwozia, koła wieńczące potworne osie obwisły niczym kapelusze wielkich grzybów. Oderwany uderzeniem sworzeń wchodził w lód jak gigantyczne żądło.

– Nie pogadasz! – westchnął Wadik.

Widok rzeczywiście robił wrażenie, lecz Michaił nie miał czasu na oglądanie.

Rzucił poduszkowiec w lewo, bardziej kierowany intuicją niż wzrokiem, i okazało się, że miał rację. Gdyby odbił w prawo, jak nic wpadłoby na wał napędowy grubości solidnej sosny. Pojazd przemknął całkiem blisko wywrotki, niemalże dotykając burtą zardzewiałego podwozia, i znów zanurkował w zawieję.

– A to dopiero... – odezwał się z tyłu Matwiej. – Nawet nie zdążyłem się wystraszyć. Co to było? BiełAZ[20]?

– Chyba tak – odparł Siergiejew. – Uf! Aż się spociłem! Może byśmy się nie rozbili, ale maszynkę na pewno byśmy uszkodzili.

Od strony noszy Ali Baby doniosło się kilka słów w farsy. Jednym z nich wyraźnie było „inszallah”[21].

– Zapamiętałeś, co i jak robiłem? – zapytał Michaił Milczka, uśmiechając się w duchu. – Patrz, ta dźwignia kieruje...

Samochód Hasana stał na trotuarze koło restauracji, odgrodziwszy rolls-royce'a właściciela lokalu od wejścia.

Kierowca właściciela Sarastro, dość ponury, krótko ostrzyżony facet o słowiańskiej urodzie, podpierał drzwi czarnej, lśniącej bryły ze „srebrnym duchem” na masce i mierzył się wzrokiem z szoferem Hasana, stojącym obok nie mniej czarnego najnowszego rangę rovera.

Na zewnątrz było rześko, pachniało deszczem i ozonem.

– Przejdę się – powiedział Siergiejew. – Wiesz chyba, gdzie mnie znaleźć?

– Nie martw się tym – odrzekł Hasan z poważnym wyrazem twarzy.

– A jednak ciekawe, kto wymyślił taki schemat? – zapytał Michaił. – Przecież dla tego, żeby mnie wydać, trzeba było mieć ważne przyczyny. Komu przyszło do głowy zebrać razem ciebie i mnie?

Hasan popatrzył na niego z zainteresowaniem, zamyslił się na chwilę, a potem machnął ręką kierowcy: „jedź za mną!”

i poszedł obok Michaiła w stronę Covent Garden.

Zmierzch dopiero zamierzał zsunąć się na wiecznie wilgotne londyńskie dachy. Na placu koło rynku turyści rozsiadali się w letnich ogródkach restauracji, a od strony niedalekiego Chinatown niosły się piskliwa muzyka i łomot bębnow.

Z boku Siergiejew i Hasan Al-Fahri wyglądali jak niespiesznie przechadzający się przyjaciele. Michaił w swoim białym płóciennym garniturze a la Latynos i Arab w czerni, z lśniącym bielą gorsem bez względu na kontrast w odzieży nie wyglądali jak antagoniści.

Przeciwnie, w gracji ruchów, sprężystości kroku, postawie było tak wiele podobieństw, że postronny obserwator mógłby ich pomylić ze sobą, zwłaszcza o zmroku. To podobieństwo było piętrem profesji: chociaż jeden był terrorystą i handlarzem bronią, a drugi byłym pracownikiem spec służb, przez całe życie zajmowali się zasadniczo tym samym.

I teraz, kiedy rozmawiając szli wolno ramię w ramię po turystycznym centrum Londynu, nikomu nie przyszłoby na myśl, że tych dwóch może sobie skoczyć do gardeł w ułamku sekundy.

– Ja też zadawałem sobie to pytanie – powiedział Hasan. – Dlaczego twoi byli szefowie mi ciebie oddali? Nie wiem. Ja o nic nie prosiłem. Po prostu pewnego pięknego dnia zadzwonili i złożyli propozycję...

– I ona była lepsza niż propozycja Blinowa – dokończył Siergiejew.

Hasan urywanie zaświstał, co miało oznaczać śmiech.

– O tak! W tamtej chwili każda inna propozycja byłaby dla mnie lepsza. Przecież mnie w ogóle nie zapraszano do uczestnictwa w tej transakcji. Uznali, że mogą się obejść beze mnie...

Ach, o to chodzi, pomyślał Siergiejew. Można do woli kalkulować i składać zawile kombinacje, a i tak rację mają ci, co zawsze i we wszystkim liczą nie na wyrafinowaną inteligencję, lecz na banalne ludzkie uczucia. Zawieść. Fałsz. Chęć poniżenia bliźniego. Urażona miłość własna. Żądza. Chciwość. Uniwersalny mechanizm spustowy. Oni uznali, że mogą się obejść beze mnie! I pooszło...! Kradnie się informacje. Żołnierze gotują się do ataku. Dziesiątki ludzi przemieszczają się po świecie, żeby zająć pozycje wyjściowe zgodnie z zaleceniami wysoko opłacanych analityków. Wszystko zostanie rzucone na szalę, aby jedno państwo przechwyciło korzystne kontrakty drugiego państwa. Jednak ziarno zostało zasiane jednym



zdaniem: „Wiesz, słyszałem, że twoi byli partnerzy obeszlą się bez ciebie!“. Dlatego że nie ma lepszej motywacji dla takiego człowieka jak Hasan niż urażona ambicja.

Michaił uśmiechnął się niewesoło.

– Nawet jeśli oni obeszlą się bez ciebie... Nie sądzę, żebyś się obraził.

– Kiedy ja się obrażam, to kończy się to czyjąś śmiercią!

– Nie przesadzaj, Hasan. Raszyd i Blinów mieli powody, żeby ci nie ufać. Mocne powody!

Ku zdziwieniu Siergiejewa Al– Fahri się z tym zgodził.

– Tak, mieli. Ja też bym nikomu nie wierzył po takiej strzelaninie. Ale oni pracują ze mną nie pierwszy rok. Mogliśmy to wszystko wyjaśnić.

– Ludzie, którzy poradzili ci, żebyś pracował ze mną, też mnie znali niejednym razem. Jednak nie przeszkodziło im to w ujawnieniu tajnych informacji.

– Wy, niewierni...

– Zostawmy religijne dysputy, Hasan. Wydali mnie nie dlatego, że moi szefowie nie są muzułmanami, tylko dlatego, że to było dla nich korzystne w tym momencie. W perspektywie bliskiej czy dalekiej na razie nie wiadomo, ale „na teraz”

korzystne. I nie mów mi, że muzułmanie nie zdradzają, na Allacha! Zdradzają, jeszcze jak! I chasydzi zdradzają!

I grekokatolicy! Dopóki to będzie dochodowym biznesem, nie przestaną zdradzać. A dochodowym biznesem będzie zawsze.

Minęli stację metra zajmującą róg budynku, kilka sklepów, przy których tłoczyła się młodzież. Na wąskich ławeczkach, stojących pośrodku chodnika, nie było wolnego nawet cala – okupowały je całe grupy: kolorowe, rozluźnione i wesołe.

Rozbrzmiewał śmiech.

Zawsze byłem tego pozbawiony, pomyślał Siergiejew, przesuwając wzrokiem po chłopcach i dziewczynach zbierających się na wieczorny dubbing. Dziewczeta były ładne. Chłopcy w miarę męscy. A mnie najpierw pozbawiono bez troski dzieciństwa. Potem swobody młodości. Wszystkie swoje radości nie otrzymałem, ale urwałem od obowiązków służbowych. Nawet teraz nie spaceruję po jednym z najpiękniejszych miast świata, ale idę wyłącznie w sprawie, z którą wolałbym nie mieć nic wspólnego. Nie z ukochaną kobietą, którą zostawiłem w domu, ale z człowiekiem, którego nie znam i nie chciałbym poznać. Do którego czuję antypatię na poziomie pierwotnej chemii. Z wczorajszym przeciwnikiem, którego nieustannie sonduję, podobnie jak on mnie. Cóż może być niebezpieczniejszego niż tymczasowy sojusznik? Ale właśnie jego wyznaczyli mi jako partnera w tej grze, której sensu znów nie rozumiem.

Wyszli z krótkiego zaułka na róg uliczki przytykającej do stopni bramy teatru i tuż przy nich jak spod ziemi wyłonił się dżip Hasana. Za przyciemnionymi szybami mignął cień. Ochroniarze odpracowywali swoją pensję starannie i nie bez pewnego szyku.

– Kiedy Allah chce kogoś wypróbować, zmusza go do przewyciężenia własnej dumy.

– Nie łudź się. Nasze sprawy są zbyt drobne, żeby Allah zwracał na nie uwagę, Hasan. Ja nie uważam tego za próbę.

– Wiesz, Siergiejew, czuję, że gdybyś miał wybór...

– Owszem – potwierdził Michaił spokojnie. – Ale to nie mój wybór. To praca. Podałeś hasło. Dostałem rozkaz współpracować z tym, kto się ze mną skontaktuje. Kiedyś, wiele lat temu, uczono nas nie podawać w wątpliwość rozkazów dowódców, by nie psuć ich genialnych zamysłów. Podporządkowuję się. – Zerknął na zadowoloną twarz rozmówcy i dodał: – Na razie, Nuker. Tylko na razie. Ty też, jak widzę, nie masz wobec mnie braterskich uczuć. Jesteśmy tylko chwilowymi towarzyszami podróży...

– Z woli Allacha – zaskrzyphiał Al– Fahri, zatrzymując się.

– No... Ja bym nie był taki wyniosły – odezwał się Siergiejew w zadumie.

– Dobrze powiedziane: towarzysze podróży. Współpodróżny to nikt. To nie gość, którego nie wolno tknąć, póki jest w twoim domu. Nie przyjaciel tej samej wiary, któremu przykazano oddawać wszystko, nie wróg, którego zabicie jest czynem pochwalnym. A ty nigdy nie zostaniesz ani gościem, ani przyjacielem, ani współwyznawcą...

– W moim wieku już się nie obrzezują – uśmiechnął się Michaił, przystając i patrząc w czarne, lśniące oczy Nukera. – Tak więc w tym masz rację: nie będziemy współwyznawcami. Ale jeden wakat został! Towarzysz podróży zawsze może stać się wrogiem. Tak?

– Tak – potwierdził Al– Fahri.

Zachowywał spokój (profesjonalista, jak by nie było) jednak jego nozdrza drgały nerwowo, jak u achatekińskiego ogiera, który poczuł wilki.

– I jeśli Bóg jest po twojej stronie, *szurawi* [22], uczyni tak, żebyś znalazł się jak najdalej ode mnie, kiedy nasze drogi się rozejdą. Nie złość mnie, towarzyszu podróży! Nie sprawdzaj, jak wiele obelg mogę wysłuchać i nie zabić cię! Jesteś mi potrzebny, ale nie na tyle, żeby być niedotykalnym.

– W takim razie ty też zapamiętaj, Hasan, że ja otrzymałem rozkaz, ale nie ma komu sprawdzić jego spełnienia.

Rozumiesz, o czym mówię?

Nieoczekiwanie Al– Fahri uśmiechnął się. W kącikach oczu pojawiły się zmarszczki, na niebieskawych po goleniu policzkach – dołeczki. Zaśmiał się, unosząc podbródek, co bardziej uwidocznilo bliznę na szyi – zarosnięty tkanką otwór wlotowy po kuli, węzeł wielkości fasoli. Zadygotała duża, kanciasta grdyka, błysnęły zęby białe jak cukier.

– Ten, kto nas zetknął, rozumował prawidłowo – powiedział Hasan, wyśmiawszy się. Jego głos brzmiał mechanicznie i drżał, jak stary, rozklekotany rower na wybojach. – Któż będzie lepiej obserwował się nawzajem? Naturalnie dwaj wrogowie, którzy mają jeden wspólny cel! Ty nie przepuścisz mojego błędu, a ja, możesz mi wierzyć, nie przeoczę twojego. Jeśli będziemy musieli zabić jeden drugiego, zrobimy to z przyjemnością. Masz odpowiedź na swoje pytanie, Siergiejew! Jesteśmy idealną parą, żeby wykonać to, co nam zlecono.

Za jego plecami znów pojawił się czarny rangę rover Hasana. Do takich manewrów w wąskich uliczkach Covent Garden, z ruchem jednostronnym na dodatek, trzeba było asa. Tylne drzwi dżipa otworzyły się i Siergiejew zobaczył lufę z masywnym cylindrem tłumika. Poważna armata – dziewięćmilimetrowy ingram, zdolny przemienić ich z Hasanem w farsz w ciągu sekund. Twarzy człowieka trzymającego ich na muszce nie było widać, jednak niewątpliwie miał bardzo nieprzyjemne zamiary.

Za plecami Siergiejewa również coś się działo. Wyraz twarzy Al– Fahriego niemal się nie zmienił, ale jeśli sądzić z jego oczu, nie podobało mu się to, co widział.

Powoli, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, Michaił spojrział przez ramię.

To, co tak nie radowało Hasana, nosiło nazwę Heckler & Koch. Zabawna kompaktowa maszynka, przebijająca pociskami kamizelki kuloodporne, jakby były zrobione z papieru. Szczególnie z takiej odległości. Trzymał go w ręku – należy zauważyć, że całkiem pewnie – gruby, czarny jak ebonit sprzedawca zabawek, u którego nóg czołgał się wydający paskudne terkoczące dźwięki komandos na baterie.

Sytuacja nie była tragiczna. Nie cud– miód, ale można zaryzykować, chociaż chłopcy rozstawili się tak, żeby nie znaleźć się pod krzyżowym ogniem. Hasan oczywiście natychmiast uda się na spotkanie z Allachem, ale kto powiedział, że stanie się męczennikiem ma być łatwe i przyjemne? Za to Siergiejew ma szanse się wyślizgnąć. Przy czym nie tylko zostać przy życiu, lecz również położyć obu strzelców i kierowcę.

Był tylko jeden problem – na placu dokoła kipiało życie. Przy wejściu do cukierni stali turyści, pod kinem tłoczył się tłumek nastolatków, parę kroków dalej dwie staruszki – iście bukoliczne w czarnych „wdowich” sukienkach i modnych w latach trzydziestych kapeluszkach na białych loczkach – karmiły bezczelne, tłuste gołębie. W nosidełku na piersi rosłego rudego chłopaka wisiał grubiućki, tak samo rudy Brytyjczyk, na oko kilkumiesięczny. Jego tata obejmował dużą, grubonogą dziewczynę w dzinsowych szortach i workowatym T– shircie. Cała rodzina szła prosto na dżipa, a więc także na lufę ingrama.

Kątem oka Michaił zauważył, jak napięły się ramiona Nukera, i powiedział: – Spokojnie, nie ruszaj się.

Hasan był bładą bladością adrenalिनowego narkomana. Jego źrenice się rozszerzyły, wargi zacisnęły w wąską linię.

Siergiejew wiedział, że Arab jest napięty niczym stalowa sprężyna, gotowa w każdej chwili wyrwać się, niszcząc wszystko dokoła. Można było mieć pewność, że los pyzatego rudego malca mało go obchodzi. Jak i losy wszystkich pozostałych ludzi na tym placu.

To nie była nawet kwestia sekund, ale ułamków sekundy. Al- Fahri nie miał najmniejszej szansy, jeśli zacznie swój bezrozumny taniec. Siergiejew również jej nie miał, jeśli Hasan podejmie działanie. Co więcej, u wielu beztroskich turystów krążących w okolicy prawdopodobieństwo przeżycia równało się zeru. Michał doskonale wiedział, czym jest strzelanina w centrum miasta, a co do tego, że obaj mężczyźni będą strzelać tak, by zabić, nie miał wątpliwości. Zbyt mocno wczepiali się w swoje „pukawki”.

– Nie waż się – powiedział do Nukera w farsy. Do diabła z maskowaniem! Słowa w ojczystym języku i świadomość tego, że wypowiedział je *szurawi*, sprawiły, że Hasan drgnął, a Siergiejew zyskał tę sekundę, tak bardzo mu potrzebną. – Stój spokojnie i pozwól mi działać.

Adrenalinowy blask w oczach Araba zaczął gasnąć. Stało się jasne, że wybuchu już nie będzie, czyli szanse Siergiejewa, by zakończyć wszystko na swoją korzyść, rosły!

– Do samochodu! – rozkazał Murzyn angielszczyzną, w której wyraźnie było słycać obcy, gardłowy akcent. Hekler w jego wielkim łapsku wyglądał jak kieszonkowy browning. – Szybko, szybko! Żebym nie musiał powtarzać!

Był pyzaty, tęgi i tak czarny, jak czarni bywają tylko mieszkańcy Afryki Środkowej – to jest radykalnie, jak pasta do butów, jednak zarazem przypominał amerykańskiego komika Johna Candy'ego. Takie porównanie przyszło Siergiejewowi do głowy niemal od razu, jak tylko Murzyn się odezwał, i tak też ochrzcił go w myślach: Candy. „Cukierczek” ważył jakieś sto trzydzieści, sto czterdzieści kilo, lecz nie było w tych kilogramach niezdrowego tłuszczu. Sprzedawca zabawek był zbudowany jak buldożer, a cała ta masa mogła runąć naprzeciw niebezpieczeństwa z szybkością sportowego samochodu.

– Ruszaj kulasami, facio! – powtórzył Murzyn. – Nie zmuszaj mnie, żebym się zdenerwował.

Siergiejew wzruszył ramionami i podszedł do drzwi dżipa. Z wnętrza rovera cuchnęło spalonym prochem i krwią.

Żeby tylko Nuker niczego nie wywinął! – pomyślał. Wszystko zepsuje!

Z tyłu hałasował i strzelał z plastikowego M16 zabawkowy żołnierz, dzielnie pełną po chodniku.

Człowiek z ingramem na tylnym siedzeniu dżipa okazał się młodym czarnoskórym chłopakiem nieco po dwudziestce, ubranym całkowicie na czarno, co Siergiejewowi natychmiast przypomniało dziecinne powiedzonko „Murzyn w piwnicy na węgiel” – na tyle słabo widoczny był strzelec z powodu mocno przyciemnionych tylnych szyb. Jednak sam wszystko widział doskonale.

– Stój! – zakomenderował, kiedy Michał podszedł całkiem blisko. – Pokaż, co masz pod marynarką!

Jego angielski był prawidłowy, pozbawiony obcego akcentu i przekreślonych słów. Jasne, że młody nie będzie używać przestarzałego, slangowego „facio”, bo tak nie mówi się już od niemal dwudziestu lat, za to niewykluczone, że nazwie Siergiejewa „kolo”.

Broni pod białą marynarką oczywiście nie było – ani z przodu, ani z tyłu. I oczywiście w pasku Michała kryło się ostre jak brzytwa, twarde plastikowe ostrze, zdolne w razie czego rozciąć gardło lub brzuch, lecz pora na to jeszcze nie nadeszła.

– Super, kolo – powiedział młody. Siergiejew nareszcie zobaczył jego twarz i natychmiast nazwał go Piętaszkiem, z powodu wydatnych warg, grubych niczym wałki w starej wyżymacze. – A teraz włącz i siadaj tu obok! Grzecznie, jak aniołek!

Piętaszek całkowicie profesjonalnie cofnął się w głąb auta, wpuszczając Siergiejewa do środka. Automat w jego ręku praktycznie ani na jotę nie odchylił się od linii prowadzenia ognia – lufa zaopatrzona w tłumik śledziła każdy gest Michała.

Siergiejew usiadł, czując, jak ingram wpija mu się w żebra. Prochem śmierdziało całe wnętrze, z przestrelonego siedzenia kierowcy wyłaziła wyściółka. Krwią czuć było z bagażnika.

Siergiejew kątem oka dostrzegł wsiąkającą w jasną wykładzinę ciemną krew. Wygiętą w nadgarstku dłoń, spoczywającą na czymś lśniąącym półbucie. Obaj – ochroniarz i szofer – leżeli tam niczym zwalone na kupę rzeczy do prania, tuż obok, martwi jak tuszki brojlerów. Zabito ich szybko i beznamiętnie, jak w fabryce. I cicho. A zrobiono to w centrum Londynu, w cudowny letni wieczór, w otoczeniu tysięcy

spacerujących turystów.

Albo Candy i Piętaszek byli skończonymi kanaliaми, a takich, tylko w białych wersjach, Siergiejew naoglądał się, kiedy przyjeżdżał do domu w początkach lat dziewięćdziesiątych. Gnidy – przycisnąć, a pękną, lecz nie daj Boże trafić na nich, kiedy są nabuzowani! Albo też byli prawdziwymi zawodowcami, opłacanymi brzęczącą monetą specjalistami, co byłoby wariantem gorszym. Znacznie gorszym. Ale jednak nie śmiertelnym.

Hasan cofał się powoli w stronę auta, spychany górą mięśni w postaci sprzedawcy zabawek. Niemalże syczał jak rozwścieczony kot. Nawet włosy na jego potylicy stały dęba, jak sierść na kocim karku.

Jakaś dziewczyna, krótko ostrzyżona i chuda jak patyk, zauważyła zajście i powiedziała coś do przyjaciółki – grubej i żującej kanapkę. Ta kiwnęła ręką i nawet wskazała dżipa, lecz młodzieńskim turystkom raczej nie mogło przyjść do głowy, że są o dwa kroki od śmierci w tak niewinnie wyglądającej postaci jak uliczny sprzedawca tandetnych zabawek.

Mężczyzna, zauważając dziewczęta, przyjaźnie pomachał im i pokazał białe zęby w uśmiechu.

Hasan oparł się o nadkole i namacawszy ręką siedzenie, chciał wsiąść, lecz Candy szturchnął go łufą w splot słoneczny i zrećnie obszukał. Siergiejew uśmiechnął się jednym kącikiem ust.

Sekunda i Hasan siedział koło niego, wściekły i oddychający ciężko.

Wielkolud demonstracyjnie, żeby nie było żadnych wątpliwości, szczerknął blokadą zamka na drzwiach i już zamierzał je zatrzaskać, kiedy w stopę stuknął go plastikowy komandos, który wreszcie doczołgał się do celu. Z niesłychanym zadowoleniem wypisanym na czarnej twarzy Candy podniósł nogę i z rozmachem opuścił ją na głowę nieszczęsnego żołnierzyka. Chrupnął miazdżony plastik, wizgnął głośniczek i mechaniczny hałas się urwał. Candy parę razy przekręcił stopę, jakby zginał tarantulę lub skorpioną, po czym cmoknął dźwięcznie.

Drzwi dżipa zamknęły się z głuchym „rasowym” stuknięciem, a wielkolud w mgnieniu oka znalazł się na przednim siedzeniu, obok kierowcy, w półobrocie do jeńców. Jego automat celował w nich poprzez oparcie fotela. Siergiejew zauważył, że jest to w pełni profesjonalne. Dla heklera konstrukcja fotela nie była żadną przeszkodą, a ani Hasan, ani on nie mieli możliwości osiągnąć broni przeciwnika.

Piętaszek powiedział coś do kierowcy w nieznanym gardłowym języku, dżip ruszył i Siergiejew dopiero teraz zauważył, że kierowcą tej parki była dziewczyna, tak samo czarna jak porywacze. Niewielkiego wzrostu, więc oparcie fotela niemal całkowicie ją zasłaniało, lecz w lusterku błyskały białka czarnych oczu i jaskrawa, widoczna nawet w półmroku szminka na wargach.

– Siedzieć cicho – rozkazał Candy, nie zmieniając przyjaznej miny na szerokiej fizjonomii. – Nie gadać. Nie robić gwałtownych ruchów. A wszyscy przeżyją.

Wyraźnie to on tu dowodził. Ani Piętaszek z jego elegancką wymową, ani dziewczyna za kierownicą nie odezwali się.

Jednak taki podział obowiązków równie dobrze mógł być efektywnym kamuflażem, a liderem mogła okazać się dziewczyna, z twarzy kojarząca się z sójką. Dlatego Siergiejew postanowił nie fiksować się na takich kwestiach, chociaż ta wiedza mogłaby się przydać – to z liderem należało próbować się dogadać i lidera w razie czego należało zabić jako pierwszego. Na razie, póki istniała możliwość, postanowił obserwować, stawiając w myślach „ptaszka” przy kandydaturze Candy'ego.

Siedzący po jego prawej stronie Hasan powoli przymknął oczy i wyrównał oddech, opanowując nerwy.

Łufa boleśnie uciskała Siergiejewa w zębra.

Michaił przymierzył się w myślach – jeśli lewym łokciem uderzyć w górę, celując w koniec nosa, to porywacza dałoby się zabić, lecz kto wie, jak silnie wyrobione ma Piętaszek odruchy? Jeśli odpowiednio, to zdąży nacisnąć na spust nawet już martwy (a w tej zabawce jest on lekki jak piórko!) i zrobi z nich obu sito. Tak więc wbijanie mu kości nosowej w mózg mogło być niebezpieczne. Przynajmniej w tej chwili.

Trudno było określić, dokąd jada, ale nieważne, gdziekolwiek potoczyłby się dżip, wyrwawszy się z labiryntu uliczek Covent Garden, ich szanse na podjęcie działań malały w miarę oddalania się od centrum miasta. W centrum można było liczyć na pomoc policji, na spostrzegawczych przechodniów, ostatecznie na szczęśliwy przypadek! Na przedmieściach zostawali z problemem sam na sam. A problem był poważny.

Ludzie, którzy ich porwali, byli niewątpliwie Afrykanami i najprawdopodobniej mieli doświadczenie

z uczestnictwa w jednej z wojen domowych. To, jak zuchwale i z jaką łatwością zastrzelili kierowcę i ochroniarza Hasana literalnie na oczach przechodniów, mówiło Siergiejewowi więcej niż szczegółowa biografia każdego z nich.

Ten, kto nie widział, czym jest wojna w Afryce, po prostu nie jest w stanie sobie wyobrazić, jak bezwartościowy może stać się ludzki żywot. Siergiejew widział i wrażeń starczyło mu na całą resztę życia. Dlatego też nie mógł go oszukać uśmiech na twarzy Candy'ego ani dobroduszny grymas na fizjonomii Piętaszka, ani lękliwie zerkająca Sójka. Bardzo przekonujące fakty leżały za ich plecami, stygnąc i brudząc krwią wykładzinę w bagażniku.

Nie miał złudzeń.

Najmniejsza okazja, by strzelać – i ci ludzie będą strzelać. To dla nich odruchowe. Nawyk. Tak rozwiązują problemy.

Bez złości, rutynowo miażdżą czaszki kolbami, drewnianymi młotkami lub strzelają w tył głowy.

Odcinają nosy i uszy, robiąc z nich potem naszyjniki, gwałcą wszystko, co żywe, a kiedy żywego zabraknie, to i martwe.

Tam, w Afryce, powodem do zabójstwa może być przynależność do innego plemienia, wyznania, wyrachowanie albo po prostu zły humor... Długo by wymieniać! Oni zabijają dlatego, że zabić jest łatwiej, niż rozmawiać, łatwiej, niż przepędzić albo coś zabrać. Zabić znaczy za jednym zamachem rozwiązać wszystkie kwestie: i przeszłe, i te, które mogłyby pojawić się w przyszłości. I tutaj, w jednej z najbardziej cywilizowanych europejskich stolic, ta trójka nie mogła zachowywać się inaczej: doświadczenie wieloletniej wojny stuknęło do ich serc jak prochy Claesa do serca Dyla Sowizdrzała. Kiedy tylko pojawi się jakaś niewygodna, pozbędą się jej jedynym dostępnym im sposobem.

Czyli póki nie będzie pełnej jasności, nie należy im dawać powodu do naciśnięcia na spust. Michaił miał nadzieję, że Al- Fahri również to rozumie, gdyż niezależnie od wzajemnych sympatii czy antypatii siedzieli w jednej łódce.

– No i? – zapytał Siergiejew, zwracając się do Candy'ego spokojnym tonem. – Co dalej? Dokąd jedziemy? Do kogo? Co będziemy robić?

– Co będziemy robić? – powtórzył tamten, chuchając na Michaiła skoncentrowanym aromatem czosnku. – Nie martw się, stary, na razie nie będziemy strzelać, na razie jedziemy. A potem... Potem albo się zaprzyjaźnimy, albo będziemy umierać. Zobaczymy.

W dżipie można było się udusić. Poza odorem czosnku, prochu i krwi, zapachem skórzanych siedzeń w kabinie ktoś cuchnął potem jak koń wyścigowy na finiszu.

– Zgadza się – potwierdził Piętaszek. – Obejrzą was. I zdecydują.

Potem śmierdział nie on, i nie Candy.

Nieźle, pomyślał Michaił, starając się głęboko nie oddychać. Dziewczyny tak nie pachną. Nikt tak nie pachnie. Jak ona, biedna, z tym żyje? Znaleźć ją w dżungli po zapachu to jak splunąć.

– Widocznie taki mam dziś dzień – powiedział Siergiejew, zwracając się bardziej do Hasana niż porywaczy. – Pechowy.

Dlaczego wszyscy chcą ze mną rozmawiać?

Przeniósł spojrzenie na Candy'ego, szczerzącego zęby nad oparciem przedniego fotela, i kontynuował: – Niestety, panowie, nie rozumiem, czego ode mnie chcecie... Jestem obywatelem Argentyny! Może mnie z kimś pomyliliście?

Sójka znów spojrzała na niego krótko poprzez wsteczne lustro. Czujnie, jakby z kimś porównywała.

– Pomyliliśmy? – znów powtórzył Candy. Albo był nieco głuchy, albo niedostatecznie dobrze władał obcym językiem, by szybko przełożyć zdanie z angielskiego na ojczysty. – W zasadzie mamy to w dupie. Jeśli pomyliliśmy, to znaczy, że nie masz fartu. Wpadłeś, stary!

– Tylko że nam się wydaje – podjął Piętaszek i pokręcił lufą w boku Siergiejewa – że my się nie mylimy, a ty nam bezwstydnie łiesz!

Uśmiechnął się, pochylił i zajrzał Michaiłowi w oczy. Czasami śmierć patrzy właśnie tak: z białozębym uśmiechem, wypełzającym z różowej muszli grubych warg. Jednak przez to nie przestaje być śmiercią.

– Nie należy nam kłamać – rzekł młodszy porywacz i nacisnął jeszcze mocniej. Siergiejew miał

wrażenie, że zaraz trzaska mu zebra. – Nam należy mówić prawdę i tylko prawdę. Będą ci zadawać pytania i jeśli powiesz coś głupiego, osobiście odstrzelę ci fiuta. Zrozumiano?

– Zabierz tę rurę – odparł Michał. – Wszystko i tak wygląda dostatecznie przekonująco. Po co jeszcze te łaskotki? Do kogo jedziemy?

– Zobaczysz – uciął Candy.

– Bazylewicz – wycedził Hasan. – Sukinsyn...

I ponownie, tak jak poprzednio w restauracji, wyrzucił z siebie długie i melodyjne niczym poezja Chajjama przekleństwo wfarsi.

Ręka Candy'ego wyprysnęła zza oparcia ze zdumiewającą szybkością i celnością. Hasan stęknął, łapiąc się za brew.

Między palcami Araba pociekła krew – Murzyn nosił duży, kanciasty sygnet, a jeśli sądzić po tym, z jaką wprawą zadał cios, często używał sygnetu właśnie jako kastetu.

Wzrok Hasana, wbity w Candy'ego, mógłby roztopiać skały i śmiertelnie przerazić człowieka, ale do tego czarnoskóry musiałby mieć trochę wyobraźni. A najwyraźniej nie miał.

– Widzisz? – powiedział wielkolud całkiem przyjaźnie. – Nie mów tak, żebym nie rozumiał. Jak nie rozumiem, to się zaczynam denerwować. Kiedy się denerwuję, mogę skaleczyć. Albo zabić.

Dżip minął bramę Hyde Parku i prowadzony pewną ręką Sójki toczył się w zwartym potoku pojazdów. Samochodów i autobusów było bardzo dużo, jednak jakimś cudem cała ta obfitość nie zmieniała się w jeden wielki korek, tylko jechała, choć wolno, po ulicach handlowych pełnych turystów, a nabierała prędkości i rozrzedzała się na rozszerzeniach dróg, wylewała na przecinające Tamizę mosty i znów powoli ciekła w stronę przedmieść oraz dzielnic sypialnianych.

Na miasto wraz z lekką mgłą zaczynał opadać późny letni zmierzch. Krążył nad bulwarami, oświetlonymi mętными plamami latarni, nad czarną wodą. W ciemniejące niebo wystrzeliły wieże Tower obramowane światłami reflektorów, jak wielka kolorowa plama w czerwonej tonacji wybuchła fasada parlamentu, majestatycznie zapłonęły girlandami świateł mosty i niczym koło fortuny wyłoniło się z mętnego niebytu nadchodzącej nocy gorejące London Eye.

Pokropił lekki deszczyk i wycieraczki zgarnęły krople z przedniej szyby.

W dżipie panowało napięte milczenie. Nikt nie zakrywał jeńcem oczu, nie kazał kłaść się na podłozę, co Siergiejew uznał za zły znak. Wiele elementów było nieprawidłowych. Zbyt wiele. Te nieprawidłowości zaczęły się jeszcze w Kijowie i narastały jak kula śnieżna, grożąc przeistoczeniem się w lawinę, która pogrzebie mnóstwo żywotów, losów i planów.

Michał był pewien, że z rozmachem rzucił się (lub został rzucony) w wielką grę z uczestnictwem nieznanymi graczy, z nieokreślonymi zasadami, ale za to z całkowicie jasnym i niekorzystnym dla niego wynikiem.

Ta pewność miała podstawy. Z jakiegoś powodu właśnie teraz, wciśnięty między wściekłego Hasana a wyszczerzonego Piętaszka, Siergiejew zrozumiał, że Blinów nie chciał złożyć go na ołtarzu swoich przestępczych planów lub niskich skłonności. Blinów chciał jedynie rozjaśnić sytuację. I Siergiejew był najlepszym narzędziem, jakie Władimir Anatoljewicz miał do dyspozycji. Poszczył swojego starego kolegę, jak strażnik szczuje bulteriera, kiedy słyszy podejrzone odgłosy na terenie ochranianej siedziby – starając się wyprzedzić wydarzenia. Jednak żeby tak postąpić. Blinów powinien mieć informacje o tym, co Siergiejew może, i rozumieć, jak wiele on może.

I on to rozumiał.

To nie mogło być zwykłym wyciekami informacji. System bezpieczeństwa tworzony był starannie i przez bardzo odpowiedzialnych ludzi. Ludzi potrafiących zachowywać informacje przy sobie, jeszcze z tych czasów, kiedy za nieostrożnie wypowiedziane słowo można było zapłacić życiem. To naturalnie nie oznaczało, że w tamtych czasach nie wydawano agentów. Oczywiście, że wydawano... Jednak było to wyjątkiem. Sytuacją niezwykle rzadką, spowodowaną tylko potrzebami państwa lub zdradą. To, co teraz działo się z Siergiejewem, mogło mieć dowolny z tych dwóch korzeni.

Pozostawało odpowiedzieć na pytania: jakie państwo nagle zaczęło potrzebować jego specyficznych usług lub kto, ściśle mówiąc, go sprzedał, rzuciwszy w wir prywatnych interesów?

Narzuciła się jedna myśl. Źródeł informacji szefów Hasana, Blinowa i tej czarnej trójcy należało szukać w Moskwie.

A jeszcze lepiej: spytać pana Kasperskiego. Niestety, w tej chwili było to niemożliwe.

Natomiast co jak co, ale nie należało teraz milczeć. Atmosfera w rangę roverze i tak była nieprzyjemna. Pomimo różnorodności zapachów królujących w kabinie dżipa Siergiejew wyławiał jeszcze woń strachu. Któres z Afrykańczyków się bało, choć niczym tego nie okazywało. Kiedy człowiek chce się wydawać supermanem i do tego znajduje się na granicy paniki – to się może źle skończyć. Na przykład strzelaniną w ciasnej przestrzeni auta. Albo jeszcze jakąś głupotą, skrajnie niebezpieczną dla otoczenia. I nic tak nie sprzyja rozwojowi psychozy jak napięte milczenie, takie jak to, które zapadło w aucie po tym, kiedy Candy rozbił Hasanowi łuk brwiowy sygnetem.

– Co ma z tym wspólnego Bazylewicz? – zapytał Siergiejew neutralnym tonem.

Nie było to dobre miejsce na rozmowy, ale nie zabroniono im mówić w zrozumiałym dla wszystkich angielskim. Zechcą przerwać, to przerwą. Nie zechcą – rozmowa w każdym razie rozluźnia. A jeśli uda się wciągnąć w nią porywaczy, będzie całkiem niezłe.

Hasan zerknął na niego. Al- Fahri nie wyglądał najlepiej. Użył chusteczki, by zatrzymać krwotok, lecz krwawe strumyczki poznały jego wyrazistą twarz i nawet na szklach okularów widać było drobniutkie czerwone punkciki.

– Okłamałem cię – przyznał się Nuker bez skruchy. Po prostu skonstatował fakt. – Nie mam Bazylewicza.

– Ach tak? – zdziwił się Siergiejew. Chociaż w zasadzie nie było się czemu dziwić.

– Powinien być u mnie. Sam go szukałem przed naszym spotkaniem.

– Zniknął?

Hasan wzruszył ramionami.

– Możliwe. Albo odszedł. Do nich.

Wskazał podbródkiem Candy'ego, który z zainteresowaniem słuchał rozmowy.

– Dlaczego zawsze myślisz o ludziach źle? – zapytał Michał z sarkazmem. – Mało jest powodów, dla których człowiek może nie przyjść na spotkanie?

– Dlatego, że ja się dobrze znam na ludziach – odezwał się Hasan, zupełnie nie reagując na ironię. – I znam tego twojego Bazylewicza. Tak potrzebuje pieniędzy, że gotów jest wszystkich sprzedać po trzy razy.

Siergiejew po obejrzeniu filmu też odniósł takie wrażenie, lecz uznał, że nie powinien się nim dzielić. Tym bardziej że Anton Tarasowicz miał jeszcze jeden dodatkowy stymulator do działania – nienawiść do Blinowa. A taka motywacja może być silniejsza nawet od wrodzonej chciwości.

– Nawet jeśli masz rację, to niczego nie zmienia – powiedział Michał. – Itak nie zdążymy na czas.

Hasan westchnął.

– To się zgadza – wtrącił się Piętaszek. Wprost rozpiętała go od poczucia własnej ważności i strachu. Siergiejew zrozumiał, że woń lęku czuł właśnie od niego. No pewnie, złapać dwóch takich ważnych koleś! Siedzą i co? Zero! Ale mimo wszystko jakoś nieprzyjemnie, może lada moment wywiną jakiś numer? – No mówię... Nie zdążycie! I na waszym miejscu ja bym się pomodlił, żeby przeżyć. Pablo Kubańczyk nie żartuje!

– Kurwa! – odezwała się ostro Sójka. Głos miała niski i chropawy, jak piosenkarka Grace Jones. – Zamknij ryj, gnojku!

Zaraz ci jaja urwę za to, że nie umiesz trzymać japy zamkniętej!

W jej wymowie był wyraźnie słyszalny hiszpański akcent. Teraz już nie było wątpliwości, kto w tej trójce dowodzi.

Candy, patrząc na młodego, karcąco pokręcił głową.

– Przyjemnie słyszeć znajomą intonację, *sehorital* – powiedział Siergiejew po hiszpańsku. – Jak miło spotkać rodaczkę!

Sójka rzuciła dżipem w lewo, stanęła przy skraju drogi i włączyła światła awaryjne. Żeby być widoczną ponad oparciem fotela, musiała wstać.

– Oddaj gnata – rozkazała Piętaszkowi. – Jemu.

Candy popatrzył na Sójkę i wyciągnął rękę do młodego.

– No co? – zapytał Piętaszek z urazą. – Dlaczego, Che?

– Broń – ponagliła z niesmakiem. – To rozkaz.

– Noo doobra – odparł Piętaszek, leniwie rozciągając słowa. – Jak będzie trzeba, to ich gołymi rękami rozedrę. Bez kitu.

Masz! Trzymaj!

Wsunął ingrama rękojeścią do przodu w szeroką jak łopata dłoń Candy'ego.

Sójka wykonała nieznaczny gest. W samochodzie huknęło, jakby ktoś otworzył szampana. Głowa Piętaszka szarpnęła się, konwulsyjnie wierzgnął nogami, zadrgał i zaraz obmiękł. Spelzł po skórzanym siedzeniu na prawo i głucho stuknął skronią o szybę.

Siergiejew, starając się nie spuszczać Sójki z oczu, rzucił szybkie spojrzenie na zabitego. Kula weszła nad lewą brwią, bliżej nasady nosa. Otwór był całkiem mały.

Pistolet w rękę Sójki też był niewielki. Płaski browning, stareńki, jeśli sędzić po wytartym oksydowaniu. Kaliber pięć sześćdziesiąt pięć. Na dystans powyżej pięciu metrów to zabawka, ale z bliska... Lufa miniaturowego pistolecika patrzyła Siergiejewowi prosto w czoło, a Sójka trzymała go tak profesjonalnie, że Michaiłowi nawet nie mignęła myśl o tym, by próbować jej odebrać lub wytrącić broń.

– Nie jestem dla ciebie rodaczką – powiedziała bez uśmiechu.

Była Murzynką, ale teraz, twarzą w twarz, Siergiejew dostrzegł to, czego wcześniej nie miał możliwości zobaczyć. Nie pochodziła z Afryki. Miała sporą część krwi karaibskiej, rozjaśniającej skórę i zmiękczającej rysy. Trudno ją było uznać nawet za ładną, lecz to nieco asymetryczne oblicze nie było całkowicie brzydkie. Miała wysokie kości policzkowe, cienki nos i wielkie oczy, obramowane ostrokołem gęstych rzęs. Jedna brew była trochę wyżej od drugiej, co nadawało jej wyglądowi jakąś ogólną nieprawidłowość. Głowę pokrywała szarawa czapka mocno skręconych loczków, co w połączeniu z niskim czołem upodabniało dziewczynę do lemura.

– Przyjaciele nazywają mnie Che. Jak Che Guevara. Ci, którym się nie podobam: Śmierdziawką. Ty będziesz mnie nazywać Sierżantem. Dlatego że jestem Sierżantem. Zrozumiano?

Siergiejew skinął głową. Przekaz był prosty.

– Nie poznałeś mnie, *señor* Angelo? – zapytała. – A ja cię poznałam. Wtedy nie nazywałeś się Angelo. Trzy dni ganiałiśmy za wami po dżungli. Za tobą i twoim przyjacielem. Ja też się cieszę ze spotkania. I jeśli Pablo da mi taką możliwość...

Uśmiechnęła się tak, że Siergiejew poczuł w brzuchu zimną, lepłą grudę.

– ...na pewno z tobą porozmawiam. Na osobności. Mamy co wspominać, prawda?

Siergiejew popatrzył na tę wykrzywioną w uśmiechu małą twarzyczkę i przypomniał sobie te trzy dni.

Nie przeżyliby wówczas, gdyby nie niewiarygodne szczęście, niemalże nieprzebyta dżungla, w której się skryli, i niesłychana wręcz bezczelność Ichneumona.

Razem z Saszką Kruczyninem stanowili razem półtora żołnierza. Poraniony Kruczynin i okulawiony Siergiejew nie mogliby iść, gdyby nie opierali się na sobie. W dodatku dźwigali cały arsenał, odebrany kubańskim wojakom. Ich ujęcie i zabicie było dla regularnych sił SB kwestią nie dni, ale godzin – ot tak, treningowa przebieżka. Nawet bez kontaktu ogniowego, starczyło zablokować drogi ucieczki i czekać, aż zbiegowie sami umrą lub runą bez sił. Od tej świadomości nie robiło się lżej, rany się nie goiły, za to „sportowa ambicja”, zrodzona z poczucia beznadziejności, działała jak anestetyk.

Kuba mimo wszystko jest wyspą. Choć nie małą, to jednak znacznie mniejszą niż w czasach, kiedy młody Fidel ukrywał się przed kontrwywiadem Batisty w oddalonych zakątkach po szturmie na koszary Moncada. Postęp naukowo– techniczny, co by nie mówić! Poza tym w porównaniu z Fidelem Batista był beztrojski i ufny jak dziecko.

Na drugi dzień ucieczki, kiedy stało się jasne, że nie uda się zgubić pościgu, a także że depcze im po piętach nie zwykła pogoń, ale zmasowana oblawa, niespieszna i solidna, w której uczestniczą najlepsze siły służb bezpieczeństwa, Siergiejew podjął decyzję, żeby ruszyć ku wybrzeżu.



Mieli wybór: wleźć w zarośla mangrowe na przybrzeżnych bagnach i tam umrzeć albo schować się w trzcinie cukrowej i... też umrzeć. Jednak na plantacjach trzciny cukrowej śmierć mogła być straszniejsza – prawie na pewno znaleźliby ich z psami. Ich tropem szły dobrze wytresowane, duże i ostre psy. Ich przodkowie łapali kiedyś zbiegłych niewolników, bezbłędnie tropiąc uciekinierów w tropikalnym gąszczu tylko po zapachu strachu. Ich ujadanie wyraźnie donosiło się spomiędzy trzciny, kiedy pogoń się zbliżała – ciężkie, głębokie, niczym kaszel gruźlika. Od tego „kaśłania” mróz szedł po skórze i od razu na myśl przychodziły puste wrzosowiska i bagna wokół rodowej siedziby Baskerville'ów.

Tak więc wybrali błota mangrowe, chociaż różnica polegała tylko na tym, czy pójdą na żer dla ryb, czy psów. To był rzeczywiście ryzykowny krok. Kruczyninowigniło zgangrenowane krocze, a zmiażdżone kolano Siergiejewa miało rozmiar bez mała dziecięcej piłki i przybrało całkowicie granatową barwę. Kąpiele błotne nie były tym, czego potrzebowały ich poranione ciała. Jednak nie widzieli innego wyjścia. Wyspa to wyspa – kawałek lądu zewsząd otoczony wodą. Żeby z niej zniknąć, potrzebna jest łódka, tratwa, ostatecznie nawet dmuchany materac! Samolot, deltaplan... co tam jeszcze? Ach tak! Do zniknięcia świetnie nadaje się też baza Amerykanów w Guantanamo, gdzie ich niewątpliwie przyjmą z otwartymi ramionami! Alez będzie radość...!

Chociaż... Kto jak kto, ale właśnie „Americanos” żeźarliby Raula bez soli! Za cały handel narkotykami, idący do Stanów przez Miami, odpowiadał właśnie on. I wszystkie amerykańskie służby o tym wiedziały. Tylko DEA nie miała dowodów, a Siergiejew and Company je mieli, i to w pełni wiarygodne. Ale o jakich dowodach mowa, jeśli Michaił miał w zapasie tylko słowa? Jednak nie należało odrzucać myśli o amerykańskiej bazie jako schronieniu w ostatecznym wypadku.

Świetne miejsce, nie gorsze niż każde inne.

Dotarcie do Guantanamo było zadaniem trudnym, lecz bardziej realnym niż opanowanie samolotu straży przybrzeżnej lub kutra kubańskich pograniczników, których wywłaszczenie obaj z Saszą rozważali już parę razy.

Jedynie świadomość tego, że przedzieraliby się przez szeregi „teoretycznie swoich” w objęcia prawdopodobnego przeciwnika, wywoływała uczucie skrępowania. I jeszcze jedna myśl: dziwne, że cel przeciwnika w pełni pokrywa się z powinnością moralną człowieka, tak jak pojmował ją sam Siergiejew. O wiele bardziej niż cele byłych sojuszników.

Chociaż jeśli się zastanowić, nie było w tym żadnego paradoksu.

W ich zawodzie i wcześniej zdarzały się różne casusy, tylko znacznie bezpieczniej czytać o tym w podręcznikach, niż odczuwać na własnej skórze zmiany sympatii politycznych. Nie ma nic gorszego od dzielenia świata na obcych i swoich.

Te pojęcia nie są stałe – plus może zmienić się w minus w każdej chwili. Jak mawiają politycy: „Nie ma wiecznych sojuszników ani wiecznych wrogów; wieczne są tylko interesy”[23]. Gdyby świat stworzono inaczej, władaliby nim romantycy, natomiast w rzeczywistości rządzą pragmatycy. Raul i jego partner z Kartageny nie byli romantykami. W tej historii w ogóle romantycy nie występowali.

Grupa Siergiejewa miała oznajmić światu, że Kuba nie ma nic wspólnego z handlem narkotykami. Paru odszczepieńców, którzy zorganizowali swój własny biznes, się nie liczy! Tyle że diabeł podkusił Michaiła i jego kolegów pokopać głębiej, znacznie głębiej, niż opiewało zlecenie. Po co było złażyć do tej warstwy, gdzie już nie działał urok bohaterów – *barbudos*, gdzie zdobycze rewolucji wyrażały się w milionach dolarów, zapłaconych przez dilerów ze Wschodniego Wybrzeża za setki kilogramów białoróżowego proszku? Siergiejew doskonale rozumiał, że ludzie zamieszani w ten biznes nie pożąłują ani środków, ani sił na to, żeby nikt nie pisał nawet słówka o tej historii. Jeśli informacje o sprawkach Raula przesączą się na zewnątrz, skandal będzie taki, że nawet bezdomne koty z Hawany staną pod pręgierzem opinii publicznej. I kogoś trzeba będzie poświęcić! Znając Castro, trudno było sobie wyobrazić, że kozłem ofiarnym stanie się jego rodzony brat.

I tak się to w rezultacie skończyło... Świat dostał swoją ofiarę i się uspokoił. W zasadzie nic się nie zmieniło. Najwyżej samoloty nieco skorygowały kursy w czasie nocnych rajdów, a proszek trochę zdrożał. To oznaczało, że wszyscy, którzy zginęli w czasie tej historii, umarli na próżno.

Jednak wtedy Siergiejew nie miał możliwości spojrzenia na to z boku. Wtedy niósł Saszę, a z Saszą

było marnie i z godziny na godzinę coraz gorzej. Temperatura mu skakała i to trząsał się w gorączce, to robił się bezwładny, oblany zimnym potem, blady jak śmierć i zupełnie bezsilny. Zaczynała się sepsa i nie dało się na to zupełnie nic poradzić.

Sam Michaił znajdował się w niewiele lepszym stanie, ale w porównaniu z Kruczyninem czuł się jak superbohater. Sasza nie miał przed sobą nawet doby – infekcja pożerała go od środka i bez końskich dawek antybiotyków śmiertelny wyrok można było uważać za podpisany. Bakterie gnilne działały pewniej niż pistolet kata. Martwy Chico mścił się na swoim zabójcy z za grobu. Michaił miał jeszcze czas.

Lepiej, gdyby się poddali, i wtedy zastrzeliliby ich któryś z ludzi Raula (była nadzieja, że wykończą ich szybko), albo gdyby zastrzelili się sami. Jednak, jak to się zdarza ludziom, którzy nie mają nic do stracenia, podjęli przeciwną decyzję. Jeśli nie uda się przeżyć, odejdą tak, żeby tamci na długo to zapamiętali. O swoich myślach o Guantanamo Siergiejew Saszy nie powiedział, ale zaznaczył ten wariant jako zapasowy.

Mieli pewność, że z całej grupy, przysłanej na Wyspę Wolności ze szlachetną misją pomocy w oczyszczeniu rewolucyjnych szeregów z wrogich i zdeklasowanych elementów, zostało tylko ich dwóch. Kubańscy towarzysze – rzecz jasna, ci, którzy orientowali się, kogo szukali, jak szukali i co znaleźli – także polegli. Poza podesłanymi kretami, naturalnie, ale teraz nie da się rozoznać, kto jest kto. I poza tym nikomu to nie jest potrzebne. Obecny cel był łatwy do pojęcia i trudny do osiągnięcia. Należało przeżyć.

Bagna okazały się gorsze, niż mogli to sobie wyobrazić. Dla Kruczynina Siergiejew sklecił coś w rodzaju tratwy, dostatecznie szerokiej, żeby położyć na niej rannego i broń. Sam Michaił musiał wejść do brązowej niczym kakao wody aż po szyję. Bagno zionęło stęchłą wonią i było w nim aż gęsto od różnych stworzeń, jak od makaronu w zupie dobrej gospodyni. Mangrowce żyły własnym życiem. Siergiejew nie pamiętał, czy na pewno są tu jadowite węże, ale przy takiej liczbie przepływających obok różnorodnych osobników w rozmaitych kolorach nie mogło ich nie być. Co prawda węże uciekały przed Siergiejewem i pływającymi noszami niczym wampiry przed czosnkiem, ale wiadomo, że węże, jak i ludzie, bywają różne.

Poruszanie się po szyję w tej żywej zupie było jeszcze trudniejsze, niż się z początku wydawało. Nawet tam, gdzie pnie mangrowców oddalały się od siebie, ich korzenie splatały się jak macki. Przecisnąć się między nimi można było z największym trudem – ślizgając się na porośniętych jakimś śluzem pętlach, przypominających w dotyku czyjeś kiszki, zaplątując się w nich nogami i co rusz pogrążając się z głową w wodzie – brudnej i tłustej niczym w zlewozmywaku.

Żeby poruszać się z szybkością choćby kilometra na godzinę, Michaił musiał wydostać się z gęstwiny na sam brzeg bagna, gdzie brunatnego błota dotykały z obrzydzeniem błękitne języki przybrzeżnych morskich fal. Tu łatwiej się oddychało, za to po jednej stronie była otwarta przestrzeń i gdyby do brzegu podpłynął kuter patrolowy, to koniec pieśni.

Dosłyszeć silnik łodzi pograniczników poprzez nieustanny hałas bagiennego życia byłoby trudno, za to Siergiejew obawiał się, że ich ruch można zaobserwować z odległości kilku mil – z powodu podrywających się i wrzeszczących ptaków zaniepokojonych pojawieniem się obcych.

Kruczynin, leżący na tratwie, zaczął bredzić z powodu wilgotnej duchoty, gorączki i bólu gnijącego krocza, w którym wily się różne owady i inne drobne paskudztwa, rojące się w powietrzu i wodzie. Jęczał coraz głośniejsze i głośniejsze, kołysząc brudną, pokrytą strupami głową w takt swoich wewnętrznych tam-tamów.

Siergiejew sam miał ochotę jęczeć z bezsilności. Załoga „gazika” miała ze sobą tylko dwa indywidualne pakiety, a i to niekompletne. Żadnych środków przeciwbólowych. Jodyna, niezbyt czyste bandaż, tabletki na żołądek, dwie tabletki aspiryny, trochę waty i całe opakowanie dawno już przestarzałej tetracykliny.

Tetracyklina na ropiejącą, moknącą ranę, szczególnie w tak delikatnym miejscu, to nie najlepszy pomysł. Jednak nawet taki starożytny antybiotyk jest lepszy niż nic. Kruczynin należało wyciągnąć na stały ląd, zdjęć z niego mokre, zabłocone ubranie, spróbować jakoś opatrzyć...

Wszystko to należało zrobić bez względu na to, że smutny koniec był już blisko. Na tyle blisko, że nawet nie chciało się o tym myśleć.

Siergiejew zaczepił chorym kolaniem o podwodny korzeń i na moment oślepił od wybuchającego

w oczach fajerwerku.

Upadł nawet w wodę, gdyż niespodziewanie odmówiła posłuszeństwa również druga, stosunkowo zdrowa noga.

Z powodu podwójnego obciążenia bolała już i ona, jak ćmiące dziąsło.

Wyglądało to na początek zapalenia torebki stawowej, a zapalenie stawu kolanowego oznaczało, że Michał będzie musiał pełznąć na brzuchu, jak Mieriesjew[24]. Tylko nie w samotności po zimowym lesie, ale z rotą kubańskiej „bezpieki”

na ogonie po tropikalnej dżungli – a tak to jeden diabeł.

Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, zarośla mangrowe przegrodziła piaszczysta łąka.

Łagodnie pochyłony brzeg zagradzał drogę bagnetom, a dalej zaczynał się obrazek jak z prospektu: „Przyjeżdżajcie do Hawany! Varadero zaprasza!”. Niebieskie morze, biały piasek, zielona ściana niedalekiego lasu i wiszące w potokach przejrzystego, czystego powietrza wielkie albatrosy. Kurort.

Tylko że wyjście na tę plażę, długą na kilka kilometrów, równało się ułożeniu na półmisku, posmarowaniu majonezem i posypaniu pietruszką. Proszę bardzo, kubańscy przyjaciele, częstujcie się.

Jednak innej drogi nie było.

Po nieogolonym policzku Kruczynina pełzła wielka zielona mucha. Na skroni pęczniał pożywiający się moskit. W cieniu, w mokrym półmroku, krwio pijcy nie uspokajali się ani na chwilę.

Przeklinając półgłosem, Siergiejew wypełził na brzeg, rozpaczliwie przedzierając się przez gęstą brązową trawę okalającą granicę między plażą a bagnetem, odwrócił się i stękając z wysiłku, przyciągnął tratwę z nieprzytomnym towarzyszem i zdobycznym arsenałem. Tutaj, na granicy światła i cienia, na razie byli niewidoczni i mogli się rozejrzeć.

Dotknął ramienia Kruczynina, lecz Sasza nie zareagował – był gdzieś daleko, gałki oczne szybko poruszały się pod zamkniętymi powiekami. Spomiędzy sinawych, spękanych warg wyrwał się świszczący oddech.

– Jeszcze chwilę – powiedział Siergiejew i sam nie poznał własnego głosu. Z gardła wyrwał mu się zduszony charkot, jakby ochrypl na mrozie. – Wróć, Sasza. Słyszysz?

Jednak Kruczynin nie słyszał.

Potrzebne im było schronienie. Niezbyt gorące, stosunkowo suche. Żeby widać było z niego brzeg i żeby mieli osłonięte plecy.

Osłonięte plecy... Siergiejew z przerażeniem zdał sobie sprawę, że niebawem zostanie sam. Że Saszka Kruczynin, zwany Dzierganym z powodu miłości do bezkształtnych swetrów, które w każdej wolnej chwili po mistrzowsku robił na drutach, niedługo odejdzie do ich prywatnej Walhalli.

Ale na razie jeszcze żyje, trzeba zrobić wszystko, co możliwe, żeby pociągnął jak najdłużej. Póki nie nadejdzie pomoc...

Siergiejew westchnął, gdyż wiedział, że pomoc znikąd nie nadejdzie. Od nikogo.

Plaża na pierwszy rzut oka była dzika i całkiem bezludna. Michał poczekał, aż oczy przywykną do jaskrawego światła, i wykorzystując jeden z karabinów jak kulę, możliwie szybko przekuśtykał przez zalany słońcem kawałek i zanurkował w cień drzew. W butach mu chlupało, biały piasek poznały krople wody. Jakby po brzegu przebiegło dziwne morskie zwierzę, pozostawiwszy po sobie bezkształtne mokre ślady.

Oczy go nie myliły.

Kiedyś, pewnie jeszcze za czasów Batisty, gdyż za Castro nowych hoteli praktycznie nie budowano, szczególnie w takich dzikich miejscach, powstawał tutaj kompleks hotelowy. Teraz dżungla oplotła na wpeł zrujnowane ściany kotarami lian, zasłoniła puste oczodoły okien, wypełniła trawą wykop pod lasem. To nie było opuszczone miejsce. Opuszczenie przychodzi tam, gdzie kiedyś żyli ludzie. Tutaj ludzie nie zdążyli pożyć.

Ścian nigdzie nie pociągnięto wyżej niż do pierwszego piętra – nie starczyło czasu. Albo pieniędzy. Albo ogarniająca Wyspę Wolności rewolucja na zawsze przekreśliła plany imperialistów, by przekształcić Kubę w najlepszy kurort świata.

Castro zawsze powtarzał, że z jego ojczyzny chcieli zrobić dom publiczny i kasyno dla całej Ameryki,

i możliwe, że nie był daleki od prawdy. Może właśnie dlatego, na przekór wszystkim wrogim projektom, zrobił z Kuby koszary, z których uciekano całymi rodzinami, całymi kompaniami, grupami i w pojedynkę. Uciekano w dziurawych baliach, w dłubankach ze ściętych pni, w balonach własnej roboty, na szybowcach z dykty ze skrzynek i nawet w pław.

Kubę ze wszystkich stron otaczało głębokie niebieskie morze, silniejsze niż Mur Berliński. Nie można go było zniszczyć.

Pozostawało albo pogodzić się z egzystencją w socjalistycznym raju i żyć na kartki pod opieką wszechobecnej służby bezpieczeństwa, pod akompaniament przemów Castro z głośników, albo zaryzykować życie i wolność. I wielu ryzykowało.

Dokarmiało rekiny w ciepłych wodach Morza Karaibskiego, między znieawidzonym ojczystym brzegiem i upragnionym wybrzeżem Miami.

Kuba się zmieniała. Z seksownej ślicznotki, pachnącej morzem, słońcem i gorącym kobiecym ciałem, przestaczała się w staruchę z obwisłymi piersiami, od której pachnie już tylko solą, zwiędłymi kwiatami i rozkładem. Jednak nikt nie mógł zetrzeć z jej twarzy resztek dawnej urody, wyglądającej spod opadającego tynku. Piękna, jeszcze zauważalnego w harmonijności kolumn na wpół zrujnowanych willi, w surowości Kapitolu, triumfalności katedry Wniebowzięcia, bujności pomarańczowych sadów i szerokości ulic, oświetlonych tylko wielkim, dziwnym księżycem.

Porzucone przez Amerykanów hotele straciły połysk i właściwy sobie kolonialny szyk, już nikt nocami nie zalewał Hawany migoczącym neonowym światłem: ojczyzna, jak zawsze, była w niebezpieczeństwie i państwo oszczędzało energię elektryczną. W nocy latarnie się nie paliły i w Starej Hawanie było niebezpiecznie dla turystów. Obok błyszczących dziewczą bielą plaży w Santiago de Cuba, obok chronionych jak obiekt wojskowy piasków Varadero, hałasując przerdzewiałymi błotnikami, toczyły się czterdziestoletnie samochody, wypływające kłęby śmierdzącego szaroczarnego dymu, oraz szare jak myszy turystyczne taksówki i ciężarówki. Wypływały hoteliki i restauracyjki położone na uliczkach w pobliżu nadbrzeża, zniknął aromat maślanych ciasteczek i korzennej świniny z czarną fasolą, ale, chwała Bogu, zostały zapachy rumu i kawy, które przebijały przez kwaśną woń marnego piwa, prania i placków kukurydzianych, smażonych na starym oleju.

Siergiejew powęszył.

O obecności ludzi wiele mówią zapachy. Ludzie palą, jedzą, piją, a ostatecznie się wypróżniają. To wszystko zostawia ślady. Tutaj, na wybrzeżu, niedokończony, a już umarły hotel pachniał lasem, syntetyczną wonią mokrego cementu i pokruszoną cegłą. W powietrzu nie czuło się niczego ludzkiego. To dobrze.

Michaił obejrzał ruiny w ciągu dziesięciu minut. Oczywiście naprędce, ale dostatecznie starannie, by zrozumieć, że nawet jeśli pojawiają się tu ludzie, to wyjątkowo rzadko.

Droga wiodąca przez dżunglę w głąb wyspy zarosła wysoką trawą i praktycznie nie było widać na niej kolein. Żadnych świeżych niedopałków, papierków ani plam oleju na ziemi. Nie śmierdziało amoniakiem od starego moczu. Ślady odchodów Siergiejew widział, ale liczyły sobie wiele miesięcy, więc miejsce można było uznać za zdatne na nocleg. Teraz pozostawało przeciągnąć tutaj Kruczynina, opatrzyć go, dać lekarstwo i coś zjeść – w zdobytym plecaku leżało kilka szarych sucharów z marnej mąki, twarde suszone mięso, gruba sól i kilka gotowanych jajek. W szmatkę, stosunkowo czystą, były zawinięte kukurydziane placki – cienkie, z lekka szcerstwiałe.

Potem należało pomyśleć, dokąd iść dalej. I w tym miejscu planu Siergiejew się gubił. Może dlatego, że nie było dokąd, a może dlatego, że gdziekolwiek by poszedł, czekało go jedno i to samo.

W nocy Sasza poczuł się znacznie lepiej. Nie tracił już przytomności i nawet trochę rozmawiał. Ale jego rany... Siergiejew mało nie zwymiotował od smrodu gnijącego mięsa, kiedy robił opatrunek za pomocą podręcznych środków. Nawet przy zastosowaniu tetracykliny, opóźniającej proces rozkładu, Saszy pozostał dzień. Od biedy dwa.

Zjedli część prowiantu i zasnęli w zagłębieniu pod ścianą, przykrywszy to nędzne schronienie szerokimi palmowymi liśćmi. Dokoła krzyczały oszalałe od księżycowego światła ptaki i uspokajająco grały niezliczone cykady.

Obudziły ich szczekanie psów i warkot ciężarówek, zajeżdżających na plac przed głównym budynkiem. Wstawał blady, zamglony i rosisty świt.

Siergiejew, zamaskowany zwisającymi z sufitu pnączami, praktycznie niewidoczny w zarośniętym oknie, policzył przybyłych. Siedemnastu ludzi i dwa psy. Gdyby byli z Saszą zdrowi, za tych tam można już byłoby zacząć się modlić.

Jednak z Kruczyninem było marnie. Michał parę razy w nocy sprawdzał, czy Sasza żyje, i czuł ulgę, słysząc jego ciężki oddech. Skoro oddycha, to żyje.

Lecz pozostawać żywym jeszcze nie znaczy być zdolnym do walki. Zresztą strzelać Saszka, sądząc ze wszystkiego, jakoś da radę. Za to sam Siergiejew ewidentnie nie mógł fruwać jak motylek, tylko kuśtykać – z taką nogą wiele nie zwojujesz.

Jeżeli uderzyć nagle, z ukrycia, póki oddział nie rozproszy się po terenie, to będzie można położyć z pięciu ludzi. Pozostali rozsypią się i zaczną zabawę w „strzelanego”. Z osłabionym Saszką nie mają najmniejszych szans z tutejszymi zawodowcami z SB.

Odstąpić w stronę morza? Chyba tylko po to, żeby się utopić. Z powrotem w bagno? Wychodzi na to, że trzeba zaryzykować. To da im szansę umrzeć nie dzisiaj, ale na przykład jutro. A za dwadzieścia cztery godziny życia warto powalczyć. Tym bardziej że żołnierze mogą ich nie zauważyć. Wtedy pojawi się szansa przeczekać. Oczywiście, jeśli od razu nie spuszczą psów...

Siergiejew uśmiechnął się niewesoło.

Proszę, o co toczy się walka! Nie o życie, lecz o możliwość odpoczynku i śmierci nie jutro, ale pojutrze. O dodatkowe dwadzieścia cztery godziny.

Opadając na chorą nogę, zanurkował w głąb ruiny, gdzie mocno uchwyciwszy spoconą dłonią rękojęść starego AK, czekał na niego Kruczynin.

Niestety, przybysze nie byli nowicjuszami i spuścili psy niemal od razu, kiedy tylko tyraliera zrobiła pierwsze kroki.

Nadzieja przeczekania rozplynęła się w niebycie przy pierwszej serii, którą Siergiejew ściął *brasileiro*, już wyciągniętego w skoku.

---

<sup>20</sup> Białoruskij Awtomobilnyj Zawód wyprodukował największy na świecie pojazd BiełAZ 75710 o ładowności 450t, dł. 16,9 m i wys. 8,7 m.

<sup>21</sup> *Inszallah* (arab.) – Jeśli taka będzie wola Boga.

<sup>22</sup> *Szurawi* (z perskiego *szura* - rada) – radziecki; nazwa żołnierzy ze Związku Radzieckiego walczących w Afganistanie.

<sup>23</sup> Słowa Henry'ego Johna Temple'a, wicehrabiego Palmerstona, bardzo często cytowane.

<sup>24</sup> Mieriesjew – właśc. Aleksiej Mariesjew, rosyjski bohater narodowy, pilot myśliwca bojowego, strącony nad tajgą, ciężko ranny czołgał się przez ok. 18 km, by dotrzeć do swoich. Postać autentyczna, opisana przez Borysa Polewoja w książce „Opowieść o prawdziwym człowieku”.



**Z**apora była ogromna. Teraz, zimą, wręcz gigantyczna, jak Wodospady Wiktorii lub Niagara – tylko wykonana ludzkimi rękami.

Siergiejew wyobraził sobie, jak ze swoim poduszkowcem wyglądają z góry – mały chrząszcz przy betonowej ścianie, ginącej w białawej śnieżnej mgle. Tam, gdzie zapora pękła, ziały wyrwy, wypełnione przez lodowe bryły.

Pod nimi i teraz w dół lała się woda, nieskończonym i nieprzerwanym potokiem ślizgając się pod metrową warstwą lodu.

– No nieźle – powiedział Wadik, zadzierając głowę. – Ależ tu musiało pierdolnąć, żeby rozwalić takiego potwora! I to na kawałki! Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić!

– A ty gdzie byłeś w czasie Potopu? – zapytał Michaił, porównując wskazania GPS z mapą na podkładce.

Wiatr ucichł, lecz sądząc po niskim brudnoszarym niebie, pogoda nie obiecywała poprawy. Przy kompletnym sztilu sypało gęstym śniegiem, który z każdą minutą robił się coraz grubszy i grubszy, zbijając się w nieprawdopodobnie wielkie płatki. GPS nawalał. Co prawda ustalić koordynaty miejsca, gdzie się teraz znajdowali, można było także według mapy, a pomyłka rzędu paru kilometrów nie miała na nic wpływu.

– Byłem w wojsku – odpowiedział Wadik, przytrzymując kaptur. – Zamierzałem zostać na nadterminówce. Specnaz, spadochroniarze.

– W Rosji? – domyślił się Siergiejew.

– Aha. A tutaj miałem dziewczynę. W Chersoniu. Poznaliśmy się w Petersburgu, kiedy byłem na przepustce. Latem dwa tysiące piątego... No, sam wiesz... Lowe– krowe, wieczna wierność... Myślałem, że mi przejdzie. Zapomnę ją, jak wszystkie inne.

Kaptur jednak spadł mu z ostrzyżonej głowy, ale Wadim nie próbował go poprawić, tylko szczerknął zapalniczką, zapalając wilgotnego, plamistego od tających śnieżynek papierosa.

– Pisała do mnie. Ja do niej. Umówiliśmy się na spotkanie, żeby złożyć podanie...

Umilkł.

– Lowe– krowe, mówisz? – odezwał się Michaił. – Sądzę, że to się inaczej nazywa.

– Ja tylko tak... Tak u nas w oddziale mówili. Z nią, Misza, to było na poważnie. Bardzo poważnie. Tak że kiedy to wszystko... Kiedy się zaczęło, wszystko rzuciłem i poleciałem tutaj, do Strefy. Do Chersonia.

– Współczuję. Tam mało kto przeżył.

– Tak – powiedział Wadim szorstko. – Mało kto. Można powiedzieć, że nikt. Ale ja ją znalazłem. Nieżywą, ale znalazłem.

Na Martwej Mieliźnie. Słyszałeś o nich, Siergiejew?

Martwych Mielizn było dużo na całej drodze Fali. Tak nazwano miejsca, dokąd kapryśne prądy

zanosiły ogromną liczbę ciał. Tysiące, czasem dziesiątki tysięcy rozkładających się trupów nabrzmiałych od wody i gorąca, których nie można było pochować. Zresztą nikt ich nie grzebał. Nawet teraz, po upływie dwunastu lat, można było natknąć się na ogromne połacie, z których sterczały ludzkie kości, nierozwleczone przez zwierzęta. To właśnie były dawne Mielizny– wielkie wspólne mogiły. Znaleźć tam kogoś...

Martwe Mielizny nazywano też czasami Rączymi. Siergiejew wolał nie myśleć dlaczego.

Spojrzał z ukosa na Wadima, którego wielkie uszy purpurowiały z zimna.

– Nie patrz tak, Misza – poprosił. – Przecież wiesz, że jestem normalny...

Siergiejew był głęboko przekonany, że żyjąc na Ziemi Niczyjej, nie można było pozostać normalnym, ale nie zaprzeczył.

– Ja ją rzeczywiście znalazłem. Rozpoznałem po pierścionku. Podarowałem jej taki niezwykle pierścionek, z naszymi inicjałami. Miała na imię Wiktoria...

Siergiejew wzdrygnął się mimowolnie.

– ...tak że wyszło WW. Taki piękny, przepleciony wzór.

Wadim westchnął, ciężko i głęboko, wypuścił w powietrze strumień dymu.

– Tydzień jej szukałem, myślałem, że zwariuję... A kiedy znalazłem, tam, Misza, prócz pierścionka nie było niczego do rozpoznania. Zostałem. Pomagałem, jak mogłem. Potem zamknęli granice, kiedy zaczęło się gadanie, że to był atak rakietowy, dywersja... Zupełnie mi się odechciało wracać do Rosji, tyle wtedy się napatrzyłem. Wszystkie te *zagradotriady*, Białe Kaski, kurwa, obrońcy praworządności! Było jasne, że tu jestem bardziej potrzebny. Zebrałem paru prawidłowych chłopaków, coś w stylu oddziału ochrony prawa i porządku, i zacząłem patrolować terytoria. I wszystko było okej, póki się nie narwaliśmy... I gdyby nie Rabbi...!

Szczęknął ocieplony pikowanymi matami luk poduszkowca i na mróz wylazł Moteł, przypominający filmowego wampira ze swoją niemal łąsą czaszką, twarzą bez brwi i zaognionymi oczami.

– Uch, jak tam duszno...– stęknął, chwytając wargami lecący śnieg.– Trzeba przewietrzyć.

– Uważaj, Matwiej – odezwał się Siergiejew. – Łatwiej przewietrzyć, niż napalić. Zostaw luk otwarty na minutkę, a zaczniesz szczękać zębami.

– A tam ten twój Arafat po cichu zdycha. Łapie powietrze ustami jak ryba. – Moteł stanął na lodzie obok nich, podniósł kołnierz futra i popatrzył na betonowo– lodową kompozycję zniszczonej zapory. – No tak... Już zapomniałem, jak to wygląda z bliska. Chociaż bywałem tutaj, zimą, za pierwszym razem... O tam, po lewej, stąd nie widać, na skałach leży duży statek turystyczny. Wcześniej wyglądał jak nowy, z daleka. Pięć lat temu... Robi wrażenie, trzeba przyznać...

Poprzez zasłonę śniegu i zgęszczającej się ciemności niemożliwe było cokolwiek dostrzec. Światło reflektorów wydawało się mętne i słabe, ogromna ściana zapory wyglądała jak nawisająca nad nimi groźba, ważąca miliony ton.

– Zanocujemy tutaj – powiedział Siergiejew. – Nie znajdziemy nocą objazdu. I daj Bóg, żeby ten objazd w ogóle istniał.

Ukształtowanie terenu zmienia się z każdym rokiem, po każdej ulewie, a szczególnie przy wiosennych wylewach. Na wszelki wypadek możemy cofnąć się o trzy kilometry i pójść na lewo. Tam na pewno jest objazd, tylko wydłuży nam drogę o pięćdziesiąt kilometrów.

– Nocujemy wprost pod zaporą? – zdumiał się Matwiej.

– Jasne, że nie. Tam po prawej jest wyspa. Na skalnej podstawie. Są miejsca, gdzie można się ukryć. Wadik, siadaj za stery i po cichu wal na tamte skały.

Michaił machnął ręką, pokazując gdzieś w ciemność, skradającą się coraz bliżej i bliżej do poduszkowca.

– Tam się przewietrzymy, zjemy i przenocujemy. Świtać będzie o... – Siergiejew spojrzał na GPS – o piątej dwadzieścia dwie. Ale to świt astronomiczny, jeszcze nic nie widać. Ruszyć trzeba najpóźniej o piątą czterdzieści, wtedy przynajmniej ciut się rozwidni.

Z wahaniem obejrzał się na gęstniejący śnieg. Jeżeli tak samo będzie i rano – świt nic nie pomoże. A zapewne nad ranem znowu zerwie się wiatr, a wiatr oznacza zamieć.

– Jeżeli nam się poszczęści – ciągnął, czując, jak mróz zaczyna poszczypywać go w twarz i płatki uszu – jeżeli znajdziemy drogę w ciągu godziny, zdążymy jeszcze coś zrobić w mieście, mam tam kilka skrytek z pożytecznymi drobiazgami. Nie znajdziemy, nie będziemy wracać. Nie na rękę nam robić taki hak.

Poduszkowiec schowali w miejscu, gdzie skały zamykały go z trzech stron. Od rzeki w ogóle nie było go widać, a brzeg wyspy nawisał nad nim jak daszek. Tu można było ukryć się nawet w biały dzień, a człowiek nieznający się na właściwościach ukształtowania tych okolic przeszedłby dziesięć metrów od ich kryjówki, wcale nie podejrzewając, że za tymi głazami można schować niemałych rozmiarów statek.

Ramię Ali Baby trzeba było na nowo przebandażować. Rana się nie otworzyła, lecz poczerwieniała i od niej na wszystkie strony, jak promienie, rozpełzły się spuchnięte purpurowe żyłki. Zakończywszy opatrunek, Siergiejew zrobił Arabowi zastrzyk z antybiotyku, wymieszanego ze środkiem przeciwbólowym. W najwyższym stopniu wymęczony Ali Baba ledwie zdążył coś przekąsić, konkretnej kolacji już nie doczekał – zasnął, opuściwszy głowę na pierś wprost nad plastikową tacką.

Milczek pomógł Siergiejewowi położyć go na noszach. Reszta musiała spać na siedząco. Miejsc leżących w kajucie nie przewidziano.

Siergiejew mocno przykręcił autonomiczny grzejnik i nad ranem, kiedy za zewnątrz temperatura mocno spadła, wewnątrz poduszkowca było chłodno i dawało się oddychać.

O świcie śnieg przestał padać. Termometr za burtą wskazywał minus osiemnaście. Śnieg, którego przez noc zdążyło napadać dobre trzydzieści centymetrów, chrząścił pod nogami jak sucharki. Zamarznięty, zaśnieżony Dniepr wyglądał na równy jak stół, pokryty białym obrusem. Nad rzeką wisało wciąż tak samo niskie, brzemienne kolejnym śniegiem niebo i Siergiejew pomyślał, że przynajmniej w tym im się poszczęściło. Słońce i bezchmurne niebo stanowiły idealne warunki dla systemu obserwacji satelitarnej. Teraz satelity były ślepe.

Siergiejew pomógł Ali Babie załatwić się do kaczki, tak jak zrobiłby to dla swojego rannego towarzysza – nie czując obrzydzenia. Dał mu wilgotny ręcznik, żeby Arab mógł się umyć, i wyszedł na zewnątrz.

Było tak cicho, że odniósł wrażenie, iż stracił słuch. Dźwięki padały w miękką białą poduszkę i w niej tonęły. Dziewicza zimowa cisza. W takiej ciszy trudno nawet sobie wyobrazić ptasi krzyk lub zwierzęce sapanie. Tak umięją milczeć tylko martwy zimowy las i morskie głębiny. I czterech mężczyzn, stojących koło dziwnego pojazdu, przypominającego obwarzanek z kabiną. Milczeli, przytłoczeni niemotą otaczającego ich świata. Tuż obok, po obu stronach ściętej lodem rzeki, leżało martwe miasto – kiedyś wielkie, przemysłowe, ludne, obecnie stało się przystanią dla kilkuset ludzi, nieustannie poszukujących żywności, aby dalej walczyć o życie. Póki miasto żyło, cisza nie miała do niego dostępu, lecz kiedy tylko rozpadło się w ruiny, wielkie milczenie śpiącej w chłodzie przyrody rozlało się wszędzie.

– „Żaden ptak, żadne drzewo ani promyk lata nie zadba, że zniknęli ludzie z tego świata” – zadeklamował śpiewnie Motek, stojąc po kolana w śniegu, na skraju ciągnącej się w nieskończoność białej pustyni. – „I nawet Wiosna sama, zstępując na ziemię, nie pomni, że odeszło całe ludzkie plemię”[25].

I dodał, kaszląc od zimnego powietrza, chociaż nikt go nie pytał: – Przeczytałem to u Bradbury'ego.

– Żaden ptak, żadne drzewo – powiedział Wadim. – Wszystko zniszczymy. A czego nie zniszczymy, to zjemy. Kurwa, taką ziemię przepieprzyl! I teraz jest niczyja. Nikomu niepotrzebna. I my jej nie jesteśmy potrzebni. Amen!

Przysiadł, nabrał pełne dłonie suchego śniegu i roztarł na twarzy, głowie i tych śmiesznych uszach-radarach. Śniegowe grudki zawisły mu na rzęsach, brwiach i króciutkich włosach.

Jeszcze pięć lat temu Siergiejew nie zaryzykowałby umycia się śniegiem, nie sprawdzwszy, czy nie „świeci”. Jednak teraz bez wahania przyklęknął obok Wadika i też się umył. Po chwili w ich ślady poszedł Milczek, a po namyśle również Matwiej, bojący się zimna.

Silnik włączył się z wysiłkiem, za drugim obrotem klucza, potrzęszczał, rozgrzewając się, a po chwili po okolicy rozeszło się równe dudnienie śmigieł. Śnieg z szelestem osypał się z „fartucha”, zsunął z kabiny długim, mglistym szalem.

Poduszkowiec wydostał się ze schronienia i wznosząc białe obłoki, zaczął sunąć w stronę prawego brzegu.

Okolo siódmej rano znaleźli podejście w górę i po półgodzinie już jechali po ulicy, kiedyś głównej



w tym mieście.

Osada Zapory okazała się pusta.

Tam, gdzie droga szła w górę, poduszkowiec, stękając jak staruszek, przedostał się przez zwały potłuczonych cegieł i betonu, po czym stanął przed barykadą z płyt, zardzewiałego metalu i cementowych bloków. Barykada była sprytnie zbudowana: z prawej strony, przy masywnej betonowej ścianie, można było otworzyć przejście i wpuścić gości do środka.

To było jedyne normalne wejście na centralny plac – nazywano je również Szyjką Butelki. Pozostałe ulice były trudne do pokonania z powodu zawałów i min, rozłożonych przez kolonistów.

Siergiejew dobrze znał tutejsze porządki, gdyż wiele razy tutaj nocował. Przy barykadzie powinien być posterunek – minimum pięciu ludzi, pilnujących jej dniem i nocą.

Teraz nie było nikogo.

Wadik, a w ślad za nim Siergiejew, zeskoczył na ubity wiatrem śnieg. Milczek, ledwie widoczny za przednią szybą poduszkowca, zawisł nad sterami, Matwiej z odbezpieczoną bronią zamarł w kucki przy luku. Wirniki nie przestawały młócić mroźnego powietrza: ich miarowe buczenie i klekot silnika sprawiały wrażenie, że tuż obok stoi gigantyczny ul z zaniepokojonym rojem pszczoł w środku. Dźwięk był niski i nieprzyjemny – zaczynały od niego swędzieć zęby.

Za barykadą stało się jasne, że niedawno toczyła się tu walka, a kiedy Michaił zobaczył plac posiekany przez eksplozje granatów, domy pokryte tłustymi zaciekami sadzy, dziury po kulach dokoła okien, zrozumiał, że bój był długi i krwawy.

Kto atakował Zaporę – nie wiadomo, lecz nie byli to oenzetowcy ani regularne wojska rosyjskie! Korpus Pokoju i Rosjanie, gdyby mieli powód i życzenie rozpędzić osadników, obowiązkowo użyliby czołgów i helikopterów – to żaden problem, a na odwrót, metoda efektywna i szybka.

A tutaj szła okrutna „ustawka” z bronią w rękę. Jedni próbowali bronić każdego kawałka ziemi, drudzy szturmowali obóz – sprawnie i bezdusznie. Trudno było odczytać cały obraz, gdyż warstwa śniegu ukryła gilzy, rury zużytych granatników, puste magazynki i przelaną krew, lecz i Siergiejew, i jego towarzyszy wiedzieli, że tutaj zabijano i umierano.

Dymiąc, płonęły stare opony, w których latem sadzono kwiaty – stały pod ścianami wszystkich zamieszkałych domów.

Trzeszczały serie z automatów, z hukiem wybuchały na bruku ręczne granaty, dudniły granatniki, ciskając w okna i drzwi śmiercionośne cylindry...

Poruszając się skokami i po kolei ubezpieczając, przemierzili plac i zanurkowali w otwarte drzwi budynku, w którym przed Potopem mieściło się kino – na fasadzie jeszcze zachował się szkielet neonowego napisu „Gwiazdny”.

Dwanaście lat temu wyświetlano tu filmy, jedzono popcorn i lody, całowano się w ostatnich rzędach. Na ścianach w holu rozwieszano plakaty reklamowe, w przerwach między seansami grała muzyka i syczał ekspres do kawy za barem.

Teraz unosił się tutaj zapach spalenizny – ciężka, plugawa woń, którą przesiąkły wszystkie ściany. Na podłodze wałały się setki łusek i rozlewały ciemne, zamrożone zacieki...

Zatrzymali się przed wejściem do sali kinowej i Wadim powiedział do mikrofonu radiostacji: – Jaktam u was?

– Cisza – odezwał się Motet. – Nie gasimy silników. A co u was?

– Chujnia, Matwiej! Na razie nie ma ani żywych, ani martwych, ale widać, że była tu niezła młócka. Uważajcie.

Wadik opuścił rękę z walkie-talkie, popatrzył na Siergiejewa i pokręcił głową, wyraźnie czuł się nieswojo. Michaiłowi przyszło na myśl, że dowódca zbójów Bondariewa w głębi duszy zwyczajnie boi się iść dalej. Obawia się tego, co może go czekać w tej ciemnej sali, za niedomkniętymi jak trupia powieka dwuskrzydłowymi drzwiami.

Z Wadima nie jest przecież żaden superman, normalny facet, trochę po trzydziestce, z własnymi kompleksami, lękami i gorzkimi wspomnieniami, które starannie ukrywa przed obcymi. Nie jest maszyną do zabijania, tylko złamanym przez życie człowiekiem, zdolnym, tak jak wszyscy, do strachu, zwątpienia

i zdenerwowania.

Wadim, by zamaskować niepewność, ewidentnie zamierzał wpaść do środka chwackim skokiem, więc Siergiejew zrobił ostrzegawczy gest. Sprawdził ostrożnie, czy na masywnych drewnianych klamkach nie ma rozpiętych sznurków.

Doświadczenie walki w miejskich warunkach Michaił miał jednak większe. Ostatecznie do tego również go szkolono.

Niczego nie było także na szczycie drzwi ani na futrynach – drzwi nie zaminowano. Siergiejew pchnął i jedno z ciężkich skrzydeł, wydając wstrętny, niemal ultradźwiękowy pisk zastałych zawiasów, powoli odjechało na bok.

W sali było ciemno. Szara plama światła, która przebiła się z holu, upadła na podłogę u wejścia, oświetlając wyszczerbiony beton, z którego już dawno zdarto spróchniałą od wilgoci wykładzinę. Lecz dalej nie było widać nic a nic.

W sali ktoś był: Michaił słyszał oddechy. Z prawej strony. Tak, niedaleko – około dziesięciu metrów od wejścia. I jeszcze jeden – w centrum.

Siergiejew popatrzył na Wadima, by przekonać się, czy on też słyszy te dźwięki, spotkał się z nim oczyma i odmownie pokręcił głową.

Maskowanie się nie miało sensu – pisk otwieranych drzwi i tak ich zdradził. Jednak pokazanie się w jasnym prostokącie wejścia równało się przyczepieniu sobie na piersi tarczy strzeleckiej.

Ten, kto teraz znajdował się w ciemnej sali, czekał na ich błędy. Mógł przycupnąć między rzędami, kierując na drzwi automat, mógł złać się ze ścianą, zamrzeć w cieniu, trzymając broń w pogotowiu, ale jeżeli nie ma noktowizora, strzelać zacznie dopiero wtedy, kiedy zobaczy ich na tle szarego prostokąta.

Wadik ledwie słyszalnie cmoknął, przyciągając uwagę Siergiejewa, i pokazał mu leżące na dłoni zielone jajko granatu hukowego. Pomysł był dobry, szczególnie jeśli przeciwnik paradował w termowizorze. Jednak istniała również szansa, że w sali ukrywa się nie wróg, ale ktoś z ocalałych kolonistów. W każdym razie Siergiejew miał taką nadzieję, choć słabą.

– Jest tu kto? – zapytał Michaił głośno, przezornie odsunawszy się nieco dalej od wejścia. – Odezwijcie się!

Cisza. Potem dźwięk, jakby ktoś przebiegł z miejsca na miejsce, drobny, głuchy odgłos, przypominający tupot dużego jeża.

– Nie bójcie się! – krzyknął Wadik, nie wychylając się. – Wychodźcie!

– Nie bójcie się! – powtórzył Michaił. – To ja, Siergiejew! Pamiętacie mnie? Byłem tu wiele razy!

Znowu dziwne tupotanie, a potem coś dużego i ciężkiego upadło na podłogę, a raczej zważyło się miękko, jakby przewrócił się worek z piaskiem.

– Kim jesteście?! – Głos Wadika brzmiał donośnie, rozkazująco, odbijał się lekkim echem w pustym pomieszczeniu. – Kto tu jest?!

Teraz w ciemności rozbrzmiał nieprzyjemny szeleszczący dźwięk, jakby coś wleczono po betonie, a jednocześnie było słyhać jakieś stukanie. I te odgłosy się zbliżały.

Siergiejew poczuł, jak włosy stają mu dęba, przy czym nie w przenośnym, ale dosłownym sensie. Sądząc po tym, jak zacisnęły się wargi Wadima, jemu też zrobiło się nieprzyjemnie. Sekundy zaczęły się rozciągać, zmieniając rzeczywistość w zły sen, serce wybijało głośny rytm w skroniach.



Ktoś szedł między rzędami foteli i coś włókł za sobą. Był już zupełnie blisko – być może w odległości pięciu metrów, a może mniejszej. W dokładnym określeniu przeszkadzało echo, błędzące pod wysokim sufitem.

W rękę Wadima zamiast granatu pojawiła się flara, a Siergiejew chwycił wygodniej automat i tchnął

w zimne powietrze biały obłoczek.

Jeszcze bliżej...

Jakby gromada krasnoludków wlokła po podłodze zdechłą żmiję.

Siergiejew zobaczył, że Wadim pociąga sznur zapalający, i przezornie odwrócił oczy. Flara wybuchła czerwienią, jaskrawym płomieniem, który zalał nienaturalnym światłem westybul – długie cienie kolumn runęły na zaśmieconą podłogę, zamiotaly się i popłynęły do wyjścia czarnymi rzekami – flara mignęła i wyrzuciła z siebie fontannę oślepiającego, iskrzącego się ognia, wymieszanego z nieprawdopodobnie gęstym dymem.

Zręcznie wykręciwszy łokieć, Wadim rzucił rurkę flary do wnętrza sali i, jak sztukmistrz z kapelusza, nieuchwytnym ruchem wyjął z pustki swój AKM.

Stawienie czoła oddziałowi siedemnastu Kubańczyków już samo w sobie zakrawało na cud. Przeciwstawić się zaś wyszkolonemu Kubańczykom, znającym doskonale teren, mając po trzy magazynki na twarz i garść naboju do dwóch karabinów, było zadaniem z gatunku fantastyki. Michaił i Saszka mieli jeszcze dwie sfatygowane „tetyki”, ale pistoletów można było nie liczyć. Za to kiedy skończą się naboje, wtedy...

Myśli, co będzie wtedy, Siergiejew nie dokończył. Odsunął ponure przewidywania na bok. Były ponure, gdyż jeden magazynek z trzech był już pusty, wroga kula zadrasnęła mu policzek, Kruczynin strzelał praktycznie na oślep, a niewidoczni w gęszczu tropikalnego lasu żołnierze zaledwie w ciągu dwóch godzin zepchnęli ich ku morzu, straciwszy tylko trzech ludzi.

Kubańczycy w ogóle są wspaniałymi żołnierzami! Kto nie wierzy, może popytać w Afryce – jest tam masa ludzi gotowych to potwierdzić, i w Mozambiku, i w Angoli, i w Republice Środkowoafrykańskiej. Listę ewentualnie można przedłużyć. Lecz zakopany w jeszcze wilgotnym i pozbijanym od porannej rosy piasku Michaił nie miał na to ochoty.

Teraz było ich czternastu – sytych, spokojnych żołnierzy, przyzwyczajonych do szczucia człowieka. Byli do tego wytresowani, tak samo jak ich psy z dziedzictwem genów prawdziwych morderców. Z dwóch psów pozostał tylko jeden, lecz Siergiejew, który znał wartość brasileiro, tylko czekał, kiedy z krzaków wyłoni się wyszczerzona morda kolejnego „łapacza niewolników”, by wsadzić w nią kulę. Pies był przeciwnikiem nie mniej niebezpiecznym od żołnierzy, a może nawet bardziej.

Słońce zaczynało przygrzewać. Za plecami pluskały fale, niebieskie jak na obrazku. Wiatr, wiejący od morza, wznosił się z każdą minutą i obiecywał sztorm lub przynajmniej wysoką falę. Woda, jeszcze kilka godzin temu gładka jak obrus, pokryła się białymi barankami. Czasem nadlatywał kłaczek piany i drobny wodny pył.

Tu, na brzegu, zapach dżungli i odległy smród mangrowego błota zupełnie nie dawały się wyczuć. Pachniało morzem, solą i jeszcze tą tajemniczą substancją, jaką pachnie wiatr, który przyszedł z nieogarnionych wodnych przestworów – jakąś pierwotną świeżością.

Kubańczycy usadowili się w dżungli i nie wysuwali nosa z lasu, chociaż oczywiście mogli rozprawić się z dwoma Rosjanami w ciągu kilku minut. Z pewnością unikali bezpośredniego kontaktu ogniowego, przy którym straty są nieuchronne – i tak w pierwszych dwudziestu minutach walki Siergiejew zastrzelił trzech.

Tak, z zasadki, wojować było łatwiej. Schowawszy się w gęstych krzakach, które obramowały plażę zieloną, kędzierzawą bródką, leniwie strzelali w stronę przeciwnika, ewidentnie oczekując na wsparcie z morza lub powietrza.

Siergiejew z Kruczyninem, leżący tyłkami do góry na białym jak śnieg piasku w cieniu trzech rozłożystych palm, z wody byli widoczni jak na dłoni i pograniczny kuter oznaczał dla nich stuprocentową śmierć.

Zauważywszy ruch w krzakach, Siergiejew przesunął lufę karabinu i, niestety, znów spudłował. Z dżungli odpowiedziano mu skąpą i celną serią z trzech kul, zdradzając wyszkolenie Strzelca. Zresztą już od dawna było wiadomo, że wysłali za nimi komandosów, a nie jakichś gryzpiórków. Kule trafiły w plażę przed zaimprovizowanym okopem Siergiejewa i syknęły mu piaskiem w oczy.

– Koniec z nami, Misza – odezwał się Kruczynin, zwracając ku niemu trupioblądą twarz z sinymi

powiekami. – Nie będą nas stąd wydrapywać. Poczekają na kuter.

– Albo śmigłowiec – zgodził się Siergiejew.

– Dupa tam, nie śmigłowiec. – Kruczynin próbował splunąć, ale zabrakło mu śliny. – Nie mają teraz śmigłowców. Albo czekają na części, albo oszczędzają forsy. Jakby mieli choć jedną „trzepaczkę”, toby nas już dawno w pizdu rozwalili. Ja znam te miejsca, lotu tyle co nic. Czekają na kuter. I nie śpieszą się, suki! Wiedzą, że nie mamy gdzie się podziać!

Michaił podał mu swoją manierkę. Jeszcze wieczorem zdążył nabrać wody z niewielkiego zagłębienia za ruinami, gdzie zaczynał się strumień, ginący w lesie. Była czysta i niewiarygodnie smaczna.

Sasza popatrzył na Michaiła z wdzięcznością i przysał się do butelki, przełykając głośno i chciwie. Jego czoło natychmiast pokryło się potem, a zasinienie wystąpiło wokół ust i nosa.

– Może ja będę cię osłaniać, a ty spróbujesz przez bagno? – zaproponował Kruczynin, odsapnąwszy. – Co? Nawet nie trzeba uciekać. Czołgaj się po cichu, przeczekaj...

– A dalej? – zapytał Siergiejew, śledząc oczyma poruszenia w gąszczu, by spróbować jeszcze raz wykonać celny strzał. – Ile będę siedzieć w tym błocie? Dzień? Dwa? Tydzień? Miesiąc? Widziałeś moje kolano?

– Widziałem – powiedział Kruczynin i szybko zadyszał, co miało oznaczać śmiech. – Mam większe jaja niż twoje kolano!

– Owszem – zgodził się Michaił. – Iz takim kolanem jak moje, i z takimi jajami jak u ciebie daleko się nie zajdzie.

– Umka. – Siergiejew nie wierzył własnym oczom: Kruczynin, wyczerpany, umierający od gorączki, cuchnący gangreną i śmiercią, uśmiechał się, rozciągając popękane wargi. – Słuchaj, Umka, oni nas się boją nawet takich! Oni by za nami wysłali całą armię, gdyby było trzeba!

– Za swoim sekretem, Sasza, po to by wysłali armię. Nas olewają.

Znów przypomniał sobie triumfalne spojrzenie Raula w hotelowym numerze, pełną torbę podróżną gotówki – któryś z chłopaków mówił, że w takiej torbie mieści się trzy i pół miliona – przestreloną głowę Nuneza, zgniłozęby uśmiech Chica trzymającego w rękach rdzawe „krokodyle”, Kruczynina wgryzającego się w jego gardło i płonący samochód na leśnej drodze...

– Nigdy nie myślałem, że umrę na takiej szycowej plaży – powiedział Kruczynin, przyciskając do piersi karabin. – Wiedziałem, że nie umrę w łóżku, mało kto z naszych tego dożył... Ale żeby w kurorcie?! Nawet o tym nie marzyłem.

Westchnął z niedobrym poświstem i kropla potu stoczyła mu się po nosie, by zawisnąć na górnej wardze.

– Wdzięciństwie prawie nie bywałem nad morzem.

– A ja byłem. – Siergiejew też łyknął wody. – Prawie co roku. Rodzice ostatnie pięć lat bez przerwy włączyli się za granicą, a jak dostawali urlop, to mnie zabierali nad morze. Ojciec lubił Soczi. A mama Krym.

– Ja swoich nie pamiętam.

– Dom dziecka?

Kruczynin potwierdził.

– Aha. Tylko specjalny. Tam nie było zwykłych dzieci, tylko... Ogólnie... Oddali mi medale rodziców, kiedy skończyłem szkołę. Order Czerwonego Sztandaru matki i Złotą Gwiazdę ojca.

– A...? – próbował spytać Siergiejew, lecz Sasza tylko pokręcił głową.

– Nie wiem za co. Wszystko utajnione na pięćdziesiąt lat. Teraz już się nie dowiem.

Z morza doleciał oddalony huk, niski i potężny. Był prawie niedosłyszalny poprzez świst wiatru w koronach palm i szum fal liżących brzeg.

– No! – powiedział Kruczynin. – Pora umierać, Umka!

Siergiejew wyszczerzył zęby i przeliczył naboje. Osiemnaście do SKS– u i dwa pełne magazynki do AK. Dwa granaty – rodzime „cytrynki”. Plus „tetetki”. Marnie. Ciekawe, czy na kutrze jest karabin maszynowy?

Statek pojawił się nie od strony Hawany, ale zza przylądka po prawej, wychodzącego daleko w morze.

Choć to było bardzo dziwne, hałas silników ucichł, mimo że wiatr wiał od morza, za to zobaczyli niedużą na pierwszy rzut oka kreskę, która skakała po falach.

I w tej samej chwili nad drzewami, przecinając błękit nieba dymiącą linią, pofrunęła czerwona rakietka. Po upływie sekundy w powietrze wzbijała się jeszcze jedna.

Siergiejew kilka razy wystrzelił w dżunglę ze złości, nie próbując w nikogo trafić. Tamci nawet nie raczyli strzelać w odpowiedzi.

Kuter już ciął fale w poprzek, leciał do brzegu z obłąkaną prędkością, wzbijając się nad wodą i znów waląc w dół, zostawiając za sobą pienisty ślad – w powietrzu za nim wisiał dobrze widoczny obłok drobnego wodnego pyłu.

Siergiejew miał ochotę zgrzytać zębami z bezsilności. Na nieskazitelnym piaszczystym pasie wyglądali jak muchy na lepie. Nie mieli dokąd uciekać. Wiedział to on, wiedział Sasza i ci, którzy czekali w zieleni, też to wiedzieli. Przed jego oczyma, wystawiwszy naprzód bojowe kleszcze, przekuśtykał duży krab piaszkowy, przelazł przez piaszczyste pagórki zostawione przez kule i skrył się pod suchym liściem palmy.

Kuter szedł lekko, rósł w oczach i pozostawało dokładnie tyle życia, ile będzie potrzebne szyprowi, by obrócić się do plaży burtą, a strzelcom, by złapać ich w celownik karabinu maszynowego.

– Oślaniaj mnie – polecił Siergiejew, obrócił się i przepelzł jak wąż kilka metrów: tutaj niewielki piaszkowy wzgórek zasłaniał go przed strzelcami z dżungli, a on sam mógł kierować ogień na wybrzeże.

Kuter był już w odległości dwustu metrów i płynął na pełnym gazie, jednak szyper, zapewne przewidując, że nie czeka go serdeczne powitanie, nieustannie halsował. Gdyby Michaił miał więcej magazynków, ten manewr pomógłby chytreemu sternikowi jak umarłemu kadzidło, lecz człowiek planuje, a Bóg rządzi i Siergiejew mógł tylko obserwować, jak zbliża się do brzegu ich śmierć, i łowić w celownik długi, wrzecionowaty kształt.

Chociaż rzucała się w oczy pewna niezgodność – jak na te okolice, łódź wyglądała zbyt porządnie. Trudno było dokładnie ocenić jej długość, ale miała na pewno co najmniej dziesięć metrów. Przestronny kokpit był zamknięty dosyć wysoką okrągłą owiewką i Siergiejew gotów był przysiąc, że w momencie, kiedy statek rył nosem fale, stawał się widoczny wykończony drewnem pokład dziobowy. Michaił widział takie stateczki w portach Miami i Barcelony, wyposażone w dwa potężne silniki, z tekowymi panelami, lodówkami, telewizorami i innymi atrybutami luksusowego życia w przestronnych kajutach. Lecz tu i teraz taki kuter po prostu nie mógł się pojawić, a już tym bardziej z taką misją.

Powinien z sykiem ciąć morską taflę u brzegów Cyklad lub ganiać z wiatrem w zawody koło Jamajki. Ale żeby ten statek, o wartości około dwustu tysięcy baksów, znalazł się tutaj, u brzegów dawno i bezpowrotnie socjalistycznej Kuby, potrzebna była maszyna czasu.

Sto metrów.

W uszy wbijał się już ryk motorów, słyhać było uderzenia fal w redany. Siergiejew zastanawiał się gorączkowo, co się właściwie dzieje, lecz automatu nie opuszczał.

Drugi kuter pojawił się od strony Hawany – wyskoczył zza wschodniego przylądka, tam, gdzie morze od mokradeł oddzielał wąski pas lasu. Wydawał się znacznie wolniejszy, lecz odległość, która dzieliła go od plaży, to była chyba nawet nie jedna trzecia odległości, jaką pokonał zbliżający się wyścigowy przystojniaczek. Ten drugi bardziej pasował do tych wód – niezgrabny, podobny do rybackiego, z kwadratową oszkloną kabiną i otwartym pokładem, na którym krzątało się kilku ludzi w zielonych ubraniach. Siergiejew dostrzegł nawet stojący na wieżyczce karabin maszynowy dużego kalibru.

Znów przeniósł spojrzenie na wrzecionowaty kuter, który był gotowy wyskoczyć brzuchem na piasek, i w tym momencie szyper położył statek na burtę tak raptownie, że łódź pokazała Siergiejewowi kil, część dna i śrubę, wściekle obracającą się w pustce.

Woda wzbijała się w powietrze jak śnieg spod nart hamującego na pełnym chodzie slalomisty. Dźwięk motorów zakołysał się jak w kolumnach stereo, szyper dał wsteczny i kuter przysiadł na rufie niczym koń, któremu ściągnięto wędzidło.

I w tejże chwili, utrzymując równowagę ze zręcznością cyrkowego linoskoczka, na pokładzie pojawił się Ichneumon – w bryczesach i hawajskiej koszuli, z niezgrabnym granatnikiem MM-1 w ręku.

Majacząc! – pomyślał Siergiejew. Mam gorączkę. Jestem chory. Mam malarię.

Pierwszy raz w życiu zrozumiał, że pisarz, który wymyślił zwrot „opadła mu szczęka”, znał się na swojej robocie.

A potem niezgrabna broń z ogromnym bębmem plunęła ogniem i granat, rozdzierając powietrze nad plażą, zanurkował prosto w dżunglę. Eksplozja była głośna, a krzyk, który rozbrzmiał z krzaków skrywających prześladowców – po prostu przeraźliwy.

– Na pokład! – ryknął Ichneumon wesoło i ochryple. – Na pokład, do kurwy nędzy!

Drugi granat poleciał z szumem w zarośla, nad głową Siergiejew. Odrzut nieomal zwałił Ichneumona do kokpitu, lecz ten utrzymał równowagę i wałnął po pozycjach prześladowców trzeci raz.

W odpowiedzi z dżungli zatrzeszczały wściekle automaty. Lecz Michaił, oszalały i radosny jak dziecko bawiące się w rozbójników, zapomniawszy o kolanie, już włókł Kruczynina do zbawczego kutra.

Ichneumon walił z granatnika jak kierowana komputerem maszyna, nie zwracając absolutnie żadnej uwagi na świszczące wokoło kule – granaty trafiały dokładnie tam, gdzie ukrywali się strzelcy. Seria zapukała po burcie, druga zaklaskała po wodzie.

Dno uciekło Siergiejewowi spod nóg, odrzucił automat, chwycił Saszkę pod szyję lewą ręką i popłynął, prawą rozpaczliwie zagarniając wodę.

– Ruszaj się! – Ichneumon przekrzykiwał palbę. – Ruszaj się, Umka!

Z nadpływającego kutra zaczął niecelnie bić ciężki karabin maszynowy. Ołowiany szkwał przemknął nad ich głowami, ścinając korony palm i rozszczepiając pień jednej z nich do połowy. Żołnierzom straży granicznej zdenerwowanie nie pozwalało dobrze celować.

Sznurowy sztormtrap, ciężki jak kontener Kruczynin, śliska burta...

Kiedy Ichneumon szarpnął do siebie rączkę napędu, Siergiejew poleciał w tył, omal nie skręciwszy karku. Kuter stanął na śrubie, obracając się w miejscu. Z brzegu poleciała salwa – jedna z kul przedziurawiła owiewkę, druga zrykoszutowała od metalowej podpórki.

– Dum, dum, dum, dum! – zahuczał karabin maszynowy, lecz seria sieknęła po wodzie.

Fontanny od ciężkich kul mało przypominały pluski od kul z automatu.

Siergiejew widział, jak zbliża się do nich szereg małych gejzerów, i zdążył pomyśleć, że na pokładzie pograniczników postawiono działko przeciwlotnicze i taką amunicją zdejmuje się nisko lecące opancerzone szturmowce, a szturmowiec to przecież nie kuter! Łódź rozniesie po prostu na strzępy!

A w następnej sekundzie kuter skoczył naprzód. Ciężki granatnik prześlizgnął się po kabinie i uderzył Siergiejewą w pierś, wybijając z niego resztkę powietrza.

Michaił próbował wstać, lecz nogi się pod nim rozjeżdżały jak u nowo narodzonego cielaka, a kolano, o którym zapomniał w ferworze walki, nagle przypomniało o sobie tak, że zwinął się między eleganckimi siedzeniami i boleśnie uderzył głową o poszycie. Jęknął, obrócił się i ujrzał białe, wywrócone oczy Kruczynina i jego otwarte w demonicznym śmiechu usta, przypominające zapiekłą ranę z ułamkami zębów.

Chwyciwszy się wyściełanego oparcia, Siergiejew zdołał wstać i podnieść granatnik. Wiatr wdzierający się przez częściowo rozbity przednią szybę uderzył go jak poduszka. Ichneumon obejrzał się przez ramię, jego oczy błysnęły ponad trzepocącym kołnierzem niepoważnej hawajki.

Kuter pograniczników był pięćdziesiąt metrów od nich i obracał się burtą, dając załodze możliwość prowadzenia celnego ognia. Siergiejew nie sprawdzał bębna granatnika, zdając się na intuicję i pamięć: Ichneumon strzelał nie więcej jak sześć razy, a „emka” mieści dwanaście pocisków.

Odrzut u tej ręcznej armaty był taki, że gdyby Siergiejew nie oparł się o siedzisko, na pewno by upadł. Jak Ichneumon mógł prowadzić ogień z pokładu rozkołysanej łodzi i nie skąpał się przy tym, było zagadką, lecz i sam Ichneumon stanowił zagadkę, więc nie było się czemu dziwić. Granat zaliczył niedolot, podniósłszy słup wody. Michaił poprawił i znów spudłował – tym razem pocisk wybuchł trzydzieści metrów za kutrem przeciwnika, którego załoga już obracała lufę w stronę ich nabierającej prędkości łodzi.

Trzy! – pomyślał Siergiejew, w myślach przeliczając trajektorię granatu.

Spudłował bardzo nieznacznie. Na obsługę działka chlusnęło wodą, długa lufa PKT odchyliła się i seria poszła w powietrze.

– Dum, dum, dum!

Michaił, nieco opuściwszy lufę, żeby obniżyć linię celowania, strzelił dwa razy pod rząd. Pierwszy

granat trafił przy samej burcie, odczuwalnie wstrząsając przeciwnikiem, a drugi ułamek sekundy później wleciał do nadbudówki przez szybę i przemienił w farsz wszystkie żywe istoty na łodzi. Kawałki sklejki poleciały w górę w słupie dymu i płomieni. Kadłub pozbawiony sternika zakręcił się w miejscu jak pies goniący własny ogon.

Nie wierząc we własny sukces, Siergiejew klapnął na skórzany fotel i obejrzawszy się, zobaczył za kilwaterem białą wstążkę plaży, dymiącą ścianę dżungli, oskalpowane palmy i małe figurki biegnące w stronę morza i strzelające w biegu.

Kuter wyrwał się na otwarte morze – szybki, potężny i niepohamowany. Tu woda rozhulała się nie na żarty, Ichneumon po mistrzowsku sterował i pruł fale, lecz mimo wszystko statek podskakiwał na szczególnie dużych grzbietach – z lekkością młodej kózki, za to od uderzenia o wodę przy lądowaniu aż szczękały zęby.

Dlaczego on nie zwalnia? – pomyślał Siergiejew, patrząc na zgarbione nad kołem sterowym plecy Ichneumona. Przecież już uciekliśmy... Jesteśmy już prawie całkiem bezpieczni...

Lecz kiedy wstał, mrużąc oczy na wietrze, stało się jasne, dlaczego Ichneumon pędzi z całą dostępną prędkością.

Skutecznie odcinając ich od neutralnych wód, w odległości chyba niecałych dwustu metrów szarżowały na nich dwa kutry torpedowe, z dumnie powiewającymi flagami socjalistycznej Kuby.



---

25 Sara Teasdale, „There Will Come Soft Rains“, tłum. Paulina Braiter.



# FABRYCZNA

# ZONA



S.T.A.L.K.E.R.

S.T.A.L.K.E.R.



MICHAŁ GOŁKOWSKI



MICHAŁ GOŁKOWSKI



MICHAŁ GOŁKOWSKI



WIKTOR NOCZKIN



WIKTOR NOCZKIN



WIKTOR NOCZKIN



MICHAŁ GOŁKOWSKI



SŁAWOMIR NIESIUR



KRZYSZTOF HALADYN



KRZYSZTOF HALADYN

[WWW.FABRYCZNAZONA.PL](http://WWW.FABRYCZNAZONA.PL)

# FABRYCZNA ZONA



## POLSKIE POSTAPO



## SURVARIUM



## ANTYMR



## ROSYJSKIE POSTAPO



[WWW.FABRYCZNAZONA.PL](http://www.fabrycznazona.pl)



ANDRIEJ LEWICKI  
**WSTĘGA**  
FRAGMENT

**W**ołali na niego Garsteczka, był ochroniarzem i potrafił dać sobie radę w życiu; teraz jednak leżał bezwładnie jak szmaciana lalka, rozciągnięty na podłodze długiego korytarza. Jego serce waliło i rzucało się dziko, w głowie słyszał obce głosy, wsączające mu w mózg dziwne, mroczne myśli. Z nosa leciała krew.

Uniósł się z karbowanych, stalowych płyt i zgrzytnął zębami, gdy w potylicy odezwał się ból. Wytarł krew z czoła rękawem kurtki mundurowej, potem podniósł się na kolana.

Lampa oświetlenia zapasowego migiała i gasła, w jej świetle korytarz o niskim sklepieniu przypominał raczej pulsującą rozbłyskami, długą rurę prowadzącą prosto do piekła. Nieopodal leżał człowiek w identycznym jak Garsteczka mundurze. Witia, niech to diabli! Witia... Co się z nim stało? Przekrwione oczy patrzyły nieruchomo w sufit, pod głową rozlewała się kałuża krwi.

Garsteczka spróbował wstać, ale nie dał rady, znów upadł na kolana.

– Wićka! – zawołał ochryplym głosem.

Co się stało? Atak? Ale kto napadł, na kogo? Drżącą ręką wyciągnął z kabury pistolet, usiadł pod ścianą. Przesunął lufą z prawa na lewo.

Gdyby doszło do ataku, to coś by się działo. Hałas, zamieszanie! A tutaj nic, tylko martwa cisza.

Odkaszlnął, splunął. Niedowierzająco popatrzył na czerwoną plwocinę na podłodze, potem znów spojrzął na leżącego nieruchomo Witię. Znów zawołał:

– Ej! Odezwij się...!

Strasznie kręciło mu się w głowie, ale pamięć powoli wracała, nadpływając leniwymi falami. Był... był w jakimś obiekcie wojskowym, w... KZ-1. Tak, Kompleks Zamknięty nr 1. Był tutaj członkiem ochrony... ale dlaczego? Przecież służył w piechocie morskiej. Miał na koncie dwie... nie, trzy operacje bojowe! I medal za odwagę. Więc dlaczego...?

Ach... No tak. Było też *tamto*. Wysłali go, w zasadzie zesłali tutaj, do tej nory. Już od czterech miesięcy gnił na służbie wartowniczej, łącząc w tę i we w tę po korytarzach. Teraz natomiast był – tak, na piętrze we wschodnim skrzydle budowli. Właśnie tym, które przylegało bezpośrednio do Sektora.

Służba jak co dzień. Rutyna. Nic szczególnego. I... I CO TU SIĘ, DO CHOLERY, DZIEJE?!

– Hej! – zawołał. – Ludzie! Jest tu kto?!

Garsteczka wsunął pistolet do kabury, po czym podczołgał się na czworakach do przyjaciela. Zajrzał mu w twarz, naczynia krwionośne w oczach Witii popękały tak potwornie, że strach było patrzeć. Krew sączyła się z nosa, z uszu... To jest, nie sączyła się już – zastygła w czerwonych skrzepach.

– Witia... – wymamrotał Garsteczka, przeciągając ręką po twarzy. – Ale jak... co...?

Odsunął się od trupa i znów popatrzył w obie strony korytarza, oddzielającego od siebie wschodnie i zachodnie skrzydło kompleksu. Po jednej stronie błyszcząły stalowe drzwi prowadzące do pomieszczeń skrzydła wschodniego i na klatkę schodową. Na drugim końcu tkwiła ślepa betonowa ściana, poza małym przejściem do przedsionka. Tamtędy można było dostać się do części zachodniej i na zewnątrz.

Ale gdzie byli wszyscy inni ludzie? Cała załoga Kompleksu?

Garsteczka obliznął popękane usta, wyprostował się. Lampa oświetlenia awaryjnego paliła się nadal matowym, przygaszonym światłem, pograżając dalekie kąty korytarza w cieniach.

– Jak w kostnicy – zachrypiał, opierając się o ścianę, żeby nie upaść.

Na wszelki wypadek zabrał jeszcze pistolet Witii. Tamtemu już się nie przyda... Chciał szczęknąć bezpiecznikiem, ale o mało nie upuścił broni na ziemię.

– Eheeeej! Niech się ktoś odezwie! Ej, no! – wrzasnął raz jeszcze, próbując nie poddać się panice. Przecież to niemożliwe, to się nie może dziać! Raptem minutę wcześniej szedł sobie korytarzem, a tu nagle – bach! Leży, krwawi z nosa jak świnia, Witia nie żyje, migają lampy awaryjne... Przecież to jakaś pieprzona apokalipsa!

Kiedy Garsteczka ruszył ku bliższym drzwiom, świat wokół niego zawirował jak na karuzeli. Odczekał, kilka razy przełknął ślinę i popchnął drzwi, wchodząc do stołówki.

Nieduża sala ze stołami i ławkami była pusta, kolacja już się skończyła. Która w ogóle była godzina...? Zerknął na zegarek, ale elektronika wyświetlała tylko cztery ósemki. Nawet on wysiadł? Przecież to wojskowy zegarek, zabezpieczony, wodoodporny, z „wiecznym” akumulatorkiem! Powinien chodzić minimum dziesięć lat – tak przynajmniej mu tłumaczył magazynier wydający sprzęt i sort mundurowy, gdy Garsteczkę przyjmowano do KZ.

Potrząsnął głową, w potylicy znów odezwał się tępy ból. Przeszedł przez pustą stołówkę, kierując się do kuchni.

Martwy kucharz leżał na posadzce, cuchnęło przypalonym żarciem, na patelni powoli zwęgląły się kawałki kurczaka. Garsteczka odruchowo odsunął naczynie z rozgrzanej płyty i nachylił się nad kucharzem. Krew z nosa, krew z uszu, czerwone oczy... Niemalże czarne w półmroku.

Zatoczył się, dopadł do kranu. Odkręcił kurek i zaczął chciwie chleptać ciepłą wodę.

Potem odważył się jeszcze raz popatrzeć na ciało.

– No nie rozumiem – wyszeptał. – Ni cholery nie rozumiem! Muszę... wyjaśnić...

Złapał się rękoma za głowę, ścisnął. Chryste, jak to było? Wieczorna zmiana zaczęła się o szóstej: Witia stał przy schodach, on na korytarzu. Co pół godziny zamieniali się miejscami, co jakiś czas zaglądali do stołówki i sprawdzali kwatery mieszkalne.

COPYRIGHT © Jan Waletow  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2017  
COPYRIGHT © FOR TRANSLATION BY Ewa Białołęcka, 2017

TYTUŁ ORYGINAŁU: Дети Капища

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-235-9

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Ivan Khivrenko

PROJEKT OKŁADKI Dark Crayon, black gear Paweł Zaręba

REDAKCJA Dorota Pacyńska

KOREKTA Maria Brzyska, Magdalena Byrska

SKŁAD ORAZ OPRACOWANIE OKŁADKI „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)  
[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)

▶ Czego Bóg nie da, tego świnia nie zje!  
– Włączamy oświetlenie – powiedział  
Siergiejew półgłosem, sięgając do wiszącej  
na pasie wodoodpornej latarki.

W dół wiodły schody z ułożonymi na  
nich stalowymi szynami. Podest, na któ-  
rym stali odkrywcy, był kiedyś wyłożony  
płytkami, ale teraz ceramika całkowicie  
zarosła szarym mchem, grubym i moc-  
nym, jakby wykonano go z silikonu. Kie-  
dy Milczek świecił pod nogi, wydawało  
się, że cała podłoga się rusza – tyle kłę-  
biło się na niej stworzeń: pająki, stono-  
gi, wiję, żuki, ślimaki i inni mieszkańcy  
podziemi.

Uchylone wrota i światło wystraszy-  
ły część lokatorów, a innych przyciąga-  
ły jak magnes, więc na zewnątrz już po-  
płynął potoczek chrzęszczących chityną  
owadów.

Nie zwracając uwagi na chrupanie pod  
nogami, Milczek i Siergiejew ruszyli w dół  
po schodach. Okazały się dość płaskie  
i krótkie, zaledwie pięć śliskich stopni. Na  
niższym podejściu robactwa było już po  
kostki. Drzwi wiodące dalej zabezpieczo-  
no zamkiem kodowym, który Siergiejew  
rozwalił krótką serią. Dokoła gorących  
gilz, spadających na żywy dywan, zakre-  
ciły się wiry.

*„Dzieci Martwej Ziemi” – fragment*

# DZIECI MARTWEJ ZIEMI

„Nie ma sytuacji  
bez wyjścia, tylko  
rozumu czasem brak”.

Michaił Władimirowicz Siergiejew jest znakomitym myślicielem, skoro **na**dal żyje. Jego świat pogrążył się w chaosie, gdy przyszedł **radioaktywny Potop**.

W świecie pomiędzy **Ziemią Niczyją** a **Strefą Wspólnych Wpływów** liczy się tylko to, czy trzymasz się życia pazurami i jak głęboko możesz zejść do piekła, żeby przetrwać.

Siergiejew ma dużą praktykę w przeżywaniu, ale jednocześnie podły los przyciąga kłopoty jak ruskie **tanki granaty**. Tym razem jednak wplątał się w jedną aferę za dużo i ściągnął na siebie uwagę tyłu wrogów, że **szanse na przeżycie** zdecydowanie **spadły do zera**.

„To historia żywcem wyciągnięta z filmu Pasikowskiego, jakiego nigdy nie nakręcił. A w roli Siergiejewa nieustannie przed oczami miałem Bogusława Lindę, gdy był po prostu naszym, swojskim Franzem Maurerem. Jednak ta książka kryje w sobie o wiele więcej niż tylko to, co większość widziała w »Psach« – brudną, bezpardonową, męską rywkę, okraszoną pokaźną wiązką przekleństw. (...) Kryje w sobie kilka warstw, które dostrzegalne były w filmie i będą wyczuwalne dla uważnego czytelnika w książce Waletowa”.

Paradoks.net



FABRYCZNAZONA.PL



facebook.com/fabryka



Polub  
Fabryczną Zonę

Wyłączny  
dystrybutor

